

ZESZYT TRZYNASTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1968

P. 11807 A

P. 12056.

ZESZYT TRZYNASTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1968

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 153

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

Tadeusz KATELBACH

Z E T

Celem tego szkicu jest zapoznanie społeczeństwa z rolą organizacji, której dzieje ze względu na jej poufny charakter otaczała tajemnica. Oparłem go na wspomnieniach osobistych i relacjach innych członków organizacji, tylko częściowo na źródłach. Źródłowa praca historyczna o ZECIE prędzej lub później będzie napisana.

Tajemnica zetowa

W okresie dwudziestolecia niepodległości niewielu polityków wiedziało co ten trójliterowy skrót oznacza. Większość nie zdawała sobie sprawy, że określa organizację wychowawczo-polityczną, która na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat naszych dziejów odgrywała doniosłą rolę. Ogół społeczeństwa nic o niej lub prawie nic nie wiedział. Dlaczego tak się działo?

Każdy kogo przyjmowano do tajnego Związku Młodzieży Polskiej zwanego ZETEM składał najpierw taką przysięgę: „Przyrzekam, że nigdy nie wyjawię nikomu nie należącemu do ZETU jego istnienia, składu i spraw. Przyrzekam, że w czasie mego pobytu w Organizacji tajemnic dochowam, a gdybym przestał uważać „Związek” za wyraz mych dążeń z Organizacji ustąpię i ze spraw Związku nawet pośredniego nie będę czynił użytku”*. Wierni przysiędze nieujawniania nigdy istnienia ZETU członkowie jego zachowywali zupełne milczenie. Wacław Jędrzejewicz

* Z czasem w tekście przysięgi braterskiej zaszły zmiany. Zamiast słów „tajemnic dochowam” wprowadzono zwrot „dochowam solidarności wewnętrznej”. Dodano również zdanie: „W stosunku do braci kierować się będę uczuciem wiary i przyjaźni i nawzajem od wszystkich braci uczuć tych żądam”.

w książce „P.O.W. i Batalion Warszawski” opowiada jak to jesienią 1913 roku został przyjęty w Krakowie do najwyższego stopnia organizacji zetowej, należąc równocześnie do Związku Strzeleckiego na którego czele stał Józef Piłsudski. Inni zetowcy należeli do Drużyn Polowych Sokoła. W końcu maja 1914 roku zwołano do Wiednia zjazd stowarzyszeń strzeleckich w monarchii austriacko-węgierskiej. Miały się na nim odbyć ćwiczenia eliminacyjne w strzelaniu. W programie zjazdu było złożenie hołdu cesarzowi Franciszkowi Józefowi. ZET był przeciwny udziałowi swych członków w takiej manifestacji. Strzelcy-zetowcy usłuchali jednak rozkazu Komendy Głównej Związków Strzeleckich. Po burzliwym zebraniu wystąpili z organizacji zetowej opuszczając lokal w którym odbywało się zebranie. „Pamiętam — pisze Jędrzejewicz — że na schodach dopadł mnie dziś nieżyjący Kazimierz Wyszyński, serdecznie uściśnął i przypomniał, bym zachował w tajemnicy sprawy zetowe”.

„I ten stosunek do tajemnicy zetowej — powie w 1936 roku w czasie obchodu 50-ej rocznicy powstania ZETU Bolesław Sroczki, jeden z ideologów organizacji — jest powszechny aż po pierwsze lata naszej niepodległości, mimo, że w ciągu długiego okresu czasu istnienia ZETU wśród jego wychowanków z natury rzeczy wielu musiało być takich, którzy przestali uważać organizację za wyraz swych dążeń”. Tak istotnie było. Nawet ci, którzy opuszczali szeregi zetowe pozostawali wierni składanej przysiędze. Zdaniem Sroczkiego świadczyło to o wielkości i wartości przeżyć moralnych, związanych z okresem udziału poszczególnych jednostek w ZECIE.

Nie tylko milczenie zetowców przyczyniło się do zagęszczenia atmosfery tajemniczości otaczającej ich organizację. Woleli nie mówić o niej również przeciwnicy ZETU.

Narodowa Demokracja, działająca pod nazwą Stronnictwa Narodowego, najlepiej zorientowana w sprawach zetowych, nie mogła zapomnieć, że przed 30 laty ZET wyłamał się spod jej kontroli politycznej i po wybuchu pierwszej wojny światowej opowiedział się za Piłsudskim. Wołała milczeć o ZECIE tzw. sanacja. W dwudziestoleciu niepodległości zetowcy nieprzerwanie należeli do obozu Piłsudskiego, zachowywali w nim jednak własne oblicze. Po maju 1926 roku nie poddali się komendzie tzw. grupy pułkowników. Sanacyjna „góra” wołała pomijać milczeniem istnienie w obozie wewnętrznej opozycji. Nie lubiła ZETU Polska Partia Socjalistyczna, bo zaczął sięgać po teren robotniczy organizując od 1931 roku Związek Związków Zawodowych (Z.Z.Z.) i inne placówki oddziaływania na robotników. A Stronnictwo Ludowe z rosnącym niepokojem obserwowało

rozwoj organizacji młodzieży wiejskiej, występującej pod nazwą „Siewu”.

Słowem z zupełnie różnych względów nie mówili o ZECIE zarówno sami zetowcy jak ich przeciwnicy. Zresztą większość przeciwników nie orientowała się w ogóle w istnieniu tego konspiracyjnego ośrodka. Gdy po zamachu majowym 1926 roku zetowcy powołali do życia jawną organizację polityczną pod nazwą Związku Naprawy Rzeczypospolitej zaczęto powszechnie mówić o „Naprawie” i „naprawiaczach”. Operowanie tymi nazwami ułatwiało umiejscawianie na mapie różnych stronnictw i ruchów politycznych w Polsce odłamu piłsudczyków, który nie chciał, by go identyfikowano z rządzącą „góram”. W dalszym ciągu jednak nie zdawano sobie sprawy z powiązań „Naprawy” i innych „pochodnych” z zakonspirowanym ośrodkiem zetowym.

Po ostatniej wojnie zaczęto coraz więcej pisać o ZECIE i „Naprawie”, zwłaszcza w Kraju. W literaturze krajowej, często nie z winy autorów, roi się od zasadniczych błędów. Na przykład z książki Wojciecha Bułata „Strajk studencki w Warszawie w 1917 roku” czytelnik dowiaduje się, że Organizacja Młodzieży Narodowej będąca jawną ekspozyturą ZETU zerwała w 1914 roku z endecją „pod wodzą tak zwanych 'naprawiaczy'”, przywracających ZETOWI jego dawne, niepodległościowe hasła. Tymczasem do zerwania doszło nie w 1914 roku, lecz na wiele lat przed wybuchem pierwszej wojny, a o wodzostwie naprawiaczy nie mogło być mowy w roku wybuchu wojny, gdyż Związek Naprawy Rzeczypospolitej powstał w dwanaście lat później.

Te i podobne błędy są następstwem gęstej zasłony, jaką przede wszystkim zetowcy otaczali swą organizację. Czas tę zasłonę uchylić. Ułatwi to badaczom najnowszej historii zorientowanie się w ruchu politycznym, który — gdyby nie wybuch wojny — mógł odegrać poważną rolę w życiu narodu.

Początki

Zasłonę otaczającą genezę ZETU zaczęto uchyłać dawno, bo już przed pierwszą wojną. Marian Kukiel pisząc w „Dziejach Polski porozbiorowej” o początkach organizacji zetowej powtarza znane okoliczności w jakich doszło do jej powstania. Opowiada jak to grono ludzi społecznie lewych: Bolesław Wysłouch, Jan Popławski i Józef Potocki znalazło wspólny język z przebywającym w Szwajcarii powstańcem 63 roku, pułkownikiem Zygmuntem Miłkowskim (Teodorem Tomaszem Jeżem). Orientując się w nastrojach młodego pokolenia zebrała się w 1886

roku, w Zürichu, grupa działaczy z różnych zaborów i postanowiła założyć Ligę Polską jako „ognisko tajnej pracy rewolucyjnej”, skierowanej przeciw Rosji — największemu z zaborców Polski. Liga nawiązywała do zasad Manifestu Towarzystwa Demokratycznego. Postanowiła rozwijać je i dopełniać w kierunku narodowym i społecznym, przygotowywać środki do czynnego wystąpienia w chwili stosownej, pracować nad „połączeniem spoistym narodu całego”, a pokąd go rozdzielają kordony starać się, by się jego rozerwane części „stopniowo łączyły”. Z inicjatywy Zygmunta Balickiego, podówczas jeszcze młodego działacza socjalistycznego, późniejszego ideologa polskiego nacjonalizmu i autora książki o „Egoizmie narodowym w świetle etyki”, stworzono podległy Lidze Polskiej tajny, trójzaborowy Związek Młodzieży Polskiej zwany ZETEM.

W 1887 roku ukazała się broszura Miłkowskiego konspiracyjnie rozpowszechniania w kraju pod tytułem „Rzecz o Obronie Czynnej i Skarbie Narodowym”. Miłkowski wychodził z założenia, że „obrona bierna” zalecana od dwudziestu lat przez „adwokatów bojaźni” nie osiąga celu. Pokora Polaków nie rozbraja zaborców. Przeciwnie, ośmiela ich do „doszczętnego zgnięcia” narodu polskiego. Na razie nie zalecał powstania ani bezpośrednich do niego przygotowań, żądał jednak czynnego reagowania na prześladowania i gwałty. Przewidując, że mogą wyłonić się sprzyjające okoliczności do upomnienia się o byt niepodległy z orężem w rękę, domagał się utworzenia Skarbu Narodowego. Idee Miłkowskiego, które przyświecały twórcom Ligi Polskiej i ZETU, stały się wkrótce we wszystkich zaborach wyznaniem wiary młodych, buntujących się już przeciwko niewoli narodowej i zalecanej przez „adwokatów bojaźni” polityce trójzaborowej ugody. Jerzy Targalski w kwartalniku krajowym „Pokolenia” (3/15, 1966) pisząc o genezie ZETU słusznie zwraca uwagę, że załączkowe formy późniejszego ruchu zetowego i jego założeń poprzedziło ogarnięcie wśród młodzieży warszawskiej licznych kół — „dla kształcenia się w rzeczach narodowych”. Zaczął je tworzyć już w 1870 roku, a więc w kilka lat po upadku powstania styczniowego między innymi wielki, a nieco zapomniany wychowawca, Konrad Proszyński, pisujący pod pseudonimem — Kazimierz Promyk.

Toteż gdy w końcu listopada 1886 roku przybył nielegalnie do Warszawy ze Szwajcarii Zygmunt Balicki, by w charakterze emisariusza Ligi Polskiej założyć organizację zetową trafił na grunt podatny. Na wyższych uczelniach rosyjskich i w szkołach średnich (polskich szkół wówczas nie było) istniały tworzone samorzutnie konspiracyjne koła samokształceniowe o charakterze

politycznym, kierowane przez tajny „Komitet”. Komitet postanowił urządzić w warszawskich mieszkaniach prywatnych obchody dla upamiętnienia wybuchu rewolucji listopadowej 1831 roku. W przeddzień obchodów, 28 listopada, odbyło się zebranie „Komitetu” z udziałem Balickiego. Wystąpienie emisariusza Ligi wzbudziło entuzjazm. Przywieziony przez niego projekt organizacji ZETU przyjęto jednomyślnie.

W zebraniu założycielskim warszawskiego ZETU uczestniczył Stanisław Bukowiecki, w niepodległej Polsce prezes Prokuraturii Generalnej i wice-prezes Komisji Kodyfikacyjnej. W relacji o tym historycznym zebraniu scharakteryzował okoliczności w jakich powołano organizację do życia i ducha jaki ożywiał pionierów ruchu zetowego.

Po powstaniu 1863 roku — mówił — panowała w całym społeczeństwie polskim apatia i uczucie beznadziejności. Był więc czas najwyższy, „aby myśl narodową skierować do zagadnień politycznych, właściwie mówiąc do pracy nad przygotowaniem walki o niepodległość. W 1886 roku, a więc w tym samym roku w którym powstała pruska Komisja Kolonizacyjna, powołana do wytypowania własności ziemskiej w zaborze pruskim, w tym samym roku, w którym zniesiony został język polski jako wykładowy w szkole ludowej w Królestwie, założona została Liga Polska (późniejsza Liga Narodowa) oraz Związek Młodzieży Polskiej czyli ZET”. Założyciele organizacji, z Zygmuntem Miłkowskim na czele, mieli świadomość, że „stanowią w starszym społeczeństwie drobinę i że naczelną koniecznością jest wychowanie sobie adherentów w młodym pokoleniu”. „Dlatego, równocześnie z Ligą, założyli ZET i do jego organizacji i prowadzenia zwrócili całą swą energię”.

ZET skonstruowano na wzór organizacji ściśle zakonspirowanych. W początkach były trzy kategorie członków: 1) bracia stojący na czele organizacji, będący jednocześnie członkami Ligi Polskiej, 2) towarzysze, mniej wtajemniczeni, których kołem kierował jeden z braci zwany „jawnym członkiem zarządu”. Niższa kategoria wtajemniczenia nie wiedziała o istnieniu wyższej. Z czasem stopień towarzyszy zniesiono. Na czele trójstopniowej, a później dwustopniowej organizacji, stała kilkoosobowa Centralizacja wybierana na zjazdach braterskich, zwana w żargonie zetowców — „ciotką”.

W konspiracji zetowej panowała zasada podporządkowania się jednostki rozkazom władz naczelnych. Uważano je za „tymczasowego wyraziciela polskiej władzy państwowej”. Twórcom ZETU chodziło przede wszystkim o zachowanie w podzielonym narodzie poczucia jedności. ZET — mówił Bukowiecki — stał

na stanowisku, że naród polski jest całością nie tylko kulturalną, ale i polityczną, że kordony graniczne nie istnieją, a liczenie się z nimi jest tylko wyrazem konieczności materialnych. W tym duchu miała się wychowywać młodzież zetowa, dążąc — jak głosił § 1 Statutu — „do wyrobienia się na wolnych obywateli wolnego narodu, umiejących czynem zdobywać urzeczywistnienie zbiorowych dążeń”. ZET miał być organizacją samowychowawczą, nie służącą żadnym doraźnym celom politycznym, „bractwem koleżeńskim”, szkołą organizacyjnego i politycznego wyrobienia, nie zaś pepinierą jakiejś partii politycznej.

Fakt, że w pierwszym okresie pracowali w ZECIE również socjaliści, tłumaczy się tym, że organizacja przejęła przekazane jej przez Miłkowskiego zasady Manifestu Towarzystwa Demokratycznego z naczelną dewizą: „Dla ludu przez lud”. Według „wiary zetowej” należało z mas ludowych uczynić nie narzędzie, lecz twórczy podmiot walki o Polskę. ZET był organizacją zdecydowanie postępową i demokratyczną. Ale najistotniejszym znamieniem ZETU był kult ofiarnego czynu zbrojnego. Krzewienie tego kultu miało wstrząsnąć społeczeństwem pogrążonym w nastrojach zwątpienia. Hasło walki zbrojnej działało na wyobraźnię. Wkrótce też powstały ośrodki zetowe w Krakowie i we Lwowie. Już w czasie świąt Bożego Narodzenia 1886 roku odbył się pierwszy zjazd kierowników niedawno powstałych ognisk organizacyjnych.

Idea walki zbrojnej o Polskę porwała nie tylko krajowe środowiska studenckie. Ogniska zetowe powstały także na wyższych uczelniach w Rosji, w Petersburgu, w Moskwie, Kijowie i Odessie. Na zachodzie Europy — w Belgii, Francji, Szwajcarii, Niemczech i Austrii. ZET tworzył równocześnie jawne ekspozytury w środowiskach studenckich pod nazwą „Zjednoczenia Młodzieży Polskiej Zagranicą”. Początkowo odbywały one swe zjazdy w Zürichu lub w Genewie.

W pierwszym, z górą czteroletnim, okresie istnienia ZET odgrywał w całej organizacji, nie wyłączając Ligi Polskiej, rolę dominującą. Ludzi ze starszego pokolenia było bardzo mało. Na razie więc koła braterskie ZETU niejako zlewały się w jedno z Ligą. Z czasem, gdy członkowie ZETU zaczęli opuszczać wyższe uczelnie, przestawali być członkami organizacji i zasilali Ligę. Odbiło się to na stosunkach między ZETEM i Ligą. W obawie, by ZET nie usamodzielniał się Liga zaczęła pretendować do odgrywania roli czynnika nadrzędnego nad organizacją zetową. Z czasem na tym tle doszło do konfliktu między ZETEM i następczynią Ligi Polskiej — Ligą Narodową.

Lecz w pierwszych latach nikt o konfliktach nie myślał. ZET

przystąpił do akcji zewnętrznych, które pociągnęły za sobą areszty, a nawet przejściowe rozbitcie szeregów organizacyjnych. 3 maja 1891 roku z inicjatywy ZETU urządzono na ulicach Warszawy pierwszą manifestację narodową dla uczczenia setnej rocznicy Konstytucji 3 Maja. Na tej dacie znamiennej — mówił Stanisław Bukowiecki — gdy znów po latach blisko trzydziestu rozległo się na ulicach stolicy publiczne, głośnie wołanie o Polskę, kończy się pierwszy okres historii ZETU.

W ciągu tych kilku lat dokonał się w życiu narodu przełom, którego nie uświadamiali sobie współcześni. Tymczasem od pierwszych chwil powstania ZETU przenikać będą nieustannie do społeczeństwa konspiracyjnymi kanałami hasła ofiarnego wysiłku, czynu, walki z gnuśnością i biernością, oparcia przyszłości narodu na masach ludowych. Krzewicielem tych haseł stanie się Stefan Żeromski. Brał on udział w pracach ZETU gdy organizacja stawiała pierwsze kroki. W swoich młodocianych dziennikach, pod wpływem m.in. lektury „Potopu”, pisze 10 października 1887 roku, że rodzi się nowy kierunek sztuki, wyrosły na czysto polskim gruncie. „Kierunek ten wyda wielkie owoce, bo jest dziełem twórców. Reakcja to, reakcja po mdłych typach epoki pracy organicznej. Stary Jeż wyciąga rękę od starych przyjaciół i podaje ją młodemu, podaje temu kierunkowi, który wskazuje, że nam... trzeba ofiar. Duch narodu jeszcze jest silny, jeśli potrafi wznosić oczy ku tym nowym rzeczom, ku ofierze”.

ZET zaczął odradzać w narodzie ducha ofiary.

Rozłam

W 1893 roku Ligę Polską zastępuje Liga Narodowa. Kończy się prymat emigracji. Liga Narodowa przenosi się do kraju. Pracami jej kierują: Jan Popławski, Roman Dmowski i Zygmunt Balicki. Wkrótce ukazuje się we Lwowie „Przegląd Wszepolski”, czasopismo, które ma się zajmować sprawami całego narodu bez względu na dzielące go kordony. W kilka lat potem, w 1897 roku, pojawia się pierwszy program, już nie ruchu ogólnonarodowego, lecz Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego dla zaboru rosyjskiego. W tym czasie wpływy Ligi Narodowej rozciągają się na wszystkie zabory. Zaczynają docierać na teren chłopski i robotniczy. Równocześnie ZET rozwija własną sieć samokształceniowo-wychowawczą na uczelniach krajowych i zagranicznych. We Lwowie ukazuje się organ ZETU — „Teką”. Ideowo — pisze Kukiel — przeciwstawia się socjalizmowi, ale pod wpływem Jana Popławskiego przejawia dążenia do walki

zbrojnej o niepodległość, zachęca do wstępowania do wojsk obcych, by przysparzać kadry przyszłej, narodowej siły zbrojnej. Słowem ZET stoi niezmiennie na straży ideałów głoszonych przez Zygmunta Miłkowskiego. Jest organizacją patriotyczno-wychowawczą, pielęgnuje tradycje powstańcze i wypowiada się przeciwko wszelkim przejawom lojalizmu i ugody wobec zaborców.

Obok nurtu ogólnonarodowego rozwija się nurt drugi, reprezentowany przez Polską Partię Socjalistyczną. Socjaliści polscy głoszą również hasło niepodległości i nawiązują do tradycji rewolucyjno-powstańczych. Na przywódcę tego kierunku wybija się Józef Piłsudski, młodszy od twórców Ligi Polskiej i ZETU. P.P.S., młodsza także o pięć lat od Ligi Polskiej, ogarnia w trzech zaborach coraz szersze rzesze robotników i postępowej inteligencji.

Na razie stosunki między obu nurtami układają się poprawnie, nawet życzliwie. Ruch wszechpolski nie pretenduje otwarcie do zagarnięcia pod swe wpływy terenu robotniczego. Zadanie krzewienia idei powstańczej wśród robotników pozostawia niejako P.P.S.-owi Ale wkrótce drogi obu nurtów się rozejdą, a w nurcie ogólnonarodowym dojrzeć będzie rozłam.

W 1902 roku Roman Dmowski, dominująca postać w Lidze Narodowej, ogłasza najpierw na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego” książkę pt. „Myśli Nowoczesnego Polaka”. Chodzi mu o unowocześnienie charakteru polskiego. To unowocześnienie ma polegać na zerwaniu z patriotyzmem sentymentalnym. Dmowski jako już przywódca partyjny występuje przeciwko „fałszywemu, doktrynerskiemu humanitaryzmowi”, prowadzącemu, jego zdaniem, do zaniku instynktu narodowego. Chce ostudzić rozpalone wizję walki powstańczej głowy młodzieży, przede wszystkim młodzieży zetowej. W książce „Historia Ligi Narodowej” jeden z wybitnych członków Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, Stanisław Kozicki, nazywa „Myśli Nowoczesnego Polaka” „manifestem jednego z twórców nowego kierunku”... „wymierzonym w pogrobowców romantyzmu, w to co najwłaściwiej byłoby nazwać pseudoromantyzmem”. Przyznaje jednak, że ten pseudoromantyczny sposób myślenia „był właśnie najbardziej rozpowszechniony wśród inteligencji polskiej gdy chodziło o sprawy narodowe i polityczne”.

„Manifest” Dmowskiego był zaskoczeniem. Lewica niepodległościowa spod znaku P.P.S. piętnowała poglądy Dmowskiego jako ugodowe. Zaczęła się nieśmiało burzyć wychowana w karności organizacyjnej młodzież zetowa, której obce były reguły gry partyjnej. Gdy wciąż toczą się dyskusje o książce Dmowskiego nadchodzi wojna rosyjsko-japońska, zakończona sromotną klęską

Rosji. Przez cały czas jej trwania młodzież całym sercem jest po stronie Japończyków. Samorzutnie organizuje tajne związki o charakterze wojskowym, nie związane ani z Ligą Narodową ani z ZETEM. Rośnie liczba regionalnych związków wojskowych, częściowo już pod wpływem P.P.S.-u.

Ruch ten jest przeciwny Dmowskiemu. Wzmaga się opór w samym Stronnictwie Narodowo-Demokratycznym i w Lidze Narodowej kierującej Stronnictwem jako jej jawną ekspozyturą. Część członków Ligi śledzi z obawą ferment w środowisku studentkim. Twórca Ligi Polskiej — Miłkowski chce ustąpić z Ligi Narodowej. Opuszcza ją w 1908 roku, poparty przez młodzież i frondę wybitnych działaczy zaboru rosyjskiego. Lata 1908-1909 stanowią punkt zwrotny w dziejach organizacji powstałej przed dwudziestu laty. Dochodzi do tego, że na zjeździe Stronnictwa w 1909 roku Dmowski znajdzie się w mniejszości.

Zanim buntujący się przeciwko polityce Dmowskiego ZET zdecydował się na ostateczne zerwanie z Ligą Narodową zdał pierwszy egzamin swej samodzielności. Wbrew starszyźnie Narodowej Demokracji rzucił w zaborze rosyjskim hasło walki o szkołę polską. Proklamowany przez ZET strajk szkolny w Królestwie spowodował, że władze rosyjskie zezwoliły na otwarcie polskich, prywatnych gimnazjów. Egzamin przeszedł oczekiwania zetowców. Natomiast dla Dmowskiego był przejawem pajdokracji. Rozsierdzony na krnąbrną młodzież zaczął naśmiewać się z jej dążeń do orężnej rozprawy z rosyjskim zaborcą. W „Upadku Myśli Konserwatywnej” kpił z przemówień i artykułów niedojrzałych studentów, „niedorośliych jeszcze do zrozumienia istoty kierunku”, czerpiących natchnienie „z utworów starego emigranta, przechowywanego w obozie narodowym jako szanowna pamiątka przeszłości”. Te przejrzyste aluzje potęgowały ferment wśród zetowców, odnoszących się z najwyższą czcią do Miłkowskiego. Gdy w Polsce niepodległej powstanie Stowarzyszenie Uczestników Walki o Szkołę Polską, jego przedstawiciel Stanisław Dobrowolski, wspominając strajk, mówić będzie z dumą: „Stowarzyszenie to łączy braterstwo zetowe zarówno z tradycji jak i ideologii. Wygrana walka o szkołę polską, głębiej mówiąc o duszę polską, była zwycięstwem ideologii i organizacji zetowej”.

Centralizacja Ligi Narodowej przetrwała w niezmienionym składzie dziesięć lat do 1906 roku. Zasiadali w niej prócz Popławskiego, Dmowskiego i Balickiego Teofil Waligórski i Karol Raczkowski. Ze względu jednak na rosnącą opozycję przeciwko kursowi Dmowskiego trzeba było ją zmienić. Stało się to na zjeździe braterskim w Krakowie w 1906 roku. Do Centralizacji weszli wtedy m.in. Józefat Bohuszewicz, Feliks Młynarski i Wła-

dysław Horodyński. Przy nazwiskach Bohuszewicza i Młynarskiego w niepełnym spisie członków Ligi Narodowej, znajdującym się w książce Kozickiego, umieszczono słowo „fronda” i rok 1908 czyli rok opuszczenia przez obu najwyższej instancji ruchu wszechpolskiego. Spis zawiera zresztą kilkadziesiąt nazwisk z dodatkiem „fronda” lub „secesja”. Lata opuszczenia Ligi: 1905-1911. Przy wielu nazwiskach nie ma żadnych dopisków, choć wiadomo, że wyszli z Ligi lub zostali z niej usunięci.

Zjazd krakowski 1906 roku był wydarzeniem przełomowym w dziejach Ligi Narodowej. Kozicki poświęca temu przełomowi mało miejsca. Ale nawet jego wyważone opinie nie są w stanie zatrzeć istoty konfliktu, który doprowadził do zerwania z Ligą elementów niepodległościowych, dynamicznych, w większości młodych.

„Gdy Liga — tłumaczy Kozicki — w czasie kryzysu wewnętrznego w Rosji od zadań polityczno-wychowawczych musiała przejść do czystej polityki, gdy stało przed nią zadanie zorganizowania polityki polskiej, stosunek Związku do Ligi zaczął się kształtować na nowych podstawach. Ujawniły się w Związku dążenia do samodzielności i znalazły wyraz na zjeździe Związku (jubileuszowym), odbytym przy udziale Balickiego w roku 1907. Za jego zgodą uchwalono wtedy, że ZET zrywa stosunki z Ligą Narodową. Później weszli do Związku przedstawiciele młodszego pokolenia, którzy politycznie poszli za przeciwnikami ówczesnej polityki Demokracji Narodowej, byli zwolennikami „Frondy” z tego obozu lub ulegli wpływom organizującego się obozu ‘niepodległościowego’ za którym stała Frankcja Rewolucyjna Polskiej Partii Socjalistycznej czyli — krótko mówiąc — Józef Piłsudski”.

„Czysta polityka” oznaczała ugodę z Rosją z czym nie godziła się „Fronda” i młodzież zetowa. Narodowa Demokracja postawiła na Rosję i z nią wiązała przyszłość sprawy polskiej. Krajowy publicysta Stanisław Stomma pisze, że Dmowski nie dostrzegał głębszego uzasadnienia dla konfliktu z Rosją, ograniczając polskie aspiracje państwowe na wschodzie tylko do linii Bugu. To geopolityczne rozumowanie Dmowskiego stało się fundamentem jego konsekwentnie pro-rosyjskiej orientacji, zarówno przed pierwszą wojną światową jak w latach 1914-1918. Lecz — pisze Stomma — „Dmowski nie docenił wagi czynników emocjonalnych. Tymczasem w toku burzliwych wydarzeń pierwszej wojny ukazały one swoją siłę i walor. Legionowy czyn Piłsudskiego nie znalazł masowego poparcia, ale oddziaływał emocjonalnie na imaginację narodu, stając się załążkiem legendy”. „Zgoda” Balickiego na zerwanie ZETU z Ligą Narodową była

niczym więcej jak pogodzeniem się z rzeczywistością. Prowadzenie dalszych dyskusji z młodymi stało się bezprzedmiotowe.

Geopolityczne rozumowanie Dmowskiego z całą wyrazistością ujawniło się w początkach pierwszej wojny, gdy oderwana od Ligi młodzież zetowa opowiedziała się za Piłsudskim. Poseł do czwartej Dumy Wiktor Jaroński życzył w tym samym czasie, 8 sierpnia 1914 roku Rosji carskiej, by pod jej przewodnictwem doszło do nowego Grunwaldu. 31 sierpnia tegoż roku szereg wybitnych działaczy Demokracji Narodowej z Dmowskim na czele rozesłało do prasy rosyjskiej komunikat, który miał być „ostatecznym wyrokiem” na Legiony. „Polska opinia publiczna — głosił komunikat — uważa ludzi uczestniczących w różnych organizacjach ochotniczych, które współdziałały z armią austriacką za nieświadomych obrońców germanizmu, wrogów sprawy polskiej i całej słowiańszczyzny”. Szczytowym wyrazem lojalizmu była odmowa Koła Polskiego złożenia interpelacji w Dumie w sprawie zwolnienia 3.000 osób, w tym dzieci i młodzieży szkolnej, wywiezionych do Rosji przed zajęciem Warszawy przez Niemców. Wśród wywiezionych znajdowali się również zetowcy.

„Zarzewie” i ZET

Następstwem zerwania w 1907 roku z Ligą Narodową było pozbycie się z zetowej Centralizacji dwóch delegatów Ligi, zasiadających w niej z głosem doradczym. Ale akt zerwania nie spowodował automatycznego oderwania od Narodowej Demokracji wszystkich ogniw organizacyjnych ZETU lub organizacji znajdujących się pod jego wpływem. Proces odrywania trwał parę lat. Stanisław Biegański twierdzi w „Niepodległości”, że podległe ZETOWI koła młodzieży narodowej w szkołach średnich zaboru rosyjskiego i austriackiego oderwały się ostatecznie od Ligi Narodowej w okresie od maja do grudnia 1909 roku. Znacznie dłużej trwał ten proces w zaborze pruskim, uważanym za wyłączną domenę politycznych wpływów endecji, jak powszechnie nazywano Narodową Demokrację.

W okresie rozłamu działały na wyższych uczelniach krajowych i zagranicznych jawne ekspozytury pod nazwą „Zejdnoczenia Młodzieży Polskiej”. Z czasem zaczęły one występować pod nazwą Organizacji Młodzieży Narodowej (O.M.N.), która przetrwała w kraju czasy pierwszej wojny. Dopiero w wiele lat po niej O.M.N. przekształcił się w Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej (Z.P.M.D.). W szkołach średnich działała kierowana przez ZET konspiracja PET (Przyszłość). Odpowiednikiem

jej w zaborze pruskim była „Czerwona Róża”. W szkołach średnich zaboru pruskiego istniała rozgałęziona organizacja p.n. „Towarzystw im. Tomasza Zana” (TTZ).

Działalność ZETU przed pierwszą wojną nie ograniczała się jednak wyłącznie do szkół średnich i akademickich. Wielu zetowców na przykład współkierowało Narodowym Związkiem Robotniczym. Pod ich to wpływem na pierwszym zjeździe N.Z.R. w Krakowie w 1908 roku zapadła uchwała o zerwaniu z Narodową Demokracją. W motywach uchwały znalazły się takie zwroty: „Miejsce szerokich dążeń niepodległościowych... zajęły legalne wystąpienia Demokracji Narodowej, godzące się z obcą państwowością i zmierzające do osiągnięcia drobnych korzyści narodowych kosztem idei niepodległościowej. Świadectwem tej ewolucji w poglądach i działalności są: bezczynność trójzaborowej Ligi Narodowej, lojalistyczna polityka Koła Polskiego w Petersburgu, akcja słowiańska... wreszcie najnowsza literatura polityczna stronnictwa demokratyczno-narodowego”.

Niecierpliwsze elementy w ZECIE nie chciały tracić czasu i energii na ratowanie organizacji, która krok po kroku wyłamywała się spod politycznej opieki Ligi Narodowej. Wątpiły czy się to powiedzie. Postanowiły więc wycofać się z ZETU i na wzór istniejącego Związku Strzeleckiego stworzyć organizację wojskową pod nazwą „Drużyn Strzeleckich”. Organem niecierpliwych stało się czasopismo „Zarzewie”. Związek młodzieży niepodległościowej, w którym zgrupowali się secesjoniści z ZETU, przybrał również nazwę „Zarzewia”. Stąd nazwa — „zarzewiaczy”. W Polsce niepodległej ówczesny Prezes Trybunału Administracyjnego Bronisław Hełczyński, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli secesjonistów, tak uzasadniał ich stanowisko: „Kiedyś — mówił — w mrokach popowstaniowej reakcji, powołało nas do życia zawołanie o 'obronie czynnej i skarbie narodowym', hasło, że 'tylko krwią i żelazem' wywalczyć możemy niepodległość, że 'interes ludu polskiego pokrywa się z interesem narodu'. Hasła te utrzymaliśmy jako swoją własność, odcinając się po dwudziestu dwu latach współżycia od Ligi Narodowej, gdy te kanony nasze nie znalazły należytego uwzględnienia we wskazaniach myśli nowoczesnego Polaka”.

Zarzewiacy po wyjściu z ZETU utworzyli na terenie szkolnym i studenckim własną organizację. Ideolog ich, Feliks Młynarski, odcinał się kategorycznie od poglądów narodowych w wydaniu Dmowskiego. „Jesteśmy — pisał w 1910 roku — zakonem niepodległości, wierzącym w siły i przyszłość narodu polskiego”. Młynarski był przeciwnikiem ograniczania działalności politycznej do ziem etnograficznie polskich. Programowi

Polski etnograficznej głoszonemu przez Narodową Demokrację przeciwstawiał dynamiczną politykę ruchu zbrojnego, aktywizację sprawy polskiej na gruncie europejskim w oparciu o naród w znaczeniu politycznym, a nie etnograficznym. Główny jednak wysiłek skierowali zarzewiacy na sprawy wojskowe. Stworzyli tzw. Organizację Armii Polskiej. Szerzyli zasadę „powszechnej służby” wypowiadali się przeciwko narzucaniu społeczeństwu ruchów wojskowej ogółu zdolnych do noszenia broni”. Równocześnie zbrojnych „metodą spisków”, mając na myśli spiskowo-powstańcze koncepcje Organizacji Bojowej P.P.S., Związku Walki Czynnej i kierowanych przez Z.W.C. — Związków Strzeleckich. Zarzewiacy obawiali się, że lewica niepodległościowa odda w jakiejś chwili kierownictwo ruchem powstańczym Polskiej Partii Socjalistycznej. Pamiętano, że Piłsudski był jednym z przywódców P.P.S.-u i że w redagowanym przez siebie „Robotniku” posilkował się słownictwem socjalistycznym pisząc o „burżuazji”, która „przy ogniu szowinizmu piecze tylko własną pieczeń”, lub o kapitalizmie, który „dzieli świat na wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy”. Nie orientowano się, że właśnie pod wpływem Piłsudskiego, na przełomie 1911 i 1912 roku, zaszedł w Związku Walki Czynnej zasadnicze zmiany i że już wtedy przeciwstawiał się on „wyłączności socjalistycznej”, która raczej szkodzić niż pomóc by mogła w formowaniu przedstawicielstwa idei państwowej. O zmianach tych dowiedziała się Organizacja Armii Polskiej dopiero w czasie rokowań zjednoczeniowych. W listopadzie 1912 roku powołano do życia Komisję Tymczasową Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. 1 grudnia Komisja mianowała Komendanta Głównego w osobie Józefa Piłsudskiego. Nie oznaczało to jednak, że zostały ostatecznie wyrównane różnice ideowo-polityczne między „postępowym” i „narodowym” skrzydłem obozu walki zbrojnej. Zarzewiackie Drużyny Strzeleckie uznając w Piłsudskim autorytet przyszłego wodza domagały się wciąż wyjaśnienia tych różnic. 10 maja 1914 roku, a więc na trzy miesiące przed wyruszeniem pierwszej kadrowej, Drużyny Strzeleckie wycofały się z Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Próby stworzenia rządu narodowego spełzły na niczym. W czerwcu 1913 roku Rada Główna Związku Walki Czynnej wystąpiła z apelem o zjednoczenie. Na apel Drużyny odpowiedziały negatywnie, motywując swe stanowisko tym, że istniejące różnice „nie pozwalają w najbliższym okresie pokojowego rozwoju obu organizacji przystąpić do zjednoczenia”. Mimo to rozwijało się już poczucie braterstwa broni nie tylko między „strzelcami” i „drużyniakami”, ale Drużynami Sokoła, czy Bartoszowymi, związanymi z Ligą Narodową. 31 lipca 1914 roku

Piłsudski wydał rozkaz mobilizacyjny do Związków Strzeleckich. Drużyny podporządkowały się nazajutrz jego dowództwu. W pierwszych dniach sierpnia Piłsudski uzależnił się od nieistniejącego, tajnego Rządu Narodowego. Jak pisze w „Niepodległości” zarzewiak Stanisław Bagiński w ten sposób „wysunął na piedestał dawno pieszczony symbol władzy państwowej”. Ten symbol umocnił w połączonych organizacjach strzeleckich przekonanie, „że walczą jako straż przednia całego narodu w imię Państwa Polskiego”.

Krok Piłsudskiego rozwiązał ostatecznie wątpliwości w sprawie „różnic ideologicznych” jakie pokutowały bez mała do samego wybuchu wojny w szeregach secesji zarzewiackiej, która opuściła ZET, pragnący zachować w swych rękach ciągłość tradycji niepodległościowej i całość organizacji. Choć poczynania drużyniaków-zarzewiaków budziły wśród zetowców sympatię, pochłonięci byli na razie głównie sprawami organizacyjnymi. Ale już przed wojną przystąpili do tworzenia własnych organizacji wojskowych w rodzaju „Wolnego Strzelca” i „Drużyn Polowych” nie myśląc o wiązaniu się ze Związkami Strzeleckimi. Bardziej od zarzewiaków nieufni obawiali się, że Związki te są ekspozyturą Polskiej Partii Socjalistycznej. Nie chcieli się jeszcze włączać do ruchu „postępowo-niepodległościowego” kierowanego przez Piłsudskiego. Wahania zetowców trwały do samego wybuchu pierwszej wojny. Gdy do niej doszło zabrała się w okupowanej przez Rosjan Warszawie Centralizacja ZETU, w której zasiadali m.in. Kazimierz Wyszyński, Stanisław Janikowski, Aleksander Graf i Gustaw Zieliński. Przywódca ZETU, słuchacz Uniwersytetu Jagiellońskiego Kazimierz Wyszyński, przesądził o wojskowo-politycznym podporządkowaniu organizacji zetowej tylko w czasie wojny — Józefowi Piłsudskiemu. Wkrótce przybył do zajętej wciąż przez Rosjan Warszawy Adam Koc. Dowiedziawszy się o połączeniu w Krakowie strzelców i drużyniaków doprowadził do połączenia obu związków w jedną organizację, którą nazwał Polską Organizacją Wojskową — P.O.W. Wymyślił ją, bo miała neutralny wydźwięk i nie drażniła ambicji żadnej ze stron.

Równocześnie wśród zetowców powstała myśl utworzenia „luźnej organizacji wojskowej, która nie wymagając od swych członków zbyt surowych zobowiązań mogłaby jednak skupić i wojskowo wykształcić większe grono młodzieży”. Postanowiono powołać do życia „swobodną organizację wojskową w postaci szkoły wojskowej, zwaną Wolną Szkołą”. Równocześnie Centralizacja poleciła wstępowanie do Legionów zetowcom, znajdującym się po tamtej stronie frontu, czyli w Galicji.

W końcu października 1914 roku przybył do Warszawy wy-

ślannik Piłsudskiego, podporucznik Legionów, dr Tadeusz Żuliński. Z nim to Centralizacja uzgodniła całość akcji tworzonej Wolnej Szkoły. Wolna Szkoła uznana została za jedyną, obok P.O.W., organizację w zaborze rosyjskim upoważnioną do prowadzenia prac wojskowych. Organizacja Młodzieży Narodowej poruciła komendę Wolnej Szkoły kierownikom wyznaczonym przez P.O.W. Kierownikiem Szkoły został brat zetowy Konrad Libicki, zastępcą również brat zetowy Waław Jędrzejewicz. Obaj pełnili równocześnie funkcje kierownicze w P.O.W. W Komendzie Wolnej Szkoły zasiadali zetowcy; Stanisław Antoniewski, Józef Kurkowski, Waław Vorbrodt, Stanisław Janikowski. Przez Szkołę przeszło wielu zetowców, jak: Kazimierz Wyszyński, Lucjan Wolfram, Tadeusz Gutowski, Waław Zawadzki-Różga, Aleksander Zawadzki, Stanisław i Aleksander Grafowie, Dezyderiusz Zwiśłowski, Adam Rudnicki, Bohdan Pniewski, Piotr Olewiński, Leon Suchorzewski i inni. Wolna Szkoła miała swe oddziały między innym w Kijowie pod kierownictwem brata zetowego Bolesława Szymanowskiego i w Petersburgu pod kierownictwem brata Franciszka Skąpskiego. Od września 1914 do 20 czerwca 1915 roku przeszło przez Szkołę 317 członków Organizacji Młodzieży Narodowej. Razem obie organizacje skupiły około 500 ludzi. Tuż przed zajęciem Warszawy przez Niemców — pisze Jędrzejewicz — różnice między P.O.W. a Szkołą zatarły się zupełnie. Wczesną wiosną 1915 roku Organizacja Młodzieży Narodowej w porozumieniu z P.O.W. postanowiła wysłać jednego ze swych członków „na tamtą stronę” do Piłsudskiego. Miał mu przedstawić sytuację polityczną w zaborze rosyjskim. Ustalono, że pojedzie Kazimierz Wyszyński. Ostatecznie pojechał Zygmunt Dreszer.

Wyszyński odgrywał wtedy w warszawskim środowisku niepodległościowym wybitną rolę. W czerwcu 1915 roku ukazała się w zajętej jeszcze przez Rosjan Warszawie jego broszura: „Kujmy broń”. „Odbudowanie Polski — pisał w niej — dla żadnego z państw zaborczych nie jest pożądane. Mając wielkie zadanie zjednoczenia ziem polskich, Polska Niepodległa powstać może bezwarunkowo i jedynie przez oderwanie możliwie największych terytoriów od Rosji”. „Kto o niepodległości myśli, ten ją nie w zgodzie, a właśnie w krwawej i bezwzględnej walce z Rosją zdobywać musi”. „Nie znając dróg jakimi się do końca potoczy europejska wojna, ruch niepodległościowy winien być prowadzony w ten sposób, aby odpowiedzieć skutecznie zadaniom w każdej, dającej się przewidzieć sytuacji... Praca w zaborze rosyjskim iść winna w ścisłym porozumieniu z ruchem niepodległościowym, skupiającym się w koło Legionów, w kierunku:

1) wyraźnego kształtowania ogólnej opinii zaboru około postulatu Niepodległości Polski, 2) stopniowego, jaknajszybszego skupiania żywiołów niepodległościowych w jednolity politycznie obóz, 3) przygotowania podstawy dla powołania do życia w pierwszej, odpowiedniej chwili samoistnej władzy Polski powstałej — Rządu Polskiego, 4) rozszerzenia sprzysiężenia narodowego przez wprowadzenie wszystkich uczciwych i sprawie niepodległości oddanych Polaków do prac, wzmacniających siły ruchu w dziedzinie politycznej lub wojskowej, 5) szerzenia wśród wszystkich warstw elementarnego wykształcenia wojskowego, 6) zbierania wszelkimi nadającymi się środkami materiałów wojennych, przede wszystkim broni, 7) jak największego związania z pracą przygotowawczą, a następnie z walką zbrojną tak zwanych krajów zabrzanych, przede wszystkim budzącej się do życia politycznego Litwy.

Do skutecznej walki orężnej ze zwyciężoną czy zwycięską Moskwą, dla świętej wojny narodowej o Niepodległą Polskę: 'Kujmy bron' ”.

Broszura Wyszyńskiego była, poza odezwami, ostatnim wydawnictwem drukowanym przez P.O.W. za czasów okupacji carskiej. Była, jak się wyraża Jędrzejewicz, próbą „syntetycznego ujęcia sprawy polskiej ze stanowiska konieczności usamodzielnienia naszego ruchu niepodległościowego bez względu na to czy wojnę wygra ta czy inna strona”. Wydana, oczywiście bezimienne, wywarła wielki wpływ na kształtowanie się antyorientacyjnej postawy tworzącego się w Warszawie obozu niepodległościowego.

P.O.W. i Wolna Szkoła, skupiające strzelców, drużyniaków i zetowców, wystawiły Batalion Warszawski. Pod dowództwem Żulińskiego 31 sierpnia 1915 roku opuścił stolicę, udając się na front do I Brygady Legionów. Liczył niespełna 400 żołnierzy. W porównaniu z liczbą mieszkańców Warszawy była to garstka, otoczona obojętnością, a czasem wrogością społeczeństwa. W niezwykle trudnych warunkach kuła pod ziemią broń, by ją użyć do walki z Rosją. W ZECIE wspomniano zawsze z dumą dzieje Wolnej Szkoły. Uwieńczyła wysiłki zetowców, którzy zerwali z Ligą Narodową, zachowali jednak organizację w swych rękach i pozostali wierni niepodległościowym założeniom twórców Ligi Polskiej i ZETU. Idąc odmiennymi drogami do tego samego celu co niecierpliwi od nich zarzewiacy, zachowali także jako swą drogocenną własność zawołanie o obronie czynnej i skarbie narodowym oraz wskazanie, że tylko krwią i żelazem można wywalczyć niepodległość.

Próby opanowania ZETU

Rozejście się zarzewiaków z ZETEM nie trwało długo. Już w czasie pierwszej wojny najmłodsi zarzewiaczy, którzy ledwie skończyli szkoły średnie i nie zdążyli wstąpić do Legionów, odrodzili na wyższych uczelniach swą organizację. Organizacja Młodzieży Narodowej i „Zarzewie” występowały solidarnie. Z czasem doszło do likwidacji „Zarzewia”, a jego czołowi działacze jak: Adam Stebelski, Stanisław Groniowski, Edward Rumun i Roman Lutman wstąpili do ZETU. Tak oto po kilku latach rozejścia dokonał się powrót na łono organizacji zetowej-akademickiej organizacji zarzewiackiej. Stanisław Cat-Mackiewicz dawny brat zetowy, dzieląc się refleksjami jakie nasunął mu pogrzeb Stanisława Janikowskiego na Powązkach jesienią 1965 r. przypomina ten fakt. Píše, że w 1916 r. Janikowski stał na czele „świeżo połączonych wówczas organizacji: niepodległościowej „Zarzewie” i również niepodległościowej, warszawskiej Młodzieży Narodowej, to jest organizacji zetowej”.

Gdy więc w 1936 r. odbywał się zjazd dawnych i czynnych zetowców, zetowcy i dawni zarzewiaczy organizowali go wspólnie. Zewnętrznym wyrazem tej współpracy był udział w Komitecie Honorowym zjazdu takich zarzewiaków, jak B. Hełczyński, J. Koźuchowski i E. Kwiatkowski. Przed zjazdem Główny Komitet Organizacyjny wydał odezwę w której stwierdzał, że w chwili jaką Polska przeżywa inicjatorzy zjazdu „chcą skupić siły narodowe” i wskazać kierunek „w którym iść mamy nie w chwałę przeszłości, ale z obecnymi wartościami ideowymi, wartościami pracy i umiejętnością przekuwania idei w czyn realny”. „Wśród nas na zjeździe — mówił Hełczyński — nie znajdą się ci, których brakowało czynnie lub ideowo w szeregach Legionów, w szeregach ruchu niepodległościowego, którego żywym symbolem był Komendant Piłsudski. Tych nie będzie na zjeździe, nasze drogi nie stały się ich drogami. Wierzymy jednak, że choć rozeszły się nasze drogi polityczne, łączyć nas może i z nimi wiara wyniesiona z szeregów ZETU w bezinteresowność wszystkich zetowców w służbie publicznej dla Sprawy, dodajmy pod hasłem czy zawołaniem wszystkich wychowanków ZETU: 'dla Polski' ”.

Odpowiadając na odezwę przybył na zjazd pisarz, poeta i żołnierz Antoni Bogusławski. Witając zjazd w imieniu kilkudziesięciu zetowców nie należących do Senioratu Organizacji Młodzieży Narodowej, wypowiadał się jednak przeciwko „próbom dzielenia zetowców na kategorie”. „Hasło niepodległości — mówił — nie było i nie jest ani nasze ani wasze ani niczyje, ale było w czasach

niewoli świętym dziedzictwem całego narodu, a w ZECIE motorem myśli i czynu". „Chcieliśmy odpowiedzieć na apel dotyczący porozumienia narodowego myślących czynników w chwili, kiedy to krajowi jest potrzebne”.

Wystąpienie Bogusławskiego przypominało odległe czasy zrywania przez ZET więzów zależności od Ligi Narodowej. Większość zetowców opowiedziała się za zerwaniem, mniejszość w dalszym ciągu uważała za swego duchowego przywódcę Romana Dmowskiego. W tej mniejszości znalazł się Antoni Bogusławski. Nigdy jednak nie angażował się w rozgrywki z ZETEM. Toteż jego wystąpienie nie miało charakteru dywersji politycznej, Bogusławskiemu chodziło jedynie o przypomnienie, że poza zetowcami, którzy zjazd zorganizowali, są jeszcze inni, posiadający także tytuł do powoływania się na wspólną przeszłość organizacyjną.

Nie wszyscy zetowcy wierni Lidze Narodowej w podobny sposób podchodzili do niepodległościowego ZETU. Próbowali go rozbić względnie opanować. Centralizacja działająca w czasie pierwszej wojny w okupowanej przez Niemców Warszawie nie zawsze orientowała się w tych próbach. Nawet podtrzymywanie stałego kontaktu ze środowiskiem lwowskim ze względu na kordony okupacyjne nie było proste, a cóż dopiero mówić o kontaktach z licznymi ośrodkami zetowymi na wyższych uczelniach rosyjskich w Petersburgu, Kijowie czy Moskwie.

W początkach października 1918 r., a więc na kilka tygodni przed klęską państw centralnych, przedstawicielstwo polityczne studentów wyższych uczelni warszawskich, zwane Konferencją Ogólno-Akademicką, otrzymało od środowiska lwowskiego zaproszenie na ogólnokrajowy zjazd studencki. Młodzież warszawska jednomyślnie wypowiedziała się za odbyciem zjazdu. W imieniu Organizacji Młodzieży Narodowej udał się na zjazd Tadeusz Katelbach, któremu towarzyszył starszy brat zetowy Tadeusz Janowski, by zorientować się co naprawdę dzieje się w lwowskim ZECIE. Centralizacja posiadała wiadomości, że uległ wpływom endecji i że czeka na przybycie na Zjazd nie tyle przedstawicieli warszawskiego O.M.N., lecz raczej wysłanników warszawskiego Narodowego Zjednoczenia Młodzieży Akademickiej, studenckiej ekspozytury Narodowej Demokracji. Delegacja młodzieży endeckiej stawiała się na zjeździe najliczniej. Spośród bodaj ośmiu delegatów: Feliks Majorowicz, Mieczysław Jakubowski i Jan Rembieliński, przyjęci zostali latem tego roku do Ligi Narodowej.

Bez mała delegaci wszystkich warszawskich organizacji ideowo-politycznych już w parę dni po przybyciu do Lwowa, znaleźli się w okopach, walcząc z Ukraińcami do 22 listopada, tj.

do dnia uwolnienia miasta. Jankowski i Katelbach zdążyli jednak nawiązać kontakt z lwowskim kołem braterskim i przekonali się, że, istotnie, jego większość ulega wpływom Narodowej Demokracji. Wyrazem tego był fakt, że na przewodniczącego krótkotrwałego zjazdu wybrany został Katelbach wbrew głosom lwowskiej organizacji zetowej i Narodowego Zjednoczenia Młodzieży Akademickiej. To votum nieufności zetowców lwowskich wypowiedziane warszawskiej Centralizacji zapowiadało dalsze, ciężkie przeprawy z organizacją lwowską. Wprawdzie ZET lwowski nie zerwał formanych więzów z Centralizacją, ale też niezbyt się z nią liczył. Oglądał się nie tylko na warszawskie Narodowe Zjednoczenie Młodzieży, lecz i na przybywających coraz liczniej do Lwowa braci zetowych z uniwersytetów rosyjskich, zwłaszcza z Kijowa, opanowanego niemal bez reszty przez zwolenników Ligi Narodowej. Ostatecznie Centralizacja zdołała utrzymać przy sobie środowisko lwowskie. Ale jeszcze w pierwszych latach niepodległości dwaj przedstawiciele Centralizacji, Tadeusz Katelbach i Wacław Szurig, musieli pośpiesznie jechać do Lwowa, by robić tam ostatnie „porządki”. Ofiarą ich padł, między innymi, wówczas zwolennik Narodowej Demokracji, do 1925 roku członek Ligi Narodowej — Zdzisław Stahl.

Nadzieje frondujących zetowców lwowskich na pomoc z wyższych uczelni rosyjskich były uzasadnione. Miała się o tym przekonać Centralizacja w Warszawie. Tu rozegrała się główna batalia nie tylko o warszawskie środowisko zetowe, ale o zagarnięcie przez pro-endeckie elementy samej Centralizacji.

W ostatnich tygodniach pierwszej wojny i pierwszych miesiącach niepodległości zaczęli ściągać do kraju różnymi drogami zetowcy z uczelni rosyjskich i z polskich formacji wojskowych powstałych w Rosji. Zebranie warszawskiego ZETU z kolegami przybyłymi z Moskwy odbywało się na ulicy Marszałkowskiej, niedaleko Chmielnej, w jednej z sal składowych firmy przewozowej Drzewiecki i Jeziorański. Starszy ZETU Wiesław Drzewiecki używał tego lokalu na zebrania konspiracyjne w czasie okupacji niemieckiej. Wśród przybyłych z Moskwy czołową rolę odgrywali: Jan Wszelaki, Wiktor Natanson i Alicja Dorabalska. Wszelaki studiował ekonomię, Natanson — prawo, Dorabalska — fizykę.

Ze składanych przez nich sprawozdań nie trudno się było zorientować, że różnią się poglądami. Dorabalska była społecznie lewa. Bez zastrzeżeń akceptowała stanowisko polityczne Centralizacji w czasie wojny. Natanson był prawy, krytykował Piłsudskiego, krótko mówiąc — endecki. Wszelaki zajmował pozycję pośrednią. Postawa Wszelakiego była o tyle ważna, że znali go

dobrze koledzy zetowi przybywający z innych uczelni rosyjskich. Ostatecznie wypowiedział się za Centralizacją, Dorabiała całą duszą przylgnęła do środowiska warszawskiego. Natanson je opuścił, lecz nie przeszedł do Narodowej Demokracji. Próbował z zetowcem lwowskim Gluzińskim tworzyć „Niezależną Młodzież Narodową”, ale nic z tych prób nie wyszło.

Najbardziej jednolite było liczne środowisko zetowe w Petersburgu. Centralizacja nie miała z nim kłopotu. Koło braterskie ZETU powstało tam już w 1897 r. W przededniu wybuchu pierwszej wojny zetowcy petersburscy skupieni byli w „Zjednoczeniu Młodzieży Narodowej im. A. Mickiewicza”. Po zerwaniu w latach 1905-1907 z Ligą Narodową należeli do zespołu niepodległościowych organizacji studenckich. Powstały w 1910 r. nad Nową Związek Walki Czynnej opierał się na „Zjednoczeniu”. Wydzielenie w 1913 r. sekcji Z.W.C. powstałej na gruncie „Zjednoczenia” było następstwem dyspozycji wydanych przez Centralizację ZETU. W skład Z.W.C. wchodzili zetowcy: Janusz Olszamowski, późniejszy adiutant Naczelnika Państwa, Józef Ochlewski, Jerzy Rackman, Aleksander Jelski, Władysław Leśniewski. Akcja Z.W.C. odrodziła się w czasie wojny w formie P.O.W. na którego czele stanął brat zetowy inż. Franciszek Skąpski. W początkach 1916 r. odbył się konspiracyjny zjazd wszystkich organizacji niepodległościowych w Rosji, solidaryzujących się z akcją Piłsudskiego i wypowiadających walkę zaborcy rosyjskiemu. Jak pisze Irena Spustek w książce „Polacy w Piotrogradzie 1914-1917” — „zdetronizowany obóz endecki utracił wówczas wpływy na młodzież”. Komendantem P.O.W. w Rosji został Skąpski. Miał pojechać na spotkanie z Zygmuntem Dreszerem w Sztokholmie, który wiozł dla niego od Koca instrukcje z Warszawy, ale nie otrzymał paszportu.

Niejako ukoronowaniem niepodległościowej działalności petersburskiego ZETU była sprawa tworzenia własnych korpusów polskich w Rosji. Chodziło o wydzielenie wojskowych Polaków z armii rosyjskiej w oddzielną siłę zbrojną. Latem 1917 r. odbył się w Piotrogradzie zjazd wojskowych Polaków, który powołał na honorowego przewodniczącego Józefa Piłsudskiego. Zjazdowi przewodniczył brat zetowy, chorąży wojsk rosyjskich, późniejszy Prezydent Rzeczypospolitej, Władysław Raczkiewicz. On też został prezesem „Naczelnu” (Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego), któremu powierzono czuwanie nad sprawą tworzenia korpusów polskich w Rosji.

Inaczej wyglądała sytuacja w środowisku kijowskim. Bracia kijowscy, z nielicznymi wyjątkami, byli przekonаныmi endekami. Nie orientował się w tym Skąpski, który przyjechawszy do Kijo-

wa polecił tamtejszemu komendantowi P.O.W. J. Bromirskiemu nawiązać współpracę z młodzieżową organizacją „Polonia”. Bromirski nie zgodził się na to. Nie ufał zresztą Skąpskiemu jako seniorowi petersburskiego „Zjednoczenia” i nie wykonał jego polecenia. Spowodowało to nawet rozłam w P.O.W. w Rosji na dwie niezależne komendy naczelne. W Kijowie ruchem niepodległościowym kierowali działacze skupieni wokół organizacji lewicowo-niepodległościowych, jak „Filarecja” i inne.

Bracia kijowscy nawiązawszy kontakty ze środowiskiem lwowskim zaczęli zjeżdżać do Warszawy i uczęszczać tłumnie na zebrania warszawskiego ZETU. Przewodzili kijowianom Piotr Kownacki, Maria Niklewiczowa i Wincenty Choroszewski. Na jednym z zebrani sytuacja wyglądała dramatycznie. Odbywało się ono w lokalu „petowców” na Krakowskim Przedmieściu. Groziło przegłosowanie zetowców warszawskich przez kijowskich. Licząc na poparcie lwowian chcieli przeforsować wniosek o zwołanie nadzwyczajnego zjazdu braterskiego. Sytuację uratował zwolennik kompromisu Choroszewski. Warto dodać, że w pierwszych latach niepodległości Centralizacja traktowała niezwykle liberalnie wszystkich braci zgłaszających chęć uczestnictwa w zebraniach koła warszawskiego. Tym się tłumaczy, że nawet bywali na nich przejściowo bracia, którzy po zerwaniu ZETU z Ligą Narodową pozostali w ZECIE endeckim. Należał do nich m.in. Stanisław Strzetelski, który był później członkiem Ligi Narodowej aż do chwili gdy go — używając terminologii masońskiej — „uśpiono”.

Po dramatycznym zebraniu w Warszawie fronda kijowska zrezygnowała z nowych prób opanowania centralnego ośrodka organizacji. Niemal w całości przeszła do Narodowej Demokracji. Piotr Kownacki redagował jej organ w Wilnie i postował jako bojowy przedstawiciel tego kierunku w Sejmie. Inaczej było z frondującymi zetowcami lwowskimi. Nie wszyscy przeszli do endecji, a ci którzy się w niej znaleźli opuszczali później jej szeregi. Po zamachu majowym 1926 roku utworzyli rodzaj organizacji politycznej zwanej „Zespołem Stu”, kierowanej przez brata zetowego Wacława Mejbauma. Z nim to nawiązał kontakt płk. Adam Koc wysłany do Lwowa przez Piłsudskiego, by czuwał nad ówczesnym dowódcą D.O.K. Lwów — gen. Władysławem Sikorskim. Koc pomógł do przejęcia z rąk lwowskiej N.D. jej organu „Słowa Polskiego”. Inni dawni bracia zetowi ze Lwowa znaleźli się w B.B.W.R., część dopiero w wydaniu ozonowym obozu Piłsudskiego.

W Poznaniu „endekoidzi” — jak w środowisku zetowym nazywano kolegów którzy pozostali przy Dmowskim — usiłowali także wprowadzić ferment w kole braterskim, w „Czerwonej

Róży" i w tzw. „grupach narodowych”. W chwili zakończenia pierwszej wojny ZET poznański dzielił się na zwolenników warszawskiej Centralizacji i wyraźnych sympatyków endecji. Pierwsi zaczęli występować pod firmą „Młodej Polski” i wydawać w Poznaniu własne czasopismo, w którym przez pewien czas współpracował przybyły do Poznania Kazimierz Wyszyński. Z czasem, pozbywszy się endeków, uruchomili własny dziennik „Przegląd Poranny” redagowany m.in. przez braci zetowych Tadeusza Janakowskiego i Feliksa Chrzanowskiego. Zetowe środowisko poznańskie stało się centralnym ośrodkiem obozu Piłsudskiego w całym dawnym zaborze pruskim. Warto wspomnieć że bezpośrednio po pierwszej wojnie zerkał jak najbardziej w stronę Narodowej Demokracji Stanisław Mackiewicz. Na zjeździe zetowym w Poznaniu występował namiętnie przeciwko Centralizacji, która — jak się wyrażał — gra rolę „skrzypiec Belwederu”. Wkrótce wystąpił z ZETU i już nigdy do niego nie wrócił. Jako herold konserwy wileńskiej stał się gloryfikatorem Piłsudskiego i zwalczał z pasją ZET zarzucając mu lewicowość.

Ostatecznie wszystkie próby rozbicia, względnie osłabienia szeregów niepodległościowego ZETU, skończyły się niepowodzeniem. Narodowa Demokracja zorganizowała na wyższych uczelniach własne ZETY, które przetrwały bodaj do wybuchu ostatniej wojny.

Mimo zupełnego rozejścia się ZETU z Ligą Narodową zamierzające wspomnienia wspólnoty ideowej pozostały. Przeciwnicy polityczni zachowali uczucie wzajemnego szacunku. Nie tylko przeciwnicy w rodzaju Antoniego Bogusławskiego. Nawet Stanisław Stroński, eks-zetowiec lwowski, do czasu członek Ligi Narodowej, jeden z najbardziej zapamiętałych wrogów Piłsudskiego, gdy wszedł do rządu Sikorskiego, starał się chronić w Paryżu i w Londynie zetowców-piłsudczyków przed mężem zaufania generała Sikorskiego — profesorem Stanisławem Kotem. Wspomnienia odległych więzi sprawiły, że pod okupacją niemiecką zetowcy różnych autoramentów natychmiast się odszukiwali i wzajemnie pomagali. Gdy jeden z nich, Stanisław Stanisławski jako wysłannik Podziemia przyleciał do Londynu w 1944 roku wraz z Arciszewskim i Berezowskim umiał wyliczyć wybitniejszych zetowców, biorących czynny udział w pracach wojskowo-politycznych. Było ich bardzo wielu. Wychowankowie niepodległościowego ZETU odgrywali w Podziemiu doniosłą rolę. Z żyjących wystarczy wymienić nazwiska gen. Tadeusza Półczyńskiego czy Tadeusza Żenczykowskiego szefa wydziału „N” w BIP Komendy Głównej A.K. w czasie powstania — szefa wydziału propagandy.

Z liczного pocztu poległych lub zmarłych wymienimy tylko

niektórych. Inż. Władysław Zakrzewski, czynny w Komendzie Głównej przy organizacji zrzutowisk. Aresztowany w 1944 r. zmarł w obozie koncentracyjnym Dora. Bronisław Budkiewicz, jeden z kierowników konspiracyjnej sieci produkcji przemysłu wojennego A.K. Zmarł w obozie koncentracyjnym Gross Rosen. Stefan Sikorski, szef sztabu Komendy Okręgu A.K. w Krakowie. Zamordowany przez Gestapo. Barbara Wolska, łączniczka Komendy Głównej A.K. poległa w Powstaniu. Stanisław Leopold z dowództwa Batalionu Harcerskiego „Parasol”. Poległ w Powstaniu Warszawskim. Władysław Fiszer, kierownik akcji „N” w Komendzie Okręgu A.K. w Krakowie. Aresztowany w 1943 r. Zginął w obozie koncentracyjnym. Celina Zaleska-Iwanowska i Piotr Szeleźniak, aresztowani w Lublinie zginęli w więzieniu lub obozie koncentracyjnym. Józef Marszałek, organizator i czołowy przywódca konspiracyjnej organizacji Młodej Wsi „Racławice” (przedwojenny „Siew”), która była członkiem Rady Jedności Polski Podziemnej. Zginął w obozie na Majdanku, w 1943 roku. Wybitny historyk, prof. Kazimierz Zakrzewski, zamordowany w początkach okupacji niemieckiej. Bolesław Srocki, pod okupacją czołowy publicysta prasy A.K. w BIP Komendy Głównej — zmarł po wojnie. Eugeniusz Czarnowski, oficer BIP Komendy Głównej A.K., jeden ze skazanych w procesie szesnastu w Moskwie. Zmarł w 1947 r. w Warszawie. W pracach konspiracyjnych brali udział bracia Zdzisław i Felicjan Lechnicy. Zmarli w Polsce po wojnie. W kampanii wrześniowej polegli zetowcy: Jan Grzywaczewski, Bolesław Gajkiewicz z Katowic, Józef Charnanson i Jerzy Szper. W Katyniu zginęli: Józef Wojciechowski i Tomasz Piskorski. Stanisław Groniowski jako oficer rezerwy poległ w początkach wojny. W wojskach lotniczych na Zachodzie zginęli Wiesław Brodzikowski i Felicjan Lechnicki syn Felicjana, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli licznej plejady młodych zetowców.

„Pochodne”

Takim mianem określali zetowcy związki, organizacje i stowarzyszenia bądź przez ZET inicjowane i prowadzone, bądź takie, które powstały przy ich współudziale i w których mieli często wpływ decydujący.

Do pierwszej kategorii należały tajne i jawne organizacje działające w szkołach średnich („grupy narodowe”, TTZ-y, PET, „Czerwona Róża”) i na wyższych uczelniach („Zjednoczenia”, O.M.N. Koła im. Kołłątaja). Organizacje te nie wiedziały

o istnieniu kierowniczej konspiracji zetowej. Członkowie konspiracji szkolnych mogli się jej domyślać. „Miesięcznik Młodzieży Polskiej” — warszawski organ O.M.N., podobnie jak wychodzący w Poznaniu „Brzask”, redagowany był przez zetowców. Wychowanków organizacji szkolnych i jawnych ekspozytur studenckich przyjmowano do ZETU. Nie było to jednak regułą. Aby dostać się do pierwszego stopnia wtajemniczenia czyli wejść do koła kolegów zetowych niektórzy musieli długo czekać. Większość nie osiągała tego wyróżnienia.

Stosunki w organizacji szkolnej ilustrują dwie relacje. Pierwsza przedstawiciela pokolenia które po strajku szkolnym uczęszczało do polskiego gimnazjum prywatnego w Siedlcach przed pierwszą wojną światową, a więc jeszcze za czasów gdy Królestwem rządili Rosjanie. Píše on:

„Od 1910 roku na terenie gimnazjum polskiego im. Tadeusza Radlińskiego istniały kółka samokształceniowe. Wkrótce nawiązały one kontakt z Warszawą. Zaczął do Siedlec dojeżdżać Stefan Szwedowski. W naszym gimnazjum powstała Organizacja Młodzieży Narodowej (O.M.N.). Było w niej na razie 50 członków, licząc z gimnazjum żeńskim Zembrzuskiej. Głównymi działaczami O.M.N. w Siedlcach byli wtedy: Władysław Kamiński (przed wojną senator R.P., zginął pod Monte Cassino), Edmund Strauch (dziennikarz, zmarł na emigracji w Paryżu) i późniejszy długoletni urzędnik M.S.Z. Stanisław Głuski. W 1912 roku Głuski i Kamiński udali się jako delegaci Siedlec na tajny zjazd młodzieży narodowej w okolicach Warszawy. W tym roku względnie rok później trzej czołowi działacze zostali przyjęci do PETU. Prowadzili dalej kółka samokształceniowe, samopomoc szkolną, organizowali obchody rocznic narodowych i powstań pod pokrywką zebrań towarzyskich. W sprawach społecznych i narodowych O.M.N. miał w Siedlcach swego rodzaju monopol. Po skończeniu gimnazjum w 1914 roku straciłem kontakt z Siedlcami. Do ZETU zostałem przyjęty po pierwszej wojnie, w 1918 roku, gdy wróciłem z Rosji jako żołnierz Drugiego Korpusu Kaniowskiego”.

A oto dla porównania relacja z tych samych Siedlec przedstawiciela pokolenia wychowanego już w Polsce niepodległej:

„W roku 1922 względnie 1923 na zebraniu informacyjnym uczniów klas wyższych w gimnazjum państwowym im. hetmana Żółkiewskiego dowiedzieliśmy się, że prócz kół naukowych, ZHP, zespołów sportowych i sodalicii katolickiej, istnieją kółka samokształceniowe O.M.N. Opiekunami tych kół byli nauczyciele Ignacy Wojewódzki, Tadeusz Moniewski, Tadeusz Bornholz, którzy sami byli wychowankami O.M.N. Na zebraniach O.M.N. wygłaszano referaty, po których odbywały się dyskusje. Cały nasz zespół cechował wysoki poziom moralny i ideowy. Trwało tak przez dwa czy trzy lata. Po przyjeździe do Warszawy na wyższe studia, jako wychowanek szkolnego O.M.N., niejako automatycznie zostałem przyjęty do akademickiej organizacji zetowej i do Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, powstałego z połączenia studenckiego O.M.N., P.O.W. i Organizacji Młodzieży Postępowej”.

O środowisku poznańskim pisze jeden z wychowanków tamtejszego ZETU:

„PETU w Poznaniu nie było. Usłyszałem o PECIE w 1921 roku, gdy po raz pierwszy przyjechałem z Poznania do Warszawy. W pewnym sensie odpowiednikiem PETU w Wielkopolsce były Towarzystwa im. Tomasza Zana (TTZ). Te tajne do 1918 roku stowarzyszenia były agendami ZETU i przez niego prowadzone i nadzorowane. Każde środowisko TTZ miało „komisarza akademickiego”, delegowanego przez ZET. „Tetezety” działały w całym Poznaniu. Klamrą łączącą poszczególne koła były coroczne zjazdy w Poznaniu, odbywane pod patronatem braci zetowych. Organizacja dzieliła się na cztery działy. Po zdaniu egzaminu z działu czwartego można było się dostać do organizacji ścisłej. TTZ w Śremie, za czasów niemieckich, wydawał miesięcznik „Pierwiosnek” pisany kaligraficznie w jednym egzemplarzu. Któż z wybitnych działaczy poznańskich, pomorskich czy śląskich nie przeszedł przez szkołę „TETEZETÓW”! Było ich tysiące, nie wyłączając późniejszych dostojników kościoła katolickiego, jak arcybiskup Baraniak w Poznaniu czy gnieźnieński biskup-sufragan Laubitz. Każdy wychowanek tej organizacji szkolnej mógł automatycznie wstępować do studenckiego O.M.N. lub kandydować do ZETU. Zostałem przyjęty do ZETU z którego pozbyliśmy się elementów, ulegających wpływom Narodowej Demokracji”.

W wileńskim PECIE zaczął wychowanie polityczne Stanisław Mackiewicz. Z PETU przeszedł do ZETU, najpierw warszawskiego, potem krakowskiego i poznańskiego. Do PETU został przyjęty w 1911 gdy był uczniem 4-ej klasy prywatnego gimnazjum rosyjskiego Winogradowa w Wilnie. „PET — pisał w 'Kierunkach' na parę lat przed śmiercią — był kierowany przez ZET. W 1911 roku odgrywały się w ZECIE różne walki dramatyczne. Przeżywano secesję 'Zarzewia' itd. itd. My, uczniacy w Wilnie, o tym wszystkim nie wiedzieliśmy. Kolportowaliśmy tylko pismo tajnie drukowane w Warszawie 'Dla Polski' i z tego dowiadywaliśmy się coś niecoś. Zależeliśmy od dyrekcji petersburskiej ZETU, a nie warszawskiej... Członek dyrekcji petersburskiej, warszawianin, student politechniki w Petersburgu Jerzy Rackman, przyjmował mnie do PETU. Wprost trzęśłem się z wrażenia. Mówił o Ojczyźnie, o Polsce, o dążeniach do Niepodległości. Były to rzeczy nierealne według ówczesnych pojęć, a jakże gorąco w nie wierzyłem całym swoim czternastoletnim jestestwem w czasie tego pierwszego mego wtajemniczenia”.

Młodzi przywódcy ZETU, z których część w chwili zrywania z Ligą Narodową ledwo kończyła szkołę średnią, rozumieli, że gdy opuszczą mury wyższych uczelni będą musieli włączyć się w nurt życia politycznego starszego społeczeństwa. Nie bardzo wiedzieli w jakich formach to włączenie ma się dokonać. Badali grunt. Zapuszczali macki wszędzie. Część, jak Jan Jankowski, znalazła się w narodowym ruchu robotniczym, część, jak Jan Dębski, w ruchu ludowym. Tworzenie „pochodnych” w starszym

społeczeństwie, wciąż jeszcze bez myśli, o samodzielnym wejściu na arenę życia politycznego, zaczęło się dopiero w pierwszych latach niepodległości. Jedną z tych pochodnych objęła swym zasięgiem ziemię wschodnią, druga ziemię zachodnią odrodzonej Rzeczypospolitej. Inicjatywa powołania ich do życia świadczyła o dojrzałości politycznej ówczesnych kierowników ZETU.

Zetowcy poznańscy, przekonani o zachłanności pobitych w 1918 roku Niemiec, rzucili hasło „obrony” ziem zachodnich, które znalazły się w granicach państwa polskiego. W tym celu utworzyli „Związek Obrony Kresów Zachodnich” (Z.O.K.Z.). Równocześnie postanowili rozciągnąć opiekę nad Polakami, którzy pozostali w Niemczech, w powstałej po upadku cesarstwa Republice Wejmarskiej. W końcu 1922 roku dwaj bracia zetowi, współtwórcy Z.O.K.Z., Mieczysław Korzeniewski i Władysław Seydlitz przybyli z Poznania do Warszawy. Ustalono w porozumieniu z Centralizacją, że uda się do Berlina Tadeusz Katelbach, by objąć redakcję „Dziennika Berlińskiego” i rozpatrzyć się w możliwościach zorganizowania na nowych zasadach tzw. mniejszości polskiej w Niemczech.

W kraju ZOKZ miał charakter defensywny, jego działalność w Niemczech — ofensywny. Chodziło o to, by Polacy, którzy znaleźli się w Republice Wejmarskiej, w Westfalii i Nadrenii, Berlinie, Essen czy Lipsku, lecz głównie na Pograniczu Złotowskim, na Kaszubach, na Śląsku i Prusach Wschodnich, utworzyli jak najszybciej jeden, ogólnonarodowy Związek Polaków. Akcja ta miała na celu poderwanie ich do walki kulturalno-narodowej w wielkim stylu. Równocześnie chodziło o to, by powiedzieć Niemcom Wejmarskim, zgłaszającym od razu roszczenia do ziem, które wróciły do Polski, że społeczeństwo polskie uważa, iż Traktat Wersalski nie załatwił w pełni jego postulatów terytorialnych i że zgłasza ono pretensje co najmniej do Śląska Opolskiego, Prus Wschodnich, Pomorza bytowskiego oraz powiatów graniczących z Poznańskim.

Wszystkie nici tej ofensywno-defensywnej akcji przez cały czas, aż do wybuchu drugiej wojny, skupione były w rękach ZETU. W czasie kilkuletniego pobytu w Berlinie kierował odcinkiem ofensywnym pierwszy radca Poselstwa R.P. Kazimierz Wyszynski. Katelbach był jego najbliższym współpracownikiem i nieoficjalnym łącznikiem między poselstwem i zarządem Związku Polaków. Generalny sekretarz Związku, dr Jan Kaczmarek, z czasem został również bratem zetowym. Wielu ich było wśród konsulów, że tylko wspomniemy Stefana Bratkowskiego we Wrocławiu, Leona Malhomme’a w Opolu, Antoniego Zalewskiego i Władysława Marcinkowskiego w Olsztynie. Ten ofensywny od-

ciniek prac ZOKZ, zwłaszcza gdy o Śląsk chodzi, wspomagał wojewoda śląski, również brat zetowy, Michał Grażyński. Pomagali mu w tym bracia, zajmujący wybitne stanowiska w hierarchii społecznej w województwie śląskim, jak: Stanisław Kudlicki, Marian Drozdowski, Mieczysław Chmielewski, Ignacy Grabski oraz lekarze: I. Nowak, M. Wilimowski i inni.

ZOKZ, przekształcony później w Polski Związek Zachodni, objął swym zasięgiem całą Polskę. Na ogół orientowano się, że zetowcy czy naprawiacze kierują całą organizacją. Mimo to Polski Związek Zachodni nie był zbyt atakowany. Wyjątek stanowiło województwo śląskie. Konflikt Grażyńskiego z Korfantym znajdował, między innymi, odbicie w katowickim organie Korfanteo „Polonia”, atakującym poczynania ZOKZ-u w kraju i w Niemczech. Tej „pochodnej” zetowcy nie dali sobie wyrwać z rąk.

Nie było to zasługą Centralizacji. Centralizacja w ogóle nie kierowała pochodnymi o szerokim zasięgu społecznym. Kierowali nimi bracia przez nią dezygnowani lub ci, którzy taką czy inną „pochodną” wybrali jako odcinek swych szczególnych zainteresowań. Nie byli też skrępowani żadnymi instrukcjami czy zleceniami. Nie zdawali żadnych okresowych sprawozdań Centralizacji. Przed ostatnią wojną Centralizacja składała się z zaledwie siedmiu ludzi. Członkowie jej, tak jak wszyscy aktywniejsi działacze zetowi, pracowali bezinteresownie. Często nie znali ani niedziel ani świąt.

Wejście ZETU na teren Niemiec stanowiło pierwszy tylko etap. Drugim etapem było zajęcie się Polakami w Czechosłowacji, Rumunii, na Łotwie i przede wszystkim — na Litwie. Dalszym etapem było powołanie do życia z inicjatywy zetowców Światowego Związku Polaków (Światpolu) jako duchowego ogniska, wiążącego całą Polonię rozrzuconą w różnych częściach świata. Poprzedniczką Światpolu była Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy. Statut jej był dziełem zetowców. Kierownictwo Światpolu spoczywało nieprzerwanie w ich rękach. Dyrektorem Światpolu był, zmarły po wojnie w Stanach Zjednoczonych, brat zetowy Stefan Lenartowicz. Zainteresowania zetowców problemami narodowościowymi w kraju i w całej Europie nasunęły im myśl utworzenia w Warszawie ośrodka badawczego pod nazwą Instytutu Badań Spraw Narodowościowych. Dyrektorem tego Instytutu był brat Stanisław J. Paprocki.

Początek prac ZETU na Kresach Wschodnich sięga końcowych miesięcy pierwszej wojny. Zawarty między Niemcami i bolszewicką Rosją traktat w Brześciu oddawał Ukrainie Chełmszczyznę. Wówczas to ZET zorganizował błyskawiczny plebiscyt, w któ-

rym ludność wypowiedziała się za przynależnością Chełmszczyzny do Polski. Ta udana próba natchnęła jednego z przywódców ZETU, ziemianina z Chełmszczyzny, Zdzisława Lechnickiego oraz jego brata Felicjana, myślą założenia „Towarzystwa Straży Kresowej”. Zadaniem towarzystwa, którego centrala znalazła się wkrótce w Warszawie, było niesienie słowa prawdy o Polsce narodowościowo mieszanej ludności Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. Gdy wojska polskie wchodziły na ziemie wschodnie uwalniając je od rządów bolszewickich, równocześnie z nimi szła „Straż Kresowa”. Działacze jej zaopatrzeni byli w materiał propagandowy, między innymi, w doskonale opracowane broszury w językach: litewskim, białoruskim i ukraińskim. Towarzystwo Straży Kresowej głosiło poszanowanie odrębności kulturalno-narodowych. W czasach gdy nie istniały jeszcze ministerstwa informacji, „Straż Kresowa” spełniała tę rolę, walcząc umiejętnie z propagandą bolszewicką. W każdym powiecie urządował jej delegat, przeważnie wychowanek O.M.N. czy ZETU, odkomenderowany do tej pracy na podstawie porozumienia między Zdzisławem Lechnickim i właściwą komórką sztabu. Sztab w rozmowach porozumiewawczych reprezentowali wówczas: kapitan Adam Koc i porucznik Tadeusz Schaetzel. Delegat w powiecie utrzymywał kontakty z całą ludnością, służąc dobrze imieniu Polski i budząc zaufanie do nowych władz państwowych. Tak było wszędzie: w Wołkowysku, Świecianach, Trokach, Sarnach czy Równem. Poradniki rolne i czasopisma „Straży” docierały do najbardziej zapadłych zakątków powiatu. W Warszawie zaczęło wychodzić doskonale redagowane przez Bolesława Srockiego czasopismo naukowo-badawcze „Wschód Polski”.

W parę dni po zajęciu Wilna przez Żeligowskiego, w październiku 1920 roku, Towarzystwo Straży Kresowej postanowiło w tym mieście, pozbawionym zupełnie prasy codziennej, uruchomić własny dziennik. W tym celu przybyła do Wilna cała ekipa, złożona z prezesa Towarzystwa Zdzisława Lechnickiego, Stanisława J. Paprockiego, M. Wańkowicza i Tadeusza Katelbacha. Katelbach ściągnięto z Suwałk, gdzie zajmował się przerzucaniem na Litwę kowieńską kilku zdemobilizowanych żołnierzy — m.in. Feliksa Chrzanowskiego — przeważnie zetowców.

Przez pierwsze trzy miesiące Katelbach, przy pomocy Chrzanowskiego, redagował „Gazetę Wileńską”. W Wilnie toczyła się wówczas walka o koncepcję. Z zajętej przez gen. Żeligowskiego części historycznej Litwy stworzono Litwę Środkową w nadziei, że ten polski kanton połączy się z czasem z drugim, litewskim kantonem (Litwą Kowieńską), po czym oba zwiążą się politycznie z Polską. Koncepcja była w zasadzie słuszna i odpowiadała

ówczesnej polityce Józefa Piłsudskiego, której wyrazem była jego odezwa do mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego. Piłsudski nie dawał wówczas za wygraną wierząc, że może mu się uda nawrócić do tradycji jagiellońskich. Niestety, dalekowzroczna koncepcja spotkała się z oporem Litwinów. Misje, które wysłał do Kowna, wracały z pustymi rękami. Nie było więc innego wyjścia jak dążyć do inkorporacji Wileńszczyzny, czego zresztą życzyła sobie większość ludności tego kraju.

W tym duchu była redagowana „Gazeta Wileńska”, w tym duchu działały placówki „Straży Kresowej”. Gdy rozpisano wybory do Sejmu Wileńskiego, który miał zdecydować o losach Wileńszczyzny, „Straż” ruszyła do nich pod firmą Rad Ludowych. Na czołowych miejscach zwycięskiej listy figurowali zetowcy. W skład delegacji, wybranej przez Sejm Wileński, która udała się do Warszawy by oddać Wileńszczyznę Rzeczypospolitej, znajdowali się zetowcy.

Troska o sprawę, a nie chęć wejścia na szeroką arenę polityczną zdecydowała o udziale zetowców w wyborach wileńskich. Dalekie im były wówczas takie ambicje. Ten udany debiut wewnętrznie zwartej organizacji był egzaminem umiejętności działania politycznego w odrodzonym państwie i niczym więcej. Dopiero w kilka lat potem zetowcy pokuszą się o zorganizowanie społeczeństwa w imię głoszonych przez nich zasad politycznych i społecznych.

Inaczej jednak oceniły sukces Rad Ludowych na Wileńszczyźnie stronnictwa. Rady Ludowe szły do wyborów z określonym programem społecznym, narodowościowym, kulturalnym, widząc częściowe rozwiązanie trudnych problemów agrarnych w Polsce w osadnictwie Ziemi Wschodnich m.in. Wileńszczyzny. Projekty osadnictwa na nich — pisał prof. St. Swianiewicz w paryskiej *Kulturze* (nr 6/236, 67) — „były wysuwane przez bardzo ruchliwą i stosunkowo społecznie radykalną grupę działaczy Straży Kresowej, za którymi stała rzekomo konspiracja ZETU”.

Obawa przed konkurentem doprowadziła do mobilizacji wszystkich stronnictw przeciwko Straży Kresowej. Stronnictwa lewicowe, popierające bez zastrzeżeń politykę Naczelnika Państwa, przedstawiały akcję Straży Kresowej na Wileńszczyźnie jako dowód niesubordynacji wobec jego wskazań. Partiom konserwatywnym różnych odcieni nie odpowiadał radykalizm społeczny „strażaków”. Ponieważ Towarzystwo Straży Kresowej nie mogło działać bez subwencji państwowych — nie bacząc na jego obiektywne zasługi — postanowiono je jak najprędzej zlikwidować. Indywidualni obrońcy, jak poseł Błyskosz, nie byli w stanie przeciwstawić się solidarnej nagonce. Straż Kresowa przestała istnieć.

Działalność tej pochodnej ZETU pozostawiła jednak trwałe ślady. Wielu zetowców do wybuchu ostatniej wojny odgrywało w życiu społeczno-politycznym Ziemi Wschodnich poważną rolę. Część posłowała z tych terenów, część zasiadała w senacie.

W okresie dwudziestolecia Niepodległości powstało wiele pochodnych ZETU innego rodzaju. Niesposób w ramach krótkiego szkicu zająć się wszystkimi. Gdy po kilku latach pobytu w Litwie, w styczniu 1937 r. autor wrócił do kraju działalność pochodnych rozwijała się w pełni.

Niektórzy zetowcy pochłonięci byli pracą w ZZZ (Związek Związków Zawodowych), któremu patronował Jędrzej Moraczewski. Wszyscy zetowcy doceniali wtedy konieczność podjęcia prac na terenie robotniczym i oparcia ich na zasadach oczyszczonych z przestarzałych formuł dialektyki marksistowskiej. Przemawiał do środowiska zetowego pogląd, że najwyższy czas wypowiedzieć walkę determinizmowi czy doktrynie automatyzmu rozwoju dziejowego i odciąć się od materialistycznego racjonalizmu. ZET stanął na stanowisku, że dyscyplina społeczna i państwowa jest jedną z najistotniejszych konieczności dla Polski i że należy dążyć do uspołecznienia państwa przy równoczesnym upaństwowieniu społeczeństwa, albo inaczej — do społeczeństwa bezklasowego, zorganizowanego społeczeństwa pracy.

Pogląd ten formułował Stefan Szwedowski. Tłumaczył go w inny nieco sposób Jerzy Szurig, wychowany na francuskim socjalizmie. Pragmatyków: Stefana Kapuścińskiego i Tadeusza Kopcia pochłaniały konkretne wyniki pracy. Wszyscy byli do niej przywiązani, choć różnili się między sobą i poglądami i metodami. W województwie śląskim zaczęły się konflikty z wojewodą Grażyńskim, który chciał w ZZZ-ach widzieć posłuszny mu instrument oddziaływania na masy. Co najważniejsze jednak, zetowcom zaangażowanym w prace na odcinku robotniczym, brakowało przywódcy. Tym się w dużym stopniu tłumaczy, że na każdym terenie swojej działalności Związek Związków Zawodowych rozwijał się odmiennie i nieraz przechodził rozłamy. Jerzy Szurig był raczej typem intelektualisty, a nie przywódcą robotniczym.

Przywódcą odcinka wiejskiego był brat zetowy Stanisław Gierat. W 1919 roku powstała organizacja pod nazwą Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej. Na razie CZMW nie aspirował do posiadania własnego oblicza politycznego. Dążył po prostu „do pogłębiania świadomości wiejskiej”. Ruch ten szybko zaczął zyskiwać zwolenników, zwracając na siebie uwagę plebanii, dworu, organizacji społeczno-zawodowych i stronnictw chłopskich. Związek Młodzieży Wiejskiej nie chciał się jednak poddać

żadnym wpływem zewnętrznym. Wiązał się coraz silniej z Centralnym Związkiem Kółek Rolniczych, organizacją zawodową drobnych rolników, a z czasem ze Związkiem Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowych, którym przesował Kazimierz Kierzkowski. Wszystkie te organizacje łączyło wspólne hasło: „Chłopi wtedy staną się pełnoprawnymi gospodarzami kraju, gdy potrafią samodzielnie rozwiązywać swoje sprawy”.

Kontynuatorem CZMW była organizacja młodzieży wiejskiej „Siew”. Kierował nią Gierat. W broszurze „Młoda Wieś”, wydanej w 1951 r. w Londynie, Gierat wyjaśnia od kiedy zaczęły przenikać do „Siewu” wpływy polityczne:

„Młodzież wiejska — pisze — odegrała poważną rolę przy rozbrajaniu Niemców w 1918 roku. Wiele kół młodzieży wiejskiej należało do P.O.W. na podstawie zbiorowego członkostwa. Starsi działacze natomiast z reguły brali udział w pracach P.O.W., a niektórzy służyli w Legionach, jak Piotr Olewiński (pierwszy prezes CZMW), T. Dec, Wł. Kamiński (poległ pod Monte Cassino jako dowódca 13 Baonu 5 KDP), L. Suchorzewski (zamęczony w Rosji), S. Sadkowski, Wł. Małski (zmarł w Rosji, w 1940 r.), Fr. Platner czy A. Miłobędzki lub A. Hermaszewski ze Straży Kresowej — wszyscy oni byli później działaczami organizacji rolnych i spółdzielczości”.

Należy dodać, że bez mała wszyscy ci „starsi działacze”, strzegący od samego zarania CZMW jego samodzielności politycznej, byli zetowcami.

Pod ich wpływem zjazd tej organizacji w 1920 r. wybrał Piłsudskiego prezesem honorowym i jej protektorem, co — jak pisze Gierat — „nadało kołom młodzieży wiejskiej wyraźnego rumieńca politycznego z którym siewowcy nie rozstali się już do końca wojny i zachowali go również w czasie wojny”. Co różniło Związek Młodej Wsi od innych organizacji chłopskich, robotniczych, inteligenckich, oświatowych, społecznych czy gospodarczych? Skupiał on w swych szeregach ludzi bez względu na narodowość i wyznanie. Do „Siewu” należeli Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Poleszacy, Litwini, katolicy, prawosławni, greko-katolicy. Imprezy Młodej Wsi zaczynały się od nabożeństwa. Polacy i Litwini szli do kościoła, Ukraińcy i Białorusini do cerkwi, by następnie wspólnie obradować, urządzać okolicznościowe przedstawienia przy śpiewie chórów regionalnych. Na zjazdach i zebraniach można było przemawiać po ukraińsku czy białorusku na równi z polskim. Na dożynkach wojewódzkich czy w Spale, w letniej rezydencji Prezydenta R.P., tańczono tańce ukraińskie i białoruskie na równi z krakowiakiem czy śląskim trojakiem. Młoda Wieś konsekwentnie nawiązywała do tradycji jagiellońskich Pierwszej Rzeczypospolitej i mogła się poszczycić poważnymi wynikami.

„Siew”, kierowany sprężystą ręką Gierata, rozwijał się, osiągając przed wojną liczbę 150.000 członków. Gierat stworzył ponadto samodzielne podstawy gospodarcze ruchu „młodowiejskiego”. Tzw. „Grupa Techniczna”, powstała w Warszawie w lutym 1933 r., była spółdzielnią przemysłową prowadzoną z wielkim rozmachem. Posiadała własny bank. W całej tej robocie nie było wahań i niespodzianek, jak w pracach Z.Z.Z.-ów. Wśród założycieli spółdzielni przeważali bracia zetowcy; Bronisław Butkiewicz, Stanisław Gierat, Jan Kazimierski, Józef Korzeniewski, Marian Rembowski, Czesław Zagórski, Władysław Zakrzewski. Członkiem grupy Technicznej był Eugeniusz Czarnowski, jeden z szesnastu skazanych w procesie moskiewskim. Prezesem Banku był zamordowany przez Niemców Józef Marszałek. Członkami „Grupy” byli również inżynierowie pochodzenia żydowskiego. Należy dodać, że spółdzielnia ta przetrwała wszystkie burze i jest bodaj jedyną przedwojenną spółdzielnią pracy, która istnieje w kraju dotychczas.

Dzięki swym pochodnym ZET rozporządzał w całym kraju coraz większymi wpływami. Wpływy te zaczęły przenikać także do środowisk legionowych i peowiackich, zniechęconych do rządów otoczenia zagrożonego śmiertelną chorobą Marszałka. Dopóki jednak żył, nikt o tworzeniu odrębnych formacji obozu Piłsudskiego nie myślał, choć z dawna przestał on być monolitem i z roku na rok mnożyły się elementy, zapowiadające jego upadek lub całkowite przeobrażenie. Zetowcy, w oparciu o swe wpływy w społeczeństwie, chcieli w procesie tego przeobrażania odegrać rolę decydującą. Przed wybuchem ostatniej wojny mieli wszelkie po temu dane.

Związek Naprawy Rzeczypospolitej

Andrzej Micewski w książce o „Geografii politycznej II Rzeczypospolitej” pisząc o genezie Związku Naprawy Rzeczypospolitej powołuje się na opinię Juliana Babińskiego, przed wojną redaktora skrajnie nacjonalistycznego czasopisma „Merkuriusz Polski Ordynaryjny”. Babiński wyłożył ją w elaboracie „Geografia polityczna w Polsce w końcu roku 1936 r.”. Twierdził, że powoływanie się „naprawiaczy” na rodowód zetowcy jest próbą „nicowania historii i przykrawania jej na nowy fason”. „Faktem bowiem jest — pisał — że w roku 1908 zetowcy oderwali się od Ligi (zresztą na bardzo pięknym tle, gdyż przeciwstawiając się przerwaniu strajku szkolnego). Wprawdzie potem pragnęli

zachować swą organizację, ale przecież wiadomo, że nie udało im się to i wkrótce związek zamarł, jak zresztą Liga, która rozpuściła się w Narodowej Demokracji”...

ZET nie zamarł lecz rozwijał się w najlepsze. W roku 1936 obchodził właśnie pięćdziesięciolecie swego istnienia i wpływał przez pochodne na bieg wydarzeń politycznych. Powstały po zamachu majowym 1926 roku Związek Naprawy Rzeczypospolitej był dzieckiem ZETU.

O planach zamachu Centralizacja dowiedziała się późno. W połowie kwietnia przedstawiciele jej odbyli rozmowy z B. Miedzińskim, W. Stpiczyńskim, redaktorem „Głosu Prawdy”, ówczesnym komendantem Związku Strzeleckiego mjr. K. Kierzkowskim i innymi „wtajemniczonymi”. Rozmowy upewniły zetowców, że zbliża się chwila rozprawy z nieudolnymi rządami. Wszyscy mieli dość ciągłych zmian gabinetowych, przetargów partyjnych, paraliżujących normalny bieg życia państwa. Toteż w rozmowach z wtajemniczonymi zetowcy nie dyskutowali celowości zamachu. Przypuszczali zresztą, że nie napotka on na zbyt poważne opory. Przeważał pogląd, że prezydent Wojciechowski pójdzie na kompromis z Piłsudskim, rząd Witosza po pewnych wahaniach ustąpi, a nowe wybory przyniosą zwycięstwo zwolennikom Marszałka w obu stronnictwach ludowych i w P.P.S.

Z myślą o tych wyborach zetowcy we własnym gronie i w rozmowach z wtajemniczonymi zadawali sobie pytanie, w imię jakich haseł zamach ma być dokonany. Wtajemniczeni wyrażali pogląd, że dopiero po objęciu władzy przez Marszałka będzie czas zastanawiać się nad odpowiedzią. Tylko Kierzkowski, piłsudczyk-demokrata, był innego zdania. Podzielił on pogląd zetowców, że nie oglądając się na nikogo należy zaraz przystąpić do opracowania „założeń programowych” i przygotowywać tworzenie organizacji politycznej, skupiającej tych, którzy zamach poprą.

ZET rozumiał, że sama negatywna postawa wobec przedzamachowej rzeczywistości nie wystarczy i że następstwem zamachu musi być natychmiastowa przebudowa naszego wnętrza, zapewniająca państwu odrodzonemu zaledwie przed kilku laty ciągłość i planowość rozwoju, utrwalenie jego podstaw gospodarczych i podniesienia dobrobytu ludności. Krótko mówiąc chodziło o program naprawy tego co było złe. Aby go zrealizować należało zorganizować społeczeństwo i powstałą organizację oddać do dyspozycji Marszałka. ZET chciał w niej odgrywać rolę czujnego stróża założeń programowych. O tworzeniu własnej organizacji politycznej zetowcy nie myśleli.

W kilka dni po zamachu z inicjatywy ZETU trzy organizacje: Związek Strzelecki, Związek Osadników i Związek Powstań-

ców Górnośląskich wydały wspólną odezwę, zawiadamiając społeczeństwo o utworzeniu organizacji politycznej. W ZECIE zrodziła się też nazwa Związku Naprawy Rzeczypospolitej, statut organizacji i hasła programowe, które w 1927 roku ukazały się w formie deklaracji. Egzekutywa Naczelna Z.N.R. czyli zarząd główny składała się na razie z trzech osób: Zdzisława Lechnickiego, W. Przedpeńskiego i K. Kierzkowskiego. Tylko Lechnicki w tym zespole był bratem zetowym. Przewodniczył Egzekutywie w latach 1926-1928, tj. do czasu, gdy Z.N.R. rozwijał swą działalność. Przedpeński i Kierzkowski zostali przyjęci do ZETU później.

W pierwszym okresie istnienia Związek Naprawy cieszył się wielką popularnością. Napływ członków był olbrzymi. Tygodnik „Przełom” — organ Z.N.R. propagował konsekwentnie zasadę najściślejszego związania mas społecznych z państwem — jak pisał profesor Kazimierz Zakrzewski — „narodu wytwórców”, zapewniając czytelników, że zamach majowy zapoczątkuje nie tylko zmianę ludzi na czołowych stanowiskach w państwie, lecz przede wszystkim zmianę systemu rządzenia. Pierwszy zjazd Związku Naprawy, odbyty w parę miesięcy po zamachu, wypadł nadsządziejanie dobrze. Wydawało się, że Z.N.R. skupi — jak zamierzali jego twórcy — szerokie masy i elitę intelektualną pilsudczyków. Ale rychło okazało się, że ten szybki rozrost Z.N.R. zaniepokoił najbliższe otoczenie Marszałka Piłsudskiego. Ci, którzy się w nim znaleźli, orientowali się doskonale, że zetowcy — by użyć słów Marii Wierzbickiej (autorki artykułu „Związek Naprawy Rzeczypospolitej”, opublikowanego w kraju w grudniu 1966 r.) — to „specjaliści od pracy w społeczeństwie” i dlatego Z.N.R. może stać się silną organizacją polityczną, opartą o rozliczne stowarzyszenia i związki o charakterze społeczno-gospodarczym, zawodowym i kulturalnym. A tego sobie bynajmniej nie życzyli. Chcieli rządzić Polską u boku Marszałka bez oglądania się na pomoc tych, którzy później od nich doszłusowali do niepodległościowego ruchu zbrojnego i zawsze we wszystkich sprawach chcieli mieć własne zdanie. Po ukazaniu się kilku pierwszych numerów „Przełomu” piszący te słowa rozmawiał z Kazimierzem Świtalskim. Świtalski zaproponował pomoc finansową dla tygodnika. Gdy spotkał się z odmową, nie był w stanie ukryć swego niezadowolenia. Rozmowa ze Świtalskim wskazywała, że tzw. pułkownicy popierać będą w obozie Piłsudskiego tylko te elementy, które się im poddadzą. Inne będą zwalczać lub co najwyżej tolerować.

Co Piłsudski myślał o Związku Naprawy — nikt naprawdę nie wiedział. Po wielkim wstrząsie moralnym, jakim był dla

niego zamach majowy, zajęty był głównie jego legalizacją. Środowisko zetowe odnosiło wrażenie, że Marszałek nie ma czasu na zajmowanie się tym, co się dzieje w obozie jego zwolenników i że w tych sprawach pozostawia wolną rękę najbliższym współpracownikom; Sławkowi, Prystorowi, Beckowi, Pierackiemu, Świtalskiemu czy J. Jędrzejewiczowi. Znaczyło to, że trzeba się liczyć z oporami i trudnościami. Zdawali sobie z tego sprawę zetowcy, gdy ogłaszali deklarację Związku Naprawy. „Podstawą siły państwa są świadome swych obowiązków i praw obywatelskich masy ludowe” — głosiła podstawowa zasada deklaracji. „Naprawa” domagała się wyboru Prezydenta w głosowaniu powszechnym przez ogół obywateli, by tą drogą umocnić jego pozycję wobec parlamentu. Chciała odebrać Sejmowi prawo obalania rządów i zreformować sejm i senat. Na miejsce senatu miało powstać „przedstawicielstwo rzeczywistej pracy codziennej, złożonej z reprezentantów samorządu terytorialnego i gospodarczego oraz nauki, praktyki państwowej i działalności kulturalnej”. Deklaracja wypowiadała się za systemem gospodarki planowej, przeciw „kapitałowi żerującemu na społeczeństwie”. Głosiła postulat „ograniczenia swobody gospodarczej i ukrócenia sprzecznego z dobrem publicznym nadużywania prawa własności prywatnej”. Podkreślała rolę świata pracy, kładąc nacisk na przeprowadzenie reformy rolnej i rozwój rodzimego przemysłu.

Radykalizm społeczny Związku Naprawy Rzeczypospolitej nie mógł się podobać otoczeniu Marszałka, które już w 1927 roku planowało utworzenie innej, ogólnokrajowej organizacji politycznej piłsudczyków. Miały się w niej pomieścić także elementy prawicowe i konserwatywne. W 1928 roku powstał Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem (B.B.W.R.). Formacja ta uzyskała placet Marszałka. ZET musiał zrezygnować z ambitnych planów i stopniowo ograniczać działalność Z.N.R., nie chcąc się znaleźć w opozycji do Piłsudskiego. Decydując się jednak na ten krok umacniał równocześnie swe wpływy na wszystkich dostępnych mu odcinkach społeczno-politycznych, głosząc dalej hasło nawrotu do dawnych, demokratycznych tradycji legionowych. Schodząc powoli z pola Z.N.R. pozostawiał w spadku po sobie nazwy: „Naprawa” i „naprawiacze”. Te symbole reprezentowały jednak żywe siły społeczno-polityczne. Dlatego operowano nimi do wybuchu ostatniej wojny. Do spopularyzowania obu nazw przyczynił się walenie zacięty wróg ZETU, ex-zetowiec, herold skrajnej prawicy pogodzonej z Piłsudskim, Stanisław Cat-Mackiewicz. Czy — jak chcą niektórzy — demonizował wpływy „Naprawy”? Wydaje się, że po prostu lepiej od innych orientował się w ich zasięgu i prędszej od innych odczytywał na mapie różnego typu

organizacje pochodne, kierowane przez jego dawnych kolegów organizacyjnych.

A ZET włączywszy się do B.B.W.R.-u rozwijał dalej wzmożoną działalność w całym kraju. W parę lat po zamachu majowym z kół robotniczych Z.N.R. utworzył związek zawodowy pod nazwą Generalnej Federacji Pracy. W 1931 roku z połączenia Generalnej Federacji Pracy z innymi związkami zawodowymi powstał Związek Związków Zawodowych. Pod koniec roku 1927, gdy już nie było tajemnicą, że powstanie nowa formacja obozu Piłsudskiego, ZET polecił ogniwom naprawiaczkim łączyć się z Partią Pracy, założoną przez prof. Kazimierza Bartla, premiera rządu pomajowego. Z tego małżeństwa, które przetrwało zaledwie kilka lat, powstała organizacja pod nazwą: „Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast”. Odpowiednik B.B.W.R. na Śląsku — „Narodowo-Chrześcijańskie Zjednoczenie Pracy” kierowany był przez zetowców. Naprawiaczkie „Komitety współpracy z Marszałkiem Piłsudskim” współpracowały najściślej w większych miastach z B.B.W.R.

Z list B.B.W.R. weszło do sejmu 30 członków dawnego Związku Naprawy, przeważnie zetowców. Odtąd, aż do wybuchu wojny, w sejmie i senacie zasiadać będzie zawsze zespół zetowców, biorący czynny udział w pracach parlamentarnych i podkreślający własne stanowisko. Centralizacja ZETU w której zasiadali m.in. Stanisław Gierat i Wiesław Domaniewski, zdecydowała sprzeciwić się uwięzieniu w Brześciu przywódców opozycji z tzw. Centrolewu. Uznała, że jedynie posłowie reprezentujący pochodne będą mieli wolną rękę, by postąpić zgodnie z wolą związków i organizacji, w których zajmowali kierownicze stanowiska. Dwóch czołowych zetowców, nie związanych żadnymi zobowiązaniami, Zdzisław Lechnicki i dr Ignacy Nowak, głosowali na znak protestu w sprawie Brześcia przeciwko rządowi i złożyli mandaty poselskie. W stanowisku naprawiaczy orientowała się uświadomiona politycznie część społeczeństwa. Z każdym rokiem potęgowało się przekonanie, że naprawiacze stanowią wewnętrzną opozycję w obozie Piłsudskiego i nie poddadzą się nakazom otoczenia nazywanego uparcie „grupą pułkowników”.

W maju 1935 roku zmarł Józef Piłsudski. Wprawdzie rozdzźwięki w obozie piłsudczyków zaczęły się już za jego życia, lecz punkt szczytowy osiągnęły dopiero w okresie działań Obozu Zjednoczenia Narodowego (Ozonu), to znaczy od lutego 1937 roku do września 1939. OZON nie był tworem całej grupy pułkowników, tak jak rozwiązany w październiku 1935 roku B.B.W.R. Grupa uległa rozbiciu. Uaktywniło to w obozie elementy przeciwnie totalnym założeniom programowym OZONU. Czołową kolum-

nę wśród nich stanowili zetowcy. Co charakteryzowało tych ludzi? Na pytanie to tak odpowiada Maria Wierzbicka:

„Przed wszystkim niechęć do tzw. pułkowników. Potępiali politykę silnej ręki, pacyfikację w Małopolsce Wschodniej, represje wobec przeciwników politycznych, zsyłanie ich do obozu w Berezie itp. Jednakże, mimo oporów, ludzie ci weszli do OZN, co znowu rzuciło ich w wir sprzeczności. Wobec kontaktów komendanta OZN, pułkownika Koca, z rodzimymi faszystami spod znaku ONR-Falanga, naprawiacze zachowywali się zdecydowanie wrogo”.

Wojewoda śląski Grażyński, przewodniczący Związku Harcerstwa Polskiego współ z Gieratem z Młodej Wsi i mecenasem F. Paschalskim ze Związku Strzeleckiego zorganizował w październiku 1937 r. tzw. „trójprzymierze”. „Była to — pisze Wierzbicka — próba oparcia się faszyzacji prorządowego ruchu młodzieżowego, do której zmierzał Koc”.

Decyzja wejścia do OZN-u bynajmniej nie oznaczała rzucenia się w wir sprzeczności. Zbyt silne były więzy ideowe łączące zetowców. Chcieli dalej walczyć wspólnie o utrwalenie niepodległości Rzeczypospolitej, w której ma obowiązywać ustroj parlamentarny, zapewniający wpływy na rządy wszystkim obywatelom, bez względu na ich narodowość, wyznanie, wykształcenie czy sytuację majątkową. Chcieli zapewnić niedawno odrodzonemu państwu silną władzę wykonawczą, gospodarkę planową oraz zagwarantować wszystkim obywatelom różnorodności narodowości pełny rozwój ich odrębności kulturalnych i religijnych. Chcieli w polityce zagranicznej zmierzać do utworzenia federacji narodów zamieszkujących obszar między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym. Te wspólne założenia ideowe dominowały nad sprawami taktyki. Historyk krajowy, Tadeusz Jędruszcak, w książce „Piłsudczycy bez Piłsudskiego” tłumaczy właściwie decyzję naprawiaczy wejścia do OZN. Pisze, że nie chcieli się dać odepchnąć od wpływu na nową formację obozu Piłsudskiego. I tylko dlatego reprezentacja ich, występująca pod firmą „Rady Centralnej Związku Działaczy Społecznych”, wypowiedziała się za przystąpieniem do OZONU. „Fakt ten był żywo komentowany w sferach politycznych” — pisze Jędruszcak. „Zrozumiano to w ten sposób, że poważny odłam piłsudczyków, nastawiony dotąd raczej opozycyjnie wobec grupy rządzącej, zrezygnował z własnych, samodzielnych ambicji politycznych. Niedługo jednak wyszło na jaw, że naprawiacze stanowią wewnętrzną opozycję w OZN, a niektóre poważne organizacje, uważane za domenę ich wpływów, nie tylko nie weszły do OZN ale podjęły z nim walkę. Mamy tu na myśli Związek Nauczycielstwa Polskiego i przede wszystkim Związek Związków Zawodowych (ZZZ). Wojewódzkie Związki Działaczy Społecznych zgłaszając akces do OZONU pod-

kreślały niedwuznacznie, że będą działać w kierunku zapewnienia w nowym obozie idej programowych Związku Naprawy”.

Tak rzeczywiście było mimo, że naprawiacze znaleźli się we władzach OZONU. W Radzie Naczelnej zasiadali mianowani na początku kwietnia 1938 roku przez Szefa OZONU: Władysław Kamiński z Wilna, Zdzisław Lechnicki, Tadeusz Lechnicki, Piotr Olewiński, dr Bronisław Wojciechowski ze Lwowa oraz dokooptowani 30 kwietnia przez Radę: Mieczysław Chmielewski ze Śląska, Tadeusz Katelbach, dr Roman Konkiewicz z Poznania i Adam Stebelski z Warszawy. Z urzędu w skład Rady Naczelnej wchodzili przewodniczący okręgów OZN: Felician Lechnicki i Leon Surzyński. W skład wybranych członków prezydium Rady wchodził Tadeusz Katelbach, Zdzisław Lechnicki, Bronisław Wojciechowski. Po wyborach listopadowych 1938 roku posłami zostali m.in. Józef Głowacki (Poznań), Tadeusz Lechnicki (Chełm), Józef Mazurkiewicz (Lublin), Leon Surzyński (Poznań), Tadeusz Żenczykowski (Warszawa-powiat). Surzyński był wicemarszałkiem sejmiku, Żenczykowski — sekretarzem. Senatorem z wyboru zostali: Felician Lechnicki (Lublin), Tadeusz Katelbach (Lublin), Władysław Kamiński (Wilno), Marian Drozdowski (Katowice), Stefan Rosada (Poznań). Z nominacji wszedł Władysław Malski. Katelbach był jednym z sekretarzy Senatu.

Decyzje w sprawie stosunku do OZONU zapadły po długich i często burzliwych debatach. W Centralizacji i kołach braterskich ścierały się różne poglądy. Jedni byli za zerwaniem z obozem piłsudczyków w wydaniu ozonowym, inni za podjęciem próby współpracy z OZONEM z myślą o jego całkowitym przekształceniu. Jedni od razu mieli krytyczny stosunek do Śmigłego-Rydza, inni chcieli dać mu kredyt zaufania. Długo wazono decyzję, czy wziąć udział w wyborach do sejmiku i senatu. Gdy ostatecznie wypowiedziano się za udziałem, wystąpiły nowe trudności. Nie wielu chciało kandydować. Większość wołała się nie obciążać grzechem posłowania na podstawie zwalczanej przez ZET sławkowskiej ordynacji wyborczej. Piszący te słowa należał do jej zapamiętałych przeciwników. Nawiązawszy kontakty ze swymi rówieśnikami ze stronnictw opozycyjnych, wspólnie z nimi rozważał plan akcji zmierzającej do obalenia ordynacji. Dopiero gdy na poufnych konwentyklach rówieśnicy z opozycji uznali udział naprawiaczy w sejmiku i senacie za konieczny i że prócz naprawiaczy powinni w parlamencie znaleźć się przedstawiciele „niezależnych” (co się też stało) Katelbach zgodził się kandydować do sejmiku z Warszawy. Zwalczany przez OZON przepadł. Na skutek energicznych interwencji zetowców, zwłaszcza Stanisława Gierata, wybrany został do senatu z Lublina.

Różnice w zespołach zetowych były zresztą zjawiskiem normalnym. Największe w sprawach taktycznych. Jeśli mimo odmienności poglądów nie powodowały frond czy rozłamów, zawdzięczać to należy przede wszystkim głęboko zakorzenionym wśród zetowców kanonom wzajemnego zaufania i wewnętrznej dyscypliny. Różnice były nieuniknionym następstwem udziału ich w różnych organizacjach, działających w różnych częściach Polski.

Ewolucję jaką przeszedł ZET w czasie przewrotu majowego i w latach poprzedzających wybuch ostatniej wojny scharakteryzował Stanisław Gierat w swej broszurze o „Młodej Wsi”. Na razie organizacja, którą kierował Centralny Związek Młodej Wsi poparła przewrót wraz z całą lewicą niepodległościową. Podobnie ZET. Ale potem rzeczy potoczyły się inną koleją.

Śmigły-Rydz sterował wyraźnie na prawo. Strukturę państwa pragnął oprzeć na zasadach autorytatywno-hierarchicznych. Masowa organizacja „Młodej Wsi” nie godziła się na to. Gierat podjął jeszcze ostatnią próbę zawrócenia Śmigłego z totalitarnej drogi. Na Polu Mokotowskim w Warszawie odbył się przegląd stu tysięcy siewowców. W imieniu Związku Młodej Wsi Gierat przedstawił przybyłemu na tę uroczystość Marszałkowi Śmigłemu deklarację ideową, która była zaprzeczeniem deklaracji OZONU. Próba „Siewu” stordedowania odgórnego organizowania społeczeństwa na podstawach deklaracji ozonowej nie dała wyniku. W czasie kongresu na Polu Mokotowskim — stwierdza Gierat — doszło do rozejścia się „Młodej Wsi” z Marszałkiem Śmigłym, który bez zastrzeżeń opowiedział się za deklaracją płk. A. Koca. Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej przekształcony w Centralny Związek Młodej Wsi znalazł się w opozycji do Obozu Zjednoczenia Narodowego.

Odmowa „Młodej Wsi” współpracy z OZONEM skłoniła Adama Koca do stworzenia konkurencyjnej organizacji młodzieży w postaci Związku Młodej Polski we współpracy z Falangą B. Piaseckiego. Nie obyło się przy tym bez prób zastraszania Młodej Wsi. Skutek tych posunięć był taki, że Młoda Wieś zaczęła jeszcze bardziej zacieśniać współpracę z Centralnym Towarzystwem Organizacji Kółek Rolniczych, ze Związkiem Kół Gospodyń Wiejskich, ze Związkiem Spółdzielni Rolniczych, ze spółdzielnią spożywczą „Społem” oraz ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego. W październiku 1938 Młoda Wieś zawarła przymierze o wyraźnie politycznym charakterze ze Związkiem Harcerstwa Polskiego i Związkiem Strzeleckim. Celem przymierza była ochrona całej młodzieży przed totalnymi zapędami OZONU. „W tym stanie rozwoju — pisze Gierat — była Młoda Wieś w chwili wejścia Polski do wojny. Okupacja hitlerowska nie przerwała jej

działalności, a jedynie spowodowała jej przestawienie". Można dodać, że w podobnej sytuacji znajdowały się przed wojną wszystkie pochodne ZETU. Tworzyły one, jak na stosunki polskie, silną sieć różnych organizacji społeczno-politycznych i zawodowych. Liczba członków tych organizacji sięgała kilku setek tysięcy.

Po raz drugi w swych z górą trzydziestoletnich dziejach ZET przygotowywał się do samodzielnego wejścia na widownię polityczną pod hasłem skupienia wszystkich elementów demokratycznych obozu Piłsudskiego. Wypowiadał walkę tendencjom totalnym, zarówno prawnicowego jak komunistycznego autoramentu, dążąc do zmiany sławkowskiej ordynacji wyborczej na taką, która umożliwiłaby wzięcie udziału w wyborach stronnictwom opozycyjnym. Pierwsza próba, jaką był Związek Naprawy Rzeczypospolitej, skończyła się niepowodzeniem. Zetowcy powołując go do życia nie brali pod uwagę, jak do ich inicjatywy i programu odniesie się Piłsudski i jego otoczenie. Wbrew Piłsudskiemu nie chcieli rozwijać samodzielnej działalności politycznej, która musiałaby doprowadzić do rozbicia obozu, skupiającego jego zwolenników. Wraz ze śmiercią Piłsudskiego skończył się bezpowrotnie okres rządów, które jedni określali mianem autorytatywnych, inni odmianą systemu monopartyjnego. W każdym razie nie były to rządy faszystowskie. Pozostawiały opozycji ograniczony, niemniej duży margines działalności politycznej i swobody wypowiedzania swych poglądów w słowie i piśmie, krytykowania pomajowego systemu. Toteż z chwilą przywrócenia rządów demokratyczno-parlamentarnych opozycja mogła bez trudu zmobilizować swe szeregi do walki wyborczej.

Do udziału w niej szykowali się także zetowcy, rozumiejąc, że OZN jest schyłkową formacją rządów pomajowych. Wierzyli, że im przypadnie w udziale uratowanie spuścizny ideowej po Piłsudskim-demokracie. Wyciągnęli naukę z doświadczeń krótkiej działalności Związku Naprawy Rzeczypospolitej, umacniając w ciągu kilku ostatnich lat poprzedzających wybuch wojny wpływ w całym kraju, nie tylko wśród inteligencji, lecz przede wszystkim na terenie robotniczym i wiejskim. Mimo różnic, jakie zawsze istniały w środowisku zetowym, „jedność ruchu zetowego” — wbrew szerzonym opiniom — nie była nigdy tak silna, jak w okresie, który zaczął się po śmierci Marszałka Piłsudskiego.

Pięćdziesiąta rocznica powstania ZETU

28 i 29 listopada 1936 r. odbył się w Warszawie zjazd uczestników ruchu niepodległościowego Związku Młodzieży Polskiej

(ZETU), zwanego potocznie „młodzieżą narodową”. Organizacja zjazdu spoczywała w rękach Związku Seniorów Organizacji Młodzieży Narodowej i Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej (ZPMD). Studencki ZET, który występował pod nazwą O.M.N.-u, w kilka lat po pierwszej wojnie zmienił nazwę jawnej ekspozytury na Z.P.M.D.

Zjazd odbywał się w niespełna półtora roku po śmierci Marszałka Piłsudskiego. Już w pierwszych miesiącach po jego zgonie mówiono i pisano, że dla większości piłsudczyków zaczął się ciężki okres szamotania między kultem Piłsudskiego, a krytyką rządów sprawowanych przez jego najbliższe otoczenie. Całe demokratyczne skrzydło obozu piłsudczyków uważało, że najwyższy czas powrócić do dawnych wskazań Piłsudskiego. Na łamach „Czarno na białym” Januarey Grzędziński domagał się, by demokracja polska zajęła wreszcie „czynną postawę”, realizując głoszoną przez Piłsudskiego myśl, że „istotą walki jest podniesienie duszy ludzkiej na wysoki poziom moralny”. W końcu 1936 roku nie było dla nikogo tajemnicą, że wbrew tym dążeniom rządząca góra zmierza do kontynuacji rządów autorytatywnych bez Piłsudskiego, że na drugiego Piłsudskiego pragnie kreować Śmigłego i że będzie mu w tym pomagać Komendant Główny Związku Legionistów, Adam Koc, choć każdy rozumiał, że legendy nie są dziedziczne i że zamiast zaprzętać sobie nimi głowę należy rozpocząć nowy kurs w polityce wewnętrznej. Słowem, zaraz po zgonie Marszałka, zarysowały się wyraźne rozdzwinki. Dopokąd żył cały obóz utożsamiano z jego osobą. To się skończyło.

Lewica obozu Piłsudskiego domagała się by moment zgonu Marszałka stał się punktem wyjścia do pojednania z całą, względnie częścią, stronnictw opozycyjnych. W tym duchu wypowiadał się również cieszący się powszechnym autorytetem w społeczeństwie gen. Kazimierz Sosnkowski. Na lewicy atakowano nieustannie sławkowską ordynację wyborczą do sejmiku i senatu z lipca 1935 r. W dołach legionowych mówiło się złośliwie, że autorzy ordynacji „poprawili” konstytucję kwietniową z tegoż roku, by jak najszybciej utrwalić jeśli nie na wieczne to na długie czasy rządy „rydzo-faszyzmu”. 54 % obywateli uprawnionych do głosowania zbojkotowało we wrześniu 1935 r. wybory do sejmiku i senatu. Bojkot poczytano za votum nieufności wyrażone rządowi przez większość społeczeństwa i za klęskę B.B.W.R. Dla rozbitej opozycji otwarły się perspektywy działania. Lecz opozycja nie miała żadnej własnej linii. Słusznie ktoś napisał, że zajęta była wyszukiwaniem szczelin w obozie pomajowym, że w każdym manewrze rządzącej góry (jak w powołaniu w październiku 1935 roku rządu liberalnego piłsudczyka Kościalskiego) go-

towa była dostrzegać zapowiedzi jakichś pomyślniejszych dla siebie przemian. Tymczasem w maju 1936 roku premierem rządu został Sławoj-Składkowski. Wiadome było, że zechce postawić całe społeczeństwo na baczność przed Śmigłym. 4 czerwca tego roku pasował go na Piłsudskiego nowych czasów.

W nurcie potęgującej się w obozie Piłsudskiego opozycji, zetowcy względnie naprawiacze, brali jak najczynniejszy udział, ale na uroczystym zjeździe w Warszawie, w sali Rady Miejskiej w 50-tą rocznicę powstania ZETU, nie chcieli tych spraw poruszać. Na zjeździe dominowały akcenty solidarności i świętej zgody. Przede wszystkim z tymi, którzy kiedyś ZET opuścili tworząc „Zarzewie” i „Drużyny Strzeleckie”. W imieniu zarzewiaków przemawiał B. Hełczyński. „Wszak sam byłem kiedyś — mówił — jak wszystkie starsze roczniki zarzewiaków bratem zetowym. My wszyscy przeszliśmy kadry tej organizacji, na nas wszystkich wycisnęła ona swoje mocne piętno”. Hełczyński wyrażał radość, że odżywa między „Zarzewiem” i ZETEM stara wspólnota ideowa, tak cenna „w atmosferze zmienności i przejściowości”. Dobrze jest, że w takiej atmosferze istnieje „element stały, mający poważne tradycje i określoną fizjonomię, dobrze jest jeśli istnieje organizacja, związana nie z przelotnymi kombinacjami lub koniunkturami politycznymi, lecz istotną wspólnością metod działania, mająca silny pion moralny i twardy kręgosłup ideowy”. Ten sam akcent wystąpił również w przemówieniu wicepremiera, inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego, który reprezentował obu protektorów zjazdu: Prezydenta Ignacego Mościckiego i Marszałka Edwarda Rydz-Śmigłego. Ex-zarzewiak Kwiatkowski wyrażał także radość, „że ci wszyscy, którzy tworzyli najistotniejszą elitę społeczeństwa przed kilkudziesięciu laty... że ci łączą się duchowo ponownie, że wytwarzają moralną siłę i moralną więź tak niezwykle potrzebną społeczeństwu”.

Należało wątpić czy z tych manifestacji solidarności ideowej zarzewiaków i zetowców cieszyli się dwaj goście przybyli na otwarcie zjazdu: płk. Adam Koc, komendant Związku Legionistów i prezydent stołecznego miasta Warszawy, Stefan Starzyński. Obaj należeli do grupy rządzącej państwem po śmierci Józefa Piłsudskiego. Raczej musiały ich niepokoić częste wzmianki o czynnych pochodnych ZETU oraz deklaracje składane przez członków dawnych pochodnych w rodzaju byłych Kilińczyków czy enzetereowców (Narodowy Związek Robotniczy). W imieniu obu tych organizacji witał zjazd Mieczysław Bujalski. „Związek im. Jana Kilińskiego — mówił — był dzieckiem ZETU, powstał on z inicjatywy Związku Młodzieży Polskiej,

wzrósł w wytrwałej pracy szeregu zetowców, którzy przez Związek Młodzieży Polskiej zostali wyznaczeni do pracy wśród młodzieży fabryk, warsztatów i biur". Związek im. Kilińskiego — mówił dalej — „siedł ściśle według wskazań, według zasad, stawianych mu przez jego największego przyjaciela, najszczerzego kolegę, wielkiego nauczyciela i wychowawcę — Związek Młodzieży Polskiej”.

Plk. Koc nie wygłosił przemówienia. Powitanie zjazdu przez prezydenta Stefana Starzyńskiego było krótkie: „Historyczne zwycięstwo Marszałka Piłsudskiego — ideologiczne, zbrojne, państwowe — mówił Starzyński — umożliwiło, że w tych murach zbiera się ten Zjazd, a wolna stolica w tym właśnie gmachu wita go serdecznie i życzy, by do chwały i potęgi Polski przyczynił się tak jak uczestnicy jego przyczyniali się przez całe życie do zdobycia i utrwalenia niepodległości”.

Pozornie panowała na Zjeździe zgoda z rządzącymi. Po złożeniu przez uczestników zjazdu hołdu pamięci „Wielkiego Wodza Narodu Józefa Piłsudskiego” odczytano krótką depeszę Śmigłego-Rydza. Sala wznosiła okrzyki na jego cześć. „Burzą oklasków” witano depeszę Marszałka Senatu, Aleksandra Prystora, i Marszałka Sejmu St. Cara, a nawet depeszę premiera gen. Felicjana Sławoj-Skłodkowskiego. A przecież sielanka zgody w obozie piłsudczyków dobiegała końca. Faktycznie już w listopadzie 1936 r. był wewnętrznie rozbity z czego uczestnicy zjazdu zdawali sobie doskonale sprawę.

Decyzja Centralizacji ZETU odbycia zjazdu nie była podyktowana wyłącznie sentymentami historycznymi. Władzom ZETU chodziło nie tylko o przypomnienie roli jaką spełniał w przeszłości, lecz jaką chce nadal spełniać w życiu narodu w imię własnych zasad. Świadczy o tym sprawozdanie o zjeździe. Ukazało się w formie książki. Autorem jej był Tomasz Piskorski, brat zetowy, czołowy harcerz, zamordowany w Katyniu. Książkę wydała firma „Godziemba”, która zamierzała specjalizować się w historii ZETU. Na ostatniej stronie książki zapowiadała szereg publikacji, jak krótki zarys historii ZETU, dzieje poszczególnych środowisk „młodzieży narodowej”, życiorysy wybitnych, zmarłych zetowców (Kazimierza Wyszyńskiego i innych), bibliografię zetową, ba, nawet specyficzny słownik, jakim posługiwali się zetowcy, petowcy i członkowie OMN-u. Książka Piskorskiego o zjeździe była nie tylko dokumentem historycznym lecz świadectwem poczucia siły środowiska zetowego, którą chciało ono zmanifestować z okazji pięćdziesiątej rocznicy powstania organizacji. Gdyby ktoś ze współczesnych zadał sobie trud dokładnego przeanalizo-

wania 171 stron sprawozdania, znalazłby w nim klucz do odszyfrowania nie wszystkich lecz bardzo wielu tajemnic zetowych. W książce Piskorskiego znalazł się spis nazwisk z górą tysiąca uczestników zjazdu. Są w niej depesze z różnych stron kraju i z zagranicy nadesłane przez wychowanków O.M.N., kolegów i braci zetowych. ZET zdekonspirował się niemal całkowicie. Brakowało tylko podania do wiadomości składu Centralizacji i spisu nazwisk poszczególnych kół zetowych w kraju i zagranicą. Tego wprawdzie organizatorzy zjazdu nie uczynili, ale wyznali społeczeństwu, że nadal działają w tradycyjnych formach konspiracyjnych, że skupiają w swych szeregach „element elitarny”, że tworzyli i tworzą organizacje pochodne i że szukając „rzeczywistych elementów narodu i państwa” zwracają wzrok „ku rozłogom wsi polskiej i tam gdzie dymią kominy fabryczne” jako że „w masach robotniczych i chłopskich chcą rozbudzić siłę, by wprząc ją do służby Rzeczypospolitej”. Zjazd zachował zrozumiałą dyskrecję w ujawnianiu pochodnych i zamierzeń ZETU na przyszłość. Kierownictwo ZETU nie chciało zdradzać bliskich powiązań konspiracyjnego ośrodka z różnymi organizacjami i stowarzyszeniami, których członkowie nic się w tych powiązaniach nie orientowali. ZETOWI nie zależało na tym, by budzić wśród nich przesadne podejrzenia, że organizacje, do których należą są instrumentem w rękach jakiegoś tajemniczego zespółu.

Równocześnie z uroczystym obchodem 50-ej rocznicy powstania ZETU odbył się drugi, ogólnopolski kongres Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Podobnie jak ZET i jego studencka ekspozytura wytrzymała również próby rozbicia jej zwartości i okrzepła. W ostatnich latach przed wojną mogła spokojnie spoglądać w przyszłość. Uchwały kongresu Z.P.M.D. zapadały jednomyślnie. Przemawiając w imieniu Z.P.M.D. na zjeździe zetowym junior-zetowiec Teofil Wrona, członek Grupy Technicznej, oświadczał z dumą, że Z.P.M.D. przejął w Niepodległej Polsce spuściznę „po tym pokoleniu, które od zarania młodości rozpoczęło nieubłagłą walkę z zaborcą o utrzymanie wśród młodzieży największego skarbu narodowego, ducha polskości”.

W pierwszej uchwale kongres Z.P.M.D. stwierdzał ambitnie, że „wobec chaosu ideowego i rozbicia politycznego społeczeństwa” na barki młodego pokolenia polskiego spada trud uporządkowania i zorganizowania wszystkich elementów życia wewnętrznego. „Spełnienie tych zadań widzimy na drodze wytworzenia wielkiego ruchu ideowego, który winien objąć najszersze masy młodzieży i przygotować je do udziału w życiu społecznym i politycznym państwa. Przebudowa ustroju społecznego i struktury gospodarczej państwa oparta być musi na zasadach sprawiedli-

wości społecznej. Wielki ruch ideowo-wychowawczy, oparty o szerokie masy polskiego świata pracy będzie mógł zdecydowanie przeciwstawić się zarówno tendencjom międzynarodowo-komunistycznym jak i demagogii i reakcyjnym tendencjom grup endecko-konserwatywnych". Podobnie jak w czasie zjazdu zetowego na kongresie Z.P.M.D. nie padły żadne krytyczne wypowiedzi pod adresem rządzącej góry. W jednej z uchwał kongres Z.P.M.D. podkreślał wyjątkową w naszym położeniu geopolitycznym rolę armii, jako rzeczywistego ośrodka honoru narodu polskiego i gwaranta potęgi i niezależności politycznej Polski". Uznając to wyjątkowe stanowisko armii, kongres składał wyrazy hołdu i czci „pierwszemu żołnierzowi Rzeczypospolitej”, marszałkowi Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi „w którym widzi spadkobiercę cnót żołnierskich i testamentu Wielkiego Marszałka Józefa Piłsudskiego”.

Młodzież studencka, manifestująca na kongresie oddanie Śmigłemu-Rydzowi miała duże wątpliwości czy zasłużył on sobie na miano spadkobiercy wszystkich cnót a zwłaszcza testamentu Marszałka Piłsudskiego. Nie minie rok od Kongresu kiedy Z.P.M.D. poprze jednomyślnie tak zw. „Porozumienie Czterech Organizacji” w postaci Międzyzwiązkowej Komisji Porozumiewawczej Polskich Organizacji Młodzieży (do której prócz Związku Harcerstwa, Związku Strzeleckiego i Związku Młodej Wsi dołączyła Organizacja Młodzieży Postępowej), wymierzone przeciwko OZONOWI i jego twórcy Śmigłemu-Rydzowi. Porozumienie było odpowiedzią na powołany do życia tegoż roku Związek Młodzieży Polskiej (ZMP), zwany „młodym Ozonem” oparty na współdziałaniu z O.N.R.-em i „Falangą” B. Piaseckiego. ZMP był wyzwaniem rzuconym demokratycznemu skrzydłu młodzieży piłsudczykowskiej. Powstanie „młodego Ozonu” zaważyło ostatecznie na stanowisku Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Z OZONU wystąpił także Legion Młodych utworzony przez pułkowników. W grudniu 1938 roku Legion Młodych połączył się z Z.P.M.D. w jedną wspólną organizację pod nazwą Legionu Młodzieży Polskiej.

Rzecz znamienna, że choć o uroczystym zjeździe zetowców w Warszawie i o takich samych zjazdach w Poznaniu i Krakowie, pisała prasa codzienna, a w jawnym organie zetowców „Naród i Państwo” ukazał się większy artykuł pod tytułem „Pokłosie zjazdu ZETU”, nazwa ZETU nie weszła do codziennego słownictwa politycznego. Pozostała bliżej nieokreślonym symbolem tajemniczych sił politycznych. Operowano nadal, aż do wybuchu ostatniej wojny, nazwami „Naprawa” i „naprawiacze”.

„Papież” zetowców

W przemówieniu wygłoszonym w czasie obchodu 50-ej rocznicy założenia ZETU, przewodniczący obchodu, Zdzisław Lechnicki poświęcił cały ustęp Kazimierzowi Wyszyńskiemu:

„Nie mogę uczcić pamięci — mówił — długiego szeregu koleżanek i kolegów, których brak w tej chwili odczuwamy. Pragnąłbym tu wymienić tylko nazwisko śp. Kazimierza Wyszyńskiego, zmarłego w roku zeszłym na ciężkiej placówce, który w najważniejszych okresach działalności ZETU, dzięki swym zaletom serca i wielkiego umysłu przez długie lata był naszym przywódcą, któremu nasza organizacja od roku 1906 zawdzięcza nakreślenie wytycznych linii kierunkowych i rozwoju”.

Tak rzeczywiście było. Kazimierz Wyszyński urodził się w 1890 roku. Od wczesnej młodości brał czynny udział w życiu politycznym młodzieży. Od czasu strajku szkolnego w Królestwie wywierał decydujący wpływ na swych kolegów. Z jego to m.in. inicjatywy doszło do ostatecznego zerwania z Ligą Narodową. Po opuszczeniu więzienia rosyjskiego, choć znajdował się na liście podejrzanych, działał niezmordowanie. Zaglądał do wszystkich środowisk organizacyjnych, by czuć nad wykonaniem uchwały o zerwaniu. Często przekraczał nielegalnie granice kordonów. Redaktor Stanisław Strzetelski, jako 14-letni uczeń gimnazjum, przeprowadzał Wyszyńskiego na odcinku granicznym Radziwiłłów-Brody. Towarzyszył Wyszyńskiemu późniejszy, wybitny działacz zetowy Stefan Mydlarz. Działo się to w roku 1908, względnie 1909. Wyszyński jechał do Lwowa na zjazd „petowców”.

On zdecydował również, że z chwilą wybuchu wojny ZET wypowiedział się za Piłsudskim. Sam znalazł się w Pierwszej Brygadzie Legionów, gdzie ciężko zapadł na zdrowiu. W końcowej fazie pierwszej wojny był nie w Warszawie lecz w Krakowie, gdzie jako student Uniwersytetu Jagiellońskiego brał czynny udział w rozbrajaniu Austriaków i przejmowaniu od nich władzy. W pierwszych latach powojennych był adiutantem Naczelnika Państwa, pełniąc w Belwederze funkcje referenta politycznego. Chodził wówczas w mundurze porucznika beliniaków.

Już wtedy otaczała go organizacyjna legenda przywódcy. Już wtedy nazywano go „papieżem”. Rówieśnicy Wyszyńskiego opowiadali wiele o jego charakterze i niezwykłym umyśle. Pisywał do czasopism zetowych. Wybitni publicyści z krakowskiego, konserwatywnego „Czasu” nie dawali wiary, że autorem ich jest młody student Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W okresie niepodległości przebywał głównie zagranicą, najpierw na studiach w Paryżu, później na placówkach dyplomatycznych w Moskwie i Berlinie. W tym czasie nie należał do władz

ZETU. Nie był członkiem Centralizacji. Mimo to wiedział o każdym jej kroku. Cieszył się autorytetem jakiego nie posiadał żaden z jego rówieśników, przebywających stale w kraju i biorących czynny udział w życiu politycznym.

O jego pobycie w Moskwie opowiadano wiele. Kolega Wyszyńskiego z M.S.Z.-tu konsul generalny Karol Poznański w artykule „Skrzyński-Cziczeryn”, ogłoszonym w londyńskim „Tygodniku Polskim”, opowiada jeden z epizodów jego działalności na placówce moskiewskiej. Był rok 1924. Przez pewien czas Wyszyński pełnił jako *chargé d'affaires* funkcje kierownika poselstwa R.P. Na wschodniej granicy Polski panował nieustanny niepokój spowodowany ciągłymi wypadami uzbrojonych band sowieckich. „Wyszyński — relacjonuje Poznański — napisał jeszcze jedną, bardzo ostrą notę i sam ją zaniósł do Narkomindiełu, by ją doręczyć osobiście komisarzowi lub jego zastępcy. Przyjęty został przez zastępcę komisarza Wigdora Koppa. W gabinecie swoim Kopp poprosił Wyszyńskiego, by siadł na stojącym obok biurka fotelu. Wyszyński odmówił i w pozycji stojącej wręczył Koppowi swoją notę. Kopp zaczął czytać notę i znowu poprosił Wyszyńskiego by siadł, ale ten powtórnie odmówił. Po przeczytaniu noty odbyła się dyskusja w tonie podnieconym, w której toku Wyszyński bił pięścią w biurko przy którym stał”. Interwencja Wyszyńskiego odniosła pożądany skutek. Powołano do życia specjalną komisję mieszaną polsko-sowiecką.

Gdy Wyszyński dowiedział się, że placówkę moskiewską obejmuje Stanisław Patek bez chwili namysłu zawiadomił M.S.Z., że wyjeżdża. Nie lubił Patka i nie chciał z nim współpracować. Pojechał do Wiednia. Tam dowiedział się że ma jechać w charakterze radcy legacyjnego do Berlina. Przyjechał nad Sprewę w październiku 1927.

Do sierpnia 1933 r., tj. do chwili gdy opuściłem Berlin jadąc do Kowna, pomagałem mu w jego odpowiedzialnej pracy. Zawiązała się między nami nić przyjaźni. Inspirował artykuły moje i mego pomocnika Tadeusza Kopcia, ale sam nic nie pisał. Nie pisał raportów do centrali M.S.Z. Za to był mistrzem w układaniu zwięzłych i treściwych not i depesz. Tylko raz napisał niepodpisany, zasadniczy artykuł do „Narodu i Państwa”. Płodził go bardzo długo i wciąż poprawiał. Był, jak Kazimierz Sosnkowski, perfekcjonistą w formułowaniu swych myśli, lecz nie posiadał talentu pisarskiego szefa Pierwszej Brygady. W artykule Wyszyńskiego, który znałem na pamięć, nie mogłem się doszukać śladów pióra, którym zachwycali się jego rówieśnicy. Wspominam o tym, gdyż w swej spuściźnie pisarskiej pozostawił po sobie, niestety, bardzo mało.

Z natury był milczkiem. Tylko Wacław Zbyszewski pisze o nim, że „miał zaszczyt” wysłuchać parę razy monologów „niejakiego Wyszyńskiego”. Brzmi to nieprawdopodobnie. Ale może Wyszyński, znużony monologami Zbyszewskiego zaczął sam mówić, by je przerwać. Zbyszewski był zirytowany admiracją dla Wyszyńskiego dwóch ludzi „tak naprawdę wybitnych i niepospolitych” jak Mackiewicz i zamordowany przez Niemców prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, zresztą brat zetowy (o czym Zbyszewski oczywiście nie wie) — Adam Heydel. Znałem znacznie więcej wybitnych ludzi, którzy odwiedzali Wyszyńskiego w Berlinie, by spędzić z nim kilka godzin na rozmowie. Wyszyński bowiem gdziekolwiek los go rzucił żył życiem Polski. Orientował się doskonale w sytuacji wewnętrznej, w ludziach odgrywających rolę w życiu politycznym i w ich powiązaniach. Był w całym słowa tego znaczeniu świetnym znawcą geografii politycznej kraju.

Z natury był człowiekiem niezwykle skromnym, bardzo dobrym i tolerancyjnym. Był bezkompromisowy tylko gdy chodziło o interes Polski i bardzo surowy w ocenie ludzi odgrywających w Polsce rolę kierowniczą. W poufnych rozmowach nie oszczędzał nikogo z polityków, którzy po maju 1926 r. sprawowali rządy.

O Piłsudskim mówił zawsze z miłością i uwielbieniem, ale nigdy nie wpadał w patos dominującej wśród piłsudczyków frazeologii. Piłsudski był dla Wyszyńskiego wielkością bezsporną, którego osiągnięcia w skali historycznej przeważają szalę błędów, jakie są udziałem nawet postaci niezwykle. W czasie swej służby w Belwederze gdy rozmowa odbywała się bez świadków nie wahał się mówić prawdy Piłsudskiemu. Raz do tego stopnia zirytował Komendanta, że z pasją rzucił krzesło w kąt pokoju. Krytycznie ocenił jakąś przedwyborczą decyzję Piłsudskiego. Jeszcze wcześniej, w tragicznych chwilach sierpnia 1920 r., na wiadomość, że Piłsudski gotów jest podzielić się dowództwem naczelnym z Józefem Hallerem i Józefem Dowbor-Muśnickim oblatywał wpływowych polityków dowodząc, że takie kolektywne dowództwo byłoby nieszczęściem dla zagrożonej nawałą bolszewicką Polski. Nie liczył się wtedy ze słowami.

Trudno powiedzieć kogo z zetowców Józef Piłsudski naprawdę lubił. Może zetowca petersburskiego, swego adiutanta Janusza Olszamowskiego? Może generała Gustawa Dreszera? Może zetowca poznańskiego gen. Kazimierza Głabisza? „Papieża” zetowców, którego znał dobrze, na pewno cenił, lecz nie sądzę, by go lubił. Lubił Sławka, Prystora, Wieniawę, Becka, Świtalskiego i wielu, wielu innych z którymi był zżyty. Mógł się nieraz

na nich złościć, nawet im wymyślać, ale ich lubił. To oni tworzyli tzw. otoczenie, to oni byli mu bliscy.

Samodzielna postawa Wyszyńskiego zaciążyła w dużym stopniu nad stosunkiem Piłsudskiego do zetowców i naprawiaczy. Miał o nich dobre mniemanie i zawsze chciał ich mieć po swej stronie. Toteż nieraz irytował się ich niekonformistycznymi wystąpieniami, zwłaszcza gdy otwarcie na łamach swych wydawnictw krytykowali bezprogramowość tych, którzy w jego imieniu Polską rządzą. Piłsudski orientował się w krytyce rzeczywistości pomajowej na jaką otwarcie pozwalał sobie Orlicz-Dreszer czy Kazimierz Wyszyński. Znał krytyczne podejście zetowców ze spotkań ze Zdzisławem Lechnickim w jego majątku Święcicy. Po ostatnim spotkaniu, bodaj przed majem 1926 r., Lechnicki dzielił się w środowisku braterskim swymi spostrzeżeniami. Twierdził, że Piłsudski ma pełne zaufanie do całego środowiska zetowego i chce z nim jak najściślej współpracować. Ale po tych i podobnych rozmowach, nacechowanych serdecznością, a nawet wylewnością Piłsudskiego, przychodziły mniej przyjemne rozmowy z otoczeniem Marszałka. Otoczenie nie rozmawiało z zetowcami jak z partnerem do którego żywi się zaufanie. Nie lubiło zwłaszcza wdawać się w rozmowy z „twardym mrukiem” — Wyszyńskim, choć wiedziało, że, by dojść do ładu z ZETEM, trzeba przede wszystkim porozumieć się z „papieżem”. Pamiętam dwie takie próby dogadania się z Wyszyńskim.

Pierwsza wypadła najfatalniej. Pewnego dnia zjawił się przejazdem w Berlinie Józef Beck. Chciał sam na sam pogadać w poselstwie z Wyszyńskim. Niewątpliwie Piłsudski zlecił mu wybadanie możliwości ściślejszej współpracy zetowców z resztą obozu Piłsudskiego. Ale Wyszyński nie reagował na żadne sugestie wysłannika Komendanta. W milczeniu obaj przemierzali pokój. Gdy Beck zorientował się, że Wyszyński w ogóle nie chce z nim rozmawiać, wyszedł z pokoju. Pierwszy radca poselstwa polskiego w Berlinie był służbowo zależny od ministra spraw zagranicznych. Ale te względy nie odgrywały u Wyszyńskiego najmniejszej roli.

Druga próba zapowiadała się pomyślniej. Tym razem wezwano Wyszyńskiego do Warszawy. Było to w maju 1930 roku. Wzywał Sławek. Działał również z polecenia Marszałka, któremu chodziło o wzmocnienie słabnącej w społeczeństwie pozycji Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Wyszyński zgodził się na przyjazd. Sądził, że odbędzie rozmowę z Piłsudskim, a dopiero po niej dojdzie do rozmów z otoczeniem, czyli ze Sławkiem, Prystorem lub Świtalskim. Po kilku dniach Wyszyński wrócił do Berlina. Nie rozmawiał z Piłsudskim. Marszałek wydelegował do

rozmów Sławka i Świtalskiego. Obaj szczerą ręką ofiarowywali „naprawiaczom” mandaty poselskie i senatorskie z okręgów i list państwowych. Wyszyński nie podejmował dyskusji na ten temat. Wskazał jednego z braci zetowych do prowadzenia dalszych rozmów i opuścił Warszawę. Uważał, że musi się porozumieć w sprawie zasad współpracy z Piłsudskim i tylko z nim. Zachowanie się Wyszyńskiego oznaczało, że zetowcy będą wprawdzie nadal współdziałać z Piłsudskim, lecz nie chcą ponosić pełnej odpowiedzialności za tworzoną bez nich rzeczywistość. Z takiego obrotu rzeczy Marszałek nie był zadowolony, zwłaszcza, że wyjazd Wyszyńskiego przedstawiono mu w nieprzychylnym dla „papierza” oświetleniu.

Nieraz w rozmowach z Wyszyńskim wracałem do tej sprawy, wyrażając wątpliwość, czy postąpił słusznie. Pewnego razu tak mi odpowiedział: „Gdyby Komendant rozmawiał ze mną i gdybyśmy wspólnie ustalili zasady współpracy, musiałoby je później respektować otoczenie Komendanta. A tego sobie nie życzyło. I dlatego nie dopuściło do mojej rozmowy z Piłsudskim. Chciało rozmawiać ze mną, operując zwrotami w rodzaju „zdaniem Komendanta” lub „tak myśli Komendant”. Znam te zwroty na pamięć. Dla natur zurzędniczących takie zwroty wystarczały. Gotowe były godzić się na wszystko, co „w imieniu” Piłsudskiego sugerowało otoczenie. Ale nie wystarczały Wyszyńskiemu. Choć sam lata spędził na placówkach zagranicznych jako urzędnik M.S.Z.-tu, nic w sobie z urzędnika nie miał. Jego rówieśnicy, jak zmarły w kraju Stanisław Janikowski i inni, byli w początkach ery dwudziestolecia niepodległości wolni od urzędniczych kompleksów. Z czasem długoletnia służba urzędnicza zmieniła nie do poznania tych dawnych społeczników-entuzjastów. Wielu kolegów zetowych dotknął bakcyl urzędniczy, z którego nie byli w stanie się uleczyć i który wpływał ujemnie na całe środowisko. Często hamował decyzje polityczne, które należało podejmować bezzwłocznie.

Jednym z najwybitniejszych braci zetowych był zmarły u schyłku 1965 roku w Londynie były wojewoda śląski dr Michał Grażyński. Posiadał gruntowne wykształcenie, był typem intelektualisty, nade wszystko jednak kochał pracę konkretną. W 1924 roku został dyrektorem departamentu w Ministerstwie Reform Rolnych. Później przez lat trzynaście, aż do wybuchu wojny, był wojewodą śląskim. Był wzorem urzędnika w najlepszym słowa tego znaczeniu. Gdy ustąpił rząd Kościalskiego wielu zetowców namawiało go, by rzucił województwo i jako czołowy naprawiacz stanął na czele akcji politycznej w wielkim stylu. Odmówił.

Zbliżenie Wyszyńskiego z Grażyńskim mogło być pożyteczne nie tylko dla zetowców, lecz i dla kraju. Chciałem doprowadzić do spotkania obu. Pomagał mi w tym brat zetowy, oddany przyjaciel Grażyńskiego, adwokat Mieczysław Chmielewski. Pewnego dnia wybraliśmy się z Wyszyńskim do Katowic. Mieszkanie wojewody tonęło we wzorzystych kilimach. Gospodarz był serdeczny. W czasie śniadania rozmawiał ze mną, gdyż Wyszyński milczał jak zakłęty. Rozgadał się nieco przy kawie, ale z całego spotkania nic nie wyszło. Do końca niewiele łączyło tych obu ludzi. Na zapytanie, dlaczego nie zmusił się do zbliżenia z Grażyńskim odpowiedział: „Niestety, jak wielu innych naszych kolegów, przywiązał się do urzędu, który sprawuje. To dla polityka niebezpieczny nawyk. Deformuje jego psychikę, a pośrednio i umysł”. Rzuciłem wówczas pytanie: „A czy i tobie nie grozi taka deformacja?” — „Nie — odpowiedział — bo ja w każdej chwili jestem przygotowany do rzucenia urzędu lub do tego, że mnie wyrzucą”. — „A gdyby cię wyleli — pytałem dalej — co byś robił? Czy pojechałbyś do Warszawy, by stanąć na czele naszej roboty?”. Wyszyński na to: „Po co zaraz używać takich słów jak 'stawać na czele'?! Przede wszystkim pojechałbym nie do Warszawy, lecz do Lublina. Zacząłbym tam może redagować jakiś tygodnik lub miesięcznik. Z Lublina do Warszawy niedaleko, a ja najlepiej czuję się w moim rodzinnym mieście”.

Wyszyński zmarł w Berlinie na udar serca w styczniu 1935 roku. Odszedł człowiek, który od wczesnych lat młodzieńczych wytyczał organizacji zetowej kierunek ideowo-polityczny i był czujnym stróżem jej samodzielnego myślenia i działania. Po śmierci Józefa Piłsudskiego mógł odegrać wielką rolę w kształtowaniu naszej rzeczywistości politycznej, nigdy nie sięgając po żadne osobiste zaszczyty. Raczej unikając nadal wystąpień publicznych oddziaływałby na środowisko zetowe. Cieszył się, że wpływy ZETU z każdym rokiem rosną i że organizacja rozporządza liczną ekipą młodszych działaczy, przygotowanych do pracy publicznej. Z tych właściwości charakteru „papieża” ogół zetowców nie zdawał sobie sprawy, myśląc, że jego „ujawnienie” jest tylko kwestią czasu.

Wyszyński pozostawił po sobie niepisany testament, który, między innymi, głosił, że nie należy poddawać się żadnym schyłkowym formacjom pomajowym obozu Piłsudskiego, powołującym się na rzekome błogosławieństwo Komendanta, lecz dążyć do stopniowej ich likwidacji w imię zjednoczenia możliwie wielu zbliżonych kierunków myśli politycznej na gruncie demokracji parlamentarnej. W jednej z ostatnich rozmów przed moim wy-

jazdem do Kowna powiedział, że Piłsudski już od lat nie interesuje się zupełnie polityką wewnętrzną, którą powierzył całkowicie otoczeniu. Sporo czasu poświęca — mówił — tylko przyszłej konstytucji. Koncentruje słabnące siły fizyczne na dwóch sprawach: polityce międzynarodowej i sytuacji militarnej Polski w obliczu możliwości konfliktu wojennego.

Wyszyński liczył się z możliwością konfliktu polsko-niemieckiego od chwili gdy przybył na placówkę berlińską. Wahał się w swych sądach tylko przez kilka miesięcy, bezpośrednio po przyjeździe Hitlera do władzy. Potem mówił nie o możliwym konflikcie, lecz o konflikcie nieuniknionym. Moskwie nie wierzył. Obawy i poglądy na ten temat wyłożył w jednym jedynym liście jaki mi przesłał do Warszawy, dowiedziawszy się, że przyjeżdżam z Kowna, by zgłosić się u Marszałka Piłsudskiego. Było to w końcu maja 1934 roku.

Tadeusz KATELBACH

Wiktor Tomir DRYMMER

ZAGADNIENIE ŻYDOWSKIE W POLSCE W LATACH 1935-1939

(Wspomnienie z pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych)

Przeglądając notatki i dokumenty swoje, trafiłem na artykuł Antoniego Słonimskiego z roku 1924 pod tytułem: „O drażliwości Żydów”. Pomyślałem sobie, że warto z niego przytoczyć kilka zdań, jako wstęp do fragmentu moich wspomnień o trudnym i skomplikowanym zagadnieniu, jakim byli Żydzi w Polsce przedwojennej.

„Naród wybrany oto rdzeń, ten tajemniczy znak kabalistyczny, który porusza Golema żydostwa. Bardzo niewiele znam Żydów, którzy nie mają głębokiego przeświadczenia o tej wyższości rasy żydowskiej¹. Dlatego właśnie ten naród... nie lekceważy najłżejszego zarzutu... Drażliwość jest tak wielka, że każde śmielsze wystąpienie staje się wprost niebezpieczne dla pisarza. Wolno jest u nas źle pisać o Czechach, Niemcach lub posłach sejmowych, mogą pisarza denerwować rzeczy tak doskonałe jak katedra Notre Dame, można wytykać błędy kompozycyjne Michałowi Aniołowi — ale nie wolno pisać źle i rozumnie przeciw Żydom, bo pisać głupio — znaczy sprawić im rzetelną satysfakcję.

„Naród ten narzekający na szowinizm innych ludów, jest sam najbardziej szowinistycznym narodem świata. Żydzi, którzy skarżą się na brak tolerancji i innych, są najmniej tolerancyjni...” (*Wiadomości Literackie*, nr 35, 1924).

1. Autor miał prawdopodobnie na myśli odmawianą przez Żydów odwieczną modlitwę Ata Berchartam: „Ty wybrałeś nas spośród wszystkich narodów i upodobałeś nas sobie i wywyższyłeś nas przed wszystkimi języki i uświęciłeś nas swoimi nakazami i zbliżyłeś nas, Królu nasz, do swych dzieł, a Imieniem swym wielkim i świętym nazwałeś nas” (*De Profundis*, M. Wańkowicz, Tel-Aviv, 1943).

Po tym wstępie, niebaczny, że mogę być okrzyczany za antysemitę, zaczynam.



Sprawy żydowskie do roku mniej więcej 1935 znajdowały się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Wydziale Organizacji Międzynarodowych, Departamencie Politycznego. Po objęciu przeze mnie w r. 1934 Departamentu Konsularnego, stanąłem wobec coraz bardziej zaostrzającego się zagadnienia żydowskiego w naszej polityce wewnętrznej i wobec nacisku wywieranego przez różne organizacje żydowskie na Rząd, a w szczególności na Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Po roku kierownictwa Departamentem Konsularnym, widząc dwoistość pracy w samym ministerstwie, zaproponowałem ministrowi Beckowi przeniesienie całości zagadnień żydowskich do Departamentu Konsularnego, w zakresie którego leżały sprawy emigracyjne. Dla Żydów emigracja, w *pierwszym rządzie emigracja do Palestyny*, utrudniana przez mandatariusza brytyjskiego, była sprawą zarówno emocjonalną jak i życiową.

W Departamencie Konsularnym pracowaliśmy usilnie nad otwarciem bram emigracyjnych do Stanów Zjednoczonych, do Kanady i do krajów Ameryki Południowej, które po kryzysie roku 1930 — zamknęły się szczelnie. Polska wydobywająca się powoli z następstw wieloletniej niewoli, oraz wojny światowej i naszej wojny z Rosją, była na szereg lat skazana na emigrację. Kiedy uskarżałem się na to premierowi Prystorowi, powiedział mi ten znakomity mąż stanu: „Polska musi być czas jakiś mać cochę dla swych dzieci, ale to powinno minąć”.

W poszukiwaniu terenów emigracyjnych dla Polski, zbadaliśmy wszystkie możliwości, biorąc pod rozwagę emigrację do mała, w owym czasie, znanej Afryki a nawet do szeroko propagowanego przez Rosję autonomicznego okręgu żydowskiego we wschodniej Syberii, którą różni „poputczycy” nazywali Nową Ziemią Obiecaną dla Żydów.

Pilne zajęcie się sprawą żydowską miało poważne znaczenie dla naszej sytuacji wewnętrznej, podminowywanej przez sfery tzw. „narodowe”, które z kwestii żydowskiej robiły sobie broń dla swych wystąpień przeciw rządowym.

Badania przeze mnie zagadnienia żydowskiego w innych resortach, a zwłaszcza w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, nie dały nic, poza jakimiś ulotkami i rzekomymi „naukowymi” broszurami o sprawie żydowskiej, najczęściej nieprzychylnymi dla Żydów.

Po przyjęciu przez min. Becka moich sugestii, przystąpiłem

w roku 1935 do objęcia całości zagadnienia żydowskiego, zarówno na terenie międzynarodowym, jak i w kraju.

Praca potoczyła się trzema torami: emigracja, studia i stałe informowanie społeczeństwa.

Do pracy zabraliśmy się we trzech: dr A. Zarychta, naczelnik wydziału polityki emigracyjnej Departamentu Konsularnego, radca dr J. Wagner i ja. Gros rozmów z przywódcami żydowskimi przerzuciłem na nacz. Zarychtę, studia na dr. Wagnera, sobie pozostawiając kierownictwo, decyzję i informowanie ministra Becka o przebiegu naszych prac, rozmów i studiów. Jak zawsze, tak i w tym nowym dla mnie dziale pracy, miałem ze strony min. Becka nie tylko cenne wskazówki i rady, ale pełne poparcie, jak i współdziałanie w rejonach dla niego tylko dostępnych jak wszelakiego rodzaju instytucje międzynarodowe z Ligą Narodów na czele.



Informowaliśmy prasę międzynarodową o olbrzymim zagadnieniu *przeludnienia Polski*. Przyrost w r. 1937 wynosił ponad 400 tysięcy. (Wydatne zmniejszenie śmiertelności, zwłaszcza wśród dzieci, na skutek rozbudowanego aparatu służby zdrowia, stały postęp w przedłużaniu życia osób starszych).

Szczególnie dotkliwe było przeludnienie wsi polskiej. Nadmiar ludności wiejskiej, tuż po pierwszej wojnie, był absorbowany przez Stany Zjednoczone i Kanadę. Po kryzysie 1930 roku bramy tych krajów zostały dla naszej emigracji zamknięte. Demografowie nasi obliczali, że wieś nasza ma „zbędnych” ponad milion ludzi. Wzrost urbanizacji i uprzemysłowienia postępował powoli, przyspieszony dopiero przez utworzenie Centralnego Ośrodka Przemysłowego.

Przeludniona wieś, nie mogąc znaleźć zatrudnienia na roli, zaczęła początkowo ostrożnie, potem żywiołowo przerzucać się do drobnego handlu i rzemiosła. Tu spotkała się z nieoczekiwaną przeszkodą: Żydami, którzy całą swoją paromilionową spauperyzowaną masą od dawna opanowali stragany i sklepy w miastach i miasteczkach. Proletariat żydowski gotów był walczyć do upadłego o „swoją” masę posiadania”. Odwiedzający w r. 1937 Polskę, członek Egzekutywy Żydowskiej Agencji w Jerozolimie, były poseł na sejm R.P., J. Grünbaum, oświadczył publicznie: „Dla wielkich mas żydowskich wybiła godzina exodusu. Odbywa się nobilitacja straganów — musimy odejść. Bez emigracji będzie wnet w Polsce 5-6 milionów Żydów”. W owym czasie było około 3 i pół miliona tj. 10 % ogółu ludności.

Żydzi w 99 % stanowili ludność miejską. Małe miasta, zwła-

szcza we wschodniej części R.P., miały niejednokrotnie ponad 50 % ludności żydowskiej. Kto znał małe miasteczka polskie przed wojną, pamięta jak odbywał się handel na targach i jarmarkach. Konkurujący między sobą kupcy żydowscy stali na rogatkach miejskich i dosłownie wydzielali z rąk lub wozów oszołomionego chłopca towar wieziony na rynek. Dochodziło do ostrych zatargów i bijatyk. Zdziwiłby się również, pilny obserwator, mizerną zawartością towaru znajdującego się w sklepiku przeciętnego kupca żydowskiego, który musiał wyżywić swoją rodzinę. Toteż handlujący proletariatus żydowski nie cofał się przed nadużyciami na wadze i jakości towaru, tak w stosunku do kupującego jak i w stosunku do skarbu państwa. Usprawiedliwieniem było skrajne ubóstwo często głód.

Prawem kontrastu, znaczna mniejszość Żydów żyła dostatnio, często wystawnie, szumnie, beztropko i egoistycznie, nie dbając o społeczeństwo z którego się wywodziła, ani o środowisko w którym żyła. Historyk żydowski B. Mark w książce, wydanej przez Żydowski Instytut Historyczny w roku 1955, pt. „Powstanie w getcie warszawskim”, tak pisze o tej nielicznej grupie Żydów:

„Tylko 10.000 żyje w dostatku, nawet lepiej niż przed wojną. Widocznie dla tych 10,000 przywieziono w lutym 20 tys. litrów wódki. W tym czasie zarejestrowano oficjalnie 416 tys. Żydów, z czego 80 % biednych, przymierających głodem (str. 26). Cała działalność Judenratów, to jedno pasmo wołające o pomstę krzywd wobec biedoty. Gdyby był na świecie Bóg, to zniszczyłby gromami to gniazdo okrucieństwa, obłudy i grabieży. (str. 31).

Wszystkie zarządzenia okupanta były przeprowadzane przez Judenrat, który organizuje łapanki na pracę przymusową...

Niektórzy piastowali kilka urzędów jednocześnie, wyciągając dochód do 60 tysięcy miesięcznie, podczas gdy pisarz i pedagog Janusz Korczak w podaniu prosi o dwa posiłki dziennie, widać, że i tego jemu ojcowie miasta odmówili...”

Tyle B. Mark.

Jak widać wojna i okupacja niczego nie nauczyły „górnej” warstwy. Powtarzało się to co widzieliśmy przed wojną. Oderwanie się od własnego narodu, przez zwykły, ordynarny egoizm, specjalnej grupy ludzkiej.



W roku 1879 powstała w Niemczech „Liga Antysemitka”. Datę tę uważają specjaliści żydowscy za początek zorganizowanego antysemityzmu.

W parę lat po powstaniu Ligi, rozpoczęły się systematyczne pogromy Żydów najpierw w Niemczech, a potem w Rosji.

Żydzi uciekają się do „mimikry”:

W Niemczech zakładają Vereiny obywateli niemieckich i deklarują: — „Nie jesteśmy niemieckimi Żydami, lecz obywatelami niemieckimi, wyznania mojżeszowego” — pisał ideolog żydowski R. Loevenfeld².

W Rosji, Żydzi poszli o krok dalej. L. O. Lewanda³ w wydanej w r. 1895 książce mówił: — „Otrzymawszy od Rosji klucz do wykształcenia — da Bóg odemknijemy tym kluczem rosyjską narodowość, rosyjskie obywatelstwo, rosyjską ojczyznę. To prawda, że w Rosji zbyt nas nie faworyzowano. Ale serce mi mówi, że z czasem oni nas pokochają. My ich zmusimy nas pokochać”.

Wkrótce po tym wyznaniu przeszła przez Rosję, popierana przez rząd carski, potężna fala krwawych pogromów.

„Dziwny jesteśmy naród. Nikt nam nie dorówna w samo-okłamywaniu się”, z goryczą pisał Szmarjahn Lewin⁴ w „Jugend im Auführ”, Berlin r. 1938.

W Polsce Żydzi przyjęli zgoła inną taktykę aniżeli w Niemczech i Rosji. Tylko znikoma ilość Żydów poddała się procesowi asymilacji ale ci ulegali prześladowaniom ze strony niektórych Żydów⁵. Masa żydowska niewidzialnym murem getta odgradziła się od społeczeństwa polskiego. Żydzi byli w Polsce tak liczni, że prawo mimikry wydało się im niepotrzebne. Stworzyli więc *naród w państwie* ich otaczającym, w y o b c o w u j ą c się z niego niemal kompletnie.

Nawet zewnętrznie odróżniali się od otoczenia polskiego. Nosili wschodnie długie kapoty, małe czapeczki, brody i pejsy z obcą dla ucha, smętną muzyką i pieśniami, obcą w smaku i zapachu kuchnią żydowską, złą mową polską, pobudzającą do żartów i kpín, zachowując odwieczne obyczaje, a nawet własne sądy (rabinackie kahały). Byli do końca swego istnienia niezrozumiałą dla większości Polaków egzotyką.

Żydzi nie robili nic, albo bardzo mało, by poznać Polaków z problemem żydowskim, jak również nie potrafili tym problemem zainteresować świata, sprowadzając go raczej do poziomu utyskiwań na antysemityzm Polaków, w s z y s t k i c h Polaków.

Prasa żydowska i żydowska opinia przemilczała pozytywne posunięcia Polski, jak przyjęcie z Rosji, w latach 1918-1920,

2. Melchior Wańkowicz: *De Profundis*, wyd. w Tel-Avivie r. 1943.

3. Tamże.

4. Tamże.

5. W r. 1938 Mateusz Mises wydał w Warszawie książkę: *Polacy chrześcijanie pochodzenia żydowskiego*. Książka zawierała kilkaset nazwisk, wiele znanych lub wybitnych. Książka była drażniąca, szkodliwa, była wodą na młyn kół prawicowych, dając im argumenty antysemityczne. (W. T. D.).

700.000 Żydów, którzy zbiegli przed pogromami i prześladowaniami Czerwonej Armii.

Gdy w roku 1938 Niemcy siłą usunęli z Niemiec 15.000 Żydów, zamieszkających tam od dziesiątków lat, Polska ich przyjęła, rozmieściła i dała pracę, stosując do Niemiec retorsję, wydalaając tysiące Niemców z Polski.

Ale gdy „okręt widmo” (nazwa uleciała mi z pamięci) pełen nieszczęsnych Żydów niemieckich błakał się z portu do portu, żadne bogate i tzw. demokratyczne, deklamujące o humanizmie lub miłości chrześcijańskiej, państwo nie chciało przyjąć tego tragicznego ładunku... Wówczas Wł. Żabotyński, przywódca syjonistów-rewizjonistów, napisał złośliwie o prezydencie Masaryku: „Pan Masaryk jest znanym bojownikiem sprawy żydowskiej, mimo to, gdyby uchodźcy żydowscy stanęli masowo na granicy Czechosłowacji, pragnąc tam się osiedlić, bez wahania podpisałby najbardziej surowe zarządzenie, uniemożliwiające przybyšom osiedlenie się w jego ojczyźnie”.



Antysemityzm, na ziemiach polskich, był propagowany jeszcze przed I wojną światową przez polską partię Narodowo-Demokratyczną.

Antysemityzm w Niepodległej Polsce, za poduszczeniem narodowych demokratów, wybuchnął z gwałtowną siłą, zwłaszcza podczas wojny z Rosją sowiecką i trwał z napiętą siłą aż do wyborów i morderstwa I-go prezydenta P.P. Gabriela Narutowicza w r. 1922.

Szok, jaki morderstwo to wywołało, zmusił partię do czasowego zawieszenia jaskrawej akcji antysemitkiej.

Po zmianie nazwy partyjnej na Obóz Wielkiej Polski (rok 1926) działalność antysemitką wznowiono, sięgając tym razem głęboko do organizowania młodzieży szkolnej i akademickiej. Część kleru katolickiego dała się uwieść hasłom „narodowym” i pozwoliła na użycie kazalnicy i pulpitu (ślubowania jasnogórskie), dla akcji antysemitkiej.

Partia z poklaskiem witała zoologiczny antysemityzm młodzieży i jej chuligańskie wystąpienia.

Rozłam w Obozie Wielkiej Polski i utworzenie Obozu Narodowo-Radykalnego, zaznaczyło się przelaniem krwi kolegów Żydów a nawet wypadkami zabójstw.

Wszystkie moje próby przemówienia do rozumu politycz-

nego zacierzwionych „polityków” akademickich, z którymi miałem kontakty⁶, nie dawały żadnego rezultatu, zwłaszcza w miarę rozwoju nacjonal-socjalizmu w Niemczech. Ruch ten znalazł swego godnego naśladowcę w osobie Bolesława Piaseckiego w organizacji narodowo-radykalnej „Falanga” z jej nielegalnym pismem pod tą samą nazwą.

Władze bezpieczeństwa z trudem dawały sobie radę z rozpasaną młodzieżą.

W roku 1936 w ciągu 6 miesięcy sądy skazały około 100 „narodowców” na kary więzienia.

„Narodowcy” napadli w tymże roku na miasto Liski i rozgromili sklepy żydowskie. Doboszyński z grupą około 100 ludzi napadł na miasto Myślenice, gdzie rozbroił posterunek policji i zajął budynek starostwa. Obrabowano sklepy żydowskie, a tovary wzorem hitlerowskim, spalono na rynku⁷.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych traktowało zagadnienie żydowskie, wyłącznie od strony bezpieczeństwa, nakładając kary lub kierując sprawy poważniejsze do sądów. „Narodowcy”-studenci wychodzili z więzień jak „bohaterowie” z dumą nosząc w klapie marynarki odznakę: kratę więzienną. Zresztą za mało mieliśmy policji by ustrzec wszystkie witryny i szyby żydowskie od chuligańskich wyczynów młodzieży.

Do chwili przejęcia zagadnienia przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, nie słyszałem nigdy o jakichkolwiek próbach rozumnego oddziaływania na ogół społeczeństwa tak polskiego jak i żydowskiego. Oczywiście były udane i pozytywne wystąpienia w sejmie i senacie, ale to wszystko było za mało. Profesorem wyższych uczelni robili w tej sprawie wysiłki, ale rzadko i mało skutecznie, strzegąc zazdrośnie autonomii uniwersyteckiej. Prof. Bartel, gdy usiłował przemówić do rozsądku młodzieży we Lwowie, został obrzucony zgniłymi jajami, wyzwiskami, a pod domem jego podłożono petardę.

Wobec szeroko pojętej, zazdrośnie strzeżonej i rozmaicie interpretowanej autonomii przez senaty akademickie, ani Minister-

6. Jednym z najzdolniejszych, ale fanatycznych członków ONR był Jan Mosdorf, dyskutowałem z nim niejednokrotnie. Bez rezultatu. Uwięziony w Oświęcimiu, zmienił radykalnie swój stosunek do Żydów, którym czynnie pomagał i współczuł. Rozstrzelany w Oświęcimiu.

W Wilnie wybitnym działaczem endeckim na uniwersytecie był Jerzy Putrament. Zbiegł w roku 1939 przed wstąpieniem do wojska, uciekając do Lwowa. W wojnie wziął udział jako „politruk” oddziałów tworzonych w Rosji pod nazwą wojska polskiego. Obecnie wiceprzewodniczący Związku Literatów Polskich w Warszawie.

7. Wł. Pobóg-Malinowski: *Najnowsza Historia Polski*, tom II, str. 642, 643, 418.

stwo Oświaty ani Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie były w stanie ingerować w życie akademickie. Wszelkie nieśmiałe próby kończyły się strajkami okupacyjnymi uniwersytetów, w których rządziły bojówki Obozu Narodowo-Radykalnego, tej reinkarnacji narodowej demokracji.

Wreszcie w 1937 r. Ministerstwo Oświaty rozwiązało na wszystkich wyższych uczelniach organizacje młodzieżowe o charakterze politycznym. Mimo to „antysemityzm” stał się na wyższych uczelniach „modny”.

W czasie okupacji niemieckiej, odłam, tak zwany „narodowy”, zachował się podobnie jak część zamożnych Żydów w getcie, gdzie egoizm lub szowinizm górował nad interesem narodu, i państwa.

Wł. Bartoszewski, w czasie okupacji jeden z organizatorów Rady Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu (znanej jako Żegota), historyk okupacji, gruntowny znawca sprawy żydowskiej tego okresu czasu, obiektywny i nieemocjonalny, w przedmowie do książki: *Ten jest z ojczyzny mojej*⁸ pisze (str. 15):

„W początku sierpnia 1942, niemal zaraz po rozpoczęciu zagłady getta warszawskiego, konspiracyjna katolicka organizacja społeczno-wychowawcza Front Odrodzenia Polski, wydała 5 tys. egzemplarzy specjalnej ulotki pt. „Protest”. Jej autorka, wybitna pisarka katolicka Zofia Kossak, apelowała do serc i sumień wszystkich Polaków wierzących w Boga — również do tych, którzy zajmowali dotychczas niechętnie stanowisko wobec Żydów, o czynną postawę wobec zbrodni: „Kto milczy wobec mordu — staje się współnikiem mordercy. Kto nie potępia — ten przyzwala”.

Protest F.O.P. uzyskał dość znaczny rezonans społeczny...

Tylko nieliczne pisma grup skrajnie prawicowych demonstrowały nadal wobec rozgrywającej się tragedii *obojętność lub wrogość*⁹”.



W społeczeństwie polskim, mówię o olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego, obiektywnie patrzano na naszych odwiecznych współobywateli, widząc ich wady i zalety. W ostatnich latach naszego bytu niepodległego dyskutowano często i odnoszono się krytycznie, ale nie wrogo, do pewnych cech społeczeństwa żydowskiego.

Zwracano głównie uwagę na dwie główne cechy Żydów: *wyobcowanie i zaborczą wyłątność stanu posiadania*.

Prócz dobrowolnego zamknięcia się w getcie, Żydzi nie przejawiali najmniejszego zainteresowania sprawami dotyczącymi całej Polski. Oczywiście były tu wybitne wyjątki, ale te zaliczane

8. Katolicki *Znak*, Kraków, r. 1966.

9. Podkreślenie moje — W.T.D.

były do normalnego procesu asymilacyjnego. Żydzi, twierdzili krytycy, nie wzięli poważniejszego, obojętnego udziału w wojnie 1918-1920, natomiast zanotowano wypadki współdziałania Żydów z wojskami Rosji sowieckiej (Wilno, Pińsk).

Oczywiście można znaleźć wiele argumentów czemu tak było, czemu Żydzi widzieli po stronie komunistów wolność i równość, a po stronie „panów polskich” wielką niewiadomą, a może powstanie nowej „szlacheckiej” Polski, jak głosiła propaganda komunistyczna. Tak myślał proletariats żydowski, tak myślała i ciemna wieś polska. Fakty pozostały faktami i nie przyczyniały się do wzajemnego zrozumienia się dwóch narodów. Twórca syjonizmu Teodor Herzl pisał kilkadziesiąt lat temu w „Der Judenstaat”, że „kwestia żydowska istnieje wszędzie, gdzie przebywa znaczna ilość Żydów”.

Książki Izaaka Baszewi Singera, Żyda polskiego, potwierdzają jak obcymi polskości i Polsce byli Żydzi w swych dobrowolnych gettach¹⁰.

Obok wyobcowania drugą cechą żydowską, która drażniła Polaków, była ich tendencja do wyłączenia i zatrzymywania opanowanych przez siebie gałęzi handlu, rzemiosła czy pośrednictwa. Bez pośrednictwa, które było w 100 %³ w rękach Żydów, żaden producent, duży czy drobny, nie mógł zbyć swych płodów rolnych czy leśnych. Były wiceminister skarbu a w latach 1938-1939 podsekretarz stanu do spraw gospodarczych w Prezydium Rady Ministrów, Wincenty Jastrzębski, mówił do mnie, znając moje zainteresowania sprawą żydowską, że pragnie, celem potaniaenia produktów rolnych, usunąć kosztowne pośrednictwo. I tu natknął się na wielką przeszkodę — Żydów, którzy uważali pośrednictwo za swój monopol.

Badając pośrednictwo w przemyśle rolnym, min. Jastrzębski natknął się na pośrednictwo Żydów we wszystkich innych dziedzinach przemysłowo-handlowych. Fakt ten był dla tego starego weterana ruchu socjalistycznego, wielkim wstrząsem. Ukrył znane sobie cyfry i fakty przed prasą, by nie dawać jej pożywki dla ewentualnych wystąpień antysemitów.

Jego też inicjatywie i poparciu zawdzięczała Polska stopniowe przejmowanie pośrednictwa przez spółdzielczość. Wieś brała w tej akcji najżywszy udział, co wywołało ataki w prasie żydowskiej, posądzające działaczy spółdzielczych o antysemityzm.

Odbiciem tej dyskusji prasowej była debata sejmowa w czasie której premier Składkowski użył zdania, że konkurencja musi

10. Isaac Bashevis Singer: *The Family of Moskat*, pisana yiddisz, wydana w Nowym Jorku w r. 1965, tłumaczona na angielski.

istnieć i że walka ekonomiczna jest owszem pożądana. To „owszem” stało się powodem oskarżania Składkowskiego, członka i premiera jak najbardziej przychylnego dla Żydów, o antysemityzm. To posądzenie o antysemityzm premiera i rządu — rozdmuchano na cały świat. Żydzi zapomnieli o słusznej uwadze dr. Tartakowera na światowym kongresie żydowskim (r. 1936), że „wypieranie Żydów z ich pozycji gospodarczych w szeregu krajach jest wynikiem żelaznych praw rozwoju gospodarczego”.

Mówiąc nadal o stanowisku krytycznym w stosunku do pewnej grupy żydowskiej, wspomnieć muszę o wyższych urzędnikach Min. Przemysłu i Handlu czy Izb Handlowych, którzy w trosce o zdobywanie rynków zagranicznych, mieli żal do Żydów, że nie umieli czy nie chcieli wykorzystać swych przysłowiowych zdolności handlowych i koneksji zagranicznych i rodzinnych.

Takie stanowisko Polaków nazywał W. Zabotyński „antysemityzmem rzeczy a nie sentymentu”.



Wyobcowanie Żydów przebywających poza granicami Polski, było jeszcze większe aniżeli w kraju Żyda zagranicą łączył z Polską jedynie paszport. Żyd nie należał do polskich organizacji zagranicznych, nie brał udziału w świętach i obchodach narodowych.

Stanisław Zabiełło¹¹, znany w kraju publicysta reżymowy, pisze w swojej książce, wydanej w r. 1967 w Warszawie pt. „Na posterunku we Francji”:

„We Francji było około 100.000 Żydów polskich... Z Żydami tymi była dość skomplikowana sprawa. W większości uciekli oni nielegalnie z Rosji po rewolucji październikowej w okresie przesuwania się frontów podczas wojny domowej 1917-1920, po zwykle krótkim pobycie w Polsce, byli wysyłani między innymi do Francji, przez żydowską organizację JOINT. Żyli tam latami bez ważnych dowodów osobistych (sprawy rodzinne załatwiali w kahałach), ale figurowali w rejestrach francuskich, jako pochodzący z Polski bo stamtąd legalnie przybyli, chociaż częstokroć nie znali naszego języka. Ich przynależność państwowa była zawsze przedmiotem sporów między konsulatami R.P., a władzami francuskimi, co między innymi spowodowało wydanie bardzo krytykowanego dekretu o automatycznym pozbawianiu obywatelstwa polskiego osób zagranicą, które przez 10 lat nie zwróciły się do właściwych konsulatów.

W praktyce rozporządzenie to dotknęło boleśnie komunistów polskich”.

Żydzi polscy zagranicą wyobcowali się nie tylko ze społeczeń-

11. Stanisław Zabiełło, przed wojną kierownik referatu sowieckiego w Wydziale Wschodnim Ministerstwa Spraw Zagranicznych. (W. T. D.).

stwa polskiego, ale i własnego. Zajmowali się często (nie chcę bynajmniej generalizować) handlem bronią, narkotykami, prostytutką i żywym towarem. Tych obywateli polskich spotykały nasze placówki zagraniczne pod wszystkimi szerokościami i długościami geograficznymi. Łączył ich z Polską, jak już mówiłem, paszport, często podejrzaney autentyczności. Oczywiście nie tylko Żydzi zajmowali się tym niedozwolonym i zwalczanym handlem i nie tylko Żydzi przynosili hańbę państwu polskiemu. W Argentynie np. przed wojną synonimem prostytutki było słowo „polacco” tzn. Polak lub Polka¹².

Według przybliżonych obliczeń M.S.Z. mieliśmy na całym świecie kilkadziesiąt tysięcy obywateli polskich, co do których mieliśmy uzasadnione podejrzenia, że nie urodzili się w Polsce, nie byli w Polsce i nie znają języka polskiego. Wielu, jeśli nie wszyscy, mieli wszelkie podstawy do uzyskania obywatelstwa kraju zamieszkania.

Celem uporządkowania tych spraw, którym należało wreszcie położyć kres, opracowany został przeze mnie, w porozumieniu z zainteresowanymi resortami, dekret Prezydenta R.P. z marca 1938 r., o pozbawianiu obywatelstwa polskiego tych obywateli polskich, którzy w ciągu 5 lat nie wykazali się więzami łączącymi ich z Polską lub ze społeczeństwem polskim poza granicami R.P.

Ustawa była krytykowana, niektórzy uznali ją za ustawę antysemicką, inni za antykomunistyczną. Ze swego pobytu w okresie wojennym w Palestynie wiem, że była przyjęta przez Żydów z całym spokojem, a w kołach niepodległościowych z zadowoleniem.

W wykonaniu tej ustawy miałem zaledwie kilkadziesiąt odwołań, celem przywrócenia obywatelstwa polskiego.



Departament Konsularny MSZ prowadził staranne badania zagadnienia żydowskiego, we wszystkich jego aspektach.

Pierwszą dokumentalną i wszechstronną pracą był, poparty liczbami, wykresami i mapami: „Problem emigracji żydowskiej”. Praca ta, dr. J. Wagnera, wydana pod pseudonimem J. Ziemiań-

12. Bardzo bogata Żydówka, ob. polska z Buenos Aires, dowiedziała się o budowie w tym mieście Domu Polskiego. Zgłosiła się do radcy emigracyjnego ofiarowując poważną sumę na ten cel. Chciała, by jej nazwisko figurowało w gazetach. Niestety ofiarodawczyni była właścicielką paru luksusowych domów publicznych, w których zatrudnione były obywatelki polskie. Poleciłem odmówić przyjęcia ofiary. (W. T. D.).

ski, miała służyć celom informacyjnym dla członków Komisji Zagranicznych Sejmu i Senatu, oraz dla niektórych placówek. Pracę tę traktowaliśmy jako rzecz ściśle tajną, obawiając się dostania się jej w ręce niepowołane, gotowe użyć ją dla akcji antysemitkiej.

Drugą cenną pracą doktora Wagnera była broszura pt. „Problem palestyński”, naświetlający historię i próby załatwienia sporu żydowsko-arabskiego. Wydana została po pobycie w Palestynie komisji lorda Peela. Dr Wagner, wysłany w tym czasie do Palestyny miał możność studiowania prac komisji z bliska, jak również przeprowadzenia szeregu rozmów i badań zarówno z przedstawicielami Żydów jak i Arabów.

Biuro studiów, pod kierownictwem dr. Wagnera, wykonało szereg opracowań specjalnych, ankiet i wykresów dla użytku służbowego naszych placówek zagranicznych.



Na terenie międzynarodowym, sprawa Żydów polskich była przez nas traktowana jako problem kraju przeludnionego, dążącego do otwarcia emigracji.

Z polecenia min. Becka, poruszył tę sprawę w r. 1936 na Komisji Ekonomicznej Ligi Narodów, wiceminister Przemysłu i Handlu Adam Rose, po czym na Komitecie Politycznym L.N. Tytus Komarnicki, nasz stały delegat.

W rok potem min. Beck w wywiadzie do *New York Times'a* wskazywał na konieczność otwarcia bram imigracyjnych dla przeludnionej Polski.

W tym samym okresie min. Beck dał instrukcje ambasadorom naszym w Waszyngtonie, Londynie i Paryżu na ten sam temat.

W rozmowach poufnych z prezydentem Rooseveltem, ambasador Potocki uzyskał jego przyrzeczenie wpłynięcia nie tylko na Kongres, ale również na państwa Ameryki Łacińskiej, celem uzyskania ułatwień emigracyjnych dla Polski. Przyrzeczenia pozostały przyrzeczeniami. Londyn również jak mógł wykręcał się od zwiększenia kwoty imigracyjnej do Palestyny. Ambasadorowi Łukasiewiczowi w Paryżu, po chwilowym niepowodzeniu z ministrem kolonii G. Mandelem, który wręcz oświadczył ambasadorowi, że „chce chyba rozpętać burzę antysemitką we Francji, żądając od niego, Żyda, by wpuścił Żydów do kolonii francuskich”, po objęciu rządów Francji przez Bluma i po zmianie na stanowisku ministra kolonii, udało się uzyskać zgodę na wpuszczenie Żydów polskich na Madagaskar. Celem zbadaania warunków klimatycznych i warunków pracy, wysłałem na Mada-

gaskar trzyosobową Komisję w składzie: M. B. Lepecki, znany podróżnik (szef Komisji), oraz pp. Leon Alter¹³ z ramienia Żydowskiego Komitetu JAES i Salomon Dyk, dawny pracownik niemieckich towarzystw kolonizacyjnych, rolnik z Palestyny.

Komisja nasza oceniła Madagaskar, jako przyszły teren osadniczy, bardzo pozytywnie. Ja jednak, sparzony na doświadczeniach z podobnymi komisjami i ewentualną emigracją do Nikaragui¹⁴, wysłałem dodatkowo na Madagaskar A. Fidlera, znanego pisarza podróżniczego, jako korespondenta *Gazety Polskiej*, by nadsyłał mi swoje uwagi co do zmian klimatycznych, jakie

13. Leon Alter. Komunistą. Poznałem go w obozie dla internowanych w Havelbergu w latach 1917-18, gdzie siedział za socjaldemokrację, ja za przynależność do Polskiej Organizacji Wojskowej.

14. Departament Konsularny MSZ miał wiele smutnych doświadczeń z różnorakimi towarzystwami osadniczymi lub kolonizacyjnymi, które musiał, kosztem wielu dziesiątków tysięcy złotych, ratować, nieszczęsnych ludzi, którzy tym towarzystwom zaufały, miał również do czynienia z inicjatywami osób prywatnych, których jednym celem był: „handel ludźmi”.

W roku 1937 pojawił się w MSZ niejaki p. Czarniecki lub Czarnocki zajmujący się handlem bronią. W czasie wojny domowej w Hiszpanii, zrobił duży majątek. W Warszawie Czarniecki przedstawił pełnomocnictwa i nominację na konsula generalnego Nikaragui w Warszawie. Pełnomocnictwa podpisane były przez prezydenta tego państwa. Czarniecki prezentował się dobrze, kupił parę domów w Warszawie, dostał się do sfer towarzyskich tak opozycji jak i sfer prz rządowych. Pewnego dnia zjawił się u mnie z propozycją przyczynienia się do rozwiązania trudnego problemu z jakim walczy Polska — emigracją. Miał w zanadru pełnomocnictwa swego rządu i prezydenta dla jaknajszerszej emigracji zarobkowej do Nikaragui. Przekazałem go naczelnikowi Zarychcie dla szczegółowego omówienia tej propozycji. Po dyskusji z nacz. Zarychtą, doszedłem do przekonania, że sprawa wymaga zbadania sprawy na miejscu. Powiadomiony o tem p. Czarniecki, wysunął propozycję: wysłania do Nikaragui komisji, której kosztą jest gotów pokryć. Zastrzegłem się że połowę komisji mogą być ludzie przez niego wybrani, połowę przez Departament Konsularny. P. Czarniecki przystał na to. Ze swej strony wysunął Daszyńskiego, geologa, syna b. pośta Daszyńskiego, oraz Leśniowskiego, rolnika. Z naszej strony wybraliśmy młodych dwóch inżynierów, kolejowca i mechanika. Komisja pojechała. Po paru miesiącach miałem na biurku raport Komisji, podpisany przez członków komisji, że Nikaragua w zupełności nadaje się na naszą emigrację. Pamiętam, że naczelnik Zarychta był bardzo zdziwiony niesłuchanie optymistycznym tonem tego raportu, wskazując, że przecież przez ten kraj przechodzi równik.

W kilka dni po przybyciu komisji do kraju, zjawił się u mnie ów młody inżynier kolejowiec, którego poleciłem do komisji z ramienia MSZ. Był zdenerwowany, zażenowany, że podpisał oświadczenie wbrew własnemu i kolegi zapatrywaniu i że składa oddzielne oświadczenie na piśmie, że NIKARAGUA nie nadaje się dla naszej emigracji.

Telegraficznie poleciłem urzędnikowi poselstwa naszego w Meksyku udać się niezwłocznie do Nikaragui dając mu wytyczne co ma zobaczyć i wydać swoją opinię. Jego meldunek był negatywny co do emigracji z Polski do Nikaragui.

P. Czarniecki nie uzyskał zezwolenia na werbunek. Wkrótce zwinął konsulat i sam wyjechał.

zachodzą w ciągu całego okresu rocznego. Fidler pisał entuzjastyczne artykuły, które po rozgłoszeniu przez prasę o otwarciu się możliwości emigracyjnych na Madagaskar, wywołały ze strony kół narodowych nowe hasło: „Madagaskar tylko dla Polaków” — „Żydzi do Palestyny”.

Te pierwsze możliwości emigracyjne, wraz z informacjami o możliwościach otwarcia emigracji do Ameryki Północnej, przyczyniły się do pewnego odprężenia w naładowanej antagonizmaci atmosferze większych miast.

Wielka Brytania nie dawała nam żadnych obietnic. Miała swoje kłopoty z „wielokrotnie obiecaną” Palestyną i ze starciami arabsko-żydowskimi oraz żądaniem wielu państw, domagających się zwiększenia kwoty żydowskiej. W roku 1936 Wielka Brytania wysłała do Palestyny Komisję Peela, aby raz jeszcze zbadała i ostatecznie zadecydowała o jej losach.

W odpowiedzi na wysłanie do Palestyny Komisji Peela, W. Żabotyński, poparty przez szereg różnych organizacji żydowskich, zgłosił protest przeciwko przeciąganiu sprawy „siedziby żydowskiej” i ponownym komisjom i żądał otwarcia emigracji żydowskiej do Palestyny. „Skupienie się tam, pisał, większej ilości Żydów mogłoby doprowadzić do utworzenia normalnego narodu z pełną strukturą społeczną w ramach własnej państwowości”.

To ciągłe wahanie się Anglików, przeciąganie i odkładanie ostatecznego załatwienia deklaracji Balfoura, bulwersowało młode, aktywne i świadome elementy społeczeństwa żydowskiego na całym świecie. W Palestynie młodzi Żydzi poczęli przechodzić z pozycji biernego oczekiwania na pozycję czynu.

Min. Beck niejednokrotnie występował na terenie Ligi Narodów, podkreślając zainteresowanie Polski sprawą Palestyny, polemizując z projektami Komisji Peela i domagając się *rozszerzenia terytorium żydowskiego o pustynię Negev, dając Żydom w ten sposób dojście do morza Czerwonego.*

W r. 1934 Rosja stworzyła we wschodniej Syberii Autonomiczny okręg Żydowski, pospolicie zwany Żydowską republiką Birobidżan. W latach 1937/38 doszły nas wieści, że Birobidżan jest po prostu miejscem zsyłki dla Żydów, gdzie zdani są na najcięższą pracę. Ich reprezentant Alter coraz rzadziej wspominał o Birobidżanie. Warszawska *Mała Encyklopedia Powszechna* z roku 1959 podaje, że „miasto Birobidżan liczyło 7 tys. mieszkańców, ludność Okręgu 163.000. Ta sama encyklopedia pod hasłem Żydzi, podaje, że miasto liczy 41 tysięcy. Która z tych cyfr jest prawdziwa i czy są jakieś prawdziwe dane na temat

Birobidzanu nie wiadomo. *Encyklopedia Britannica* podaje że w r. 1959 było 162.856 mieszkańców.

Departament Konsularny MSZ nie popierał emigracji do Birobidzanu i nie znam wypadku by jakiś Żyd polski tam wyemigrował.



Tak, w skrócie i zapewne z dużymi opuszczeniami, wyglądała nasza akcja zagraniczna w sprawie żydowskiej.

Jeśli chodzi o *działalność Ministerstwa Spraw Zagranicznych w kraju*, to zadaniem naszym było uświadomienie społeczeństw polskiego i żydowskiego, że zagadnienie emigracji traktujemy jako ważny problem państwowy, obchodzący wszystkich obywateli, a nie jak to niektóre osoby chciały przedstawić, jako próbę ewakuacji Żydów z Polski. Oczywiście mieliśmy na względzie emigrację żydowską i zabezpieczenie ich własnych celów narodowych, o czym będę pisał na dalszych stronach. W każdym razie działania nasze i wpływy nasze zmierzały do tego by z zagadnienia żydowskiego czy emigracji Żydów nie kuto narzędzia politycznego. Wydaje mi się, że po paru latach współpracy z przywódcami żydowskimi, a większość ich była ludźmi o czystych i szlachetnych zamiarach, rozumieliśmy się wzajemnie i ufaliśmy sobie.

Badania i studia dostarczały nam szeregu argumentów do dyskusji i rozładowania podnieconej prasy polskiej i żydowskiej. Dowodziliśmy im jak wielkich wysiłków dokonuje państwo (finansowych i organizacyjnych), by skierować emigrację na właściwe tory i z pożytkiem dla emigrantów i dla państwa.

Od czasu do czasu zwoływałem zebrania przedstawicieli różnych odłamów opinii żydowskiej i razem z nim dyskutowałem kwestię emigracji żydowskiej na terytoria inne niż Palestyna. „Terytorialiści” byli jednak niepopularni w społeczeństwie żydowskim.

W roku 1938 zwołałem wielką konferencję, na którą zaprosiłem wszystkie organizacje żydowskie od konserwatystów po lewicowy Bund. Zaprosiłem również, za poradą Żydów-konserwatystów, cadyka z Góry Kalwarii. Zamiast niego przybył jego zięć, który w imieniu cadyka przeproszał, że ten nie przyjechał na zebranie, ale cadyk nie mówił i nie rozumiał polskiego.

Na tym zebraniu, na wniosek naszego M.S.Z. zgodzono się jednomyślnie (włącznie z syjonistami), że trzeba szukać różnych dróg dla emigracji żydowskiej, która jest konieczna.

Utworzono Żydowski Komitet Emigracyjno-Kolonialny z pro-

fesorem uniwersytetu warszawskiego rabinem M. Schorrem, jako prezesem. Członkami Komitetu zostali: dr H. Rozmarin (w czasie wojny konsul generalny R.P. w Tel-Awivie), sędzia Maksymilian Friede i K. Sachs.

Zadeklarowano, również na tym zebraniu, 5 milionów złotych jako początkowy fundusz emigracyjny. Suma, jak na potrzeby niewielka, ale pozwalająca na niezwłoczne rozpoczęcie niezbędnych prac i ewentualne kupno terenów osadniczych.

Utworzenie Komitetu, zadeklarowane pieniądze (równoważność miliona dolarów) i poważne osobistości, które stanęły na czele tej akcji, powitane były przez całą prasę z uznaniem.

Już po utworzeniu Komitetu zgodziłem się na propozycję mego przyjaciela legionowego, red. Wacława Budzyńskiego, posła na sejm, do odbycia rozmów z przedstawicielami prasy „narodowej”. Spotkanie odbyło się w jego mieszkaniu. Przedstawiłem zebranym katastrofalną sytuację Żydów i ich szczerą dążenie do zmniejszenia ilości Żydów w Polsce i prosiłem o pomoc, by ze sprawy żydowskiej nie robiono odskoczni politycznej, gdyż to przeszkadza sprawie emigracji na terenie międzynarodowym. Po tym zebraniu odbyło się drugie i trzecie. Mam prawo powiedzieć, że uważałem wyniki tych zebrań za udane. Najlepiej zareagowali młodszy wiekiem redaktorzy pism nacjonalistycznych, co tłumaczyłem sobie, że myślą kategoriami raczej państwowymi niż wąsko-partyjnymi.



To co napisałem powyżej, było jawne i publiczne, tak w stosunku do Polaków jak i Żydów.

Istniała natomiast strona tajna, ukryta przed oczami wszystkich. O niej wiedziało parę osób, wtajemniczonych. Niektóre szczegóły podałem kiedyś W. Pobóg-Malinowskiemu, który rzeczy te opublikował w swojej *Najnowszej Historii Polski*.

W dyskusjach i analizach, które przeprowadzaliśmy w łonie Departamentu Konsularnego, uznaliśmy, że stanowisko nasze pokrywa się kompletnie ze stanowiskiem Żydów syjonistów-rewizjonistów i organizacji do nich zbliżonych.

Zawierało się ono w zdaniu: *Żydowska, niepodległa Palestyna, możliwie jak największa, z dostępem do morza Czerwonego.*

Wyciągnęliśmy z tego wnioski: należy popierać wysiłki organizacji niepodległościowych wszechstronnie, pieniędzmi i wyszkoleniem bojowym.

Istniały dwie żydowskie organizacje wojskowo-niepodległościowe, z którymi podtrzymaliśmy kontakt: „Irgun Zwi Leumi”, organizacja wyłoniona przez Syjonistów-Rewizjonistów, kierowa-

nych przez W. Żabotyńskiego, oraz „Hagana”, reprezentantka lewicy syjonistycznej, zresztą dość zasobna w broń i pieniądze.

Poznałem w Warszawie, przedstawionego mi przez Żabotyńskiego, przywódcę „Irgunu” Abrahama Szterna, który wołał używać nazwiska hebrajskiego Ben Mosze. Pod takim był znany powszechnie w Palestynie. Ben Mosze urodził się w Polsce. Wychowany na naszych poetach romantycznych (uwielbiał Słowackiego) i na naszych bohaterach narodowych, za wzór stawiał sobie, tak samo jak i Żabotyński, Józefa Piłsudskiego, którego wypowiedzi znał na pamięć i często przytaczał.

Ben Mosze był doskonałym przywódcą, fanatycznym zwolennikiem zdobycia niepodległości Palestyny, własnym, krwawym wysiłkiem. Za Adamem Skwarczyńskim powtarzał: „państwo zdobywa się krwią, buduje pracą”. Miał twarz i oczy proroka żydowskiego. Wyglądał na tego kim był: na poetę i żołnierza, ale był również chłodnym, spokojnym politykiem.

Gdy zginął liczył niewiele ponad 30 lat.

W. Żabotyński wraz z Ben Mosze zgłosili się do M.S.Z. z prośbą o pożyczkę pieniężną i o możliwość przeszkolenia swoich wybranych ludzi w dywersji. Prosilili również o broń.

„Hagana”, po dyskusji i uchyleniu się przez nas od rozmów na tematy finansowe i uzbrojenia (znaliśmy ich dobry stan finansowy i ich możliwości samodzielnego zaopatrzenia się w broń), prosiła nas o pomoc w szkoleniu wojskowym i dywersyjnym przez nasze wojsko.

Całość zagadnienia palestyńskiego i konieczność, moim zdaniem, popierania ruchu niepodległościowego, jak również sprawę pomocy technicznej i finansowej, przedstawiłem ministrowi Beckowi do decyzji. Minister po krótkiej dyskusji i poleceniu zachowania poufności w naszych poczynaniach, dał swoją zgodę na popieranie przez Departament Konsularny niepodległości Palestyny żydowskiej, oraz wyraził zgodę na wyasygnowanie z mego budżetu ponad 200,000 zł. do dyspozycji W. Żabotyńskiego, jako pożyczki częściowo w gotówce, częściowo w sprzęcie wojennym¹⁵.

Co do sprzętu wojennego jak i przeszkolenia żołnierzy „Irgunu” i „Hagany” przez nasze jednostki wojskowe, min. Beck przyrzekł porozumieć się z marszałkiem Śmigłym.

W ciągu paru dni dostałem zgodę na całość planu.

15. Odbiór pożyczki tej w wysokości 212.000 zł. był potwierdzony w maju 1939 r. przez Organizację Syjonistów Rewizjonistów, w liście do mnie i przez W. Żabotyńskiego w liście do dr. Zarychty. Listy te są reprodukowane na str. 76 i 77. Pożyczka ta dotąd nie została zwrócona.

Żołnierze „Irgunu” i „Hagany” byli szkoleni w naszych obozach w Rembertowie, Andrychowie i Warszawie.



Pani Strasman-Lubińska, jedna z wybitnych członkiń „Irgunu” w liście do Pobóg-Malinowskiego z Izraela pisała¹⁶:

„Najważniejszym i najciekawszym psychologicznie, socjalnie i historycznie, było przejście asymilujących się Żydów polskich na tor bojowo-wyzwoleńczy. Z głęboką wdzięcznością przypisuję mój cały, zdrowy, narodowy żydowski rozwój temu właśnie, że byłam wychowana jako dziecko w legendarie Legionów Piłsudskiego, jako młoda dziewczyna na zmaganiach się wewnętrznych w Polsce, że skończyłam gimnazjum państwowe w Warszawie, że miałam ten „gojowski” podkład w stawianiu się psychicznym”.

O żołnierzach Piłsudskiego pisał:

„Czy w ogóle mogły istnieć grupy sobie bliższe? — oni, którzy poszli z motyką na słońce i mierzyli siły na zamiary, — i my, którzy czasem wydawaliśmy się sobie grupą szaleńców”.



W roku 1941 zostałem ze Stambułu ewakuowany do Palestyny, gdzie dostałem nakaz zamieszkania w Tel-Awivie.

Niezwłocznie nawiązałem kontakt z Ben Mosze. Widywaliśmy się często i rozmowy z nim robiły na mnie duże wrażenie, przypominały mi moją wczesną młodość. Legiony, Polską Organizację Wojskową, konspirację, internowanie i wreszcie Wojsko Polskie. Rozumieliśmy się jak dwaj starzy przyjaciele. Ben Mosze poznałem z b. premierem Januszem Jędrzejewiczem i jego żoną. Wkrótce się z nimi zaprzyjaźnił i cenił sobie ich przyjaźń.

Spotkania nasze odbywały się po uprzednim przysłaniu przez niego łączniczki z uprzedzeniem o zamiarze przyścia (Ben Mosze musiał ukrywać się przed poszukującą go policją brytyjską).

Złożyłem również wizytę prezesowi Agencji Żydowskiej Ben Gurionowi i jego podwładnym urzędnikom pp. Czertokowi i Grünbaumowi, b. posłowi na sejm R.P.

Zostałem zaskoczony stanowiskiem Ben Guriona, który wyraził przekonanie, że imigracja do Palestyny musi być powolna, dawkowana w małych ilościach, gdyż teren nie jest przygotowany na imigrację masową, oraz — że jest przeciwny niepodległości i wszelkim akcjom robionym przez zwolenników Żabotyńskiego.

Z jego wypowiedzi i opinii innych urzędników agencji, wyrobiłem sobie zdanie, potwierdzone przez żydowskich działaczy niepodległościowych, że Ben Gurionowi wystarczy autonomia pod berłem króla angielskiego.

16. W. Pobóg-Malinowski: *Najnowsza Historia Polski*, t. II.

Wypadki lat późniejszych zmusiły go do zmiany poglądów, pod presją faktów dokonanych przez młode doły żydowskie, biorące czynny udział w walkach o niepodległość państwa żydowskiego.

Parokrotnie w moim życiu byłem świadkiem, jak u g o d a w sprawach bytu narodu, łamie się pod naporem idei dynamicznej, opartej o żywioł ideowy, ofiarny i młody.

Tak było u nas przed i podczas I wojny światowej, tak samo było z ugodowcami żydowskimi we wszechwładnej Agencji Żydowskiej w Jerozolimie; obecnie jestem świadkiem kruszenia się szerokiego frontu ugody proanglosaskiej w kanadyjskiej prowincji Quebec na rzecz młodego ruchu niepodległościowego Francuzów quebeckich, podbitych przez imperium brytyjskie.



Ben Mosze skontaktowałem z Melchiorom Wańkowiczem, przebywającym w Palestynie jako uchodźcą, który pisał książkę-reportaż o Żydach¹⁷. Uważałem, że nie powinno było zabraknąć głosu niepodległościowców. Ponadto chodziło mi o przekazanie przez Wańkowicza do prasy zagranicznej, z którą jakoby miał kontakt, koncepcji wysuwanej przez Ben Mosze, jako przywódcy „Irgunu”, umiędzynarodowienia miejsc świętych w Jerozolimie: chrześcijańskich, żydowskich i muzułmańskich. Ben Mosze wyobrażał sobie, że Watykan powinien się tym problemem zainteresować i choćby pośrednio poprzeć dążenie niepodległościowe Żydów. Jak wiemy obecnie, Watykan, po ostatniej wojnie żydowsko-arabskiej, wysunął identyczną propozycję.

Ben Mosze, a później jego następca, pomagali grupie piśsudczyków w wydawaniu periodyku pn. *Biuletyn Niezależnych*. Byłem redaktorem, wydawcą i kolporterem tego nielegalnego i zakonspirowanego przed Anglikami i rodakami — dwutygodnika. Pomoc „Irgunu” polegała na odbijaniu, napisanych przeze mnie woskówek na ich własnym papierze w kilkuset egzemplarzach. Pismo było opozycyjne w stosunku do rządu Sikorskiego i wrogie w stosunku do Rosji Sowieckiej. Woskówki doręczałem moim łącznikom: pp. Marysi Przewłockiej i Stasi Beckerównie celem dostarczenia do kwatery „Irgunu”. One też przynosiły mi powielone egzemplarze, gotowe do rozpowszechnienia.

Ben Mosze, niestety, nie doczekał się upragnionej niepodległości.

Celem dokonania rewizji w jego mieszkaniu, gdzie przebywał z żoną, wszedł oficer policji brytyjskiej z policjantem Ży-

17. M. Wańkowicz: *De profundis*, Tel-Aviv, rok 1943.

dem¹⁸. Gdy Ben Mosze odwrócił się, by na polecenie wziąć płaszcz, padł strzał do odwróconego tyłem. Kto strzelił? Anglik? Żyd?

Zginął 11 lutego 1942.

Wskazano mi miejsce na cmentarzu w Tel-Awivie, gdzie go pochowano. Na świeżym grobie złożyłem wiązanek białoczerwonych kwiatów w imieniu pp. Jędrzejewiczów i swoim.

Zastępca Ben Mosze nawiązał ze mną kontakt i w dalszym ciągu okazywał w imieniu „Irgunu” pomoc w odbijaniu *Biu-letynu*.

W Tel-Awivie chodziłem na zebrania polskie i od czasu do czasu na żydowskie. Czułem, że jestem obserwowany tak przez policję brytyjską jak i przez rodzimą dwójkę. Parokrotnie zdarzyło się, że przed wejściem do lokalu żydowskiego, zostałem wcześniej ostrzeżony: „nie wchodzić” lub „obstawione”.

Na jednym z takich zebrzań żydowskich zwrócił się do mnie pewien Żyd (oficer WP, znałem go z widzenia) z poufną prośbą o... spowodowanie bezterminowego urlopowania, kaprała Begin¹⁹ z komendy miasta w Jerozolimie. Zacząłem go „przyciskać” — powiedział mi, raczej dał do zrozumienia, że chodzi o obsadę „Irgunu”. Byłem wtedy jeszcze, z woli gen. Sikorskiego, w cywilu, ale znałem dobrze zastępcę gen. Andersa, gen. Karaszewicz-Tokarzewskiego, który miał swoją kwaterę nieopodal Tel-Awivu, w Rehovot. Sprawę z gen. Tokarzewskim załatwiłem pozytywnie (powiedziałaaby pani Strasmanowa: znów te powiązania legionowe!). Generał, twórca Związku Walki o Wolność w r. 1939, był bardzo ujęty postawieniem sprawy przez Begin, który, jako przyszły, słynny i dzielny dowódca „Irgun Zwieli Leumi”, chciał sprawę wyjścia z wojska załatwić nie przez zwykłą, łatwą, dezercję, ale jako formalnie urlopowany, bezterminowo.

Takie żołnierskie postawienie sprawy nie było odosobnione u naszych żydowskich kolegów-oficerów. Po powołaniu mnie do wojska przez gen. Sosnkowskiego, dostałem przydział do sztabu gen. Wiatra, dowódcy wojsk naszych w Egipcie i Palestynie. Zgłosił się do mnie major NN z Virtuti Militari za wojnę z bolszewikami i prosił mnie o wstawiennictwo do generała Wiatra, który ścigał Żydów dezertujących z wojska, by zezwolił mu wstąpić do walczącego podziemia żydowskiego. Gen. Wiatr, mimo swej przeszłości legionowej, nie potrafił jakoś zrozumieć kwestii żydowskiej. Robił dla odmiany politykę pro-arabską niezręcznie i bez większego powodzenia.

18. W Palestynie, pod dowództwem angielskim, działały dwie policje — żydowska i arabska. Mundury ich były różne.

19. Begin, adwokat warszawski.

Po dłuższej rozmowie z gen. Wiatrem udało mi się przekonać go by przyjął majora NN, którego znał bardzo dobrze, (NN był w jego sztabie) i by dał mu urlop bezterminowy.

Moje stanowisko sprzyjające niepodległości Żydowskiej Palestyny było dość dobrze znane kolegom Żydom. Mimo to byłem zdziwiony, nierzadko wzruszony, gdy młodszy wiekiem i stopniem nieznani mi oficerowie Żydzi przychodzili do mnie by, jak to mówili z uśmiechem, „odmeldować się przed dezercją”.

Rozumiałem ich i szczerze życzyłem szczęścia wojennego i uzyskania niepodległości.



Żydowskie organizacje bojowo-niepodległościowe w latach 1945-1946, zdobywały sobie coraz większe uznanie i posłuch w żydowskim społeczeństwie Palestyny. Bez tego współdziałania nie do pomyslenia byłoby choćby działanie, nigdy niewykrytej podziemnej radiostacji żydowskiej, symbolu myśli i niepodległościowego czynu żydowskiego.

Anglicy z przysłowiowym brakiem wyobraźni i ślamazarnością działania, byli wymarzoną celą aktów dywersyjnych, rozbitych tuż pod okiem ich silnych i świetnie wyekwipowanych oddziałów wojskowych. Porywano w biały dzień, z ulicy lub kasyn oficerskich, oficerów brytyjskich jako zakładników, wysadzano samochody wojskowe na szosach, wykonywano akty sabotażu na poważne obiekty wojskowe, powodowano fałszywe alarmy, które były prawdziwą udręką flegmatycznych Brytyjczyków. Ukoronowaniem wszystkiego było wysadzenie w centrum Jerozolimy — Brytyjskiej Kwatery Głównej, znajdującej się w hotelu King David. Patrzyłem na to z bezpiecznej odległości. Młodzi, przebiegający około mnie dywersanci żydowscy, ostrzegali mnie bym schował się do bramy domu, bo będzie wkrótce strzelanina.

Do mnie i między sobą mówili po polsku.

Jako przykład przyjaznego stosunku „Irgunu” i „Hagany” do naszych oddziałów w Palestynie, było zwrócenie się jednej z tych organizacji do pułk. Marszałka, dcy wojsk w Palestynie, z życzeniem, by polskie samochody wojskowe miały wymalowane proporczyki na drzwiach samochodowych. Proporczyk biało-czerwony, widziany z daleka przez obserwatora żydowskiego, zapobiegał odpaleniu miny na drodze czy szosie, po której krążyły samochody brytyjskie.

Aż do mego wyjazdu w r. 1947 nie mieliśmy wypadku ani w ludziach ani w sprzęcie.

Wiktor Tomir DRYMMER

TELEPHONE 1
PRIMOS 5411-2 (2 Lines)

TELEGRAMS: NEWZO, LONDON.

47, FINCHLEY ROAD.

LONDON, N.W.8.

«Pan Naczelnik
A. Zarychta
Ministerstwo Spraw Zagranicznych
Warszawa

Monsieur le Commandant,

Grâce à votre aimable intervention nous avons réussi à réaliser une importante transaction représentant une valeur de 212 mille z/p.

Permettez moi de vous exprimer, ainsi qu'aux Chefs dont le consentement a couronné vos efforts, ma reconnaissance la plus profonde. Je suis convaincu que les résultats de cette opération, utiles et honorables, seront appréciés par tous.

En même temps, je tiens à confirmer, au nom de mes amis ainsi qu'au mien, que nous considérons le crédit qui nous a été accordé par votre entremise comme une dette d'honneur et que nous ferons tout ce qui est dans notre pouvoir pour la payer dans l'avenir le plus proche.

Veuillez agréer, Monsieur le Commandant,
l'assurance de ma très haute considération

Vladimir Jabotinsky

Varsovie, le 12 Mai 1939

I have examined this copy with what purports to be the original of the same and this copy is an exact duplicate of the said purported original.

Nancy S. Williams
A Notary Public in and for the Province
of Ontario in the Dominion of Canada.

Telephone: FRANKSON 5411 (a Hand)

Telegrams: NEWZO, LONDON.

הנשיאות

PRESIDENCY OF THE NEW ZIONIST ORGANISATION

Dep. CO. מוזר

47, Finchley Road,

No. מסר

London, N.W.8.

1. May 1939

Dear Sir,

I Was informed that your kind helpfulness made possible the acquirement of goods for an amount exceeding the sum of 200000 zl.

I should like to express my profound thankfulness to you. I do hope that this help will be a big step towards the realisation of our aims, and then it will be possible to refund the debt.

Yours very sincerely

F. Ben-Dor

I have examined this copy with what purports to be the original of the same and this copy is an exact duplicate of the said purported original.

Harry S. Wilkin
A Notary Public in and for the Province of Ontario in the Dominion of Canada.

WSPOMNIENIA

Stanisław KOT

WSPOMNIENIA (III)

Na szczęście odszedł na emeryturę stary dyrektor Lercel, raczej nadający się na urzędnika podatkowego niż głowę gimnazjum, i przyszedł nowy dyrektor, stosunkowo młody, któremu nasze gimnazjum zawdzięczało oczyszczenie z naleciałości i podniesienie poziomu pod każdym względem. Był to ongiś uczeń rzeszowski, rodem ze wsi Blizne w pow. brzozowskim, Józef Nogaj, doskonały filolog klasyczny i polonista. Wysoki, prosto się trzymający, ze srebrną siwiejącą głową, zaintrygował nas od pierwszego pojawienia się. Nigdy nie podnosił głosu, nigdy się nie irtował, przeważnie milczał, ale uważnie wszystko i wszystkich obserwował i bez końca coś zapisywał w czarnooprawnej księdze, z którą się nie rozstawał. Niepokoiło nas, co on zauważa i co tam zapisuje. Jak się dowiedzieliśmy, zapisywał w tej księdze szczegóły o każdym uczniu i o każdym profesorze. Co z profesorami omawiał, tegośmy nie wiedzieli, ale gdy czasem, co bywało bardzo rzadko, wezwał jakiegoś ucznia, tonem spokojnej perswazji przypominał mu wszystko, cokolwiek kiedyś zrobił lub powiedział niewłaściwego. I nie gniewał się przy tym, ale przekonywał, że to nie doprowadzi do niczego dobrego. Trudno było z nim dyskutować, ale często trzeba się było wstydić tego co przypominał, tym bardziej, że przypominał różne wyczyny, o których winowajcy nie przypuszczali że są jemu wiadome. Tą taktyką i cierpliwością oraz pewną tajemniczością doprowadził do tego, że wobec niego każdy się czuł onieśmielony i zakłopotany, bez krzyków, pogroźek, przezwisk itp.

Otóż dyr. Nogaj zajął się i oczyszczeniem grona profesorskiego z nieodpowiednich członków i podniesieniem nauczania w klasach. Kontrolował często, wymagał wiele, a znał się doskonale

na każdym przedmiocie nauki szkolnej. Zajścia wyjątkowo kłopotliwe rozładowywał swoją taktyką milczenia. O wielu udawał, że nie widział i nie wiedział. Zauważyliśmy to bardzo szybko w kościele na nabożeństwach galowych. Poprzedni dyrektor, i na jego nacisk profesorowie, natarczywie żądali od nas, aby w jakąkolwiek rocznicę śmierci lub imienin członków dynastii cesarskiej nie tylko nie brakowało nikogo w kościele, ale żeby wszyscy śpiewali z zapalem hymn państwowy „Boże wspieraj, Boże ochroń nam Cesarza i nasz Kraj itd.”. Dyr. Nogaj na każde takie nabożeństwo przychodził w urzędowym mundurze w pozłanym hełmie na głowie, stawał u drzwi kościelnych, uważnym wzrokiem patrzył na młodzież, a kiedy na organach zabrzmiał Hymn państwowy, sam mu dyskretnie wtórował i nigdy nie zauważył, że młodzież podczas tego zachowywała skupione milczenie. Nigdy nie odbyła się żadna rozmowa ani wymówka na ten temat. W gruncie rzeczy baliśmy się więcej milczenia dyrektora aniżeli krzyków jego poprzednika.

Już my zastaliśmy, jako tradycyjny zwyczaj, manifestowanie przez młodzież gimnazjalną, co roku 3 maja, pochodem z pochodniami pod „Krzyż” na drodze do Przybyszówki, gdzie byli pochowani rzekomo powstańcy. Wieczorem gromadził się tłum młodzieży i szybkim marszem wędrował tam ze śpiewem pieśni narodowych, pod krzyżem ktoś krótko przemawiał i rozchodzono się. Pochody te były nielegalne, obserwowali je zdenerwowani komisarze policji i bywały o to jakieś dochodzenia. Za dyr. Nogaj nastąpiła zmiana: 2-3 profesorów przyłączało się do pochodu z miną tajemniczą i nazajutrz w szkole — cisza panowała na ten temat.

Tak samo 1 Maja gdy robotnicy socjalistyczni urządzali pochód przez miasto bocznymi ulicami, niektórzy uczniowie po cywilnemu a śmiałkowicie nawet w mundurach do pochodu się przyłączali. Nikt o tym w szkole nie wspominał, mimo że właśnie w 1901 r. Rada Szkolna Krajowa okólnikiem, odczytywanym w klasach, zabroniła uczniom szkół średnich „wszelkiego udziału w demonstracjach ulicznych, pochodach i zbiegowiskach”.

Młodzież sama wywoływała zajścia, po których obawiała się nieprzyjemnych konsekwencji. Przykry epizod zaszedł w klasie VII z kolegą Węglarzem. Był to największy siłacz w gimnazjum, już przed laty nagrodzony za rzut dyskiem na konkursie Sokoła we Lwowie. Swą herkulesową siłę otrzymał on w dziedzictwie po ojcu, gospodarzu w Lipnicy pow. Kolbuszowskiego. Opowiadał nam, że kiedy raz ojca czymś zirytował, ten schwycił leżący obok orczyk i uderzył go nim w głowę. Kolega zemdłał, ale gdy wreszcie odzyskał przytomność, ojciec mruknął: „a przecież mia-

łem miarę w garści!” Węglarz zapalony był do gimnastyki, innych to śmieszyło, mimo namów profesorów większość uchylała się od niej i reklamowane przez nich hasło: „W zdrowym ciele zdrowy duch!” wykręcała na: „W zdrowym ciele zdrowe ciele!” Węglarza to nie zrażało, dźwigał ciężary, odprawiał ćwiczenia na trapezach i drążkach, a zaglądając wciąż do sali Sokoła, lubił się z ubocza przypatrywać ćwiczeniom panienek ze szkoły żeńskiej, wśród których była jego sympatia (bez wzajemności), panna Reszkówna. Wpada raz ktoś wieczorem do naszego pokoiku, w którym gwarzymy z Bunikiewiczem i Dutkiewiczem, i opowiada, jak owa panienka oburzyła się podpatrywaniem nieuznawanego adoratora i zawołała do koleżanki: „Lepiej by się wziął do wideł i do cepów zamiast tu za nami łązić!” Strzeliło nam do głowy, aby to zażście upamiętnić. Leżał zeszyt na stoliku: Dutkiewicz zaczął w nim rysować sceny żartobliwe z Sokoła, Bunikiewicz wpisał kilka zaimprovizowanych wierszy o nieszczęśliwych zalotach kolegi Węglarza, a ja dodałem parodię popularnych piosenek, np. melodię krakowiaka:

*„Genia Reszko powiedziała,
przeklęte dziewczysko,
żebyś chwycił cepy w łapy,
poszedł na boisko itd...*

A na melodię pieśni: „Za Niemen het precz”:

*Mój ty Jasiu mój, mój, mój!
przez doły, wertepy,
bierz widły, bierz cepy,
rozrzucać idź gnój!*

Zeszyt rano zawędrował do szkoły i gromada kolegów otoczyła kolegę Ruzamskiego, który głośno odczytywał jego zawartość. W tłum ryczący z śmiechu wszedł i Węglarz i dosłyszawszy coś o sobie, z krzykiem rzucił się na katedrę, tłum się rozleciał, ale on dopadł do Ruzamskiego i z wściekłością pobił go. A że ten hałas zamącił ciszę szkolną, stanął przed klasą dyr. Nogaj i z ponurą miną spoglądał na dramat. Koledzy, pomstując na Węglarza, nie ośmielili się jednak tknąć siłacza, on zaś w milczeniu wyszedł z klasy i ze szkoły i — nie wrócił. Byliśmy struci tym zajściem. Przez jednego z profesorów wybadywaliśmy, co dyrektor pocznie. Oświadczył, że w tej chwili nic, Węglarz wprawdzie pokazał, że nie rozumie żartów i zachował się brutalnie, ale również odpowiedziałni są ci, co go szyderstwami podrażnili i publicznie ośmie-

szyli — powinniście już na tyle być dojrzały, aby takich scen nie wywoływać. Za kilka dni zapanowała cisza, Węglarz wrócił do szkoły i nikt z nim na ten temat nie podjął rozmowy. Dyrektor zalecił milczeniem pokryć zajście.

W parę miesięcy przyszło do masowej awantury z OO. Bernardynami, opiekunami klasztoru z Cudowną Matką Boską. Późnym zimowym wieczorem dowiadujemy się, że parobek klasztorny pobił kolegę Artura Kopacza a gwardian jeszcze go za to na oczach pobitego pochwalił. Przyczyną było to, że kol. Kopacz przełaził przez mur, ażeby poprzez ogród klasztorny skrócić sobie drogę na Ruską Wieś w odwiedzinach do swojej sympatii. Złapał go w przebiegu przez ogród parobek, pobił i zawłókł przed gwardiana, który ordynarnie i „per ty” potraktował usprawiedliwiającego się studenta. Wzburzenie ogarnęło wszystkich. Oba polityczne obozy — kol. Kopacz należał do przywódców Narodowców — jednomyślnie uznały, że trzeba zgodnie pomścić zniewagę kolegi.

Nazajutrz, w niedzielę rano, po nabożeństwie w kościele Piarskim — a było wtedy młodzieży ponad 800 — zaczął się formować pochód czwórkami; od udziału usunięto tylko malców z I i II kl. Wędrując do Bernardynów, po drodze zbrojono się w kije, kamienie, i grudy ośnieżone. Tłum z hałasem wpadł na podwórze klasztorne i kościół, pełen wiernych czekających na sumę, odciął od klasztoru, z którego żaden zakonnik nie mógł się do kościoła przedostać. Gromada napastników wygrażała się kijami i kamieniami, publiczność zastraszona nie wiedziała o co chodzi. Po pewnym czasie nadszedł wysłannik od gwardiana: „Przyślijcie, panowie studenci, delegatów do wyjaśnienia, o co wam chodzi, przecież Ojciec gwardian nie może z tłumem rozmawiać a tu ludzie czekają na sumę”. Poszło nas 5-ciu delegatów, którym towarzyszył i Węglarz jako ochrona przed nieprzewidzianym niebezpieczeństwem. Ojciec gwardian przyjął nas bardzo uprzejmie, chciał częstować jakimś napojem — wymówiliśmy się; pokazywał kolekcję wspaniałych motyli na ścianie — odwróciliśmy się od niej, żądając przeproszenia pobitego kolegi i całego obrażonego gimnazjum. „Proszę ułożyć tekst oświadczenia, jakiego chcecie!” Układamy, gwardian się sprzeciwia pewnym zwrotom, ale jeśli je usuniemy, gotów przyjąć. Wtem strażujący przy oknie Węglarz podsuwa się ku nam: „Kończcie, bo już weszli do klasztoru dyrektor Nogaj i kanonik Karakulski, chłopcy drzwi wstrzymywali ale ulegli i oni tu zaraz wejdą”. Więc my, delegaci, nagle zadawałamy się zgodą gwardiana na formułę a już słyszymy mocne stuki do drzwi, uchylamy — dyrektor i ksiądz z groźną miną stoją przed nami. A my z okrzykiem: „Już nas

przeprosił!” wypadamy z gabinetu gwardiana. Nie doszło do żadnej wymiany słów, pędzimy z piętra w dół i ogłaszając tłumowi kolegów zwycięstwo, wzywamy ich do opuszczenia korytarzy, przejść i zakamarków i do rozejścia się w spokoju.

Z wielkim niepokojem oczekujemy, co będzie w poniedziałek w szkole. A tu nikt się nie odzywa. Milczenie — zwyczajem dyr. Nogaja. Na zjeździe 20-lecia nie wytrzymał i pytamy dyrektora, czy pamięta najście na Bernardynów. Dlaczego nie zareagował na nie? A na to dyrektor: „A jakież by to cel miało? Myśmy pragnęli, by się młodzież uspokoiła. Gdyby sprawę urzędowo załatwiać śledztwem, protokołami i karami to by z pewnością przyszło do wiele gorszych awantur. Bernardyni zrobili głupstwo, więc musieli za to coś wycierpieć. Całe grono podzieliło moje zdanie, X. Karakulski trochę mruzczał, ale musiał sobie dać narzucić tę taktykę pokojowego rozładowania awantury”.

W PIERWSZEJ KLASIE

Pierwszy rok mego pobytu w gimnazjum nie pozostawił mi wesołych wspomnień. Nie z powodu szkoły: tam, w klasie I C wśród kolegów stłoczonych w ubocznym kącie podwórza słuchałem wszystkiego, co zespół niezbyt atrakcyjnych profesorów wykladał. Pamięć była tak chwytna, że wszystko bez różnicy, łacina, gramatyki, geografia, arytmetyka wpadało w nią na trwałe; bez przerabiania lekcji w domu, bez zaglądania do książek, reprodukowałem wszystko na wezwanie. Ale zaciekawienie do niczego się nie rozbudziło. Także i nie do kolegów. Chłopacy ze wsi przeważnie byli przytłoczeni nauką i „kuli”, jak się mówiło, z podręczników, koledzy miejscy niebardzo przyswajali sobie materiał naukowy. Jednego z nich, syna prokuratora, gospodarz klasy polecił mi przygotowywać do lekcji; wstępowałem tam i przerabiałem co było zadane, ale z małym skutkiem: chłopiec niezdolny nie mógł sobie dać rady, ojca to gniewało i uderzał go, matka podrażniona tym — płakała. Zarobione tą przykrą funkcją guldeny przydawały mi się na drobne wydatki, ale odetchnąłem, gdy owe lekcje się skończyły, to środowisko dla mego rozwoju nic dać mi nie mogło.

Wśród podmiejskich mieszkańców, półchłopów-półrobotników, wzywano mnie czasem do pisania próśb i listów. Większy sukces miałem w jednej rodzinie: młoda mężatka z dziećmi lamentowała, że mąż pojechawszy do Ameryki dla zarobku, nic nie przysyła i nic nie pisze, że łzami odmalowała mi swoją sytuację, prosząc aby w jej imieniu mężowi opisać wszystko o niej i o dzie-

ciach. List pomógł: mąż się nim wzruszył i nie tylko zaczął pisać, ale i przysłał sporo dolarów, kobiecina odwodziła mi się tak hojnie, że mogłem sobie za to kupić płaszcz zimowy.

Mieszkając daleko od miasta, dotkliwie odczuwałem brak towarzystwa, rówieśników i kolegów. Więc nauczyłem się samotnych wypraw w puste pola i wzgórza, także i wieczorem gdy gwiazdy zjawiały się na niebie. W tych wyprawach tłumne myśli przewijały się przez głowę a wpatrywanie się w konstelacje na horyzoncie wzbudziło zaciekawienie zagadkami wszechświata. W klasie koledzy nieraz opowiadali o zbiorowych grach i zabawach po przeciwległej stronie miasta, nad Wisłokiem, o wyprawach na Łysą Górę itd.; zazdrościłem im tego.

Mój gospodarz, przedobry człowiek, ale zapracowany na kolei, raz tylko wyprawił się ze mną do miasta. Była to niezwykła okoliczność: wybory do parlamentu wiedeńskiego z tzw. V kurii — po raz pierwszy powszechnym głosowaniem. Kandydatem porozumienia chłopów-ludowców i robotników-socjalistów był Tomasz Szajer, popularny stojałowczyk ze Słociny, zamożny chłop o potężnej i zapasionej postaci, tłustej, czerwonej twarzy. Kandydatem ugodowego, przez konserwatystów urządzonego Koła Polskiego, był Gustaw Holzer, notariusz, właściciel majątku Budy Głogowskie. Ordynacja wyborcza celowo otworzyła ogromne okręgi dla V kurii z głosowaniem w jednym tylko miejscu, w stolicy okręgu. Toteż już od poprzedniego dnia wędrowały tłumy i jechały fury chłopów z północy od Tarnobrzega, z południa od powiatów brzozowskiego i strzyżewskiego. Ten ogrom ludzi głosował w starostwie, które się mieściło w części kolegium pijarskiego obok naszego gimnazjum. Że się źle dzieje, odczuliśmy to już w południe, gdy przerwano naukę i młodzież rozpuszczono, torując nam drogę przez ulicę Pańską pośród tłumu wyborców i szeregów c.k. ułanów na koniach z dobytymi szablami. Tłum wrzał i odgrzała się. Ukazywano chłopą któremu szarża ułanów odcięła rękę. Była to kara za to, że chłopci obmyślili sobie swoistą metodę demaskowania „zdrajców”. Podczas głosowania — a odbywało się jawnie — w ścisiku nie zauważono, że otaczający wyborcę sąsiedzi kredą znaczyli krzyżyk na jego plecach; gdy wyszedł z sali, tłum, rozpoznając „zdrajcę” częstował go uderzeniami pięści i lassek. Aby bronić swoich zwolenników, starostwo zawezwało ochronę zbrojną i ta ostro siekała. Uboższa ludność Rzeszowa i przynależnych do okręgu miasteczek bardzo głośno o to szemrała. Wzburzenie było tym większe, że w przeddzień wyborów starosta zarządził aresztowanie Szajera, pod zarzutem zgwałcenia kogoś, i osadzono go w kryminale na zamku rzeszowskim, oddalonym o 3 minuty od miejsca głosowania. W jawnym głosowaniu trudno było

fałszować wynik wyborów: popołudniu ogłoszono zwycięstwo Szajera znaczną większością głosów. Zgorączkowany przebiegiem mój kolejarz wpadł do domu, pociągnął mnie za rękę: „idziemy do Bernardynów podziękować cudownej Matce Boskiej za zwycięstwo”. Tłum był niezliczony i podniecony. U muru klasztornego, pod malowidłem Matki Boskiej, śpiewano najpierw „Serdeczna Matko” a zaraz potem Czerwony Sztandar i zakończono wezwaniem: „A teraz pod kryminał! do Szajera!” Poszedłem i ja z nimi. Morze głów i lasek oblało stary zamek Lubomirskich, delegacja uzyskała od naczelnika więzienia, że pozwolił Szajerowi otworzyć okno celi i ukazać się wyborcom. Witały go potężne okrzyki, on kłaniał się i dziękował.

A tej samej chwili siadał w Krakowie do wiedeńskiego pociągu Ignacy Daszyński, właśnie wybrany z krakowskiego okręgu przy pomocy głosów chłopskich i rano stanąwszy w parlamencie, w namyślnym przemówieniu zażądał od ministra spraw wewnętrznych natychmiastowego zwolnienia z kryminału w Rzeszowie reprezentanta woli ludu. Odmalował patetycznie jego położenie: człowiek chory, gruźlik, może przepłacić to życiem! Przerażony minister posłał zarządzenie telegraficzne i już następnego ranka zjawił się w parlamencie Szajer ze swoją tuszą i rumieńcami. Pośmiewano się trochę z przesady Daszyńskiego, ale on tryumfował, że pierwsze jego wystąpienie w parlamencie odniosło sukces, który zapoczątkował jego wieloletnie laury oratorskie. A myśmy biegali po ulicach Rzeszowa z grupami kolejarzy, śpiewając czyjąś improwizację:

*Jeszcze Polska nie zginęła,
póki Szajer żyje
a pan Holzer Budy sprzedał
na agitację... itd.*

Opowiadano humorystyczne epizody z walki wyborczej, w której istotnie przekupstwo, wódka, i poczęstunki, tzw. kiełbasa wyborcza, grały wielką rolę. W sądzie powiatowym odbyła się rozprawa: wójt okoliczny skarżył komisarza starostwa w Rzeszowie o obrazę. Podczas akcji przedwyborczej wystąpił on wobec komisarza z zażaleniem na pewne stronnnicze zarządzenia, dokuczliwe dla kandydata chłopskiego. Komisarz odmówił, a gdy chłop nacierał, komisarz krzyknął doń: „Całuj mnie w i wynoś się!” Wójt zaskarżył o to komisarza; na rozprawę w sądzie komisarz się nie stawiał. Sędzia od razu zajął stanowisko negatywne wobec skargi chłopca: „Wycofajcie skargę, nie wygracie, to co pan komisarz powiedział, to przecież nie jest żadna obraza!” „Co? —

oburzył się chłop — powiedzieć komuś całuj mnie w to nie obraza?” „Nie!” „I to pan sędzia mówi?!” „Tak, ja wam to mówię i radzę, cofnijcie skargę”. „To niech mnie pan sędzia w pocałuje!” — rzucił chłop i wyszedł z sądu.

Dla mnie, uświadomionego już z domu co do politycznego ruchu chłopskiego i jego kierunków, nie były nowością ani próby sterroryzowania chłopskich wyborców ani ich przemysłna obrona. Z wielkim też przejęciem przypatrywałem się zajściom na ulicy, z oburzeniem mówiłem o krwawych szarżach ułanów, a z radością o zwycięstwie Szajera. Ale nazajutrz w gimnazjum i profesorowie i wielu kolegów wyrażało się niechętnie o chłopskim uporze, niewyrobieniu jakoby politycznym, bezsensie takiej zaciętości przeciw kandydaturze wykształconych osobistości a wysyłaniu do Wiednia prostaków ze wsi, odrzucających „solidarność narodową” Koła Polskiego. Większości jednak imponowała świadomość polityczna wsi, jej prawie jednomyślna solidarność, opanowanie metod walki. Sukces zjednał chłopom znaczny autorytet w Rzeszowie i synowie chłopscy w gimnazjum chodzili z pewną dumą. Odtąd Rzeszów stał się na wiele lat miejscem zjazdów i wieców stronnictw ludowych, którym miejscowy Sokół życzliwie udzielał sali, a wielu z nas przy takich okazjach płało się około sali i podpatrywało przez okna — było to podniecające przeżycie. Znaliśmy z nazwiska, a niektórych i z widzenia, głośnych mówców chłopskich z okolicy, podziwialiśmy śmiałość wystąpień i wyrobienie polityczne zwłaszcza chłopów z Budziwoja, w tym Antoniego Bombę, młodego kandydata. Kiedy kolega Franciszek Ungeheuer, syn drobnego mieszczanina z Ruskiej Wsi, pochwalił się, że pewnego dnia służył do mszy księdzu Stojałowskiemu, opowiadał, że wezwał go poufnie X. kanonik Karakulski, najpierw nad jego głowę wygłosił jakąś klątwę, a potem po skruszeniu winowajcy klątwę zdejmował.

Na własnej skórze przekonałem się, że nasi szkolni przełożeni niebardzo rozumieją zbyt ciasne związki uczniów z wsią. Stęskniony do rodziców, wyprawiłem się piechotą w sobotę przed Zielonymi Świątkami do wsi rodzinnej i tam się dowiedziałem o ważnym wydarzeniu: zaraz po Świątkach przybędzie do parafii w Czarny X. biskup z Tarnowa udzielić młodemu pokoleniu sakramentu bierzmowania. Z natężeniem oczekiwano biskupa, którego od dawnych lat parafia nie miała zaszczytu oglądać. Było dla mnie, jak dla mojego otoczenia, oczywiste, że tak ważnej uroczystości nie mogę opuścić i dać się bierzmować w Rzeszowie biskupowi obcej diecezji, zapewne także spotka mnie honor służenia własnemu biskupowi do mszy. Przedłużyłem więc sobie samowolnie wakacje świąteczne o dwa dni, zobaczyłem biskupa

w szatach pontyfikalnych podczas procesji, przystąpiłem do bierzmowania i służyłem przy ołtarzu. Byłem przekonany, że moja szkoła przyjmie tę nieprzewidzianą nieobecność jako zupełnie naturalną i usprawiedliwioną. Toteż po powrocie, zapytany o wyjaśnienie nieobecności, otwarcie podałem przyczynę i byłem tym przykro zaskoczony, że dyrektor gimn. Lercel nie tylko nie chciał zrozumieć mego przywiązania do biskupa mojej diecezji, ale narobił hałasu o moją samowolę i na konferencji klasyfikacyjnej narzucił zepsucie mi noty z „obyczajów”, co w praktyce oznaczało konieczność zapłacenia 15 guldenów czesnego. Suma ta przekraczała moje ówczesne możliwości a dla ojca była wielkim ciężarem. Dyrektor się uparł, a gospodarz klasy, Sołtysik, ugiął się przed jego wolą i większości profesorów. I tak, mimo że dzięki notom celującym z przedmiotów nauki na świadectwie ukończenia I klasy uznano, że skończyłem ją „z odznaczeniem”, w rubryce obyczajów widniała nota „dość dobre” i tylko uporowi kilku profesorów zawdzięczałem, że nie wzięto jej w rachubę dla odebrania mi owego „odznaczenia”. „A przecież ja musiałem bierzmować się u mojego biskupa” — powtarzałem z uporem, rozgoryczony niezrozumieniem moich intencji i przerażony perspektywą zmartwienia ojca, gdy będzie musiał szukać owych 15 guldenów czesnego. To przejście wywołało we mnie żal do gospodarza mojej klasy IC i z nowym rokiem szkolnym demonstracyjnie poprosiłem o przyjęcie mnie do klasy IIB, mimo, że jej gospodarzem był najgroźniejszy z profesorów Jan Rygiel, przed którym drżało całe gimnazjum i który w ubiegłym roku w klasie IB urządził taką rzeź niewiniątek z łaciny, że ilość uczniów w IIB była za mała i chętnie zbiegów dobrowolnych z innych oddziałów do niej przyjęto; za mną bowiem poszło kilku kolegów.

NA RUSKIEJ WSI

Przeszedłszy przez I klasę codzienną wędrowką z mego oddziału na Staroniwie, uważałem za szczęście znalezienie w roku następnym kąca na stacji prawie naprzeciw gimnazjum przy ul. Pańskiej. Co prawda była ona w głębi podwórza lichego domu, wypełniona studentami i otoczona niehigienicznymi wyziewami, a przy tym tak ciasna, że przejść koło tapczanu było niełatwo. Jedyną zaletą była bliskość Wisłoka, nad który codziennie biegaliśmy gromadą, aby bawić się w „przerywane wojsko”, w ciągnięcie liny z dwóch końców, w piłkę i w „kiczki”. Gdy jednak nadeszły chłody, z radością przyjąłem propozycję kolegi Tadeusza Brzezińskiego, aby zamieszkać u jego matki w

zamian za udzielanie lekcji jemu i młodszemu bratu. Było to znów dość daleko na Ruskiej Wsi, ale w ładnym domku i u sympatycznych ludzi. Ojciec mieszkał w Łańcutie jako urzędnik podatkowy i mając czworo dzieci w szkołach, osadził z nimi matkę w Rzeszowie. Dochody były niewielkie i tryb życia skromny, za to tam pierwszy raz znalazłem się w środowisku o pretensjach szlacheckich (herb Lubicz). Nie objawiała ich matka, właśnie nie z szlachty, kuzynka rektora Akademii Weterynaryjnej we Lwowie, Szpilmana, ale młodzież nie wiadomo skąd nimi nasiąkała. Chłopcy, choć pełni temperamentu, wszyscy uczyli się słabo. Starsi odnosili się do mnie życzliwie, natomiast o rok młodszy Boguś wziął sobie za cel szykan i dokuczań chłopca ze wsi, który nie zawsze poprawnie władał widelcem itp. Te docinki i ogólna atmosfera troszkę nadęta, a niesprzyjająca książce, zraziły mnie do tego środowiska mimo przyjaźni z kolegą Tadeuszem, i dogadałem się z innym kolegą z klasy, a właściwie z dwoma braćmi też w Ruskiej Wsi zamieszkającymi, o przeniesienie się do nich. Była to skromna rodzina pana Dorosza, nadzorcy torów kolejowych między Rzeszowem i Łańcutem, stąd przeważnie w domu nieobecnego; gromadka dzieci była chowana przez matkę, dobrą gospodynię ale słabo mówiącą po polsku — poznał ją mąż podczas służby w wojsku na Morawach — i stąd mającą słabszy autorytet u dzieci. Podnosił go rozsądny i energiczny ojciec, ilekroć zjawiał się w domu.

Zbliżyliśmy się bardzo z najstarszym synem Franciszkiem, w przyszłości lekarzem socjalistą w Przemyślu (syn jego jest dziś ambasadorem polskim w Ankarze) z młodszym zaś Władysławem przekomarzaliśmy się gęsto, bo dziwak był, choć łączyły nas wspólne zamiłowania bibliofilskie. Ojciec kupował dla niego zbiorowe wydanie dzieł, zwłaszcza ilustrowanych. Zobaczyłem wśród nich Słowackiego, tom „Króla Ducha”, z reprodukcjami autografu. Do dziś pamiętam, jak się bałem z tym autografem spoufalić, jak mnie on niepokoił — byłem przekonany, że to sam tajemniczy Król Duch owe kleksy niezgrabnym pazurem popisał. Obaj koledzy byli zdolni i pomocy prawie nie potrzebowali, dorabiałem więc udzielając lekcji na mieście.

Zdarzyło się, że jeden z kolegów, świeżych do Rzeszowa przybyszów — tacy zawsze jakieś nowości przynosili ze świata — starszy od nas wiekiem, Leonard Szanecki, syn zamożnej rodziny z Mielca, obchodził imieniny. Jako że się chciał mi odwzajemnić za podpowiadanie w szkole, zaprosił mnie, kolegów Doroszków i jeszcze innych na cały wieczór. Pierwszy raz mi się coś takiego przydarzyło. Zaprowadził nas poza miasto do starego karczmyska Na Stajniach, zażądał osobnego pokoju i zaczął stawiać napoje.

Byłem zaskoczony, gdyż nigdy dotąd nie miałem w ustach kropli alkoholu, ale gdy fundator zaczął się ze mnie wyśmiewać, zebrałem się na odwagę i piłem po kolei wszystko co stawał: piwo, wódkę, miód. Atmosfera była ożywiona, hałaśliwa. O północy wyszliśmy, lały strugi deszczu i zaorana przestrzeń, którą trzeba było przechodzić stała się tak mokra i śliska, że co chwilę się wywracałem, czując przy tym drastyczne działanie alkoholu. Opaplałem się w błocie, całe ubranie zachlapałem, z trudem doszedłszy do kwatery, zasnąłem jak nieprzytomny i rano wcale się nie obudziłem żeby pójść do szkoły. Zbudził mnie pan Dorosz i groźnym wzrokiem obrzucając ślady wczorajszych bachanalii na utyłanym ubraniu, srodze zwymyślał. Nie próbowałem się bronić, bo wstyd mnie ogarnął za stan, w jakim się znalazłem. Zrobił on na mnie takie wrażenie, że odtąd w gimnazjum nigdy nie dałem się zaprosić do kieliszka alkoholu ani znęcić do pijącego towarzystwa. Wódkę znienawidziłem na całe życie, co też nieraz powodowało pretensje do mnie w towarzystwie, zwłaszcza w Rosji; kiedy odmawiałem picia wódki, po trosze spadał mój autorytet, po trosze zaś uważano, że odmawiam z wyrachowania, z jakiejś „chytrości”.

BURSA I KSIĄDZ KANONIK

Następnego roku, w klasie III, zdarzyło się, że odwiedzałem kolegów mieszkających w bursie gimnazjalnej. Było w niej około setki uczniów, od I do VIII klasy, rozmieszczonych w kilku schludnych izbach, w których były duże stoły do nauki i naokoło półki na książki. Spodobało mi się zbiorowe życie „bursaków”, ich ciągle wspólne rozmowy i lektury, kursowanie wśród wszystkich książki kupionej przez jednego lub wypożyczonej. Ale nade wszystko spodobało mi się, że każdy ma własną szufladkę w stole i własną przegródkę na półce i zapragnąłem wejść w to życie. Nie obchodziło mnie, jaka tam dyscyplina i jakie kłopoty z dyrekcją. Jako „celującego” ucznia ubogiego, przyjęto mnie bezpłatnie od najbliższego półroczka.

Bursa była obliczona na biednych uczniów, miejsc miała 90, w czym tylko garstka była chłopców, za których utrzymanie rodzice płacili; większość żyła kosztem bursy, przeważnie byli to synowie chłopscy. Bursę założył przed laty ówczesny katecheta X. Feliks Dymnicki ze składek wyżebranych przez całe życie; po jego śmierci zawiadywał nią obecny katecheta X. Bronisław Karakulski, a pomagał mu jako prefekt młodszy katecheta X. Jan Chmielnikowski. Gospodarstwo prowadziły siostry ze zgromadze-

nia zakonnego św. Karola Boromeusza, sprowadzone ze Śląska pruskiego, źle mówiące po polsku. Prowadziły je bezinteresownie, z poświęceniem, znosząc cierpliwie docinki bardziej zuchwałych „bursaków”, dotyczące jakości wikt, ale nie lubiły wykrzykników: „oto nasze krowy doją”, gdy się rozchodziło skrzypienie studni przy nabieraniu wody. Bursa stała zapobiegliwością X. Karakulskiego; ceniony jako świetny kaznodzieja, przyjmował zaproszenia okolicznych proboszczów na odpusty i rekolekcje pod warunkiem obfitej kwesty na bursę, oraz darów w naturze, jakimi okładał właścicieli ziemskich, dzierżawców i zamożniejszych proboszczów; nieco pomagała dyrekcja gimnazjum i władze samorządowe.

Parter bursy przedzielony był korytarzem. Na jednym końcu zamknięty kaplicą, w której odbywały się stale modły wieczorne ze śpiewami a w miesiącach zimowych msza wczesno-ranna przed szkołą. Na drugim końcu korytarza było mieszkanko X. Kanonika, w którym jadał, sypiał, modlił się głośno i wymierzał sprawiedliwość psotnikom. Złe przeczucie towarzyszyło każdemu wezwaniu X. Kanonika. Podczas obiadu stawiać się musieli winni przekroczenia przepisów wewnętrznych bursy, czy jakichś grzeszków szkolnych. Jeśli wina była oczywista, albo grzesznik nie umiał się jasno wybronić, ksiądz nakazywał kłaść się na kanapie i wymierzał sprawiedliwość grubą łaską. Doświadczeni ratowali się wybuchem płaczu i wyrażeniem żalu za przewinę — wtedy X. Kanonik uspokajał, pocieszał, a gdy się wzruszył, co łatwo mu przychodziło, wyciągał palcami śliwki z kompotu który mu siostry na obiad przygotowały, i wkładał do ust delikwentowi; w wyjątkowych wypadkach dzielił się również kotлетem. Cieszył się, gdy delikwent się uspokoił i roześmiał. Doświadczonym to łatwo przychodziło, gdyż otrzymawszy wezwanie do X. Kanonika, podkładali pod spodnie grubsze materiały jako ochronę przed razami, bezczelniejsi — nawet spore książki. Ale ileż przy tym było krzyku i wyzwisk, w których X. Kanonik celował; rozlegały się one po całej bursie i wywoływały ogólną wesołość. X. Kanonik był nieobliczalny w retorycznych wybuchach swego temperamentu. Raz, wieczorem, przechodził przez nieoświetlony korytarz i natknął się na kręcącą się tam jedną z sióstr-boromeuszek. „Precz stąd pokuso” zakrzyczał parokrotnie, chłopcy zaalarmowani wylecieli dla ratunku na korytarz i zobaczyli zażenowaną starą siostrę, jedną z najbrzydszych — a żadna z nich nie miała śladów urody — która jakieś śmiecie zgarniała. Odtąd dokuczniczy prześladowali siostry tą „pokusą”. A ileż pociechy było, gdy wśród nocy z bocznej ubikacji rozlegały się rozpaczliwe krzyki X. Kanonika: „Dykiel, przynieś gazetę! Prędzej! o panie Jezu, ratuj

mnie!” Dykiel to był podprefekt z grona kolegów, odpowiedzialny za wszystkie ich przewiny.

Z politowaniem kiwał głową na te wybuchy X. Kanonika prefekt X. Chmielnikowski, który swe obowiązki spełniał mechanicznie, w zimnym milczeniu, nikogo nie bił ale też i nie częstował, więcej się zajmował ulubionym mopsem niż chłopcami.

W bursie obowiązywała ścisła dyscyplina, zwłaszcza co do rozkładu godzin wszystkich czynności i co do zachowania się. Naruszenie jej powodowało groźny raport u X. Kanonika, a w razie niepoprawności — wydalenie. Najniższą instancją był prefekt każdej izby mieszkalnej czy sypialnej, on dozorował zachowanie każdego mieszkańca, zapisywał przewinienia i doręczał wyżej. Następną instancją był prefekt całego grona młodzieży, mianowany na rok przez dyrekcję. Nad nim X. prefekt Chmielnikowski, nad wszystkimi sam dyrektor X. Kanonik. Nikt nie mógł wyjść z bursy na miasto bez pozwolenia, osobny cerber zapisywał każde wyjście i przyście a sprawdzał X. Chmielnikowski, zresztą łagodnie. Ja miałem ulgi w tej mierze; jako udzielający na mieście korepetycji kolegom, w określonych godzinach uzyskałem prawo wyjścia. Ponadto wiosną, od kwietnia do czerwca, jako zapalony botanik, wyprawiający się do okolicznych wsi, łąk i lasów na „zbieranie roślin” i układanie zielnika, miałem przywilej w pewne dni tygodnia na wyprawy całego popołudnia.

W niektóre dni odbywaliśmy urzędowy spacer na świeże powietrze, zwartymi parami pod nadzorem X. Chmielnikowskiego. Program jego był nieodmienny: gościńcem ku Zachodowi do wsi Przybyszówki. Często stykaliśmy się z podobnym pochodem wychowanków internatu sąsiedniego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego. Towarzyszył mu dyrektor seminarium, Julian Zubczewski, wybitny, bardzo postępowy pedagog. Zamykając pochód miał zawsze (w roku 1898-99) przy swoim boku paru z młodzieży a z nimi wysoką chudą brunetkę, była to jego bratanica Helena Zubczewska. Wśród młodzieńców uderzał wysokim wzrostem, zgrabnością postaci i urodą twarzy pewien blondyn, żwawo dyskutujący z dyrektorem. Był to Władysław Sikorski. Z ciekawością wpatrywałem się w tę sympatyczną postać, gdy się nasze pochody mijały albo zatrzymywały, lub jeśli nasz X. prefekt wdawał się w rozmowę z dyr. Zubczewskim. Starsi koledzy informowali nas, że Władysław Sikorski był przedtem uczniem naszego gimnazjum, ale po ukończeniu IV kl. rodzina przeniosła go do seminarium, w nadziei, że już po 4 latach otrzyma posadę nauczycielską, będzie się mógł sam utrzymywać i być pomocnym rodzinie. Tak doradził pan Jędrzejowicz, opiekun sądowy jego matki, wdowy po rządcy majątku w Hyżnem koło

Tyczyna. Tylko starszy jego brat, Stanisław, kończący właśnie gimnazjum, utrzymywał się tam z wielkim trudem; mieszkał on blisko naszej bursy i uczył chłopców na stacji u prof. Kraweckiego; przyglądaliśmy się mu z ciekawością z powodu rozgłosu jakiego nabrała jego tragiczna pomyłka: bawiąc się leżącym na stole pistoletem, niechcący zranił śmiertelnie ucznia, któremu udzielał korepetycji. To zwichnęło życie tego niezwykle zdolnego studenta, popadł w alkoholizm i zdziwaczał; był później prof. gimn. u św. Jacka w Krakowie.

W r. 1899 dyr. Zubczewski odszedł z Rzeszowa. Kiedy objął dyрекcję seminarium naucz. żeńskiego we Lwowie, zabrał z sobą Sikorskiego. Uważając, że szkoda go marnować w karierze nauczycielskiej, zachęcił go do prywatnego przerobienia materiału do matury gimnazjalnej i zdania jej jako prywatysta. Po maturze (w IV gimn. we Lwowie) Sikorski wpisał się na studium inżynierii dróg i mostów w Politechnice Lwowskiej. Panna Halina Zubczewska — to przyszła żona Sikorskiego.

Wracając do bursy i do dziwactw jej dyrektora, w gruncie rzeczy woleliśmy go od prefekta. X. dr Bronisław Karakulski, popularnie nazywany IKSDRBR albo książd konik (skrótcony kanonik, czego bardzo lubił) była to postać legendarna. Mały, gruby, krwisty, tłusty, nieokiełznany w swej popędliwości w irytacji gryzł palce, tyranizował wszystkich, największych dryblasów bił czym miał pod ręką — w szkole pięściami. Przeważnie odpowiadało się na to wybuchem wesołości. Scen takich przy jego temperamencie było bez końca a czasem wprost je prowokowała niesforna młodzież.

(c.d.n.)

Stanisław KOT

Prof. Stanisław Kot, który 14 stycznia 1964 r. uległ atakowi apoplektycznemu i częściowemu paraliżowi, przebywa nadal w angielskim szpitalu, na oddziale dla starców (Edgware General Hospital, Geriatric Ward, Deansbrook Road, Edgware, Middlesex).

W stanie jego nie ma zasadniczych zmian, wobec jego posuniętego wieku (83 lata) trudno oczekiwać poprawy zdrowia.

W szpitalu, bardzo nowoczesnie urządzonym, prof. Kot ma bardzo dobrą opiekę lekarską i pielęgniarską, ponadto odwiedza go regularnie pani Maria Dąbrowa-Kostrowicka i z wielkim poświęceniem i oddaniem się nim opiekuje, zaś wszystkimi innymi jego sprawami opiekuje się z ramienia Sądu Opiekunczego pani dr Ewa Estreicher-Grodzicka.

Co roku przybywa z Krakowa na odwiedziny prof. Kota, prof. dr Józef Japa, zięć prof. Kota i profesor medycyny wewnętrznej Śląskiej Akademii Medycznej, który jest także w stałym kontakcie korespondencyjnym z lekarzami szpitala.

Pogłoski o tym, jakoby prof. Kot. pozostawiony był bez opieki, jakie spotyka się niekiedy w kraju, świadczące o trosce o niego jego wielu w kraju przyjaciół i byłych uczniów i współpracowników, są nieuzasadnione.

REDAKCJA

Edward PUACZ (opr.)

POWSTANIE WARSZAWSKIE W NOTATKACH ADAMA BIENIA

Adam Bień, prawnik z wykształcenia sędzia z zawodu, ludowiec sprzed wojny, cieszący się zaufaniem Wincentego Witosa, był w czasie okupacji przedstawicielem PSL w Polskim Komitecie Politycznym (PKP) a następnie powołany został na I zastępcę Delegata Rządu Jankowskiego w podziemnej Radzie Ministrów. W tym charakterze działał w okresie poprzedzającym wybuch Powstania, natomiast w okresie Powstania był przewodniczącym Krajowej Rady Ministrów przez czas nieobecności Delegata Jankowskiego, który pierwsze tygodnie Powstania przebywał na Starówce, razem z gen. Borem, zlecając A. Bieniowi kierownictwo podziemną Radą Ministrów.

Po upadku Powstania i wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej terenów lewobrzeżnej Wisły, Adam Bień wraz z Delegatem Jankowskim kierowali odbudową politycznego aparatu władzy podziemia londyńskiego. A. Bień należy do zespołu 16 niefortunnych ministrów krajowych i członków Rady Jedności Narodowej, którzy zostali podstępnie wywiezieni do Rosji i tam sądzeni w słynnym procesie 16-tu. Bień skazany został w tym procesie na 5 lat więzienia.

Po zwolnieniu z więzienia, Adam Bień powrócił do Polski, gdzie w 1952 r. spisał swoje wspomnienia, nigdzie dotąd nie publikowane. Maszynopis jego wspomnień zdeponowany jest w Komisji Historycznej przy Komitecie Centralnym Stronnictwa Ludowego w Warszawie. Wynotowałem z tych wspomnień 24 strony maszynopisu, opuszczając mniej ważne uwagi natury osobistej.

Trzeba jeszcze zaznaczyć, że A. Bień przystąpił do spisywania swoich wspomnień w okresie stalinowskim i za namową pro-rządowego S.L. Dlatego starał się omijać niektóre szczegóły, aby nie zaszkodzić przywódcom podziemia londyńskiego, którzy żyli

w Polsce lub na emigracji. Śmiało są jego oceny polityczne, ale tam gdzie ma podać nazwiska przywódców, zakonspirowane adresy itp. używa uników w rodzaju „nie pamiętam”, lub „dom już nie istnieje, trudno mi ustalić” itp. Mimo, iż tego rodzaju uniki zastosował przy omawianiu niektórych istotnych spraw (np. sprawa funkcjonowania łączności z Londynem) wspomnienia te wnoszą szereg nowych elementów do historii Powstania. Są to obserwacje poczynione przez bardzo miarodajnego świadka z naczelnych władz politycznego podziemia londyńskiego. Takim mało znanym tematem, który porusza A. Bień jest sprawa stosunków między dowódcą A.K. gen. Borem-Komorowskim i krajową Radą Ministrów oraz Radą Jedności Narodowej (RJN) przed i w czasie Powstania. Będą one miały istotne znaczenie dla ustalenia politycznej i wojskowej odpowiedzialności za decyzję wybuchu Powstania.

A. Bień przyznaje w swoich wspomnieniach, że nastroje społeczeństwa były takie, że nie było można uniknąć wybuchu Powstania. Jednakże podaje szereg faktów, które w jego mniemaniu świadczą, iż powstanie było nie tylko zbrojnym aktem skierowanym przeciwko znienawidzonej okupacji, lecz również miało rozstrzygnąć londyński spór Raczkiewicza i gen. Sosnkowskiego z Mikołajczykiem, dotyczący stosunków z Rosją i roli Polski w powojennym świecie. Oddajmy głos autorowi wspomnień.

W przededniu Powstania

... „Ostatecznie ustalona została następująca linia postępowania. Z chwilą ustąpienia Niemców władze cywilne polskie natychmiast się ujawniają, nawiązują współpracę z wkraczającymi oddziałami armii radzieckiej i rozpoczynają działalność jawną. Oddziały A.K. we współdziałaniu z armią radziecką uderzają na Niemców... Zarówno kraj jak i Londyn zgodne były co do takiego postępowania. Komórki terenowe Delegatury otrzymały odpowiednią instrukcję... Na wiosnę 1944 r. Delegat na podstawie wiadomości otrzymanych od Komendanta A.K. zaczął nas, zastępców, informować o przebiegu owej akcji ujawniania się władz polskich na Wschodzie. Z informacji tych wynikało, że ujawniający się przedstawiciele władz cywilnych polskich są z reguły po kilku dniach urzędowania aresztowani, że taki sam los spotyka walczących przeciwko Niemcom oficerów i żołnierzy A.K. O faktach tych zawiadomiliśmy telegraficznie Londyn i postanowiliśmy trwać na dotychczasowych stanowiskach.

Nadchodzi lato 1944. W Warszawie panują powszechne nastroje, że dni panowania Niemców w stolicy są już policzone, że lada chwila A.K. rozpocznie z nimi walkę. Ten sam nastrój panuje w Delegaturze.

... W lipcu 1944 r. Delegat wysłał do Mikołajczyka depeszę, jak rząd polski zapatruje się na sprawę powstania w Warszawie. Nie pamiętam z czyjej inicjatywy i jaką drogą została wysłana. Należy bowiem stwierdzić, że zarówno Delegatura jak i A.K. miały swoje własne i niezależne drogi porozumiewania się z Londynem. Czasem Delegatura korzystała jednak z drogi A.K. Czy było i na odwrót — nie pamiętam. Nie pamiętam więc jaką drogą to zapytanie poszło do Londynu. Nie pamiętam również, jaką drogą przyszła odpowiedź Mikołajczyka, której treść była mniej więcej taka: „Rząd stoi na stanowisku, że powstanie w Warszawie w momencie wycofywania się Niemców powinno wybuchnąć. Rząd upoważnia władze krajowe do rozpoczęcia powstania w momencie, który władze krajowe uznają za odpowiedni”.

... „W niedzielę dnia 30 lipca 1944 r. biorę koc, poduszkę, jedną zapasową koszulę i najkonieczniejsze drobiazgi. W słoneczny upalny dzień żegnam się z rodziną i jadę do Warszawy. Lokuję się na stałe w swoim pokoju konspiracyjnym na ul. Kruczej 17. Tego samego dnia o godzinie pierwszej pp. mamy posiedzenie Delegata z zastępcami przy ul. Elektoralnej. Ulice Warszawy dziwnie puste i ciche, żywność ze sklepów znikła. W lokalach publicznych nic prawie nie ma do jedzenia, a to co jest, niesłychanie drogie. O powstaniu jeszcze nie słyhać, ale atmosfera jest napięta i wybuchu spodziewamy się lada chwila.

Na posiedzeniu tym, na mój wniosek postanawiamy:

1) utworzyć „krajową Radę Ministrów” w skład której wchodzi trzech zastępcy, dawno już mianowani ministrami dla spraw kraju, oraz Delegat-wicepremier, jako przewodniczący;

2) z chwilą ujawnienia się rozpocząć w wyzwolonej Warszawie wydawanie Dziennika Ustaw;

3) w pierwszym jego numerze ogłosić — a) Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej „O tymczasowej organizacji władz na terenie kraju” podpisany przez Raczkiewicza już dawniej, tylko nie ogłoszony, oraz b) Rozporządzenie Delegata Rządu o utworzeniu Krajowej Rady Ministrów i c) Rozporządzenie Rady Ministrów o uruchomieniu władz i urzędów administracji ogólnej.

Obecny na tym posiedzeniu Kauzik otrzymał natychmiast te materiały do druku i miał trzymać gotowy skład na wypadek powstania”.

... „Poniedziałek 31 lipca 1944 r. Chmurnym rankiem w zatłoczonej kolejce EKD jadę do Warszawy. Idę natychmiast do swojego lokalu na Kruczą... o godz. czwartej czy piątej w moim lokalu na ul. Miodowej odbywa się zebranie Delegata i zastępców. W czasie posiedzenia rozlega się pukanie, a po chwili, właścicielka

mieszkania, kobieta niesłychanej odwagi, siedząca w przedpokoju na straży wywołuje „Doktora” (Delegata).

Po krótkiej rozmowie Delegat wraca do nas i komunikuje, że była łączniczka od Komendanta A.K., że musi natychmiast do niego iść. Odraczamy posiedzenie do jutra, to znaczy do wtorku 1 sierpnia do godziny 13-ej na ulicy Elektoralnej”.

.. „Natychmiast po sesji pędzę na Elektoralną. Zastaję już wszystkich na miejscu. Jankowski rozmawia z kimś półgłosem. Zobaczywszy mnie, otwiera zebranie i zaraz w pierwszych słowach oznajmia nam, że dziś, dnia 1 sierpnia o godzinie siedemnastej wybuchnie powstanie w Warszawie. Zakomunikowano mu to wczoraj wieczorem w kwaterze Komendanta A.K. Jankowski zastrzega, że udzielona nam wiadomość jest tajemnicą wojskową. Delegat oświadcza dalej, że w związku z tym faktem natychmiast przestaje urzędować Delegatura i on wraz z przewodniczącym Rady Jedności Narodowej Pużakiem udaje się do Kwatery Komendanta A.K., na cały czas powstania. Całą swą cywilną władzę w Delegaturze przekazuje na moje ręce, prosi mnie bym natychmiast objął urzędowanie i zawiadomił go zaraz gdzie się będzie mieściła moja siedziba.

Oświadczenie Jankowskiego wywołuje powszechną konsternację. Mnie uderza nie sam fakt wybuchu Powstania. Tego spodziewaliśmy się wszyscy lada chwila. Powstanie wisiało po prostu w powietrzu. Uderza mnie absolutnie niezrozumiały, nieprzewidziany fakt takiego dziwnego rozczłonkowania centralnego ośrodka Delegatury w tym ważnym i przełomowym momencie”.

... „Wszystkie sprawy, jakie stoją teraz przed Delegaturą załatwiane są kolegiąlnie przez nas, trzech zastępców. W gronie tym ja, jako pierwszy zastępca jestem przewodniczącym. Najpierw próbuję załatwić sprawę jakiejś organizacji terenu na którym się znajdujemy. Mianujemy więc Delegata Rządu dla dzielnicy Warszawa-Południe, obejmującej ten właśnie teren. Delegatem tym zostaje adwokat Stopnicki (P.P.S.).

Nowomianowany Delegat zajął się najpierw sprawą porządku i bezpieczeństwa na podległym mu terenie. Wyszukał ludzi, którzy jeszcze w czasie konspiracji typowani byli na członków Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa. I wtedy wyszła na jaw pewna okoliczność, która mnie bardzo zdziwiła. Okazało się, że władze bezpieczeństwa są już przez kogoś zorganizowane, a na ul. Kruczej 13 (zdaje się w lokalu dawnego Komisariatu PP) urzęduje już jakaś uzbrojona placówka bezpieczeństwa, która dokonuje nawet aresztowań Volksdeutschów i Polaków, uważanych za podejrzanych. Dopiero w dłuższy czas po tym dowiedziałem się, że Komenda A.K. przed wybuchem Powstania i bez porozumie-

nia się z Delegatem Rządu zorganizowała swój własny, tak zwany Korpus Bezpieczeństwa, który był doskonale przygotowany do przejęcia wszystkich komisariatów policji, miał w tych komisariatach swoich ludzi zakonspirowanych, którzy już na dwadzieścia cztery godziny przed wybuchem Powstania wiedzieli o jego terminie, gdy ja, pierwszy zastępca Delegata Rządu dowiedziałem się o tym na cztery godziny przed wybuchem Powstania. Oni mieli w kieszeniach rozkazy przejęcia komisariatów i objęcia władzy. Dowiedziałem się też potem, że ów Korpus Bezpieczeństwa zaopatrzony był naprzód w broń i żywność, rozporządzał lokalami, stołówkami itp., podczas gdy mozolnie, już w czasie Powstania klecony nasz delegacki Korpus Bezpieczeństwa nie miał w ogóle nic. Kiedy już w czasie Powstania żądaliśmy dla naszych ludzi broni, to załatwienie tej sprawy natrafiało na wielkie trudności...”

„Sprawa ta nasunęła mi wówczas poważne podejrzenia, że czynniki, które Powstanie zainicjowały, z Delegaturą Rządu, z jej całością, z jej dorobkiem nie liczyły się, że nie tylko były w stosunku do niej, jako władzy cywilnej niełojalne, ale same autorytatywnie i bez jej wiedzy załatwiały sprawy leżące niewątpliwie w ramach jej kompetencji”.

Krajowa Rada Ministrów w Powstaniu

... „Jednocześnie z nawiązaniem łączności ze wszystkimi departamentami, uważałem za pilną sprawę nawiązania kontaktu radiowego z Londynem. Pomógł mi w tej sprawie Korboński, który... obecnie miał do dyspozycji czynną radiostację”.

... „Po jakimś tygodniu urzędowania na Kruczej otrzymałem dwa listy. Jeden od sędziego Szymańskiego, urzędującego w moim biurze na ul. Miodowej 14... Drugi list pochodził od Delegata. Łącznik, który go przyniósł przeszedł kanałami i dotarł do nas ledwie żywy. Z listu biło zniechęcenie. Widać było, że Delegat przeżył wiele ciężkich przygód. Zapowiadał swój rychły powrót do nas. W długiej odpowiedzi opisałem Delegatowi całą sytuację w Delegaturze i namawiałem go do powrotu, tłumacząc, że sytuacja wymaga zmobilizowania stronnictw i zwołania posiedzenia Rady Jedności Narodowej”.

... „Że powstanie w Warszawie wybuchnąć musiało — nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości. Stolica Polski nagromadziła w sobie przez lata okupacji taką olbrzymią masę elementów zapalnych, taką strasliwą nienawiść, że w krytycznym dla Niemców momencie wybuch był nieunikniony i wybuch ten nastąpiłby

kiedyś, choćby nawet nikt nie dał do niego rozkazu. Czy jednak powstanie wybuchło w momencie właściwym? Czy ludzie, którzy zdecydowali się na datę 1 sierpnia wzięli pod uwagę okoliczność, że jedyna możliwość powodzenia powstania jest w udzielaniu mu pomocy ze strony wojsk radzieckich? I we współdziałaniu z wojskami radzieckimi? ... Myślę o tym wszystkim i zaczynam mieć wątpliwości.

Pierwsza wątpliwość. Przypominam sobie, że kiedy 31 lipca jechałem rano kolejką do Warszawy, to ludzie w wagonach opowiadali, że właśnie rozpoczęło się silne natarcie Niemców od Pułtusza w kierunku na Siedlce". ... „Dlaczego więc powstanie wybuchło właśnie w tym momencie? Czyżby czynniki, które powzięły odnośną decyzję nie wiedziały o tym? Jeżeli nie wiedziały, to tym gorzej o nich świadczy, bo podejmując decyzję w tak niesłychanie doniosłej dla Polski sprawie powinny były wiedzieć. Do tego dochodzą jeszcze wątpliwości innego rodzaju. Dlaczego powstanie wybuchło z takim niezwykłym zaskoczeniem najwyższych czynników Delegatury, powodującym aż niemal całkowite jej rozbitcie, z jednoczesnym opanowaniem agend bezpieczeństwa należących niewątpliwie do zakresu działania Delegatury?

Czy to zaskoczenie i rozbitcie Delegatury nie było czasem jednym z celów powstania? Czy nie chodziło po prostu o objęcie w momencie przełomowym pełnej władzy, bez potrzeby dzielenia się nią z kimkolwiek?"

... „W trakcie choroby otrzymałem kilka listów od Kauzika (Dołęgi), który razem z Bagińskim urzędował w rejonie Placu Napoleona. Dołęga pisał, że na tamtym terenie znajdują się przedstawiciele stronnictw, że wobec tego tam należy zorganizować cały ośrodek kierowniczy Delegatury. Po krótkiej naradzie, z pewnym żalem postanawiamy opuścić kwaterę na Kruczej i przenieść się na Plac Napoleona... Pierwsze dni urzędowania na nowym terenie wypełnione są wielu rozmowami z Bagińskim. Człowiek to niesłychanie ambitny... Zaządał wtedy ode mnie, abym go zapraszał na wszystkie posiedzenia Krajowej Rady Ministrów. Odpowiedziałem mu, że osobiście nie mam nic przeciwko jego obecności na naszych posiedzeniach, że w miarę możliwości będę się starał zadośćuczynić prośbie, szczególnie w chwilach omawiania spraw Departamentu Spraw Wewnętrznych, że jednak formalnie sprawa ta zależy nie tylko ode mnie, ale i od innych członków Krajowej Rady Ministrów".

... „Codziennie prawie, w godzinach popołudniowych, odbywało się nasze posiedzenie poświęcone omówieniu sytuacji militarnej Warszawy. Na pierwsze takie posiedzenie przyszedł generał

Chruściel (ps. „Monter”), dowódca oddziałów A.K. walczących w Warszawie. Od niego dowiedzieliśmy się po raz pierwszy, że w Warszawie bawi oficer łącznikowy operującej na przedpolach Warszawy armii radzieckiej i że zadaniem jego jest nawiązanie kontaktu pomiędzy dowództwem A.K. a armią radziecką. Na następne zebranie przychodził już nie Monter, tylko Rzepecki”.

... „Koło połowy sierpnia ognisko walki na Starówce, gdzie znajdował się Bór-Komorowski, Delegat Rządu, Pużak i Białas dogorywało. Walczące tam oddziały A.K. i tamtejsza ludność przechodziły masowo kanałami do Śródmieścia. Rankiem każdego dnia stałem w oknie swego pokoju na Szpitalnej i patrzyłem w głąb ulicy Hortensji, gdzie ze studzienki wyłaniały się jedna za drugą unurzane w błocie postacie szarych, znużonych śmiertelnie ludzi i rozpełzały się wolno po śródmieściu. Ludzie ci byli posępnymi zwiastunami pogromu Starówki.

Ktoregoś dnia ze studzienki tej wyszedł Bór-Komorowski, Delegat, Pużak, Białas, Pawłowski, Zawadzki (pseudonim). Wszyscy powędrowali do P.K.O. Wymyli się tam, przebrali, odpoczęli i natychmiast zabieram Jankowskiego do siebie na Szpitalną. Przekazuję mu urządowanie, składam sprawozdanie o całej sytuacji i wracam do swej dawnej roli zastępcy...”

... „A jaka była nasza sytuacja na tle sytuacji światowej? Prawie jednocześnie z wybuchem powstania, Mikołajczyk okrężną i daleką drogą przez Persję poleciał do Moskwy. W czasie trwającego w Warszawie powstania słuchałem wiadomości o kolejnych etapach jego podróży. Rozumiałem jak trudna jest jego sytuacja wobec tego, że stosunki dyplomatyczne pomiędzy Polską a ZSSR są przerwane, wobec tego, że zaproszenie do Moskwy otrzymał dopiero pod koniec swej podróży w Teheranie.

Nie ma w Warszawie chyba ani jednego człowieka, który by nie rozumiał, że pomóc skutecznie walczącej Warszawie, że pobić Niemców pod Warszawą i wyzwolić Warszawę może tylko armia radziecka. Nikt inny. Czy jednak armia radziecka pomoże? To już zupełnie inna sprawa. Przede wszystkim czy będzie mogła pomóc? Wszystko wskazuje na to, że przed wybuchem powstania nie uzgadniano terminu jego z dowództwem radzieckim, że nikt nie pytał, czy walka o Warszawę leży w najbliższych planach i możliwościach armii radzieckiej operującej w Polsce. Wszyscy wiedzą, że stosunki dyplomatyczne polsko-radzieckie są zerwane, że wobec tego pomoc jest raczej wątpliwa”.

... „Gdzieś pod koniec pierwszej połowy sierpnia Mikołajczyk wrócił z Moskwy i przysłał nam długą depeszę przedstawiającą wyniki rozmów moskiewskich. Ogólnie wynikało z niej, że Stalin ustosunkował się do Polski przyjaźnie, że nie oponuje przeciwko

natychmiastowej ewakuacji wojsk radzieckich z Polski po rozgromieniu Niemców, że jedyny warunek porozumienia polsko-rosyjskiego to uwzględnienie przez Polskę stanowiska ZSRR w sprawach granicy wschodniej, z możliwością pewnych, nieznacznych terytorialnych odchyłeń na korzyść Polski oraz kompromis polityczny z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego, urzędującym już w Lublinie.

Ze sprawozdania Mikołajczyka wynikało, że w łonie rządu polskiego w Londynie na temat wyników rozmów moskiewskich toczyła się żywa dyskusja w czasie której zarysowały się dwa stanowiska. Jedno z nich sprowadzało się do tego, że na razie w stosunkach polsko-rosyjskich obowiązuje granica ryska i ZSRR uznaje rząd polski w Londynie, jako rząd legalny a wszystkie sprawy sporne pomiędzy Polską i ZSRR uregulowane zostaną po zakończonej wojnie. Drugie stanowisko było bardziej ustępliwe zarówno w przedmiocie granicy, jak i w stosunku do Komitetu Lubelskiego. Szczegółów jednak nie pamiętam.

Z treści depeszy wynikało, że sam Mikołajczyk skłania się ku temu drugiemu stanowisku. Depesza kończyła się prośbą, by kraj wypowiedział się w tej sprawie — tak zwanego wariantu „A” i wariantu „B”.

Delegat, Pużak, Bór i inni przybyli do nas ze Starówki właśnie w momencie kiedy nadeszło to sprawozdanie Mikołajczyka. Pużak zwołał natychmiast posiedzenie Rady Jedności Narodowej. Na posiedzeniu reprezentowane były wszystkie cztery stronnictwa. P.P.S. reprezentowali Pużak i Zaremba, ludowców — zdaje się Bagiński.

Obrazy pełne gorących dyskusji trwały z przerwami około dwóch dni. Jedynie przedstawiciel ludowców popierał kompromisowe stanowisko Mikołajczyka. Wszyscy inni opowiadali się za stanowiskiem nieustępliwym. Uchwalono wreszcie jakiś „uzgodniony wariant pośredni” czyli w gruncie rzeczy złagodzony nieco wariant „A”. Ludowcy wystąpili. Przedstawiciele innych stronnictw zarzucali im zdradę interesów narodowych, zwalali na nich winę rozbicia jedności, tej jedności, która nie prowadziła do żadnego możliwego i rozsądnego rozwiązania, ale była mimo to świętym kanonem naszej ówczesnej polityki wewnętrznej.

Ludowcy ustąpili (chyba ma to znaczyć, że jednak nie opuścili platformy jednościowej — przyp. E.P.). Dyskusja ta spowodowała jednak dalsze zaostrzenie w środowiskach innych stronnictw, oraz w A.K., niechęci i nieufności do Mikołajczyka o ludowców w ogóle. Uważano nasze środowisko za takie, w którym kiełkuje ziarno zdrady.

Po załatwieniu sprawy przez Radę Jedności Narodowej, ana-

logiczna dyskusja odbyła się na posiedzeniu Krajowej Rady Ministrów. W czasie tej dyskusji byłem głęboko przekonany, że należy poprzeć rozsądne i praktyczne stanowisko Mikołajczyka, że wymaga tego interes Polski. Ja jednak byłem również urzeczony ideą jedności i poza ową niedołączną (miałem wyraźną świadomość tego niedołęstwa) jednością nie widziałem żadnej innej drogi dla polityki polskiej.

... Co dalej? Jakże przed nami perspektywy?

Jest druga połowa sierpnia. Wojska radzieckie zdobyły Pragę. Wiadomość ta zelektryzowała wymęczoną ludność Warszawy. Może bliskie jest już wyzwolenie... Nawet Bór komunikuje nam o tym z odcieniem ulgi.

Posiedzenia Krajowej Rady Ministrów odbywają się teraz codziennie. Prawie zawsze uczestniczy w nich Bór-Komorowski. Pewnego razu stawiam mu pytanie: — jakie są perspektywy sforsowania Wisły i zajęcia Warszawy przez wojska radzieckie? Bór odpowiada, że zwiadowcy jego siedzą na dachach wysokich domów stolicy i obserwują przez lornetki ruchy wojsk na Pradze. Twierdzi, że na razie nie zauważono akcji zmierzającej do forsowania Wisły.

Czy to są jedyne źródła pańskich informacji? — pytam. Czy takie same informacje miał Pan dając rozkaz do wybuchu powstania? Bór milczy.

Czy wiadomo Panu, że według opowiadań naocznych świadków w dniu 1 sierpnia Niemcy skoncentrowali na wschód od Warszawy znaczne siły i rozpoczęły natarcie na Siedlce? Bór milczy.

Jasiukiewicz i Jankowski zdradzają wyraźnie oburzenie, że śmiem zadawać takie zuchwałe pytania.

Jedna ze spraw, która omawiana była na wszystkich prawie naszych posiedzeniach, to sprawa pomocy dla powstania ze strony Anglosasów. Od samego początku powstania, z głosów prasy zachodniej, z wypowiedzi polityków, było dla mnie jasne, że powstanie w Warszawie wybuchło bez porozumienia z naszymi sprzymierzeńcami zachodnimi i że byli oni z jego wybuchu wyraźnie niezadowoleni.

Nie trzeba było być wielkim znawcą sztuki wojennej, aby zorientować się, że Anglosasi nie byli w stanie udzielić powstaniu skutecznej pomocy. Na to trzeba by było otworzyć w Polsce, pod Warszawą, front Anglosasów przeciwko Niemcom; a taka operacja, niezależnie od wielkich oporów politycznych, w sierpniu 1944 r. była dla nich technicznie niewykonalna. Mimo to na naszych posiedzeniach Bór, Jankowski, Jasiukiewicz występowali z oskarżeniem przeciwko — przede wszystkim — Mikołajczyko-

wi, że się o pomoc dla powstania nie stara i przeciwko Anglosom, że tej pomocy nie udzielają.

... Idę na Jasną. Dowiaduję się tam, że w piwnicę, w której mieliśmy dzisiejsze posiedzenie K.R.M. trafiła właśnie bomba i wszystko zdruzgotała.

Dokąd pójść?

Lokuję się na razie w zdemolowanym biurze na Jasnej. Po południu ma się jeszcze odbyć posiedzenie Rady Jedności Narodowej w lokalu dawnej firmy Siudecki na ul. Przeskok. Posiedzenie to ma być z udziałem członków K.R.M.

... Tego samego wieczoru, a było to gdzie pomiędzy 1 i 3 września, przez podwórza i piwnice, przez obficie zbroczony krwią wykop wryty w jezdni Al. Jerozolimskich, wędrujemy na ul. Kruczą 17. Panuje tu dawna cisza i spokój.

... Początek września. Ośrodek centralny Delegatury i A.K., kierownictwa stronnictw politycznych, wyniosły się już ze śródmieścia i urzędują na terenie ograniczonym Al. Jerozolimskimi, Placem Trzech Krzyży, ul. Piusa i Poznańską. Wszystkie te ośrodki ogarnęła apatia oczekiwania na to, co przyniesie jutro. Do zrobienia nie mamy już nic.

Na jednym z naszych posiedzeń pytam znów Bora — jakie są perspektywy powstania? Jakie mamy zapasy broni, amunicji, żywności, lekarstw. Jakie są widoki na zdobycie Warszawy przez wojska radzieckie? Bór odpowiada, że zapasów żywności starczy Warszawie na dwa tygodnie a na temat zdobycia Warszawy przez wojska radzieckie nic nie może powiedzieć...

Pewnego razu Bór przyszedł na posiedzenie wyraźnie uradowany wiadomością, że jego zwiadowcy siedzący na dachach zauważyli na Pradze ruchy świadczące o przygotowaniach wojsk radzieckich do forsowania. W gronie naszym zapanowało wyraźnie ożywienie. Jankowski polecił mi przygotować numer Dziennika Ustaw z ujawnieniem władz centralnych...

Wkrótce wyjaśnia się, że wiadomość była nieprawdziwa. Na jednym z następnych posiedzeń stawiam oficjalne pytanie — jaki jest cel powstania? Pytanie to wywołuje oburzenie Jankowskiego i Jasiukiewicza. Zarzucają mi, że należę do obozu tych co sięją panikę.

Przed kapitulacją

W kilka dni później Bór zawiadamia nas oficjalnie na posiedzeniu, że Niemcy za pośrednictwem Tarnowskiej, przewodniczącej PCK, proponują Warszawie kapitulację. Pyta nas czy należy

prowadzić rokowania? Po oświadczeniu Bora zapada dłuższe milczenie, które przerywa wreszcie Jankowski — i o dziwo — wypowiada się za prowadzeniem rokowań. Jasiukiewicz nie oponuje.

... Jeszcze jeden konflikt londyński echem dociera do nas. Zaostriżył się właśnie stary konflikt Mikołajczyk-Sosnkowski. Mikołajczyk, zwolennik porozumienia z ZSRR, żąda ustąpienia Sosnkowskiego, który jest tego porozumienia największym przeciwnikiem. W związku z tym jego osoba na stanowisku naczelnego wodza jest dla ZSRR absolutnie niestrawna. Raczkiewicz staje po stronie Sosnkowskiego. Mikołajczyk prosi kraj o opinię. Na posiedzeniu Krajowej Rady Ministrów ja jeden popieram stanowisko Mikołajczyka. Wszyscy inni z dziwną zgodnością bronią Sosnkowskiego i Raczkiewicza, nie szczędząc pod moim adresem wyrazów oburzenia.

... Pewnego dnia otrzymujemy wreszcie od Mikołajczyka depeszę: — „Bądźcie dobrej myśli, jutro STEM”. Wiadomość ta lotem błyskawicy obiega Warszawę. Następnego dnia kto żyw wypatruje w górę. Wreszcie, gdzieś koło drugiej po południu, przy słonecznej, cichej pogodzie, — wysoko, wysoko — majestatycznie płyną klucze samolotów. Z dołu zaczyna się szalona kanonada niemieckiej artylerii, na szczęście bezskuteczna. Pod płynącymi samolotami wykwitają nagle wielkie, kolorowe kule. To spadochrony na których leci do nas pomoc... Niestety, pomoc ta — broń, lekarstwa, żywność — w nieznaczej tylko części spadła na nasz teren. Znaczna część zrzutów trafiła na tereny niemieckie i przepadła...

... Warszawa podzieliła się teraz na rejony według studzien z wodą.

Poznałem i ja humor i rozpacz ludu Warszawy wyczekującego wiele godzin na wodę, przysłuchiwałem się osobliwym „nocnym rozmowom rodaków”. Znużeni, skostniaли z zimna, głodni ludzie stali w kolejce, zasypiali, wyczekiwali i często ginęli.

Pewnego dnia p. Ziemiańska, która bez żadnej z naszej strony zapłaty zajęła się żywieniem mnie i Załęskiego, oświadczyła, że nie ma już co gotować. Postanowiliśmy wobec tego wziąć udział w wyprawie organizowanej przez Biuro Prezydyjne Delegatury do jakiegoś młyna na Woli, gdzie podobno na samej linii frontu, pod ostrzałem Niemców, była jeszcze pszenica.

... Płyną dni. Powstanie dogorywa. Brak żywności. Brak wody. Brak lekarstw. Chłód na dworze, chłód w mieszkaniach pozbawionych szyb. Szerzą się choroby zakaźne.

W takich właśnie okolicznościach gen. von den Bach, nowy dowódca wojsk niemieckich oblegających Warszawę, za pośrednictwem tej samej Tarnowskiej, proponuje kapitulację. Bór za-

wiadamia nas o tym i pyta czy należy prowadzić rokowania? Jankowski pierwszy, bez czyjegokolwiek sprzeciwu wypowiada się za prowadzeniem rokowań...

Dalsze rokowania prowadzi już Bór osobiście, albo przez swoich wysłanników, o nic nas nie pytając. Przed każdym z nas — członków Delegatury staje teraz podwójny problem: — w jaki sposób uniknąć wywiezienia do Niemiec i w jaki sposób i w jakiej formie odbudować Delegaturę po opuszczeniu Warszawy?

W sprawie odbudowy Delegatury ustalamy cały system łączności. Jako jej ośrodek terenowy bierzemy trzy miejscowości: — Milanówek, Podkowa Leśna i Grodzisk. Każdy członek Delegatury, któremu uda się przebrnąć szczęśliwie przez obóz i znaleźć wolność, ma dotrzeć do jednego z tych punktów i chodzić na najwcześniejsze nabożeństwa do tamtejszego kościoła tak długo, dopóki nie nawiąże kontaktu ze swoimi ludźmi.

Nad ranem w niedzielę (chyba 1 października) rozpoczyna się stan zawieszenia broni i w Warszawie zapanowuje cisza... Tłumy ludzi chodzą po zatarasowanych ulicach, pijane słońcem, ciszą, spokojem i bezpieczeństwem...

Gdzieś na ulicy Poznańskiej, my ludowcy (o ile pamiętam Bagiński, Dusza, Bryja, Bień, Araszkiewicz) po raz ostatni w Warszawie zbieramy się w swoim gronie. Ustalamy system łączności, taki sam jak w Delegaturze.

Polityczne skutki klęski Powstania

... Mamy ustalony sąd o Powstaniu listopadowym i styczniowym. Jak Historia oceni Powstanie sierpniowe? Myślałem o tej sprawie w Warszawie i myślę teraz, wyszedłszy szczęśliwie z niej. I tam i tu nie mogę oprzeć się wrażeniu, że była to operacja tragicznie chybiona. Jeżeli tylko to...

Powstanie warszawskie miało poważne skutki dla naszej konspiracji. Rozbity został główny ośrodek Delegatury i rozbity został główny ośrodek A.K. Cała dawna, szczerze budowana konspiracja przeciwniemiecka otrzymała śmiertelny cios. Rozproszeni zostali ludzie, przepadły materiały stanowiące rezultat kilkuletniej pracy, rozbita została łączność z terenem. Brak Warszawy, wielkiego miasta, stwarzał niemożliwość odbudowania tego co było. A poza tym — i to może jest najważniejsze — nikt już nie miał ochoty do mozolnego odtwarzania swej wielkiej konspiracji, bo każdy zdawał sobie sprawę, że panowanie niemieckie skończy się niebawem. Delegatura jako całość jest rozbita.

... W praktyce więc Powstanie zlikwidowało pracę wszyst-

kich departamentów. Po Powstaniu istniała jeszcze tylko Rada Jedności Narodowej, Krajowa Rada Ministrów i Biuro Prezydialne Delegatury. Istniała podziemna reprezentacja polityczna kraju, ale pozbawiona swego aparatu pracy.

Analogiczna sytuacja zapanowała w A.K. Powstanie warszawskie było najważniejszą jej operacją militarną i polityczną (już w czasie powstania nabrałem pewności, że była to i operacja polityczna). Operacja skończyła się klęską. Cały główny sztab A.K. poszedł do niewoli. Skończyła się A.K. jako całość, jako pewien organizm. Istniały jeszcze komendy terenowe, ale według tego co do mnie doszło, Komendy te już w czasie powstania zaczęły działać na własną rękę, zaczęły bezpośrednio porozumiewać się z Londynem i prowadzić swoją politykę.

... Po wyjściu z Warszawy widzę przed sobą trzy główne zadania: — 1) jak najprędzej nawiązać łączność z Londynem, 2) nawiązać łączność z ludźmi naszego stronnictwa i 3) odbudować łączność w Delegaturze.

Najpierw udaje mi się odbudować łączność z naszymi ludźmi. Dowiaduję się, że Banach i Mierzwa, którzy w czasie Powstania byli na Żoliborzu i wcześniej wyszli z Warszawy, znajdują się w okolicy Milanówka. Bardzo szybko znajduję Banacha. Z relacji jego wynika, że w tutejszych kołach politycznych uważano już centralne ośrodki stronnictw, Delegatury i A.K. za przepadłe. Czekano tylko na koniec powstania, aby rozpocząć pracę nad odtworzeniem tych ośrodków.

... Na odcinku A.K., zamkniętą w Warszawie Komendę Główną, częściowo zastępuje mieszkający w Brwinowie komendant obszaru warszawskiego, który ma łączność radiową z Londynem. Z rozmowy z nim wynika, że już od pewnego czasu próbował nawiązać łączność radiową z Londynem, że miejscowy komendant A.K. używał mu w tym celu swojej radiostacji, ale brak mu szyfru delegackiego. W Podkowie Leśnej mieszka wprawdzie wysiedlona z Warszawy szyfrantka Delegatury „Krystyna”, ale związana jest przysięgą i nie chce zdradzić tajemnicy szyfru.

... Siadam na rower i jadę do Podkowy Leśnej. Znajduję „Krystynę” i wbrew wszelkim zasadom konspiracji przedstawiam się jej kim jestem. „Krystyna” знаła mnie z widzenia i zgadza się szyfrować depesze podpisane przeze mnie.

... W tydzień, albo w dziesięć dni po moim wyjściu z Warszawy wydostali się stamtąd, przy pomocy RGO i Czerwonego Krzyża — Delegat, Jasiukiewicz, Pużak, Zaremba, Białas i inni. Białas wkrótce po wyjściu z Warszawy został aresztowany przez Niemców...

Z chwilą zjawienia się na terenie podwarszawskim Delegata,

Pużaka, Okulickiego i innych, ośrodek kierowniczy Polski Podziemnej był znowu odbudowany. Przekazałem Delegatowi urządowanie, poinformowałem go o nawiązanej łączności z Londynem, oddałem mu wszystkie depesze wysłane i otrzymane, wprowadziłem go w tok wszystkich spraw na miejscu...

Najpilniejszą sprawą, jaka teraz stała przed całym kierownictwem Polski podziemnej, była sprawa, w jakiej skali ma istnieć dalsza konspiracja, gdzie ma się ulokować, jak ma się zachowywać w razie dalszego przesuwania się frontu na Zachód?

Zacznijmy od sprawy najistotniejszej. Z informacji, jakie otrzymaliśmy ze wschodniej Polski, przed powstaniem i w czasie powstania, wynikało, że wszędzie tam, gdzie ustanowione przez Delegaturę władze polskiej, w momencie wyzwania, rozpoczynają działalność jawną, że były one z reguły aresztowane przez władze radzieckie. Informowaliśmy o tym Londyn, który wreszcie w czasie powstania (albo może zaraz po powstaniu) dał nam instrukcję, żeby praktyki tej zaniechać, nie ujawniać się i trwać w konspiracji, dopóki problem polsko-rosyjski nie zostanie jakoś załatwiony. Zasada ta została przez nas przyjęta.

Nowy dowódca A.K.

... Jednocześnie, z powyższą sprawą, aktualna stała się sprawa następcy po Borze, który poszedł do niewoli. Bór wyznaczył swoim zastępcą gen. Okulickiego, który w czasie powstania był w Warszawie, a po powstaniu zdjął mundur, wyszedł z Warszawy i znajduje się również w okolicach podwarszawskich.

O wyznaczeniu Okulickiego Bór zawiadomił sztab w Londynie. Londyn nie kwapił się jednak z zatwierdzeniem Okulickiego mając jakieś zastrzeżenia podsycane, zdaje się, przez niektórych komendantów okręgów A.K. w kraju. Ta sprawa oparła się o Delegaturę i o stronnictwa. Okulicki prowadził wtedy rozmowy z Delegatem i ze wszystkimi stronnictwami. Z ramienia ludowców rozmawiali z nim Banach, Bień, Mierzwa, Bagiński, Wójcik. Okulicki pozyskał sobie moje zaufanie i zdaje się, że kolegów również... W rozmowach z Okulickim stawialiśmy żądania następujące: w Delegaturze musi powstać Departament Spraw Wojskowych; szefem tego departamentu ma zostać osoba zaufana ludowców; ma być zlikwidowane Biuro Informacji i Prasy A.K., które było głównym ośrodkiem roboty politycznej, zaś agendy jego mają być przekazane Delegaturze; Kamiński ma zostać szefem sztabu A.K. i następcą Okulickiego; mają nastąpić liczne nominacje oficerskie wśród członków BCh. Okulicki na wszystkie

te żądania wyraził zgodę. Uważałem to wtedy, ja i inni za wielki sukces nasz, bo o te same postulaty walczyliśmy już parę lat bez skutecznie. Jedyne Niecko zachował pewien sceptycyzm. Pamiętam, że po rozmowie przeprowadzonej z Okulickim w Piotrkowie, zapytany przeze mnie jakie odniósł wrażenie powiedział: — „Jakieś to wszystko za dobre”.

Stronnictwo Ludowe wyraziło Okulickiemu zaufanie i zawiadomiło o tym Delegata, komunikując mu jednocześnie warunki ludowców... odpowiednia depesza poszła wówczas do Londynu.

Okulicki został wreszcie zatwierdzony na stanowisku Komendanta A.K., ale zaufaniem kół wojskowych w Londynie nie cieszył się. Skarżył się kilka razy w rozmowach, że sztab londyński porozumiewa się z poszczególnymi komendami obszarów bezpośrednio i z pominięciem komendanta A.K.

... Jednocześnie z reorganizacją Polski podziemnej po klęsce warszawskiej na forum międzynarodowym rozgrywają się zdarzenia o doniosłym znaczeniu dla Polski (tu A. Bień relacjonuje znane starania Churchilla i Edena w Moskwie w 1944 r. na rzecz Mikołajczyka — przyp. E.P.).

Sprawy granic

... Mikołajczyk znowu, tak samo jak w czasie powstania, pyta o rychłą opinię kraju. Z treści depeszy wynika, że mimo bolesnych ofiar jest zwolennikiem tego kompromisu, tej konsolidacji terytorialnej i narodowej Polski. Depesza Mikołajczyka zostaje odbita w kilkunastu egzemplarzach. Otrzymują ją członkowie Delegatury i przedstawiciele stronnictw. Trwają namętne dyskusje, ale ani Rada Jedności Narodowej, ani Krajowa Rada Ministrów, ani stronnictwa oficjalne, w tej sprawie się nie wypowiedziały.

Nie ustala swojego stanowiska w tej sprawie i nasze stronnictwo, jakkolwiek Mikołajczyk jest naszym człowiekiem i trzeba mu było dać jakąś dyrektywę. W różnych zespołach (Bagiński, Załęski, Wójcik, Mierzwa, Banach, Bień) prowadziliśmy na ten temat gorące dyskusje. Załęski wysunął swój stary projekt kompromisu terytorialnego. Ja poparłem ten plan, ale nie zyskaliśmy zwolenników. Nikt nie miał odwagi zgodzić się dobrowolnie na utratę Lwowa i Wilna.

... Mikołajczyk w Londynie nie miał odwagi oderwać się od obozu Raczkiewicza i Sosnkowskiego i w decydującym momencie, w listopadzie 1944 r., pójść własną drogą, którą niewątpliwie widział i w której była przyszłość Polski. My, w kraju, również

nie mieliśmy odwagi poprzeć go w sposób zdecydowany i skuteczny. Chcieliśmy żeby wrócił do rządu, bo rząd bez chłopów w tym przełomowym momencie wydawał nam się nonsensem. Ale nie wiedzieliśmy co zrobić, by Mikołajczyk mógł dalej rządzić. Na posiedzeniu Centralnego Kierownictwa Bagiński, który reprezentował stronnictwo nasze w Radzie Jedności Narodowej otrzymuje następującą instrukcję: — w obecnej sytuacji rząd polski bez ludowców nie jest rządem pełnowartościowym, Rada Jedności Narodowej powinna zatem uchwalić pod adresem Londynu żądanie, aby Mikołajczyk i ludowcy powrócili do rządu.

Pierwsze posiedzenie R.J.N. i K.R.M. w tej sprawie odbyło się w Podkowie Leśnej na początku grudnia. Na posiedzenie to tylko Bagiński i ja przyszlismy pełni oburzenia na kadłubowy rząd, jaki pod przewodnictwem socjalisty Arciszewskiego powstał w Londynie bez ludowców. Delegat i inne stronnictwa, wiedząc, że nie zdecydujemy się na zerwanie „świętej” jedności zajmują stanowiska wymijające i raczej wyczekujące. Im nie przeszkadza rząd bez ludowców, do których nie mają zaufania. Socjalistom zaś sytuacja, w której ich człowiek jest premierem wręcz dogadza.

Na pierwszym posiedzeniu w Podkowie nie zapada żadna wyrażna decyzja. Następne posiedzenie Rady Jedności Narodowej i Krajowej Rady Ministrów wyznaczone jest w Piotrkowie w klasztorze. Posiedzenia w Piotrkowie, poświęcone głównie sprawie rządu (w Londynie — przyp. — E.P.) trwają długo, wśród gorącej dyskusji. Wreszcie Bagiński i Pużak wypracowali rezolucję wypraną z wszelkiej treści, która nikomu nic nie zalecała ani nie zakazywała. Smętna jedność zostaje uratowana. Kraj wypowiedział się. Arciszewski może dalej rządzić. Mikołajczyk i ludowcy pozostali na boku.

Organizacja „Nie”

... Wśród tych spraw, osobny, niezależny bieg miała sprawa organizacji „NIE”. Gdzieś w początkach listopada otrzymaliśmy od Mikołajczyka depeszę ściśle tajną, w której poinformował nas o uchwale rządu, powziętej, o ile pamiętam, w porozumieniu ze sztabem głównym, w sprawie zorganizowania w kraju głęboko zakonspirowanej organizacji na wypadek zajęcia Polski przez wojska rosyjskie. O treści tej depeszy Delegat poinformował nas — zastępców, przewodniczącego Rady Jedności Narodowej i prezesów stronnictw... Na K.R.M. sprawa ta wniesiona została oficjalnie na posiedzeniu w Piotrkowie 28 grudnia 1944 r. Zapadła

wtedy uchwała o ustosunkowaniu się pozytywnym. Okulicki otrzymał polecenie opracowania statutu.

... Po posiedzeniach w Piotrkowie, mających miejsce w drugiej połowie grudnia 1944 r., zespół nasz całkowicie się rozproszył. Delegat i Pużak przebywali w Piotrkowie, Jasiukiewicz i Pajdak w Krakowie, Okulicki i Kamiński w Częstochowie, Niecko w Skierniewicach. Na terenie podwarszawskim przebywali z ludowców Bagiński, Korboński i czasem zjawiał się Wójcik oraz Banach. Ze Stronnictwa pracy Chaciński i delegat warszawski. Ze stronnictwa Narodowego Zwierzyński. Tu również przebywał stale Zawadzki szef Biura Prezydialnego Delegatury z którym kontaktowałem się stale i otrzymywałem od niego nadchodzące pisma i depesze. W okresie tym w Milanówku przebywał również Roman Knoll, dyrektor Departamentu Spraw Zagranicznych Delegatury, który jednak od czasów powstania przestał urzędować ze swym nieistniejącym już departamentem.

... Godzina 3 po południu 16 stycznia 1945 r. Pierwsze czołgi radzieckie z otwartymi lukami, oblepione naszymi, miejscowymi ludźmi, pędzą główną ulicą Milanówka... Czuję, że w życiu naszym nastąpił olbrzymi przełom i czuję na sobie nieznośny ciężar konspiracji. Obowiązuje mnie przecież zasada, że się nie ujawniamy, że bojkotujemy „nielegalne” władze rządu lubelskiego. Nie znaczy to, że wszyscy Polacy mają je bojkotować. Nie. Bojkot obejmuje tylko ludzi czołowych, pierwszoplanowych. Ludzie drugoplanowi, nawet z naszego aparatu, mogą i powinni wchodzić do administracji „lubelskiej”.

... Zjawia się wreszcie Bagiński, który tu spod Komorowa przyszedł na piechotę. Bagiński jest zdania, że należy natychmiast zwołać posiedzenie R.J.N. i wyrzucić nacisk na Londyn w kierunku zmiany rządu. Zwołujemy to posiedzenie do Brwinowa. Na posiedzeniu nie ma Delegata, Pużaka i socjalistów. Do Pużaka wysłałem specjalną łączniczkę do Piotrkowa. Dzielna ta kobieta, na rowerze, z narażeniem życia, przedostała się przez teren trwających jeszcze walk pod Tomaszowem i dotarła do Pużaka, ale Pużak nie przyjechał... Inne stronnictwa są reprezentowane. Od ludowców był Bień i Bagiński, od S.N. Zwierzyński i od S.P. delegat warszawski. W wyniku całonocnych obrad uchwalona zostaje rezolucja jednomyślna żądająca zmiany rządu i powrotu Mikołajczyka do władzy.

Wobec Jąty

... Gdzieś w pierwszej połowie lutego rozchodzi się wiado-

mość o konferencji w Jałcie... Na wieść o konferencji w Jałcie natychmiast przyjechał z Piotrkowa Delegat. Przyjechali też inni czołowi przywódcy z Delegatury i Stronnictw. Przyjechał też Okulicki. Delegat zwołał natychmiast w Podkowie Leśnej posiedzenie R.J.N. Odbywało się ono w momencie, kiedy wyniki konferencji w Jałcie były już znane... W momencie rozpoczęcia naszych obrad wiedzieliśmy, że rząd londyński uchwały jałtańskie odrzuci. Po długich naradach Rada Jedności Narodowej i Krajowa Rada Ministrów postanowiły przyjąć uchwały jałtańskie. Na tym samym stanowisku stanowisku stanął i Okulicki. W tym momencie Polska Podziemna rozeszła się oficjalnie z rządem londyńskim, który zawiadomiliśmy o naszych uchwałach.

W związku z powyższą uchwałą staje przed nami problem — jaką drogą iść teraz do ujawnienia i zalegalizowania aparatu Polski Podziemnej, do likwidacji rządu londyńskiego, do wzięcia udziału w realizacji uchwał jałtańskich:

Jankowski, Mierzwa, Bagiński jadą — każdy oddzielnie — do Piotrkowa, gdzie przebywa Witos i prowadzą z nim na ten temat rozmowy. Wszyscy potem zgodnie stwierdzają, że Witos nie udzielił im żadnej rady, że stary polityk tym razem zdaje się nie widzieć przed sobą wyraźnych perspektyw.

... Któregoś dnia, w pierwszej połowie marca, na posiedzeniu K.R.M. zjawia się Okulicki i czyta nam napisany po rosyjsku list, który otrzymał od pułkownika NKWD Pimionowa za pośrednictwem nieznanej mi już dziś osoby. W liście tym płk. Pimionow zaprasza gen. Okulickiego na rozmowę, której celem będzie uregulowanie stosunków pomiędzy armią czerwoną a A.K. Płk. Pimionow zapewnia Okulickiemu bezpieczeństwo słowem honoru oficera radzieckiego.

Okulicki pyta nas jak ma się do tej propozycji ustosunkować. Po krótkiej naradzie ustalamy jednogłośnie, że Okulicki powinien pójść na rozmowę. Okulicki wzbrania się nieco. Ma jakieś stare porachunki z władzami radzieckimi i w związku z tym żywi pewne obawy.

... Jaka była treść rozmowy Okulickiego z płk. Pimionowem nie pamiętam, ale Okulicki wrócił z niej pełen dobrych nadziei. Następnego dnia miał z Pimionowem rozmawiać Delegat.

... Kierownictwo naszego stronnictwa otrzymuje poza tym od płk. Pimionowa specjalne zaproszenie na rozmowę za pośrednictwem członka naszego stronnictwa Wyrzykowskiego... Mamy się spotkać 18 marca na ul. Nowogrodzkiej przy przystanku EKD o 10 rano. Zbieramy się tam wszyscy to jest Bagiński, Mierzwa, ja i Wyrzykowski. O oznaczonej godzinie podjeżdża wojskowy Willys. Przy kierownicy siedzi żołnierz. Z samochodu wysiada

mężczyzna w cywilnym ubraniu i przedstawia się — Chodkiewicz... Jedziemy zwykłą drogą przez Wolę i Włochy... Dojeżdżamy do Pruszkowa...

Przewodnik nasz prowadzi nas do dużego pokoju na pierwszym piętrze gdzie zastajemy dwóch wojskowych — pułkownika i kapitana. Pułkownik przedstawia się nam jako Pimionow... Ja jako najlepiej władający językiem rosyjskim objaśniam kim jesteśmy, jakie jest nasze stronnictwo... Pułkownik pyta o nasz stosunek do rządu lubelskiego. Odpowiadam, że rząd lubelski nie jest w naszym pojęciu legalny, ale widzimy tam wielu ludzi, którzy powinni wejść do rządu jedności narodowej...

Rozmowy z płk. Pimionowem prowadziły potem wszystkie stronnictwa i kilka razy chodził jeszcze na rozmowy Delegat.

... W dniu 27 marca, rano, Delegat, Pużak i Okulicki udają się razem na ostatnią wstępną konferencję z Pimionowem. Tegoż dnia rano wyjeżdżam z Warszawy do Milanówka, aby się odpowiednio przebrać na jutrzejszą konferencję, zabrać najkonieczniejsze rzeczy na ewentualną podróż do Londynu i tegoż samego dnia wróć wieczorem do Warszawy na wspólnie, ostatnie przed konferencją — posiedzenie R.J.N. i K.R.M.

... W jakimś mieszkaniu na ul. Koszykowej czy Wilczej zbieramy się wszyscy i czekamy na Delegata, Pużaka i Okulickiego. Czekamy kilka godzin, nie przychodzą. Zebranie nie dochodzi do skutku...

Snujemy różne domysły. Nie brak przewidywań najgorszych. Bagiński czyta list anonimowy, który dziś jakimiś drogami dostał. Nieznany autor listu ostrzega nas przed pójściem na konferencję i zapowiada, że wszyscy zostaną aresztowani. Jesteśmy tym zaniepokojeni, ale wszyscy postanawiamy iść na konferencję mając nadzieję, że Delegat, Pużak i Okulicki już może rozpoczęli konferencję z płk. Pimionowem.

Późnym wieczorem idę na ul. Górskiego gdzie ma się odbyć ostatnie przed konferencją zebranie kierownictwa naszego stronnictwa. W zebraniu tym uczestniczyli Niećko, Wójcik, Mierzwa, Bagiński, ja i może jeszcze ktoś (kogo A. Bień nie chce wymienić — przyp. E.P.). ... Ustalamy linię postępowania dla naszych delegatów, którymi mają być Bagiński, Bień i Mierzwa...

Słonecznym, wiosennym rankiem 28 marca 1945 wychodzę na ulicę, aby wyruszyć w... daleką drogę...

Notatki ze wspomnień A. Bienia starałem się robić na tyle obszerne, aby nie opuścić treści politycznie ważnej. Wyszło mi 24 strony maszynopisu gęsto zapisanego. Wybrałem z tego do druku połowę omijając opisy spraw znanych notorycznie, jak np. opis treści uchwał jałtańskich, czy też starania polityków anglosaskich w Moskwie w sprawach uregulowania stosunków pol-

sko-rosyjskich. Kierowała mną również chęć utrwalenia klimatu pracy najwyższych władz politycznych i wojskowych polskiego podziemia, w ocenie osoby hierarchicznie bardzo wysoko w podziemiu postawionej.

Sądzę, że we wspomnieniach A. Bienia nie można oddzielić okresu z Powstania warszawskiego od miesięcy następnych, kiedy R.J.N. i K.R.M. znajdują się pod bezpośrednim wpływem skutków klęski Powstania.

Do druku przygotował *Edward PUACZ*

Witold BABIŃSKI

ZE WSPOMNIENIŃ O JÓZEFIE LIPSKIM

W związku z mającą się wkrótce ukazać dokumentacją dotyczącą działalności naszego ostatniego ambasadora w Berlinie, staje mi żywo w pamięci szereg odbytych z nim rozmów.

Z Józefem Lipskim łączyła mnie długoletnia przyjazna znajomość, o charakterze nie tylko towarzyskim: jeszcze pod koniec lat 20-tych, gdy zarysowały się widoki na zakończenie wojny celnej z Niemcami, znaleźliśmy się przy jednym stole obrad — on jako znawca spraw niemieckich w M.S.Z., ja — z ramienia tzw. sfer gospodarczych.

W czasie kryzysu gospodarczego, gdy w roku 1932 byłem na posiedzeniu Komitetu Ekonomicznego Ligi Narodów, gdzie powoływaliśmy do życia „Comité International du Bois”, spotkałem Józefa Lipskiego przed „Palais des Nations”. Spytałem go wtedy, czy idzie na posiedzenie „Assemblée” które się właśnie odbywało. „Nie” — powiada z uśmiechem — „ja nie chodzę na posiedzenia, chodzę tylko na konferencje”.

W latach, gdy Lipski był ambasadorem w Berlinie, wypadało mi bywać tam niejednokrotnie: począwszy od sondaży przed zawarciem traktatu handlowego, w czasie zawierania traktatu, jako jeden z ekspertów, wreszcie, gdy byłem stałym członkiem komisji parytetowej, regulującej obroty handlowe polsko-niemieckie. Ponadto brałem udział — z ramienia Izby i Organizacji Rolniczych w rewizycie „Bauernstandu” w Niemczech. W okresie tym, ilekroć byłem w Berlinie, ambasador chętnie mnie u siebie widział. Prosił o spostrzeżenia z pobytu w Niemczech, sam z kolei udzielając mi informacji. Ostatni raz przed wojną byłem w Berlinie w maju 1939 roku.

Następne spotkanie — w Angers wiosną 1940, gdy „Ambassadeur soldat de deuxième classe” przyjeżdża za przepustką ze szkoły podchorążych w Coëtquidan. Dalsze spotkania — w Londynie, dokąd Lipski przybywa po ucieczce z niemieckiej niewoli,

do której się dostał jako podchorąży I-iej dywizji grenadierów. Wielokrotne spotkania i rozmowy w Londynie, wreszcie — od lipca 1943 r. ścisła codzienna współpraca w Gabinetie Naczelnego Wodza. Po wojnie — spotkania w Montrealu, parokrotne spędzenie wakacji w Stanach, nad Atlantykiem. Tam zwłaszcza mieliśmy możliwość omawiania pewnych wydarzeń z perspektywy, wiele wspomnień wracało.

Obecnie, z racji rychłego ogłoszenia drukiem spuścizny po Józefie Lipskim, chcę dorzucić garść wspomnień z tych rozmów.

1. Wspomnienia paryskie

W pierwszych latach niepodległości Lipski był sekretarzem naszego poselstwa w Paryżu, gdzie Rzeczpospolitą reprezentował Maurycy Zamoyski. Z tego okresu utkwiły mi w pamięci dwa wspomnienia — pierwsze, gdy nadchodzi do Paryża tragiczna wiadomość o zabójstwie prezydenta Narutowicza, Zamoyski, głęboko wstrząśnięty prosi aby go zostawić samego. Po godzinie nawiązuje kontakt z francuskim dziennikarzem polskiego pochodzenia, mającym duże wpływy w prasie, m.in. w „Le Temps”. Dziennikarz ten chętnie podejmował się obrony naszych interesów. Zamoyski ustala z nim wtedy plan takiego ustawienia sprawy w prasie francuskiej, z którego by wynikało, że zabójstwo było czynem szaleńca. Dziennikarz plan ten wykonał i w tym duchu francuską prasę inspirował. Wywołało to z kolei gwałtowną reakcję ówczesnego rządu polskiego — oto bowiem Zamoyski dostaje telefon z Warszawy, polecający mu tę robotę prasową całkowicie odwrócić i informować zagranicę, że zabójstwo było dziełem warcholskich partii politycznych, Zamoyski odpowiada, że kierunku jaki nadał informacjom prasowym nie zmieni, gdyż tylko taki kierunek odpowiada, według jego mniemania, interesom Polski.

Drugie wspomnienie z okresu paryskiego dotyczy sprawy rozgraniczenia Śląska po odbytych tam plebiscycie. Jest rzeczą dość powszechnie znaną, w jakich okolicznościach Rada ambasadorów przyznała Polsce Górny Śląsk, który w większości optował za przynależnością do Polski, mimo, że większość ludności całego Śląska opowiedziała się za przynależnością do Niemiec. Wiadomo, że przychylne dla nas rozwiązanie popierał rząd francuski. Sprzeciwiał się temu rozwiązaniu bardzo energicznie rząd brytyjski. Chwiejnie stanowisko zajmował rząd włoski, aż wreszcie głos Sforzy przeważył szalę na naszą korzyść („linia Sforzy”).

Mało natomiast znany jest fakt, że samo skierowanie sprawy na Radę ambasadorów wydawało się rzeczą prawie niemożliwą, a to wskutek stanowiska Lloyd George'a, który uważał, że sprawa została przesądzona na korzyść Niemiec. W pewnym okresie zgoda Anglii na skierowanie sprawy pod obrady i decyzję Rady ambasadorów, zależała od pewnego wysokiego urzędnika brytyj-

skiego, reprezentującego swój kraj w ówczesnych intytucjach międzysojusznicznych. Otóż Zamoyski dowiedział się poufnymi kanałami prywatnymi, że ów wysoki urzędnik przegrał fortunę w karty i nosi się z zamiarem popełnienia samobójstwa. Zamoyski postanowił go wykupić z długów za cenę nieczynienia przeszkód w skierowaniu rozgraniczenia Śląska na Radę ambasadorów. Delikatne, dyskretne, a jakże ryzykowne starania, uwieńczone zostały rezultatem: Anglik, dał się przekupić, zobowiązanie wykonał lojalnie. Nawet w czasie ostatecznej rozmowy z Zamoyskim, która odbywała się w klubie umieścił w sąsiednim pokoju zaufanego przyjaciela, jako świadka... Zamoyski szarpnął wtedy poważnie swoją fortuną na cele publiczne, (nie po raz pierwszy). Zaufanym urzędnikom którzy coś o tej sprawie wiedzieli, zabronił pisać o niej słówkiem.

Mimowoli przypominam sobie, jak Maurycy Zamoyski znalazł się w trudnych interesach w okresie kryzysu lat 30-tych i jak pewne organa rządowe chciały go do reszty zrujnować. (Staął wtedy w obronie Zamoyskiego Floyar Rajchman). „To był ambasador” zakończył swe opowiadanie Lipski.

2. Ambasada w Berlinie

a) Gdy przed amb. Lipskim stanęło zadanie negocjacji z Hitlerem o pakt nieagresji — otrzymał on bardzo szczegółowe instrukcje od marsz. Piłsudskiego. Lipski podkreślał parokrotnie w rozmowach ze mną, jak wspaniale wtedy umysł Piłsudskiego pracował: instrukcje były przemyślane w najdrobniejszych szczegółach i z wielką precyzją: na każdą ewentualną reakcję Hitlera przygotowana była odpowiedź polska. „Może Pan nawet przeciągnąć strunę i dużo zaryzykować: Niemcy jeszcze nie są do wojny gotowe” — mówił wtedy Lipskiemu Piłsudski.

W pierwszym okresie ambasady Lipskiego w Berlinie toczyły się poufne rozmowy na temat paktu o nieagresji. Rozmowy te prowadzone były z najbliższym otoczeniem Hitlera. Oficjalne władze niemieckie nic o nich nie wiedziały. Toteż, gdy ambasador składał swoją pierwszą wizytę ministrowi spraw zagranicznych, von Neurath'owi i wygłosił parę ogólnikowych zdań, podkreślając swoją nadzieję, że stosunki polsko-niemieckie ulegną poprawie, von Neurath zdobył się jedynie na lakoniczną odpowiedź: *Ja, hoffentlich*.

b) Innego typu przyjęcie czekało Lipskiego u ówczesnego prezydenta Rzeszy, Hindenburga. Gdy odbyła się oficjalna ceremonia wręczenia listów uwierzytelniających, Hindenburg poprosił Lipskiego do małego salonu na prywatną rozmowę i powiedział: Lewkowo, Lewkowo, znam dobrze, to bardzo piękny majątek. Jakże to będzie, Pan będzie tu mieszkał w Berlinie, a przecież tam w Lewkowie mogą Pana okraść. Takie miał zmartwienia prezydent Rzeszy.

c) *W sprawie Sosnowskiego.* Lipski był zdania, że plany wojenne niemieckie, które Sosnowski zdołał wykraść i przekazać władzom polskim, były prawdziwe, że natomiast wydawały się tak niezwykle, że nikt nie chciał ich brać na serio, uznano je za sfingowane i umyślnie podrzucone przez Niemców „podwójnemu agentowi”.

Ze sprawą Sosnowskiego wiąże się inna relacja Lipskiego. Zaraz po objęciu ambasady Lipski nic nie wiedział o działalności Sosnowskiego, sprawy w ogóle nie znał. Wkrótce po przyjeździe do Berlina otrzymał zaproszenie na przyjęcie, urządzone przez głośne później dwie córki generałów niemieckich. Gdy pytał w swym biurze o bliższe szczegóły, ktoś mu nawet doradzał, aby z zaproszenia skorzystał. Zastanowił się chwilę i jakoś instynktownie coś go od tej karty zaproszeniowej odrzuciło. Nie poszedł. „Ładnie bym wyglądał”, mówił, gdyby nowego ambasadora sfotografowano w towarzystwie osób, oskarżonych wkrótce o szpiegostwo na rzecz Polski.

Obie panny skazane zostały na śmierć. Ambasador próbował dyskretną drogą interweniować, aby im życie ocalić. Opowiadał mi szczegółowo, jak przyszła odpowiedź odmowna: odwołano ambasadora od obiadu, gdyż był telefon z kwatery Hitlera — przez telefon zakomunikowano mu, że „Führer może zrozumieć oficera polskiego, szpiegującego na rzecz swego kraju, natomiast nie może zrozumieć córek generałów niemieckich, które mu w tym pomagają. Dlatego pójdą pod topór”.

d) Z rozmów Lipskiego z Hitlerem utkwił mi w pamięci następujący fragment — było to w pierwszych latach jego ambasady, a więc przed atakiem na Austrię, w okresie przed rozpoczęciem agresji niemieckiej. W długim wywodzie Hitler analizował sytuację wewnętrzną i nastroje w Czechosłowacji. Konkluzją jego wywodów było, że Czechosłowacja dojrzuje do stanu „narodowego komunizmu” (ściślej nacjonal-komunizmu). Proszę zważyć, że w owych latach nie tylko ideologicznie, ale i faktycznie nacjonalizm był przeciwieństwem komunizmu. To przeciwieństwo zdawało się być racją bytu obu systemów. Toteż, gdy Lipski wysłał do Warszawy raport z powyższej rozmowy analiza ekspertów nie mogła sobie dać rady, jak odcyfrować te wywody Hitlera. Przeważała opinia, że to są majaczenia pół-wariata.

Powojenna ewolucja komunizmu wykazuje, jak mistrzowsko wykorzystać potrafiono nacjonalizmy i jak zaprzęgnięto je w służbę komunizmu. W tym wypadku Hitler był chyba prorokiem.

e) Z różnych epizodów krótkotrwałego paktu o nieagresji, gdy omawialiśmy z amb. Lipskim, czy, i na jakich, odcinkach nastąpiła zmiana, pamiętam gdy opowiadał jak Niemcy udzielili skutecznej pomocy w schwytaniu zabójców min. Pierackiego. Spis-kowcy bowiem, co było z ich punktu widzenia logiczne, starali się ukryć na terenie Niemiec, uważając ten teren za najbardziej im przyjazny.

3. Wojna

a) po zaborach Hitlera: Austrii i Czechosłowacji, bieg wypadków szedł nieubłaganie do wojny. Żądania niemieckie, sformułowane przez Hitlera w styczniu 1939 w rozmowie z min. Beckiem w Berchtesgaden oraz powtórzone następnie w czasie ostatniej bytności Ribbentropa w Warszawie w lutym, nie pozostawiły już wiele nadziei na uratowanie pokoju. Zasadnicza decyzja, którą trzeba było powziąć, polegała na tym, czy Polska ma przyjąć wojnę z Niemcami. Według Lipskiego decyzja ta zapadła w marcu 1939, po naradzie która odbyła się na Zamku. W naradzie wzięli udział: prezydent Mościcki, premier Składkowski, min. Beck, marsz. Śmigły oraz amb. Lipski. Według Lipskiego, tajemnica powziętej wówczas decyzji była najlepiej dochowanym sekretem ze znanych mu tajemnic państwowych. O decyzji nie przedostały się wiadomości, ani w kraju, ani zagranicą.

b) Ostatnia rozmowa z Goeringiem, już po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow, a więc gdy wybuch wojny był nieunikniony. Rozmowa dramatyczna, obejmowała m.in. wzajemne zarzuty, kto paktu o nieagresji nie dochował, w jakich dziedzinach i kiedy porozumienie funkcjonowało (np. międzynarodowa współpraca policji); w dalszej rozmowie poruszono tematy szersze — Lipski pytał Goeringa, czy nie obawia się współpracy z Sowietami. Goering wstał, zaczął chodzić po pokoju i mówił, rozkładając ręce: oczywiście, że się obawiam, bardzo się obawiam. Ale cóż mamy robić — możemy iść albo z Anglią, albo z Rosją. Anglia nie chce, więc musimy iść z Rosją. Skutków tego sojuszu obawiam się oczywiście. Cóż, powiada, proponowaliśmy Wam wspólny marsz na Rosję, aleście odmówili, Sosnkowski się przeciwstawił, nie dopuścił do tego.

c) Ostatnia rozmowa z ambasadorem brytyjskim w Berlinie Neville Henderson'em. Miała ona miejsce już po doręczeniu przez Ribbentropa ultimatum z wiadomymi żądaniami*. Otóż ambasador brytyjski w tej krytycznej chwili, nie mniej ni więcej tylko doradzał Lipskiemu, aby nie oglądając się na swój rząd i posiadane instrukcje — po prostu przyjął żądania niemieckie. Ta niesłychana rada ambasadora sojuszniczego państwa, wywołała reakcję ze strony Lipskiego, który ponadto starał się Hendersonowi wytłumaczyć, że sprawy zaszły tak daleko, że odwrócić sytuacji nic już nie jest w stanie.

d) W związku z ostatnim okresem ambasady w Berlinie, opowiadał mi amb. Lipski rzecz następującą: po zakończeniu działań wojennych, a w czasie swego pobytu w Londynie, Lipski pracował kiedyś wieczorem u siebie, okno było otwarte, nagle poczuł w pokoju fizyczną obecność Goeringa. Wrażenie było tak

* 30 sierpnia: chodzi o ultimatum z 16 punktów, odczytane (ale nie doręczone) Hendersonowi przez Ribbentropa. Ultimatum Polsce nigdy nie doręczone.

dojmujące, że po prostu nim wstrząsnęło. Na drugi dzień rano Lipski bierze gazetę i czyta, że Goering otruł się poprzedniego wieczora. Jeśli to była telepatia, to może Goering przed śmiercią myślał właśnie o swej ostatniej rozmowie z Lipskim.

Z rozmów powojennych

Pod koniec wojny i po zakończeniu działań wojennych z długich rozmów utkwіło mi w pamięci kilka:

a) Lipski śledził pilnie i studiował materiały z procesu w Norimberdze. Miał możliwość być na samym procesie, ale z niej nie skorzystał, bo uważał, że byłoby to nie *gentleman-like*, gdyby były ambasador przy tym właśnie rządzie był na sali. Gdy wyrok został ogłoszony i trybunał pominął całkowicie oskarżenia sowieckie, aby podsądnych skazać także i za mord w Katyniu — Lipski słusznie wtedy ocenił, że jest to jeszcze jeden dowód, *a contrario*, że mordy dokonały Sowiety.

b) rozmawialiśmy pod koniec wojny często o tym, jaki los spotka Niemcy po wojnie. Lipski zauważył bardzo wcześniej, że byliśmy już wtedy w przededniu wyścigu o przyszłe wpływy w Niemczech pomiędzy Sowietami a Zachodem. Wszelkie bajki o „pasterskim kraju” ucichły szybko. Co do powojennej wagi zagadnienia Niemiec, mimo ich podziału, nie miał Lipski nigdy wątpliwości.

c) W czasie powstania w Budapeszcie, Departament Stanu w Waszyngtonie był bardzo zaniepokojony sytuacją w Europie. W biurach były nocne dyżury i wzywano ekspertów. Obawiano się m.in. że podobne powstanie może wybuchnąć i we Wschodnich Niemczech, co z kolei może za sobą pociągnąć interwencję Niemiec Zachodnich i wywołać wojnę. Lipski był wśród ekspertów konsultowanych wówczas przez Departament Stanu. Gdy wchodził tam pewnego razu, wychodziło właśnie z tego biura kilku ludzi. Twarze ich wydały mu się znajome i po pewnej chwili zorientował się: toć to niemiecki „General Stab”. Oni także Lipskiego poznali i powiedzieli: „uspokoiłiśmy ich, wojny teraz nie będzie, Sowiety nie są jeszcze do wojny gotowe”.

d) Znane są dobre stosunki, jakie łączyły Józefa Lipskiego z Polonią amerykańską w okresie, gdy był reprezentatem Zjednoczenia w Waszyngtonie. Dla wielu ludzi było to niespodzianką, gdyż cała przeszłość Lipskiego, służba dyplomatyczna, praca w małych zespołach, dawały inną formację niż cechy potrzebne do działalności wśród licznych organizacji społecznych, zebrań o charakterze wiecowym itp. Ta jego umiejętność pracy wśród organizacji polonijnych była i dla mnie niespodzianką. Gdy kiedyś winshawe Lipskiemu wyników tej właśnie pracy, spytałem — jak on to robi. Odpowiedział, że w pewnej mierze zawdzięcza to swemu wielkopolskiemu pochodzeniu, a że wśród Polonii nie

brakło Wielkopolan, więc wspólny język łatwo było znaleźć między poznańczykami, przedstawicielami dzielnicy o małym napięciu konfliktów społecznych.

Nadto, mówił Lipski, nie trzeba żałować swego czasu i nie gardzić piwem wypitym w towarzystwie. Słowem należy *live together* a nie zjawiać się tylko na uroczystości...

Witold BABIŃSKI

DOKUMENTY

Tadeusz ROMER

U KOLEBKII PEWNEGO SOJUSZU*

Rozstrzygające zwycięstwo odniesione przez Polskę w sierpniu 1920 r. nad Armią Czerwoną zaskoczyło opinię francuską. Sam obserwowałem w owych dniach pamiętnych na ulicach Paryża objawy radosnego zdumienia. Przeciętny Francuz, nieobeznany z topografią ani warunkami walki w Europie wschodniej, odzwyczajony na zachodzie od wojny ruchomej, nie mógł zrozumieć powodów nagłego przejścia od powodzeń żołnierza polskiego, który w maju przekroczył Dniepr, do klęsk, które zawiodły go w sierpniu aż nad Wisłę i Narew, by prawie z dnia na dzień zakończyć się naszym tryumfem. Tak powstała skłonność przypisania przesadnej roli w tym obrocie sprawy gen. Weygand'owi, wysłanemu do Polski w charakterze szefa specjalnej Misji wojskowej francuskiej, czemu on sam pośpieszył zaprzeczyć.

Niemniej siła i zdecydowanie, wykazane przez zaledwie odrodzoną Polskę w tych jakże dla niej ciężkich przejściach, zjednywały nam coraz więcej zrozumienia i sympatii w opinii francuskiej w przeciwstawieniu do nieufności, jaką budził w niej rosnący chaos w Rosji bolszewickiej, w której zatopione zostały bezpowrotnie znaczne kapitały ciułaczy francuskich. Wykrwawiona i bardziej jeszcze niż wówczas przypuszczano osłabiona ledwie zakończoną wojną Francja, zatopiona nadal w wizji strat i bohaterstwa, rozglądała się za potencjalnymi chociażby źródłami dynamiki w Europie środkowej i wschodniej, na których pozyskaniu sobie mogłaby budować nową równowagę kontynentalną i pokój zabezpieczony przed odwetem ze strony pokonanych Niemiec.

Taką była geneza inicjatywy francuskiej, wyrażonej w następującej depezy, którą doręczył 27 grudnia 1920 r. Ministerstwu Spraw Zagranicznych w Warszawie francuski chargé d'affaires:

* Referat prof. Tadeusza Romera z Uniwersytetu McGill w Montrealu, przedstawiony na Sekcji Historycznej Pierwszego Zjazdu Naukowców polskich i polskiego pochodzenia w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, zwołanego przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce (25-27. XI. 1966).

„Prezydent Republiki i Rząd byliby szczęśliwi, gdyby Naczelnik Państwa, Marszałek Piłsudski, zechciał przybyć do Paryża. Wizyta ta w mniemaniu Rządu francuskiego leżałaby w interesie obu państw. Pozwoliłaby ona na wymianę poglądów w różnych ważnych sprawach, między innymi ułatwiłaby przez przeprowadzenie rozmów bezpośrednich zawarcie umowy politycznej i gospodarczej między Polską a Francją”.

Niedwuznaczna w treści ale niesprecyzowana jeszcze w zapowiedzi formuła tego zaproszenia była wyrazem sporów, które toczyły się na ten temat już od pewnego czasu wśród resortów francuskich. Potwierdzenie tego znajdujemy *ex post* w pamiętnikach amb. Jules Laroche („Au Quai d'Orsay avec Briand et Poincaré 1913-1926”, Hachette, Paris 1957). Ale już wówczas Poselstwo polskie w Paryżu zdawało sobie dobrze sprawę z tego, że francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a w szczególności jego ówczesny Dyrektor polityczny, Berthelot, sprzyjający Czechom, poczytują za co najmniej przedwczesne wiązanie się polityczne z Polską w chwili, gdy ogólne położenie w Europie wschodniej jest jeszcze tak niejasne i płynne. Czynniki wojskowe, nie wyłączając samego marszałka Focha, podzielały tę ostrożną postawę, choć zapewne z odmiennych względów. Dla nich Francja była zbyt wyczerpana wojną, by móc sobie pozwolić na samodzielną politykę na wschodzie Europy, pociągającą za sobą możliwość sporego ryzyka i kosztów, zaś Polska, mimo świetnego zwycięstwa nad Rosją, potrzebowała jeszcze wielu lat zaprawy wojskowej, by móc okazać się dla Francji dość silnym partnerem dla trzymania w szachu zawsze grożącego imperializmu niemieckiego.

Nasze Poselstwo w Paryżu, aczkolwiek liczące sobie dopiero niewiele ponad rok istnienia i złożone siłą rzeczy z nowicjuszy w służbie dyplomatycznej, miało jednak za szefa Maurycego Zamoyckiego, do niedawna wice-prezesa Komitetu Narodowego Polskiego, działacza o niezwyklej ofiarności i wielkim wyrobieniu i doświadczeniu politycznym, szeroko ustosunkowanego w świecie międzynarodowym, a wyróżniającego się wyjątkowym urokiem osobistym, który jednał jemu i sprawie polskiej oddanych przyjaciół. Część personelu placówki, do której i ja się zaliczałem, jako pierwszy sekretarz legacyjny, przeszła dwuletnią, intensywną i wszechstronną praktykę w sekretariacie Komitetu Narodowego i również dysponowała sporą gamą użytecznych kontaktów. Osobiście znajdowałem się tam w szczególnym jak na wiek i rangę położeniu. W słusznej bowiem dbałości o biurokratyczną rutynę nowego aparatu dyplomatycznego, Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Warszawie powoływało do naszej służby urzędników Polaków z dykasterii austriackich, a więc z wyjątkiem kilku nielicznych, czołowych dyplomatów monarchii habsburskiej, przeważnie wytrawnych pracowników konsularnych, którzy nieraz zatrudnieni bywali na trudnych placówkach bałkańskich. Jeden z nich właśnie, Mikołaj Jurystowski, mianowany został radcą naszego Poselstwa w Paryżu. Był on miłym

i wartościowym kolegą, który oddał swym fachowym wyrobieniem niemałe usługi w pracy. Ale nie doceniono z naszej strony zaognionej tradycji walki między polityką francuską a austro-węgierską właśnie na odcinku bałkańskim i dlatego Radca Poselstwa polskiego miał, rzecz prawie nie do uwierzenia, wszystkie drzwi zamknięte przed sobą na Quai d'Orsay. Doszło do tego, że gdy z okazji odwiedzin Marszałka Piłsudskiego w Paryżu nastąpić miała zwyczajowa wymiana odznaczeń dyplomatycznych, strona francuska umyśliła wyłączyć z niej Jurystowskiego. Poseł Zamoy-ski z właściwym swemu rodowi wielkopańskim gestem przeciął dyskusję zrzekając się orderów francuskich dla całego składu naszej placówki. Pokochaliśmy go za to jeszcze więcej zamiast boleć nad tą, chwilową zresztą stratą.

W tym stanie rzeczy wszakże wszystkie kontakty z Quai d'Orsay, z wyjątkiem naczelnych, najważniejszych oczywiście ale rzadszych, obarczających samego Posła, spadły na mnie, a wraz z nimi redakcja raportów i szyfrów politycznych w stałym współdziałaniu z szefem. Kosztowało mnie to niemało godzin pracy, ale wzbogaciło o wiele doświadczeń, którym m.in. zawdzięczać możność sporządzenia niniejszego referatu. Przygotowywane przeze mnie do podpisu Posła oficjalne relacje o nastrojach w stosunku do Polski kół rządowych i wojskowych francuskich, uzupełniane poufnymi listami osobistymi, nieraz mojej również redakcji, Posła do Ministra Spraw Zagranicznych w Warszawie, którym był wtedy Eustachy Sapieha, jego szwagier, oddawały wiernie już omówione poglądy kół dyplomatycznych i wojskowych francuskich i uzasadniały małe prawdopodobieństwo w tych warunkach oferty Francji pod naszym adresem ściślejszego związania się politycznego z Polską. Odpowiedzi otrzymywane z Warszawy, których głównym redaktorem bywał późniejszy ambasador w Paryżu, Kajetan Dzierżykraj Morawski, brzmiały odmiennie. Źródła przewidywały, że jednak za odwiedzin Naczelnika Państwa w Paryżu dojść może do sojuszu polsko-francuskiego, doszukiwać się należy w dobrych informacjach z parlamentarnych źródeł francuskich, którymi w drodze zupełnie prywatnej dysponował ówczesny Dyrektor polityczny na ul. Miodowej, Erazm Piltz, zachowujący w Paryżu wiele cennych kontaktów z czasu, gdy był członkiem i przedstawicielem przy rządzie francuskim Komitetu Narodowego Polskiego.

Wspominam o tym z pamięci, gdyż, o ile mi wiadomo, zawierucha dziejowa nie pozostawiła śladu tej interesującej korespondencji. Natomiast zachował się dziwnym trafem, prywatnie u mnie, ale także jak słychać w Archiwum Akt Nowych w Warszawie w zespole dawnego M.S.Z. inny, późniejszy nieco i nieogłoszony dotychczas dokument, który rzuca ciekawe światło na „całokształt naszej polityki w takim oświeceniu, w jakim widziana jest tutaj (czytaj w Paryżu), z takimi wnioskami, jakich postawienie lub przeprowadzenie wydawałoby się tu możliwe lub wskazane”. Jest to ściśle tajne „memorandum”, datowane z Pa-

ryża w dniu 15 stycznia 1921 r. i przeznaczone dla „Pana Naczelnika Państwa” dla ułatwienia mu przygotowania się do rozmów paryskich. Na treść tego 18-tostronnicowego maszynopisu składa się ocena: I. Polskiej polityki zagranicznej z podziałem na politykę wschodnią, na politykę zachodnią i na stosunek Polski do Francji i Aliantów; II. Zagadnień wojskowych; III. Polskiej polityki wewnętrznej i IV. Spraw ekonomicznych.

Jest to dokument mojej redakcji, opracowany na podstawie danych i spostrzeżeń zebranych przez Posła Zamoyskiego i przeze mnie. Oddaję go dzisiaj do wiadomości publicznej, jako źródło dla badaczy naszych nowszych dziejów. Sporządzony na ówczesnej maszynie do pisania a będący w moim posiadaniu któryś tam odpis kalkowy oryginału daleki jest od dobrej czytelności, ma wszakże walory autentyczności i interesujący jest również z uwagi na słownictwo, które w ciągu ubiegłych 45 lat uległo znacznej ewolucji.

Przechodzę z kolei do samej wizyty Marszałka Piłsudskiego w Paryżu, która odbyła się w dniach od 3 do 6 lutego 1921 r. i do jej bezpośrednich następstw. Naczelnikowi Państwa towarzyszyli z ramienia Rządu: Minister Spraw Zagranicznych, Eustachy Sapieha i Minister Spraw Wojskowych, gen. Kazimierz Sosnkowski. Narzuca się pytanie dlaczego, gdy powstały poważne szanse podjęcia w Paryżu rokowań o umowy polsko-francuskie, nie przywieźli oni ze sobą ich gotowych projektów w opracowaniu polskim. Odpowiedzieć na to pytanie nie umiem. O ile mi wiadomo nie mieliśmy w Paryżu żadnej reakcji z Warszawy na wyżej przytoczone memorandum. Nie była ona zresztą przewidziana. Być może, iż z racji sprzecznych poglądów nie doceniano mimo wszystko w Polsce możliwości doraźnego porozumienia. Ale przypuszczam raczej, że leżało to w osobistych skłonnościach Józefa Piłsudskiego. Nie znosił on biurokracji i z reguły wolał uciekać się do współpracy ludzi zaufania, którym udzielał swych zasadniczych wskazówek i pozostawiał pełną swobodę wykonania, nawet gdyby to od nich wymagać mogło ryzykownej improwizacji.

Przebieg wizyty Marszałka Piłsudskiego we Francji znany jest w szczegółach, tak że nie będę do nich powracał. Wyjaśnię tylko fakt przyjęcia specjalnego pociągu na Gare du Nord a nie Bois de Boulogne i umieszczenie Marszałka w Hotelu Crillon a nie na Quai d'Orsay, jak się to robiło wówczas dla Głowy Państwa. Ze strony niejednego z przybyłych poczytano to za celowe uchybienie protokolarne, nie dopilnowane przez Poselstwo z racji jego powiązań z tradycjami Komitetu Narodowego. Był to zarzut niesłuszny. Mimo przestróg z naszej strony na temat zrozumiałej wrażliwości świeżo odrodzonego i uwieńczonego aureolą zwycięstwa kraju, przeważał w biurokracji francuskiej pogląd formalistyczny, że honory protokolarne, należne konstytucyjnemu Prezydentowi, nie przysługują tymczasowemu Naczelnikowi Państwa. Podobnie w późniejszej fazie rokowań paryskich zwyciężyc

miały jeszcze czysto merkantylne względy, uzależniające wejście w życie sojuszu polsko-francuskiego od uprzedniego zabezpieczenia interesów kapitału francuskiego ulokowanego w Polsce. Szerszy gest ze strony Francji uczyniony wówczas odpowiadałby lepiej cieplejszej z dnia na dzień atmosferze oficjalnego i publicznego przyjęcia Marszałka i w rezultacie, nawet przy pewnym napięciu sztywnych norm protokołu, wyszedłby z pewnością na korzyść Francji. W każdym razie ten stan rzeczy został widocznie należyście wyjaśniony między dostojnym gościem a Posłem, ponieważ Marszałek Piłsudski odniósł się do całego naszego zespołu z wielką serdecznością i we wszystkich przemówieniach publicznych w Paryżu posługiwał się chętnie i bez poprawek tekstami opracowanymi dla niego przez Posła Zamoyskiego z pomocą hon. attaché Poselstwa, Halperta.

Tak więc wizyta paryska okazała się nie tylko emocjonalnie ale i merytorycznie dużym sukcesem. Zawdzięczać to należy niewątpliwie aktywnej roli Prezydenta Millerand'a, który osobiście przekonał Ministra Spraw Zagranicznych, Briand'a o potrzebie sojuszu polsko-francuskiego. On sam też był pierwszym, który stronę polską o powziętej w tej sprawie przez Francję decyzji uprzedził. Usankcjonowała to wspólna deklaracja z 6 lutego 1921 roku, stwierdzająca wolę obu Rządów „skoordynowania swoich wysiłków, a w tym celu utrzymania jak najściślejszego kontaktu wzajemnego dla obrony swych najwyższych interesów”. Deklarację tę rząd francuski notyfikował niezwłocznie rządowi Wielkiej Brytanii, Włoch i Japonii.

Na tej podstawie obaj członkowie rządu polskiego, pozostający w Paryżu po wyjeździe Naczelnika Państwa, mieli podjąć rokowania z rządem francuskim. Pamiętam jak pod wieczór 7 lutego zatroskany Poseł Zamoyski wpadł do mego biura, by mnie zawezwać na nocną pracę do siebie. Jak mi wyjaśnił, na rozmowie u Prezydenta Republiki wicedyrektor Europy, Laroche, zapytał przekornie Ministra Sapiechę czy strona polska podejmie się redakcji wyjściowego projektu umowy politycznej na poranek 8 lutego i otrzymał odpowiedź twierdzącą. Minister skreślił w odręcznej notatce swoje w tym względzie postulaty i polecił Poselstwu nadać im właściwą formę. Położenie było trudne, bo o tej porze dnia niesposób było uzyskać w bibliotekach publicznych koniecznej dokumentacji, a nasza młoda placówka własnego księgozbioru nie posiadała jeszcze. Na szczęście, jako dyplomowany przed czterema laty w Lozannie magister prawa i nauk politycznych, miałem jeszcze pod ręką własne podręczniki z tekstami Trójporzumienia i Trójpřzymierza. W tej atmosferze przedziwnych zaiste skokarzeń podjęliśmy w mieszkaniu Posła wielogodzinne trudy redakcyjne, których wynikiem, w piastowanym dotychczas przeze mnie rękopisie mego szefa, był projekt polski sojuszu, zaaprobowany przez Ministra Sapiechę i złożony bez opóźnienia przez Posła na Quai d'Orsay. Niemałe było zaskoczenie Laroche'a, ponieważ w rezultacie nasz projekt okazał się

zblizony do przyjętego ostatecznie i podpisanego w dniu 19 lutego 1921 r. przez Brianda i Sapięgę tekstu umowy politycznej polsko-francuskiej. Na poparcie tego twierdzenia zestawiam oba teksty, ograniczając się do wstępu i pierwszego artykułu:

Projet d'accord du 8 février 1921:

Le Gouvernement polonais et le Gouvernement français également soucieux de sauvegarder, par le maintien des traités, l'état de paix en Europe ainsi que la sécurité et la défense de leur territoire, et les intérêts mutuels politiques et économiques des deux Etats contractants, se sont mis d'accord pour prendre les engagements réciproques suivants:

1). Afin de coordonner leurs efforts pacifiques, les deux Gouvernements s'engagent, en vue de se porter un appui mutuel, à se concerter sur toutes les questions de politique extérieure intéressant les deux Etats, et relatives au règlement des relations internationales dans l'esprit des traités et conformément au Pacte de la Société des Nations.

Accord polono-français du 19 février 1921:

Le Gouvernement polonais et le Gouvernement français, également soucieux de sauvegarder, par le maintien des traités qui ont été signés en commun ou qui seront ultérieurement respectivement reconnus, l'état de paix en Europe, la sécurité et la défense de leur territoire ainsi que leurs intérêts mutuels politiques et économiques, ont convenu ce qui suit:

1). Afin de coordonner leurs efforts pacifiques, les deux Gouvernements s'engagent à se concerter sur toutes les questions de politique extérieure intéressant les deux Etats et relatives au règlement des relations internationales dans l'esprit des traités et conformément au Pacte de la Société des Nations.

Ciąg dalszy umowy wykazuje podobne zbieżności z naszym projektem. Po uzupełnieniu go tajną konwencją wojskową, podpisaną w Paryżu 21 lutego 1921 r. i umowami gospodarczymi, sfinalizowanymi w roku następnym, układ polsko-francuski o przymierzu odpornym ratyfikowany został ze strony polskiej 12 maja 1922 r. Wymiana dokumentów ratyfikacyjnych nastąpiła w Paryżu 27 czerwca 1922 r. i po opublikowaniu go w Dzienniku Ustaw, zarejestrowano go w Sekretariacie Ligi Narodów 2 lipca 1923 r. Już przedtem wszakże skutki jego dla Polski dały się odczuć w postaci zdecydowanego poparcia udzielonego nam przez Francję w sprawie górnno-śląskiej.

Tadeusz ROMER

Ścisłe tajne

M E M O R A N D U M

Paryż, dnia 15 Stycznia 1921 roku.

Rozmowy Pana Naczelnika Państwa i Członków Rządu polskiego w Paryżu poruszyć mogą tak szeroki kompleks spraw i za-

gadnień — że jedynym sposobem ich przygotowania stąd jest zwięzły przegląd całokształtu naszej polityki, w takim oświetleniu, w jakim widziana jest tutaj, z takimi wnioskami, jakich postawienie lub przeprowadzenie wydawałoby się tu możliwe lub wskazane. To jest właściwym przedmiotem niniejszego memorandum, traktowanego schematycznie i opracowanego tak na podstawie ogólnych obserwacji gruntu tutejszego, jak na przygodnem zaznajomieniu się z pewnemi zagadnieniami, opracowywanemi równocześnie ze strony francuskiej w przededniu przyjazdu Pana Naczelnika Państwa do Paryża.

Temat podzielić się daje na następujące kategorie:

- I. Nasza polityka zagraniczna:
 - A. Polityka wschodnia Polski,
 - B. Polityka zachodnia Polski,
 - C. Stosunek Polski do Francji i Aljantów.
- II. Zagadnienia wojskowe.
- III. Nasza polityka wewnętrzną.
- IV. Sprawy ekonomiczne.

NASZA POLITYKA ZAGRANICZNA

A. POLITYKA WSCHODNIA POLSKI

1. *Stosunek do Rosji Sowieckiej:*

Stanowisko rządu francuskiego określić dziś można jako zupełnie *ekspektywne* z silnym odcieniem *dezorientacji*. Zaznacza się wyraźna ewolucja w kierunku liczenia się *de facto* z instalacją bolszewizmu w Rosji na czas dłuższy, skąd na podstawie bolesnych doświadczeń nasuwa się jako konieczność, porzucenie myśli o jakiegokolwiek *interwencji z zewnątrz*. Równocześnie ujawnia się tutaj charakterystyczny upadek kredytu moralnego antybolszewickiej emigracji rosyjskiej z powodu jej uwidocznionej bezsilności, silnie zaakcentowanych rozłamów wewnętrznych i co raz to otwartszego *ciężenia ku Berlinowi*. Idzie zatem, powodowane zresztą tutejszym kryzysem finansowym, wymówienie, przez Skarb francuski wszelkich dalszych *kredytów ratunkowych* emigracji rosyjskiej (głównie dla grupy Wrangla). Myśl o rekonstrukcji Rosji staje się wskutek tego stanu rzeczy mniej konkretną, niż dawniej, obiekt conajmniej bardziej oddalony. Z wy suwanej tu stale dawnej, zasadniczej koncepcji politycznej w

sprawach wschodnich, utrzymuje się nadal tylko ogólny program, obliczony na daleką metę, a polegający na zbudowaniu przy udziale Francji trwałego *porozumienia polsko-rosyjskiego*, bez którego Rosja wpadłaby niechybnie w objęcia Niemiec, co równałyby się znowu musiałoby prędeż, czy później, zagładzie Polski. Stąd wniosek, zaznaczający się konkretnie dotychczas, jakkolwiek dzisiaj w formie osłabionej, w stosunku Francji do całej naszej polityki wschodniej, byśmy na wszelki wypadek nie stwarzali *motywów kolizji z przyszłą Rosją* (granice wschodnie).

Do ekonomicznej treści *rokowań handlowych*, prowadzonych przez rozmaite państwa, w pierwszym rządzie przez Anglję, z Rosją Sowiecką, odnosi się Francja z najwyższym *sceptycyzmem*, nie widząc przy ewentualnej próbie ich zastosowania żadnych podstaw realnych do handlu wymiennego. Upoważnienie własnego kupiectwa przez rząd francuski do zawierania stosunków handlowych z Rosją, na odpowiedzialność handlujących, poczytywać należy raczej za pociągnięcie teoretyczne z dziedziny polityki wewnętrznej (asekuracji wobec żywiołów skrajnie lewicowych). Użytkowanie na zewnątrz przez bolszewików posiadanego *złota* (według danych tutejszych bolszewicy mają go w Rosji na około 300 milionów rubli złotych, zagranicą około 200 milionów), które dawniej napotykało ze strony Francji na energiczne protesty, dzisiaj jest tolerowane, jako nieuniknione malum necessarium. Natomiast obawy i zastrzeżenia wzbudza tu niewątpliwie *polityczny-charakter* przygotowywanego układu Lloyd George-Krassin, który w gruncie rzeczy zapewnia bolszewizmowi *prawną podstawę* międzynarodowej egzystencji i umożliwia mu rozwinięcie *akcji propagandowej* na Zachodzie. Obawia się przytem Francja stworzenia przez inne państwa w Rosji faktów dokonanych, chociażby one być miały na razie teoretyczne, a które by na przyszłość zapewniały tym państwom poważne prejudykаты ekonomiczne, mogące zakwestjonować realizację dawnych *zobowiązań rosyjskich* wobec Francji. Zasluguje na uwagę aluzja Herberta'a w artykule wstępnym „Temps”, p.t. „L'Europe et la Russie” z 13/1-1921”.... En Russie il y a place pour tout le monde . Dès que l'Allemagne aura pris les engagements nécessaires au sujet des réparations, il s'agira de savoir sous quelle forme et dans quelle mesure elle devrait être associée à la reconstitution économique de la Russie. En participant à cette œuvre d'intérêt mondial, l'Allemagne réaliserait des bénéfices qui l'aideraient à redevenir solvable”... Myśl ta jest wyrazem opinii pewnych *drugorzędnych* kół na Quai d'Orsay.

Wnioski: a) Wobec panującej tu dezorientacji w sprawach

rosyjskich, nasze poglądy na te sprawy, oparte na rzeczowej dokumentacji, mogą tu mieć duży wpływ.

b) wydawałoby się wskazaniem kłaść silny nacisk na argument olbrzymiego niebezpieczeństwa, jakie przedstawiałaby dla całej polityki francuskiej we wschodniej Europie, a w rezultacie wogóle dla samej Francji, *wszelka ekspansja Niemiec na terenie Rosji*, równająca się otoczeniu Polski pierścieniem wpływów niemieckich.

c) Jakkolwiek teza ta nie trafia tu na razie na teren pomysłny, wskutek naszych własnych ambarasów gospodarczych pożądanem się wydaje dalsze silne uwypuklenie roli *Polski jako platformy tranzytowej i czynnika wpływów organizacyjnych, ekonomicznych i cywilizacyjnych w stosunku do Rosji*. W tym duchu dążyć można na ten temat do wytworzenia możliwie największej *solidarności politycznej i ekonomicznej z Francją*, przy zapewnieniu jej w związku z tem poważnych korzyści.

2. Sprawa naszych granic wschodnich i Traktatu Ryskiego:

Liczyć się tu należy przedewszystkiem z egzystencją we Francji, mimo wszelkich naszych zabiegów, poważnych obaw co do zbyt dalekiego *wysunięcia naszych granic wschodnich*. Tłómaczyć się to oceną niebezpieczeństwa militarnego, jakie przedstawiają bolszewicy, pewnym sceptycyzmem co do naszych zdolności administracyjno-gospodarczych na terenach zamieszkałych w większości przez żywioły obce, wreszcie przedstawioną wyżej obawą stworzenia punktów tarcia z przyszłą, ewentualnie odrodzoną Rosją. Z punktu widzenia faktycznego musi się oczywiście rząd francuski odnosić przychylnie do tej okoliczności, że my, a nie bolszewicy okupujemy terytorja wschodnie po granicę ryską. Jakkolwiek wszakże miłem okiem widzi wszelkie nasze zabiegi natury legalnie administracyjnej (kolonizacja, odbudowa, asymilacja), które zmierzają do stworzenia na naszą korzyść niezaprzeczalnych faktów dokonanych, nie przystanie zapewne na razie na udzielenie im ze strony mocarstw, zgodnie z postulatami traktatu wersalskiego, decydującej *sankcji prawnej*.

Wnioski:

a) Wydawałoby się taktycznie wskazaniem odparowywać twierdzenie o zbyt dalekiem wysunięciu naszych granic wschodnich argumentem ich bezpośredniego znaczenia wojskowego i to nie w stosunku do Rosji, lecz do bolszewików.

b) Wszelkie przemawiające na naszą korzyść *rzeczowe* materiały informacyjne o organizacji naszych kresów wschodnich, o ich szerokim *samorządzie*, o naturalnej *asymilacji* cywilizacyjnej ich mieszkańców, o *odbudowie* gospodarczej i inwestycjach i o powrocie do prawidłowej eksploatacji ziem, objętych granicą ryską, mogłyby być wykorzystane tutaj z największym pożytkiem.

c) ponieważ jest wysoce wątpliwem, aby w obecnych warunkach można było z powodzeniem wystąpić z żądaniem usankcjonowania przez Francję naszych granic wschodnich, było by może wskazaniem ograniczyć się na razie do wysunięcia postulatu moralnego zobowiązania się Francji do poufnego współdziałania z nami, celem niedopuszczenia na razie do *wywieleczenia przed forum europejskie*, względnie do *zakwestjonowania* z zewnątrz sprawy naszych granic wschodnich.

3. Likwidacja sprawy litewskiej.

Utrzymuje się na Quai d'Orsay i zarysowuje coraz wyraźniej tendencja do *szerokiej solucji federacyjnej* przy ścisłym związku politycznym, wojskowym i ekonomicznym Litwy z Polską, przy czym Litwa otrzymaby *Wilno*, a terytorjum Kłajpedy stałoby się naturalnem ujściem ekonomicznem dla obu krajów, a specjalnie dla nas asekuracją przeciw złej woli Gdańska. Ta ogólna koncepcja jest jednym z rzadkich punktów w polityce wschodniej, w których program francuski schodzi się wyraźnie z *angielskim*. Solucja (odpowiadająca przypuszczalnym wynikom interwencji Ligi Narodów), któraby polegała na stworzeniu *Litwy etnograficznej* w Kowieńszczyźnie i na *aneksji Wileńszczyzny i Grodzieńszczyzny* przez Polskę, poczytywana jest tutaj, jako może nieunikniony, ale politycznie wysoce niekorzystny paliatyw. Zaogniły się w takim razie tembardziej wybujały nacjonalizm litewski i rzucił tem pewniej małe i bezsilne państewko litewskie w objęcia bolszewizmu i Niemiec, a co zatem idzie, pozbawił nas wygodnego dostępu do morza przez Kłajpedę i ułatwił komunikację między Prusami Wschodnimi a Rosją. W oczach Quai d'Orsay solucja federacyjna, oparta na szerokim geście pojednawczości z naszej strony, zapewnia nam naodwrot, wskutek dysproporcji ilościowej i jakościowej sił między oboma sfederowanemi państwami, nieuniknione *faktyczne opanowanie* Litwy we względnie krótkim czasie, przy umiejętnej z naszej strony polityce.

Obecnie notuje Quai d'Orsay, na podstawie swoich informacji pewną ewolucję litewską do pojednawczości względem nas i podnosi rosnące w kowieńskich kołach rządowych wpływy

Gabrysa zorientowanego rzekomo w tym duchu. Zasługuje na uwagę sceptycyzm co do uwydatnianej przez nas siły i znaczenia obecnych wpływów niemieckich na Litwie kowieńskiej; przyczyna tego leżeć może w niedoskonałości i chwiejności raportów francuskich z Kowna.

W celu ewentualnego *wyeliminowania Ligi Narodów* ze spraw litewskich, co ze względu na ingerencję wpływów między narodowych w te sprawy byłoby dla nas, zdaniem Francji, pożądanem, wydawałby się więc może rząd francuski w pewnych warunkach skłonny ofiarować swoje „*bons offices*” obu stronom na ich żądanie, przyczem jednak wymagałby on przypuszczalnie od nas uprzedniej, dyskrejonalnej zgody co do ustępstwa na tle Wilna w zamian za co zobowiązałby się do wywarcia w każdym kierunku decydującej presji na rząd Kowieński.

Wnioski:

a) Nasuwa się konieczność wystąpienia z naszej strony z konkretnym, silnie zbudowanym i rzeczowo wyargumentowanym programem w sprawie litewskiej. Jego wytyczne nakreślone być mogą jedynie przy pełnej świadomości ostatnich nieznanych tu zupełnie rokowań polsko-litewskich i w uwzględnieniu sytuacji, jaką wytwarza zdecydowana postawa Sejmu polskiego.

4. Stosunek do państw bałtyckich.

W „*Temps*” z 9/I-21, pod rubryką „*Dernière Heure — L'Indépendance de la Lettonie*” ukazała się enuncjacja następującej treści, o wyglądzie półurzędowym: „... Nous croyons savoir, en effet, que le Gouvernement français, désireux de consolider les Etats voisins de la Russie soviétique, en vue d'une agression éventuelle des bolchévistes, serait maintenant disposé à s'associer aux autres puissances de l'Entente, si celles-ci, dans la même intention, décidaient d'accorder à la Lettonie la reconnaissance *de jure*....” Wyjaśnienie tej, może rozmyślnie bałamutnej notatki, da nam wyczerpujący pogląd na stanowisko rządu francuskiego w stosunku do państw bałtyckich, które ograniczymy tu do *Łotwy i Estonji*. Sprawa ta jest dla nas tembardziej aktualną, że podjęta przez nas w swoim czasie inicjatywa uznania Łotwy *de jure*, odrzucona została przeważnie pod wpływem Francji. Wobec tego postarano się już o zaznaczenie z naszej strony w urzędowej formie na Quai d'Orsay, że w razie podję-

cia przez Aljantów nowej inicjatywy w sprawie państw bałtyckich, spodziewamy się *uprzedniej konsultacji* nas w tym przedmiocie dla umożliwienia nam ewentualnego solidarnego wystąpienia, do czego daje nam prawo nasza pierwotna inicjatywa.

Jak wynika z przeprowadzonych rozmów, Quai d'Orsay nie ma jeszcze jednolitego zdania w tej sprawie. Wyjaśniona powyżej ewolucja zapatrywań rządu francuskiego wobec Rosji powodować może u niektórych czynników tendencję do zmiany stanowiska zajętego wobec państw bałtyckich. Decyzję swą uzależnia w każdym razie Francja *od zgody mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych*. Anglja wydaje się być tej myśli przeciwną, ze względu na swe rokowania handlowe z Sowieciami. Włochy nie miałyby, zdaje się, zastrzeżeń, gdyż z powodu swoich dotychczasowych wobec Sowieciów awansów, nie obawiają się zrazić ich sobie. Co do Stanów Zjednoczonych, przynajmniej o ile chodzi o kończący się régime Wilson'a, znana odpowiedź urzędowa, dana w swoim czasie ambasadorowi włoskiemu w Waszyngtonie przez Sekretarza Stanu, Colby'ego, w sprawie polityki względem Rosji, zdawałaby się wskazywać na zdecydowaną negatywę. Być może, że Japonja mogłaby być ze swej strony przychylną myśli uznania *de jure* krajów nadbałtyckich, chcąc w ten sposób odciągnąć uwagę Sowieciów na Zachód. Tak zasadniczo różna postawa poszczególnych zainteresowanych państw, czyni *małoprawdopodobnem* powzięcie w krótkim czasie z ich strony pozytywnej i solidarnej decyzji.

Rozumowanie Francji w tym przedmiocie da się streścić w dwu alternatywach: uznanie *de iure* może albo *wzmocnić* chwiejne rządy Łotwy i Estonji, pozwalając im oprzeć się skutecznie bolszewizmowi wewnętrznemu i utrzymać ciągłość przegrody między Niemcami a Rosją Sowiecką, albo też z drugiej strony *narazić* je na tem pewniejszy atak propagandowy i militarny Sowieciów, grożący im rozbiciem, pod zarzutem zaprzędania się kapitalizmowi zachodniemu.

Wnioski:

a) *rzeczowa dokumentacja* z naszej strony w sprawie państw bałtyckich, a w szczególności wyjaśnienie przedstawionej powyżej alternatywy mieć by mogło wpływ decydujący na ukształtowanie się opinii rządu francuskiego.

b) wydawałoby się wskazanem wystąpić z konkretnym postulatem daleko idącej *solidarności* Francji z nami w tej sprawie,

umotywowanej naszą decydującą rolą względem Niemiec z jednej strony, a bolszewizmu z drugiej strony.

c) pożądanem by było niewątpliwie wyjaśnić tu z pewnym naciskiem *różnicę*, zachodzącą między Łotwą, z silniejszym rządem, geograficznie mniej Rosji niezbędną, bezpośrednią przegrodą Rosji od Niemiec, a Estonją, skąd zasadniczy postulat odmiennego traktowania tych dwóch państw.

d) wreszcie wydawałoby się wskazanem dać tu do zrozumienia potrzebę *uwarunkowania* ewentualnego uznania Łotwy de iure pewnymi ściśle określonymi postulatami politycznymi i wojskowymi z naszej strony.

5. Sprawa Galicji Wschodniej.

Dla ścisłości wystarczy tu tylko przypomnieć niejednokrotne *wrocie nam usiłowania* wysunięcia tej sprawy przed *forum europejskie*, podejmowane w Pradze, w Wiedniu, w Londynie i w Genewie za kulisami Walnego Zgromadzenia Ligi Narodów. Pewne podziemne zabiegi w tym przedmiocie można było zauważyć również w Paryżu, a liczyć się z nimi na przyszłość coraz bardziej należy. Stanowisko rządu francuskiego w tej sprawie określa się zasadniczo spowodowaniem w swoim czasie z inicjatywy p. Clemenceau *zawieszeniem* (22 grudnia 1919 r.) *decyzji Rady Najwyższej* z dnia 21 listopada 1919 r., jak wiadomo, nam nieprzychylniej. Najbardziej obserwacja terenu tutejszego nie pozwala przypuszczać, by ówczesna koncepcja rządu francuskiego uległa jakiegokolwiek zmianie.

Wnioski:

a) wobec politycznych nastrojów tutejszych wydawałoby się zupełnie realnem wystąpienie nasze wobec Francji z wyraźnem żądaniem jej moralnego względem nas zobowiązania się, że nie dopuści do *wysunięcia* sprawy Galicji wschodniej przed *forum międzynarodowe*. Zważyć należy, że forma ta byłaby wobec Francji najdalej idącą, gdyż takie, czy inne przesądzenie samej treści sprawy nie jest zależnem od rządu francuskiego, lecz od decyzji mocarstw sprzymierzonych. Przy takim stawianiu wobec Francji tej kwestji posługiwaćbyśmy się mogli z korzyścią argumentem naszego daleko idącego umiarkowania, które każe nam zadawać się samym tylko faktem dokonanym na naszą korzyść w oczekiwaniu jego automatycznego usankcjonowania przez dalszy bieg wypadków.

b) równocześnie wysunięty mógłby być może dla nas z ko-

rzyścią postulat, by Francja wywarła presję na *rząd czeski* w kierunku formalnego zgłoszenia wobec nas zupełnego *désintéressement* w sprawie jakichkolwiek bądź akcji związanych z Galicją Wschodnią, wzamian za co udzielić byśmy mogli z naszej strony analogicznych zapewnień co do Słowacji czeskiej. Taka inicjatywa nasza oświeconą by tu być mogła z pożytkiem, jako mile widziany objaw naszej dobrej woli na drodze do pożądanego zbliżenia polsko-czeskiego.

6. Przymierze odporne polsko-rumuńskie.

Znaną jest powszechnie przewodnia linja polityki francuskiej wobec Rumunji, budująca na jej z nami *porozumieniu* wał ochronny, przeciw zalewowi bolszewizmu i tworząca z niej w swoim czasie, punkt ciężkości należącej już dziś do przeszłości. „Małej Entente’y”. W tej sytuacji, szczególnie po ciężkim kryzysie ostatniego lata, byłibyśmy stali wobec Rumunji w słabej pozycji dłużnego kontrahenta. Dziś sytuacja uległa zmianie. Rząd francuski zdaje sobie dobrze sprawę z poważnego zagrożenia Rumunji przez *bolszewizm* z zewnątrz i z wewnątrz, a co dotkliwsze jeszcze przez *wpływy niemieckie* (akcja stronnictwa Marghiloman’a, aljanse dynastyczne z dworem greckim), wreszcie daleko posunięta *dezorganizacja gospodarcza*. Panuje tu nawet na ten temat znaczny pesymizm.

W tych warunkach rola nasza względem Rumunji staje się w oczach Francji już nietylko rolą równorzędnie korzystającego z aljansu kontrahenta, ale wprost pewną *gwarancją* utrzymania antyniemieckości Rumunji. Idzie zatem logicznie wyraźne rozciągnięcie naszych zadań politycznych, a przeto i wpływów na środkową Europę.

Wnioski: wyciągnięte by tu być mogły tylko na podstawie konkretnych danych o faktycznej sytuacji politycznej, społecznej i ekonomicznej w Rumunji, o jej względem nas nastroju, wreszcie o przebiegu dotychczasowych rokowań polsko-rumuńskich.

B. POLITYKA ZACHODNIA POLSKI

1. Stosunek do Niemiec.

Decydującym momentem polityki francuskiej w tym przedmiocie jest myśl o *gwarancjach militarnych* na przyszłość z jed-

nej strony, a o *realizacji odszkodowań* z drugiej. Polska jest decydującym wykładnikiem pierwszego z tych dwu postulatów. Rząd francuski chce się moralnie upewnić, że nasza polityka odporności względem Niemiec nie jest objawem *prześciowym*, lecz stałym, że niema u nas poważnych elementów politycznych w postaci ludzi lub warunków, zmierzających do *kompromisu* z Niemcami poza plecami Francji.

Wnioski:

a) jako pierwszy postulat rozmów paryskich w tym przedmiocie dałoby się wysunąć, na platformie utrzymania w sile traktatu wersalskiego, zagwarantowanie *ogólnej*, jak najdalej idącej *solidarności* ogólnej polsko-francuskiej w sprawach niemieckich.

b) w szczególności wzamian za zajęcie przez nas solidarnego z Francją stanowiska w kwestji *rozbrojenia* Niemiec, uzyskać byśmy mogli jej energiczne poparcie w sprawie wykonania par. 266 trakt. wersalskiego, normującego żywotną dla nas kwestję *eksportu* towarów z Niemiec do Polski.

c) za nasze zobowiązanie czynnego zsolidaryzowania się z Francją w polityce *bawarskiej* pozyskać byśmy mogli jej poparcie w naszym dążeniu do wzniecenia separatyzmu w Prusiech Wschodnich, do ich izolacji politycznej i militarnej.

d) na tem samem tle naszej z Francją solidarności unormować by się dało tem łatwiej, drogą wspólnej presji na Berlin dojsć do pożądanego wytworzenia „modus vivendi” z Niemcami w dziedzinie ekskluzywnie ekonomicznej z wykluczeniem konsyderacji natury politycznej i, w tym samym duchu, w dziedzinie społeczno-administracyjnej, do niemniej pożądanego uregulowania bytu mniejszości narodowych w obu państwach.

2. Sprawa Gdańska.

Życzliwe nam bez zastrzeżeń stanowisko Francji w tej sprawie na debatach Rady Ambasadorów i Ligi Narodów, zbyt dobrze jest znane, by potrzeba się tu było nad niem rozwodzić. Postulatem naszym wobec Francji w sprawie gdańskiej może zatem być tylko zapewnienie sobie *nadal* jej pełnego poparcia w dziedzinie korzystnego dla nas stosowania postanowień, dotyczących statutu gdańskiego, w zakresie wojskowym, ekonomicznym i administracyjnym, wychodząc z założenia ważnego zarówno dla nas, jak i dla Francji, że Gdańsk jest ustanowionym przez traktat

wersalski, a narazie jedynym punktem bezpośredniej łączności między Polską a Francją.

Nasuwałaby się tutaj, zarówno jako moment presji względem Gdańska, jak też, jako istotna perspektywa gwarancji swobodnego dostępu do morza, poruszona wyżej sprawa *Kłajpedy*.

3. Sprawa Górnego Śląska.

Dane sytuacyjne z terenu tutejszego w tym przedmiocie zawierają ostatnie raporty naszej delegacji paryskiej, oraz pp.: Rakowskiego i Benisa. W konkluzji stwierdzić tylko można, wbrew wszelkim pogłoskom prasowym natury propagandystycznej, że nie należy się obawiać w sprawie Górnego Śląska, o ile chodzi o ich zakres polityczny, żadnego *fléchissement*, w stosunku do nas, ze strony Francji, która przed postulatem odszkodowań stawia kwestie militarnego niebezpieczeństwa niemieckiego, związuje ją, jak mieliśmy tego liczne dowody, z zagadnieniem Górnego Śląska. Liczyć zatem możemy w dalszym ciągu na pomoc Francji w naszych górnośląskich zabiegach.

Wnioski:

a) zdawałoby się pożądanem ze względu na tutejsze nastroje, nieco oporne w dziedzinie zaangażowania się ekonomicznego współ z nami na Górnym Śląsku, przenieść ciężar naszej argumentacji ze znaczenia, jakie posiada Górny Śląsk dla Polski, na *znaczenie* tegoż, przy takim, czy innym rozwiązaniu, *dla Aljantów* i na konsekwencje w stosunku do nich takiej, czy innej solucji problemu górnośląskiego.

b) Wobec zbliżającej się daty plebiscytu i rosnącej równorzędnie akcji niemieckiej w dziedzinie propagandy publicznej i reklamy u władz koalicyjnych, co ujawnia się nieraz w stanowisku zajętem przez miarodajne czynniki angielskie, byłoby może pożądanem podnieść w pewnym stopniu *ton naszych dezyderatów* i żądań wobec Aljantów, nalegając z większym jeszcze naciskiem na Francję, by najkategoryczniej podtrzymywała swe wnioski w stosunku do Anglii.

c) mimo napotkanych dotychczas trudności, wydawałoby się że wszechmiar niezbędnem utrzymywać nadal tutejsze koła finansowe w *stałej ewindencji* naszych ofert, związanych ze sprawą Górnego Śląska, zachowując z naszej strony rękę na pulsie w oczekiwaniu możliwej pomyślniejszej konjunktury.

d) wypadałoby wreszcie zwrócić uwagę na nurtującą w pewnych kołach Quai d'Orsay myśl o ewentualnem odwołaniu się Aljantów *do interwencji czeskiej* na Górnym Śląsku w razie wybuchu tamże rozruchów niemożliwych do opanowania przez miejscowe siły koalicyjne. Moment ten wskazywałby pośrednio na korzyści związane za zbliżeniem polsko-czeskiem.

C. STOSUNEK POLSKI DO FRANCJI I ALJANTÓW

1. *Francja.*

Z omówionych powyżej konkretnych przykładów wypływa logicznie wysunięcie postulatu *daleko idącej solidarności w całości kształcie polityki polsko-francuskiej*. Polegałaby ona na wzajemnem przedwstępnem porozumiewaniu się co do wszelkich inicjatyw politycznych, przyczem ze strony Francji zobowiązania takie rozciągałyby się na kompleks spraw, które bezpośrednio lub pośrednio dotyczą naszych interesów. W szczególności podkreślone by być winno, w związku z tem, co powiedziano wyżej, bliskie porozumienie się, co do programu politycznego *w Europie środkowej*, w duchu jej ochrony przed wpływami germanizmu i rozkładem bolszewickim, oraz w duchu jej racjonalnej odbudowy ekonomicznej.

2. *Anglja.*

Szczególnie szczęśliwem pociągnięciem na terenie tutejszym wydawałoby się wystąpienie przez nas z tezą jaknajbardziej *pojednawczej polityki* względem Anglii. W duchu tym moglibyśmy z niemniejszą korzyścią apelować do pośrednictwa Francji, celem złagodzenia punktów tarcia, jakie ustawicznie wyłaniają się w dziedzinie naszego politycznego zetknięcia z Londynem. Postulat powyższy miałby oczywiście znaczenie raczej teoretyczne, obliczone w pewnych warunkach na efekt, jaki mógłby wywołać w nowych kołach rządowych francuskich.

3. *Stany Zjednoczone.*

Dziedzina ta przedstawia dla nas w stosunku do Francji pole do dużo dalej idącej i bez porównania dla nas korzystniejszej

inicjatywy od poprzedniej. W Stanach Zjednoczonych posiadamy bowiem pod postacią paromiljonowego wychodźstwa polskiego potężny i zorganizowany *element agitacyjny*. Z drugiej strony, nasze chwilowo desperackie *położenie* gospodarcze doprowadzi nas przypuszczalnie, jeżeli nie dziś, to jutro do otwarcia w Polsce tak interesującego pola dla interwencji ekonomicznej, że wykluczoną się wydaje na dalszą metę abstynencja względem Polski zagrożonej kryzysem przesytu ekonomicznego Ameryki. Na tem tle ofiarowaćbyśmy mogli Francji nasz cenny współudział w solidarnej akcji, zmierzającej do wywarcia wpływu na Stany Zjednoczone według określonego programu, który mógłby mieć za linie wytyczne:

a) wprowadzenie Stanów Zjednoczonych do *czynnej polityki europejskiej* z obiektem ich stopniowego przeciwstawiania przewadze angielskiej na starym kontynencie. Postulat ten mógłby być osiągnięty w drodze kompromisu na tle Ligi Narodów, z tem wszakże zastrzeżeniem, że kompromis taki nie naruszałby zasadniczych gwarancji militarnych i odszkodowaniowych, wyrażonych w traktacie wersalskim, a niezbędnych Francji.

b) dążenie do politycznego i ekonomicznego *oparcia się* na Stanach Zjednoczonych w myśli osiągnięcia z czasem, w razie możliwości, stałego porozumienia, które objęłoby Stany Zjednoczone, Francję i Polskę.

II. SPRAWY WOJSKOWE

W tej dziedzinie przypuszczać można, że rozmowy paryskie rozciągną się na następujące punkty:

- 1) — *Organizacja armji polskiej przez Francję* (kompetencja, skład, funkcjonowanie Misji wojskowej francuskiej w Polsce), kwestia szkół i instrukcji itp.).
- 2) — *Aproprowizacja armji polskiej* (Dostawy z zagranicy, produkcja broni i amunicji w Polsce itp.).
- 3) — *Obrona militarna frontu wschodniego* (Plan strategiczny i jego wykonanie, rola Francji).
- 4) — *Zabezpieczenie wojskowe granic zachodnich* (Dyslokacja wojskowa, porozumienie z Francją).
- 5) — *Demobilizacja armji polskiej* (Stan liczebny, plan rekrutacji itp.).
- 6) — Sprawa ewentualnych konwencji wojskowych z Rumunją i państwami bałtyckimi.

III. NASZA POLITYKA WEWNĘTRZNA

Jakkolwiek sprawa ta nie dotyczy i dotyczyć nie może Francji, zrozumiałem jest, że w stadjum naszej formacji państwowej, w chwili, gdy wystawieni jesteśmy zagranicą ze strony nam wrogiej na ciągłe zarzuty niezdolności administracyjnej i gospodarczej, niestety, w niejednym wypadku uzasadnione, a z drugiej strony w przededniu zamierzonego zbliżenia się polsko-francuskiego, Francja pragnie się dobrze zorientować w naszej sytuacji wewnętrznej i wyciągnąć z niej decydujące może wnioski na przyszłość. Leży zatem w naszym własnym interesie, by oświetlenie tych spraw wychodziło w pierwszej mierze od nas samych i by wypadło w sposób dla nas najkorzystniejszy. Na punkt ten zatem musimy w przededniu rozmów paryskich zwrócić najbaczniejszą bodaj uwagę, pamiętając, że mniejsze może znaczenie stanowił by tutaj zgromadzony materiał, który rząd francuski otrzymać by mógł i z innych źródeł i poddać swojej kontroli, jak osobiste, doraźne i przygodne oświetlenie sytuacji. W tym duchu należałoby przygotować się na ewentualne poruszenie następujących zagadnień:

1. *Nasza konsolidacja wewnętrzna.*

Uchwalenie i treść konstytucji, sprawa przyszłych wyborów do Izb ustawodawczych, konstrukcja i siła rządu i jego najważniejszych resortów, stosunki partyjno-polityczne ze specjalnem uwzględnieniem perspektyw pacyfikacji wewnętrznej i zabiegów sfer kierowniczych w tym kierunku, organizacja i unifikacja administracyjna, sprawa mniejszości narodowych, stosunki socjalne, reforma agrarna itd.

2. *Walka z propagandą bolszewicką.*

Położenie kraju pod tym względem, udział rządu i inicjatywy prywatnej w tej akcji, jej organizacja i wyniki, perspektywy na przyszłość, porozumienie z Francją w duchu udzielenia sobie wzajemnej pomocy w tym zakresie.

3. *Walka z propagandą niemiecką.*

Usytuowanie i charakter tej propagandy, wzajemne, jaknajściślej skojarzenie środków zapobiegawczych.

4. *Propaganda francuska w Polsce i polska we Francji.*

Poparcie przez oba rządy inicjatywy prywatnej, wzajemne dezysteraty w tym względzie.

IV. SPRAWY EKONOMICZNE

Prawdopodobnem, a nawet prawie pewnem jest, że rząd francuski, korzystając z pobytu Pana Naczelnika Państwa w Paryżu, wysunie szereg spraw ekonomicznych polsko-francuskich, które dotąd nie zostały, z punktu widzenia Francji, załatwione pomyślnie przez Rząd polski. Wśród spraw, które ewentualnie zostaną przedstawione Panu Naczelnikowi Państwa, wymienić należy, jako zasadnicze: sprawę kapitałów francuskich w Polsce, oraz kwestję, związane z handlem francusko-polskim.

Grupa kapitalistów, posiadających znaczne interesy w przemyśle węglowym, naftowym, włókienniczym i metalurgicznym w Polsce, ma tu bardzo znaczne wpływy na czynniki rządowe, jak również we wszystkich bankach, oraz w prasie, i, na mocy tych wpływów, niewątpliwie wysunie za pośrednictwem Rządu francuskiego następujące sprawy:

Przedewszystkiem więc wystąpią z żądaniem uregulowania *sprawy towarzystw akcyjnych* działających w Polsce, a utworzonych zgodnie z prawami francuskimi, wskazując na niezbędność stworzenia dla nich podstawy prawnej w traktacie handlowym francusko-polskim. Następnie, niewątpliwie wysuniętą będzie kwestja *restytucji maszyn* francuskich, znajdujących się w Polsce, przewidzianych niepodpisaną dotąd *konwencją bilateralną*: „biens, droits et intérêts”.

Grupa węglowa wystąpi niewątpliwie z żalami na temat zbyt niskich cen węgla, wyznaczonych przez Rząd polski i uniemożliwienie rzekomo istnienia przedsiębiorstw węglowych.

Grupa naftowa skarżyć się będzie na wszelkie zarządzenia państwowo-gospodarcze, polskie w dziale przemysłu naftowego, żądając oddania do jej dyspozycji pewnej części dewiz, uzyskanych ze sprzedaży nafty, zmiany prawodawstwa o ropie brutowej naftowej, zabezpieczenia przed rekwizycjami stoków, zapewnienia, iż nie zostanie wprowadzony monopol etc.

Grupa włókiennicza podkreślać będzie, iż od kilku miesięcy nie otrzymuje zupełnie węgla. Analogiczne skargi wysunięte będą przez przemysł metalurgiczny.

Jako syntezę tych skarg Quai d'Orsay stwierdzać będzie zapewne, iż *kapitały francuskie w Polsce* znajdują się w *przededniu ruiny*, że nie mogą opłacać procentów i dywidend, że dotychczasowe zarządzenia prawno-gospodarcze uniemożliwiają dalszy *dopływ* kapitałów francuskich do Polski, że wogóle, z punktu widzenia ekonomicznego „en Pologne il n'y a rien à faire”.

Ponieważ z wizytą Pana Naczelnika Państwa wiąże się niewątpliwie osiągnięcie pewnych celów polityczno-militarnych, których wykonanie musi się znaleźć w *plaszczyźnie finansowej*, przeto niezbędnym jest określenie ściśle i jasne *stanowiska pojedynczego* Rządu polskiego wobec tych bardzo skomplikowanych zagadnień.

Zwłaszcza, iż, jako pendant wizyty p. Ministra Grabskiego pragnącego we wrześniu ub.r. uzyskać pożyczkę miljarda we Francji, celem wykonania programu wojskowego polskiego, notowane było to charakterystyczne oświadczenie jednego z kapitalistów francuskich: „nous, les industriels français en Pologne, nous nous faisons honneur d'avoir empêché le Gouvernement français d'accorder un prêt à la Pologne, avant que la question des capitaux français en Pologne ne soit réglée d'une façon satisfaisante”.

Jako dalsze konsekwencje, wynikające z powyższych przesłanek, podkreślić należy trudności, jakie napotkał p. Benis, występujący tu w misji specjalnej przyciągnięcia kapitałów francuskich *na Górny Śląsk*.

Zważywszy, iż Ministerstwo Spraw Wojskowych pragnie przyciągnąć kapitały francuskie *do polskiego przemysłu amunicyjnego*, że pragnie uzyskać kredyty Rządu Francuskiego i firm prywatnych we Francji na *dostawę materiału wojennego* i, wreszcie, że kryzys ekonomiczny we Francji może w pewnym stopniu wpływać na pomyślnie załatwienie spraw kredytów, niezbędnem jest określenie zamiarów Rządu Polskiego co do kapitałów francuskich w Polsce.

Wobec iunctim, stosowanego coraz częściej przez Rząd francuski pomiędzy zadośćuczynieniem w pewnym stopniu żądaniom kapitalistów francuskich w Polsce, a załatwieniem dezyderatów ekonomicznych, finansowych i militarnych polskich, sprawa jasnego stanowiska Polski jest kwestją pierwszorzędną:

Analogiczne żądania *ze strony francuskiej* będą wysuwane w dziale stosunków *francusko-polskich handlowych*, przyczem będzie cytowany cały szereg firm, które poniosły straty skutkiem polskich zarządzeń wywozowych i wwozowych oraz położony nacisk na konieczność wprowadzenia ułatwień.

W myśl powyższego nasuwają się następujące *wnioski*:

a) Sformułowanie jasnego stanowiska Rządu polskiego w tych sprawach.

b) Wydanie szybkiej decyzji Rady Ministrów w przedmiocie konwencji handlowej i bilateralnej, których teksty Poselstwo Polskie w Paryżu prześle zapewne przed wyjazdem Pana Naczelnika Państwa z Warszawy.

Jan WEINSTEIN

SCENARIUSZ MINISTRA GAFENCU

Tylko wyjątkowe okoliczności uzasadniać mogą pisanie o książce, która — mimo że doczekała się 6-ciu wydań — ukazała się w druku po raz pierwszy 22 lata temu. Twierdzę, że okoliczności takie istnieją. W grę wchodzi: nadal aktualny temat *dramatis personae* i świeże, istotne dla sprawy materiały archiwalne i inne.

Zmarły w 1957, w Paryżu Grigore Gafencu był nie tylko rumuńskim Ministrem Spraw Zagranicznych od grudnia 1938 do maja 1940, potem zaś Posłem rumuńskim w Moskwie do 1941. Był również zawodowym dziennikarzem, publicystą i politykiem. O jego karierze życiowej, World Biography, The International Who's Who oraz Wielki Brockhaus za rok 1958, dawały następujące dane: współzałożyciel Agencji Telegraficznej Rador w 1924; poseł do parlamentu z ramienia partii Narodowo-Chłopskiej w 1928; założyciel i dyrektor „Revista Vremei”, dyrektor finansowy pism „Argus” i „Timpul”; Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w latach 1928-1930 i 1932-1934; Senator 1934-1938 itd., itd.

Od 1941 — przebywał w Szwajcarii. Od 1947 był członkiem „Rady Wolnych Rumunów”. Należał do „Związku Europejskich Federalistów”, którego prezesem został w 1956. Wyszedłszy ze Służby Zagranicznej, propagował porozumienie się z Rosją Sowiecką. W listopadzie 1947 skazany został, zaocznie, przez sąd rumuński na 20 lat więzienia za zdradę stanu.

Jako autor — dał się poznać stosunkowo późno. Ci, którzy się z nim bliżej stykali, mówili, że był człowiekiem obdarzonym dużą kulturą i czarem osobistym.

Na emigracji, w Szwajcarii, napisał dwie książki. Pierwsza pt.

„Preliminaria Wojny na Wschodzie” z podtytułem: „Od Układu Moskiewskiego z 21 sierpnia 1939 do początku kampanii rosyjskiej 22 czerwca 1941” — ukazała się w języku francuskim (we Fryburgu i Paryżu) oraz niemieckim (w Zürichu) — w roku 1944. Przyjęcie jej przez krytykę było bardzo dobre.

W roku następnym ukazały się wydania angielskie i hiszpańskie „Preliminarii”.

W r. 1946 ogłoszona została druga książka Gafenki, ta o którą nam chodzi — pod tytułem „Ostatnie dni Europy” (podróż dyplomatyczna w 1939): „Derniers Jours de l’Europe”, wydana w Paryżu i Fryburgu; ditto „Europas letzte Tage” w Zürichu, a w ślad za tym, w 1947, w Londynie: „The last days of Europe” i — dla ukoronowania sukcesu: to samo w Stanach Zjednoczonych, nakładem Yale University Press, w 1948. Przed ukazaniem się edycji amerykańskiej wyszło w Paryżu i Fryburgu drugie wydanie „Derniers jours de l’Europe”, w 1947.

Trudno było o bardziej odpowiedni temat dla wspomnień b. dyplomaty o długim przygotowaniu dziennikarskim — i o lepszy tytuł niż „Ostatnie Dni Europy” dla opisu podróży via Berlin, Bruksela, Londyn, Paryż, Rzym, Belgrad, Ankara i Ateny — w drugiej połowie kwietnia 1939 — na kilka miesięcy przed katastrofą.

Pierwszy z 9-ciu rozdziałów książki nosi nazwę: „W wagonie z pułkownikiem Beckiem” i zaczyna się tak:

„Opuściłem Bukareszt w południe 16 kwietnia 1939. Pociąg berliński przemierzał — aż do zmierzchu — Mołdawię, potem biegł przez terytorium Polski, zahaczając w nocy o Lwów, Kraków i Katowice, by wreszcie, rankiem dnia następnego, przybyć na granicę Śląska.

Tuż po północy do pociągu naszego doczepiono salonkę polskiego Ministra Spraw Zagranicznych. Byłem uprzedzony, że pułkownik Beck pragnie zobaczyć się ze mną przed moją wizytą w Berlinie. Udałem się do jego wagonu i dalszą podróż, aż do świtu, odbywaliśmy razem. W ten sposób, za jednym posunięciem, znalazłem się w samym centrum europejskiego dramatu.

Człowiek, który przybył na moje spotkanie, by zawierzyć mi swoje kłopoty i obarczyć mnie pewnymi zleceniami, nie był już tym, którego nieprzenikniony uśmiech i pełne pewności siebie (czy pychy?) opanowanie znałem od dawna. Intrygował mnie zawsze ten zadufany w sobie Minister — którego żadnej z jego idei nie podzielałem, ale którego śledziłem z zainteresowaniem, nie pozbawionym niepokoju — w jego zuchwałym manewrowaniu wśród politycznych pułapek...”

A nieco dalej, barwami z „Portretu Doriana Gray’a”:

„... po raz pierwszy, tej nocy, w wagonie kolejowym, odkryłem w nim objawy niepokoju. Jego wymijające spojrzenie błyszczące ognikami gorączki, jego długie, kurczowo zaciśnięte ręce — wszystko w nim zdradzało wzburzenie, którego głos, jak zawsze opanowany, nie był w możności ukryć...”

Po takim wprowadzeniu, następuje „kilkadziesiąt stron tekstu, będącego opisem całonocnej „spowiedzi politycznej” Becka wobec Gafenki. By nie było wątpliwości, autor książki zapewnia: „*Voici, d'après mes notes (complétées par des extraits d'actes officiels) le récit que me fit le colonel Beck pendant cette nuit du 16 au 17 avril 1939*” (patrz str. 46 wydania roku 1947).

Nie brak w tym ponurym monologu polskiego Ministra Spraw Zagranicznych — istotnych rewelacji, które — aż dotąd — zdaje się, uszły uwagi historyków. Na str. 61, np. Beck „mówi” Gafence:

„Od stycznia 1938 wiedziałem, że Niemcy, po zajęciu Austrii zaanektują kraj sudecki. Plan niemiecki byłby prawdopodobnie rozciągnął się w kierunku państw bałtyckich, gdybym nie był pospieszzył się zajmując Wilno i zacieśniając stosunki z Litwą”.

Oczywiście, można by — okazując maksimum dobrej woli — położyć powyższe na karb nieporozumienia, uzasadnionego zarówno warunkami samej „całonocnej” wizyty (zakładając, że w ogóle miała ona miejsce) — jak i obfitością nie zawsze przetrwanych dokumentów, porzucanych w księgach „białych”, „żółtych” i „niebieskich”, odnoszących się do tego okresu — a z których autor czerpał dowolnie.

Trzeba dodać poza tym, że cały rozdział pod tytułem „W wagonie kolejowym z Beckiem” skonstruowany został w ten sposób, że — często — nie jest łatwo zdefiniować, gdzie mamy do czynienia z cytowaniem *dokumentów przez Gafenkę post factum*, a gdzie *przez Becka w wagonie*, gdzie i *kiedy* wysłuchujemy *komentarza* (przez jednego lub drugiego) nie wiedząc — w gruncie rzeczy — *czyj* to komentarz. Nie znaczy to wcale, że nie ma w tym rozdziale dosłownie niczego, czego Beck nie mógłby był powiedzieć, lub nawet, we fragmentach, *istotnie* nie powiedział.

Nad wszystkim jednak dominuje bezspornie fakt bez precedensu: polski Minister Spraw Zagranicznych, o błędnych, przerażonych oczach, pałających gorączką, czyniący nagłą i niespodziewaną, *całonocną* spowiedź wobec swego rumuńskiego kolegi (któremu nawet nie pozwala się przespać) i zlecający mu, w upokarzającej roli suplikanta, by przedłożył w Berlinie istotne motywy i cele polskiej polityki zagranicznej! („*Telles étaient les raisons pour lesquelles il était venu à ma rencontre*”).

Ale — na skutek zadawnionej tradycji — takie jest zasadnicze podejście do dyplomatycznej literatury pamiętnikarskiej, że nawet najbardziej sceptyczni krytycy, dopatrujący się zawodowo nuiansów w selektywnej na ogół pamięci autorów, świadomi różnic, nawet najdalej idących, w ocenie faktów i ich przyczyno-

wych powiązań (przez świadków, czy aktorów dramatu), pobłażliwi dla egocentryzmu i *esprit d'escalier* tak częstego u piszących *post factum* — nigdy nie kwestionują w zasadzie samych rejestrowanych faktów, takich jak: terminy spotkań, daty odbytych konferencji, wysłanych lub otrzymanych not, wizyt wzajemnie składanych itd.

W konkretnie omawianym wypadku, przekonanie, że autor zanotował z całą sumiennością wszystkie składniki *exposé* swego nieoczekiwanego gościa i że przekazał je wiernie, *verbatim*, w cudzysłowach, znamionujących skrupulatność — takie przekonanie wzmacniają jeszcze rozsiane obficie następujące wstawki autora: „... *Monsieur Beck me dit avec décision*” (str. 45) i „*Le ministre commença par récapituler les événements qui...*” (str. 47); „... *me dit le ministre*” (str. 49); „*Beck me fit remarquer*” (str. 57); „*Il tint à me rappeler*” (str. 61); „*Beck poursuivait son récit*” (str. 63); „*Arrivé à ce point de son exposé, le ministre me répéta les paroles qu'il...*” (str. 69) itd.

W następstwie — niezależnie od tego, czy obraz polskiego ministra spraw zagranicznych i jego polityki w jego własnym ujęciu i naświetleniu, był dla niektórych przykrą i krępującą rewelacją, bądź też dla innych potwierdzeniem ich uprzednio żywionych zastrzeżeń, czy przekonań — nikt dotychczas nie zakwestionował autentyczności wydarzenia, stanowiącego istotę pierwszego rozdziału „Ostatnich Dni Europy”.

Prof. F. Ashton-Gwatkin, omawiając tę książkę na łamach „*International Affairs*” (październik 1948), podkreślił specjalnie talent autora w „znakomitym kreśleniu portretów osobistości, z którymi spotkał się w swej podróży” — wymieniając na pierwszym miejscu portret Becka. Dodał również, że „dla historyka jeszcze cenniejsze są stanowiska wyrażane i opinie wypowiedziane przez te osobistości wobec Gafenki, który to wszystko, tak dokładnie (jak wydaje się)* i tak uczciwie raportuje. Jego własne komentarze, jakkolwiek żywo pisane, nie są głębokie”.

„*Ostatnie Dni Europy*”, uznane za jedno z poważnych źródeł, weszły do bibliografii dziejów 2-ej wojny.

Powołał się na nie prof. historii H. L. Roberts z Columbia University, w studium swoim: „*The Diplomacy of Colonel Beck*” (tom II, str. 606 zbiorowej pracy pt. „*The Diplomats, 1919-1939*”, wydanej pod redakcją prof. Craig & Gilbert, nakładem Princeton University Press, w roku 1953 — przedruk w 1963).

Wydawnictwo francuskie „*Cahiers de la Fondation Nationale des Sciences Politiques*” — nakład Librairie Armand Collin, Pa-

* W tekście oryginalnym: (*apparently*).

ryż, 1957, w Nrze 85, na str. 272 pisało *tout court*: „*Le 17 avril il (Beck) chargea M. Gafencu de faire part à Berlin de son désir d'entente*”. Towarzyszyła temu podsumowaniu obszerna cytata „dosłownej” wersji rzekomego *exposé* Becka w trakcie jego sensacyjnego *tête-à-tête* z autorem „*Derniers Jours de l'Europe*”.

Dalszą akoladę otrzymała historia o „nocnej” wizycie Becka w „Przeglądzie Spraw Międzynarodowych” pt. „W przededniu Wojny, 1939” („*The Eve of War, 1939*”), wydanym pod redakcją prof. Arnolda Toynbee, przez królewski Instytut Spraw Międzynarodowych w Londynie i Oxford University Press, w roku 1958. Na str. 340 tego wydawnictwa czytamy:

„Bez wątpienia (*certainly*), w nocy z 16-go na 17-ty kwietnia, gdy Gafencu — w drodze z oficjalną wizytą do Berlina — przejeżdżał przez Polskę, Beck skorzystał z tej okazji (*seized the opportunity*) by dołączyć do jego pociągu tuż po północy i zlecić mu w zaufaniu (*to entrust*) zadanie, by wyjaśnił stanowisko Polski”.

Następują odsyłacze do „*Derniers Jours de l'Europe*”, ale — rzecz ciekawa — wersja tego, co Gafencu powiedział w Berlinie na temat swego spotkania z Beckiem, redakcja „*Eve of War, 1939*” zaczerpnęła *nie* z książki Gafencu, ale z tajnych aktów niemieckiego Auswärtiges Amt'u, zagarniętych pod koniec 2-ej wojny przez wojska Anglo-amerykańskie.

Wróćmy do tego.

Z uwagi na wszystkie nasuwające się wątpliwości, cała sprawa — jak zaznaczono na wstępie — zdawała się zasługiwać na gruntowne zbadanie.

Pierwsze podstawowe pytanie dotyczyło samego spotkania Beck-Gafencu. Co do tego nie było nigdy wątpliwości. Potwierdzają to zgodnie wszystkie źródła z „*Derniers Jours de l'Europe*” i z „*Dernier Rapport*” Becka — na czele: obaj ministrowie spraw zagranicznych istotnie spotkali się w trakcie podróży Gafencu przez Polskę.

Krańcowe, nie do pogodzenia, różnice zachodzą jednak w wersjach, gdzie się spotkali, kiedy, jak długo (czy jak krótko) ich rozmowa trwała i co było jej przedmiotem.

Wersja pierwszego rozdziału „*Ostatnich Dni Europy*” wraz z *aperçu* samego Gafenki — zajmuje 35 stron druku.

W „*Dernier Rapport*”, Beck poświęcił tej sprawie *niecałych 7 wierszy*, w ramach szerszych notatek, które dyktował jesienią 1939 — na początku swego internowania w Rumunii.

Nie wchodźmy — w tym miejscu — szczegółowo w istotę spraw polsko-rumuńskich i zagadnień z nimi związanych, które wymagały podówczas omówienia. Wystarczy stwierdzić, że wy-

jazd min. Beck na spotkanie Gafenki, miał przede wszystkim na celu przeprowadzenie rozmowy na temat różnych koncepcji — wysuwanych tak w Londynie, jak w Bukareszcie — odnośnie rozszerzenia *casus foederis* sojuszu polsko-rumuńskiego.

Sojusz ten, jak wiadomo, pomyślany był zasadniczo na wypadek agresji ze strony sowieckiej. Sugestie czynione w Bukareszcie od drugiej połowy marca zmierzały do nadania temu sojuszowi charakteru instrumentu skierowanego nie tylko przeciwko Niemcom, ale w równej mierze — o ile nie przede wszystkim — przeciw Węgrom.

Minister Beck miał szereg zastrzeżeń na ten temat, a udośćniona dziś korespondencja dyplomatyczna angielska i niemiecka tego okresu rzuca dużo światła na całą sprawę. Pewne jej elementy w formie jak najbardziej ogólnikowej zawarte są na str. 197 oraz 320-321 „Dernier Rapport” Becka. Zajmiemy się tym dyskutując *rozmowę*: Beck-Gafencu.

Tymczasem wróćmy do cytaty wspomnianych 7-miu wierszy, stanowiących relację Becka o spotkaniu z Gafencu — z którym, *nota-bene*, pozostawał w bardziej niż poprawnych stosunkach osobistych:

„Wyjaśniłem nasze stanowisko Rumunii, tzn. jej Ministrowi Spraw Zagranicznych, panu Gafence, podczas rozmowy jaką odbyłem z nim 17 kwietnia 1939, gdy — w drodze do Berlina — przejeżdżał przez Kraków*. Pan Gafencu bardzo dobrze zrozumiał naszą politykę; i on również był zdania, że ogłędne postępowanie może dać Rumunii najlepsze wyniki”.

Jako źródło tych informacji, powtórzonych potem w załączniku Nr 19 na końcu „Dernier Rapport”, wymienione są „Nie wydane pamiętniki jednego z bliskich współpracowników Ministra Becka” cytowane poza tym na stronach 190-191, 202, 210 oraz 320-321 „Rapport”.

Upoważniony jestem przez ich autora do wyjawienia jego identyczności: jest nim hr. Paweł Starzeński, przez trzy ostatnie lata przed wojną w Sekretariacie Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

To Starzeński towarzyszył Beckowi w drodze do Krakowa i Katowic na spotkanie Gafenki, a potem z Katowic — z powrotem do Warszawy. Proszony o wspomnienia z tej podróży, przysłał mi z Argentyny, gdzie od przeszło 20 lat zamieszkuje — dwa obszerne listy, (ostatni z 9 listopada 1967) pełne bardzo cennych dla całej sprawy szczegółów uzupełniających poprzednie dane.

* Odsyłacz na str. 197 mówi, że rozmowa obu ministrów, Becka i Gafencu, miała miejsce w godzinach rannych, na trasie Kraków-Katowice i że trwała mniej więcej półtorej godziny.

Składają się na nie przede wszystkim notatki sporządzone w latach 1942/43 w Szkocji.

Odnosnie trasy Warszawa-Kraków-Katowice, Starzeński w wymienionym powyżej liście pisze:

„W niedzielę 16 kwietnia popołudniu wyjechaliśmy z Warszawy do Krakowa. Towarzyszył Beckowi tym razem również dyrektor dptu wschodn. Kobyłański”... „Koło 11-ej wieczór przyjechaliśmy do Krakowa i po lekkim obiedzie pod Ratuszem wróciliśmy do wagonu, gdzie spaliśmy. Przeklinałem tę noc. Wagon stał na dworcu głównym i całą noc budziły mnie pociągi, gwizdki i mnóstwo innych hałasów. Nie byłbym stworzony na naczelnika stacji. Rano 17-go przyjechał Gafenco, dołączono nasz wagon i wkrótce potem ruszyliśmy w stronę Katowic. Gafenco udał się dalej do Berlina, a my po godzinnym pobycie u Wojewody Grażyńskiego powróciliśmy przed wieczorem do Warszawy. Jechał z nami też ambasador rumuński w Warszawie Franasovici, z którym po początkowym, trudniejszym może okresie, ułożyła się dobra współpraca”.

Koncentrując się, w tym momencie, na *zasadniczych* faktach: gdzie, kiedy i na jak długo spotkali się obaj ministrowie Spraw Zagranicznych — pomijam na razie zanotowane przez Starzeńskiego uwagi Becka w drodze z Warszawy do Krakowa na spotkanie z Gafencu, jak i refleksje w drodze powrotnej.

Odnosnie, faktów „podróżowych”: zachował się po dziś dzień biurkowy „Dziennik przyjąć”, rozjazdów i konferencji Min. Becka od 1 stycznia do końca września 1939.

Pod datą 16 kwietnia znajduje się notatka: „18.25 wyjazd do Krakowa”. Pod datą 17 kwietnia: „18.33 przyjazd z Katowic”.

Jak widać z powyższego, wersja Ministra Becka, tak jak i wersja Starzeńskiego mówią o *Krakowie*, bliżej zaś o trasie Kraków-Katowice, w odróżnieniu od treści pierwszego rozdziału „Ostatnich Dni Europy” Gafenki.

W tych warunkach wydawało się niezbędne ustalić zarówno trasę, jak i dokładny rozkład jazdy kolejowej pociągu Bukareszt-Berlin, którym jechał Minister Gafencu.

Opracowanie takie, na prośbę piszącego te słowa, zostało sporządzone przez Wydział Studiów Centrali Biura Turystycznego Thomas Cook & Son w Londynie, któremu autor niniejszej notatki pragnie na tym miejscu najuprzejmiej podziękować.

Jak okazuje się z powyższego opracowania, żaden z wymienianych przez Ministra Gafencu szczegółów podróży, z wyjątkiem wyjazdu z Bukaresztu, nie pokrywa się z rozkładem jazdy.

Zaznaczmy od razu, że wszystkie godziny cytowane poniżej są według czasu lokalnego.

Express berliński wyjechał z Bukaresztu o godz. 13.43. Autor „Ostatnich Dni Europy” pisze, że pociąg „zahaczał w nocy o

Lwów, Kraków i Katowice, by wreszcie rankiem dnia następnego przybyć na granicę Śląska”. Jest to jak najbardziej niedokładne, jak wynika z następującego rozkładu jazdy:

przyjazd do Lwowa	5.40 rano
odjazd z Lwowa	6.15 rano
przyjazd do Krakowa	10.55 rano
odjazd z Krakowa	11.03 rano
przyjazd do Katowic	12.17 p.p.
odjazd z Katowic	12.30 p.p.

Opracowanie p.p. Thos. Cook & Son jest cennym uzupełnieniem danych podanych przez Ministra Becka oraz przez jego sekretarza.

Wydawało się, że byłoby pod każdym względem cenne znaleźć „koronnego świadka” — poza Polskim Ministrem Spraw Zagranicznych i jego sekretarzem, który mógłby wnieść dalszy element do tej tak istotnej sprawy.

Świadkiem takim mógłby być być na przykład poseł niemiecki w Bukareszcie, Dr W. Fabricius, zważywszy, że według przyjętych zwyczajów mógłby on, mimo że to nie było konieczne, bądź to towarzyszyć Ministrowi Gafencu w jego podróży, bądź też na przykład oczekiwać na niego na granicy niemieckiej.

Poszukiwania w tym kierunku okazały się skuteczne. Minister Fabricius nie tylko odbywał podróż razem z panem Gafencu, ale sporządził z jej przebiegu notatkę, którą posłał do Auswärtiges Amt. W istocie — w aktach Auswärtiges Amt'u zachował się zarówno tekst odpisu maszynowego notatki (Pol. IV. 2703), jak i oryginał kreślony ręką ministra Fabriciusa na papierze listowym Hotelu Monopol we Wrocławiu, gdzie podróżnicy zatrzymali się na noc, przed wyjazdem następnego dnia rano w dalszą podróż do Berlina (reprodukcje dokumentów, str. 160, 161).

Tekst omawianego dokumentu jest następujący:

NOTATKA

W Rzeszowie wszedł do naszego pociągu pan Franasovici, ambasador rumuński w Warszawie, i udał się do wagonu salonowego rumuńskiego Ministra Spraw Zagranicznych. Przywiózł on ze sobą wiadomość, że Minister Spraw Zagranicznych Beck dołączy do nas w Krakowie. Istotnie w Krakowie przyczepiono do naszego pociągu salonkę, w której znajdował się pan Beck w towarzystwie jednego pana z polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pan Beck złożył panu Gafencu krótką wizytę w rumuńskim wagonie, co dało mi możność przywitania się z panem Beckiem. Po kilku minutach obaj Ministrowie Spraw Zagranicznych wycofali się z powrotem do polskiego wagonu. W Katowicach odczepiono wagon polski i Beck wraz z Franasovici udali się z powrotem do Warszawy.

Pan Gafencu przyszedł niezwłocznie do mnie, by, jak to już przedtem powiedział, upewnić mnie raz jeszcze, że wizyta Becka była wynikiem jedy-

nie inicjatywy Becka. Nie wiedział on jakoby wcale przed przyjazdem Franasovici, że Beck zamierzał powitać go w czasie przejazdu. Co do swojej rozmowy z Beckiem, powiedział mi jedynie, że miał wrażenie jakoby Beckowi nie było specjalnie miłe to co uczynił w Londynie. Beck miał być jednak nastroszony optymistycznie co do dalszego pokojowego rozwoju spraw w nadziei na nawiązanie z powrotem rozmów z Berlinem.

(—) Fabricius, 17. 4. 1939.

Uwagi ręczne na marginesie notatki mówią, że raport ten został przedłożony Ribbentropowi, Sekretarzowi Stanu (Weizsäckerowi) Podsekretarzowi Stanu (Wörmannowi) itd.

Nie wchodząc w to jak dalece ściśle lub nieściśle poinformował Gafencu ministra Fabriciusa o tym fragmencie rozmowy, który dotyczył rzekomej wypowiedzi Becka o wynikach wizyty londyńskiej — jedno jest pewne, a mianowicie, że ani słowo nie zostało powiedziane o tym, co było *istotnym* przedmiotem rozmowy Beck-Gafencu i *istotnym* powodem wyjechania mu na spotkanie do *Krakowa*.

Dalszym świadectwem tego, jeśli jest to konieczne, że spotkanie nastąpiło w Krakowie znajdujemy w dalszych dwóch dokumentach. Pierwszym z nich jest protokół w archiwach Auswärtiges Amtu z rozmowy przeprowadzonej przez Gafencu w Berlinie z Ribbentropem w dniu 18 kwietnia. Protokół z tej rozmowy, Nr aktu F 14/094-104, podany jako Nr 227 w D.G.F.P., seria D., Vol. VI, zawiera taki passus (wśród innych elementów godnych uwagi): „... spowodował on (Gafencu), by dano do zrozumienia w Londynie i Paryżu, że Rumunia nie chce mieć nic wspólnego z Rosją lub z okrażaniem Niemiec. Po ostatnich wydarzeniach (idzie prawdopodobnie o zajęcie Pragi — uwaga autora), Rumunia nie miała żadnego kontaktu z Polską aż do rozmowy przeprowadzonej wczoraj z polskim Ministrem Spraw Zagranicznych w *pociągu w Krakowie* (podkreślenia autora). Rozmowa ta odbyła się z inicjatywy Becka; inicjatywy o której on (Gafencu) dowiedział się dopiero w trakcie samej podróży”.

Następuje dłuższy paragraf odnośnie rozmowy z Beckiem, który cytować będziemy potem. Wystarczy zaznaczyć, że wersja zanotowana przez Ribbentropa i Schmidta — znanego tłumacza Auswärtiges Amt — *nie pokrywa się* z wersją tego co Gafencu zakomunikować miał ministrowi Fabriciusowi.

Znajduje się wreszcie w archiwach Auswärtiges Amtu notatka (Tgb. Nr 5054/29) z 18. 9. 1939, przesłana przez ministra Fabriciusa, a złożona mu przez senatora rumuńskiego, przedstawiciela ludności niemieckiej w Rumunii, Hansa Otto Roth'a — z rozmowy przeprowadzonej z Gafencu. Senator Roth omawiał z nim wyniki swej obszernej podróży zagranicznej. Jedno

z początkowych zdań tej notatki senatora Roth'a brzmi jak następuje:

„... Gdy Gafencu po nominowaniu go Ministrem Spraw Zagranicznych wyruszył w podróż do Berlina, Beck wyjechał mu na spotkanie do Krakowa...”.

Jak długo mogło trwać to spotkanie? Pociąg przybył do Katowic o 12.17 a wyjechał z Krakowa o 11.03. Mamy więc *jedną godzinę i czternaście minut* na kurtuazje, przywitania, pożegnania i na zasadniczą rozmowę, która w najlepszym wypadku mogła trwać około godziny.

W świetle wszystkich powyższych danych okazuje się, że cała fabuła pierwszej części „Ostatnich Dni Europy” jest fabrykatem. W podtytule autor nazwał ją: „Un voyage diplomatique en 1939”. Powinien był dodać: *romancé!*

Gafencu skończył pisanie swej opowieści w październiku 1945, w zaciszu Genewy.

26 sierpnia 1943, na kilka miesięcy przed śmiercią w pułapce, w której się znalazł w Rumunii, Józef Beck pisał do swojej pasierbicy na tle tego, że ktoś go gdzieś „wybrał”:

„Czytając to zdałem sobie sprawę jakby z rozdwojenia osobowości. Ja siedzę tu i lecę nieszczęsne płucka, a tam po świetle gania widmo, jakiś drugi J. B., z którym już od 4-ch lat nie mam stosunków. Chodzi sobie, wojuje, z nim wojuję — teraz go nagle ktoś wychwala — gdzieś komuś gość przeszkadza, książki o nim piszą! Facet jest morowy, że tyle czasu się rozбивa, mimo że mu nic przecież nie pomagam. Zabawnie na to patrzeć.

Myślę tak — czy będę miał możność i ochotę zejść się z nim jeszcze w życiu — czy też pozostawię go już własnemu losowi. Kto to może wiedzieć?”



Jaki był cel wyjazdu Becka na spotkanie Gafencu? Odpowiedź na to dają obszerne zestawy aktów dyplomatycznych, odnoszących się do spraw polsko-rumuńskich — oglądanych na szerszym tle ówczesnego kryzysu europejskiego.

W dniu poprzedzającym ostateczną likwidację Czechosłowacji, gdy prezydent Hacha „zaproszony” został na historyczną konferencję z Hitlerem — do Foreign Office w Londynie zgłosił się Rumuński Minister Pełnomocny, Tilea, i — złożonym przez siebie oświadczeniem, rozwijanym następnie w dalszych spotkaniach — zapoczątkował jedną z bardziej intrygujących akcji dyplomatycznych, poprzedzających wybuch 2-ej wojny.

Jej istota i „ramifikacje” najlepiej wynikają z instrukcji przesłanej 21 marca 1939 przez Lorda Halifaxa Ambasadzie Jego Królewskiej Mości w Waszyngtonie z tym — by jej treść, za

pośrednictwem Departamentu Stanu, przekazana została do wiadomości Prezydenta Roosevelta.

Rumuński Minister w Londynie — komunikował Lord Halifax — poinformował go 17 marca, że, o ile mu wiadomo, Rząd Niemiecki skierował pod adresem Rządu Rumuńskiego żądanie udzielenia sobie monopolu eksportu rumuńskiego oraz dokonania takich zmian w strukturze przemysłowej Rumunii i wprowadzenia takich ograniczeń, jakie leżałyby w interesie Rzeszy. W zamian za przyjęcie tych warunków Niemcy miałyby zagwarantować granice Rumunii. Rząd Rumuński zdaniem Ministra Tilea, skłonny był traktować te żądania niemieckie jako mające charakter ultimatum; podobno odmowa przyjęcia ich spowodować miała znaczne złagodzenie dezyderatów niemieckich. Poseł Rumuński, kładąc nacisk na niecierpiący zwłoki charakter całej sprawy, zapytywał, czy Rząd Jego Królewskiej Mości mógłby udzielić informacji, jakie kroki byłby skłonny przedsięwziąć w wypadku gdyby Rumunia stała się ofiarą agresji. Zapytywał, czy sytuacji Rządu Brytyjskiego nie ułatwiłoby przyjęcie przez Polskę i Rumunię zobowiązań traktatowych, które miałyby zastosowanie na wypadek napaści niemieckiej — przy jednoczesnym zadeklarowaniu przez państwa Ententy Bałkańskiej gotowości wzajemnego gwarantowania granic.

„Powiedziałem Ministrowi (mówił Lord Halifax), że to co mi zakomunikował przekażę niezwłocznie premierowi i kolegom gabinetowym, ale przewiduję że podstawowym elementem dla wyrobienia sobie przez nich opinii, będzie zdobycie wiadomości, pod warunkiem iż są one osiągalne, na temat stanowiska, jakie zajęłyby w tej sprawie Rządy Polski, Turcji, Grecji i Jugosławii”.

Mówił poza tym Lord Halifax, że Ambasador Brytyjski w Moskwie otrzymał polecenie zbadania, czy „Rząd Sowiecki mógłby udzielić wskazówek, co do ewentualnej aktywnej pomocy dla przeciwwstawienia się agresji niemieckiej — w wypadku gdyby Rząd Rumuński zwrócił się z taką prośbą”.

W ostatnim paragrafie swej instrukcji do Ambasady Waszyngtońskiej Lord Halifax nie ukrywał, że:

„Otrzymane następnie informacje nakazały wątpić w dokładność relacji Ministra Rumuńskiego o tym co zaszło między Rządami Niemieckim i Rumuńskim” — „niemniej jednak, z uwagi na sytuację wytworzoną przez akcję niemiecką w Czechosłowacji, Rząd Jego Królewskiej Mości uznał za konieczne kontynuować sondaże opinii w stolicach krajów głównie zainteresowanych. W następstwie udzielono odpowiednich instrukcji Brytyjskim przedstawicielom dyplomatycznym w Paryżu, Moskwie i Warszawie”.

Zanim pójdziemy dalej, powiedzmy, że ta bardzo niecodzienna sprawa: interwencji przedstawiciela dyplomatycznego Rumu-

nii w Londynie, działającego — jak mówił — częściowo w charakterze „prywatnym” i „osobistym” miała dla wszystkich zainteresowanych dość kłopotliwe następstwa. Nie tylko dlatego, że sam minister niezwłocznie został „zdezawuowany” przez swój własny rząd — ze wszystkim co za tym idzie, ale że wprowadził element wątpliwości co do zasadniczych elementów polityki swego kraju.

Jedno jest pewne: dostępne po drugiej wojnie źródła archiwalne nie potwierdziły bynajmniej *wersji o ultimatum*, stanowiącej punkt wyjścia dla „sprawy Tilea” w marcu 1939.

Nie potwierdziły również gotowości Niemiec gwarantowania granic Rumunii — w zamian za ustępstwa gospodarcze, których nie trzeba było w ogóle wymuszać. O samym traktacie handlowym Niemiecko-Rumuńskim, podpisanym 23 marca 1939 w Bukareszcie, wraz z jego doniosłym, nieopublikowanym wówczas Tajnym Protokołem Końcowym — powiedzieć można jedynie że: *Volenti non fit injuria*. Szło o całkowicie uzasadnione interesy gospodarcze obu układających się stron. Minister Gafencu był jednym z dwóch przedstawicieli swego kraju, który położył podpis pod tą umową.

18 marca 1939, Sir H. Kennard, Ambasador Brytyjski w Warszawie, działając w wykonaniu instrukcji Lorda Halifaxa, odwiedził min. Becka.

Szyfr jego, noszący powyższą datę, jest jednym z wielu na ten temat, znamionujących dyskretne zakłopotanie rozmówców, dyskutujących następstwa inicjatywy min. Tilea w Londynie.

„Minister Spraw Zagranicznych — raportował Kennard — powiedział mi, że nie rozumie informacji przekazanych przez posła rumuńskiego, zważywszy że polski przedstawiciel dyplomatyczny w Bukareszcie, w dniu wczorajszym, wieczorem omawiał obszernie ogólną sytuację z Królem Rumuńskim, przy której to okazji Jego Królewska Mość w ogóle nie wspomniał o żadnych tego rodzaju posunięciach ze strony Niemiec. Rumuński Minister w Londynie powiedział to samo Ambasadorowi polskiemu. Minister Beck zlecił zbadanie sprawy w Bukareszcie i obiecał poinformować mnie o wyniku. Osobiście nie byłby skłonny wierzyć, by wersja rumuńskiego posła w Londynie była oparta na faktach”.

Ambasador Kennard dodawał od siebie, że jego rumuński kolega w Warszawie (Ambasador Franasovici), który telefoniował w tej sprawie do Bukaresztu, otrzymał instrukcję od swego rządu, by kategorycznie przeczył wszelkim wersjom na te tematy. Są to, powiedziano mu, wymysły dziennikarskie, które powinien dementować.

„Na moje intensywne pytania — kontynuował Kennard — jakie byłoby stanowisko Rządu polskiego w wypadku, gdyby informacja rumuńskiego

Ministra (w Londynie) okazała się jednak słuszna i gdyby Rząd rumuński zwrócił się do Rządu polskiego, (Beck) odpowiedział, że przed wyrażeniem zdecydowanego poglądu na tę sprawę musiałby ją przedyskutować gruntownie zarówno z Rządem rumuńskim jak i z własnym. Przypomniałem mu, że w rozmowie, którą mieliśmy w dniu wczorajszym, poinformował mnie, że sojusz Polski z Rumunią przewidywał jedynie Rosję, jako ewentualnego agresora. Pan Beck potwierdził to raz jeszcze z tym, że *oczywiście wszelka groźba wymierzona przeciw niepodległości Rumunii byłaby sprawą w której Rząd polski byłby jak najbardziej żywotnie zainteresowany*".

Nie może on zająć bardziej zdefiniowanego stanowiska dopóki nie otrzyma z Bukaresztu potwierdzenia, że raport, o którym mowa, jest ścisły".

Tegoż samego dnia, 18 marca 1939, poseł angielski w Bukareszcie, Sir R. Hoare, zaczął swój raport szyfrowy do Lorda Halifaxa od słów:

„Wydawało mi się czymś tak absolutnie *nieprawdopodobnym*, by Minister Spraw Zagranicznych (Gafencu) nie powiadomił mnie o wyłonieniu się sytuacji nagłego zagrożenia, że udałem się do niego natychmiast po rozszyfrowaniu depesz pana do Warszawy i Moskwy”

a tuż potem:

„Minister Spraw Zagranicznych dał wyraz swemu najżywszemu zdumieniu, a poddany przeze mnie krzyżowym pytaniom (*under close cross-examination*) utrzymywał, że rokowania gospodarcze z Niemcami toczyły się według zasad ogólnie przyjętych, jak między równymi”.

Raport kończył się następująco:

„Minister Spraw Zagranicznych jest przygnębiony tym, że Poseł Rumuński, w nadmiarze gorliwości, posunął się do przeinaczenia istotnej sytuacji... Dał mi do zrozumienia, że byłby wdzięczny, gdyby zechciał pan nie cofać swego całkowitego zaufania do osoby Posła Rumuńskiego. Zdając sobie sprawę z bezprzykładnego ogromu tej gaffy (*the enormity of this blunder*), pozwałam sobie — nie posiadając ku temu prerogatyw — podpisać się pod poglądami Ministra Spraw Zagranicznych”.

Lord Halifax nie cofnął zaufania, jakim — wbrew wszystkim wątpliwościom — obdarzał Posła Rumuńskiego na Dworze Świętego Jakóba.

Warto może jedynie zanotować, że dnia poprzedzającego dramatyczną rozmowę Sir R. Hoare z Gafencu — Poseł Niemiecki w Bukareszcie, Fabricius meldował do Auswärtiges Amt (telegram szyfrowy Nr 90 z 17 marca) o sugestii Ministra Dworu, Urdareanu, że Król powinien otrzymać wysokie odznaczenie za doprowadzenie do skutku „Wohlthat Abkommen” — umowy gospodarczej Niemiecko-Rumuńskiej — ponieważ to jego inicjatywie zawdzięczać należy ów sukces. „Oświadczyłem, że dyskusowanie spraw orderowych nie leży w moich kompetencjach” (Ich erklärte mich ausserstande Ordensangelegenheit zu diskutieren” — raportował Fabricius.

Minister Gafencu nie był jedynym rzecznikiem rumuńskiej polityki zagranicznej — co nie oznacza, że nie był świadomy jej rozlicznych odchyśleń.

W okresie między połową marca, a połową kwietnia 1939, obfita korespondencja dyplomatyczna na trasach Londyn-Warszawa-Bukareszt-Berlin, którą się tu zajmujemy, a do której oczywiście należy dodać i Budapeszt — dotyczyła przede wszystkim dwóch spraw związanych ze sobą przyczynowo. W obydwu Polska zajmowała pozycję eksponowaną: pomoc dla Rumunii na wypadek ewentualnej agresji niemieckiej oraz — zważywszy, że Niemcy i Rumunia *nie* graniczyły ze sobą — ewentualność konfliktu węgiersko-rumuńskiego. To ostatnie niebezpieczeństwo łączyło się ze sprawą zajęcia przez Węgrów Rusi Podkarpackiej, roszczeniami rumuńskimi do czterech wsi i linii kolejowej na wschodnim skrawku tego terenu, nieustępliwością a potem chęcią przetargów ze strony Węgier, a wreszcie — co najgroźniejsze — mobilizacją i koncentracją wojskową tak w Rumunii jak i na Węgrzech. Londyn naciskał na Warszawę w obu sprawach. Warszawa zajmowała stanowisko daleko posuniętej ostrożności i wstrzemięźliwości.

Zdaniem min. Becka należało czynić wszystko, by *nie pchać* Węgier w objęcia Hitlera. Motyw ten powtarza się raz po raz w rozmowach z Ambasadorem Brytyjskim i w raportach Kennarda do Halifaxa — idąc w parze z jednoczesnymi wysiłkami dyplomacji polskiej, tak w Warszawie, jak w Bukareszcie i Budapeszcie, by odegrać rolę pośrednika między obu zaprzyjaźnionymi z Polską, a skłóconymi ze sobą państwami.

Inicjatywa angielska w sprawie przyjsia z pomocą Rumunii na wypadek jej ewentualnego konfliktu z Niemcami, była — rzecz jasna — jednym z głównych trzonów rozmów polsko-angielskich zarówno w okresie poprzedzającym wizytę Becka w Londynie, jak i po ogłoszeniu deklaracji angielsko-polskiej, w dniu 6 kwietnia o decyzji zawarcia wzajemnej umowy obronnej między Polską a Wielką Brytanią.

W przededniu spotkania Beck-Gafencu, sprawa pomocy dla Rumunii w wypadku ewentualnej agresji niemieckiej była ciągle w stadium poszukiwania odpowiedniej formuły.

Następstwem pierwszych rozmów zainicjowanych przez spotkanie Ambadora Brytyjskiego w Moskwie z Litwinowem, w dniu 18 marca, była koncepcja, wysunięta przez Rząd Sowiecki, by zwołać w Bukareszcie konferencję z udziałem przedstawicieli W. Brytanii, Francji, Związku Sowieckiego, Rumunii, Polski i Turcji.

Sugestia ta — dla szeregu powodów — nie została podjęta.

21 marca W. Brytania wysunęła inną koncepcję: podpisania przez Anglię, Francję, Związek Sowiecki i Polskę deklaracji, w której te cztery państwa zobowiązałyby się do wspólnej akcji na wypadek zagrożenia niepodległości politycznej jednego z państw europejskich.

Odnosnie stanowiska Rumunii ciekawy jest, między innymi, raport szyfrowy Min. Farbriciusa do Auswärtiges Amt, Nr 125 z 24 marca:

„Minister Spraw Zagranicznych, Gafencu, zapewnia, że Rząd Brytyjski nie poczynił wobec niego żadnej *démarche* o przyłączenie się do „państw miłujących pokój”. Uchylił się on od brania udziału w ankiecie brytyjskiej rozesłanej do innych państw, oświadczywszy w Londynie od pierwszej chwili, że Rumunia w żadnych okolicznościach nie przystąpi do żadnej grupy państw skierowanej przeciwko innej grupie. Odrzucił on wszystkie plany zbiorowego bezpieczeństwa. Z drugiej strony, wyjaśnił on zupełnie jasno w Londynie i Paryżu, dlaczego *rapprochement* z Niemcami jest niezbędne dla Rumunii — i, wbrew ostrzeżeniom z wielu stron — trwał przy tej polityce, czego dowodem jest Układ Gospodarczy.

Nie jest mu wiadome, czy W. Brytania rozesłała ankietę na temat obro-ny Rumunii; prawdopodobnie mowa tu o wyżej wspomnianej akcji.

Wszystkie doniesienia prasowe odnośnie konferencji, na którą Rosja zaprosić by miała również Rumunię, są czczym wymysłem. Podobnie, może mię on zapewnić, że Król również nie sugerował żadnej wymiany opinii co do zagwarantowania granic Rumunii przez Mocarstwa Zachodnie.

Fabricsius”.

Król Karol, który niewątpliwie miał sytuację niełatwą, musiał — rzecz jasna — manewrować. On, o którym w dzień po Monachium, poseł niemiecki w Bukareszcie raportował, że wyrazić się miał do swych adiutantów iż „*wolałby widzieć Niemców w Rumunii w charakterze wrogów, niż Rosjan w roli przyjaciół*” (Raport Fabriciusa Nr 3380 z 30. 9. 38) — oświadczył poufnie Posłowi Brytyjskiemu w rozmowie 1 kwietnia 1939, że „w wypadku niebezpieczeństwa, przyjmie pomoc sowiecką”.

Wysłany do Londynu i Paryża w kilka dni potem Sekretarz Generalny Rumuńskiego MSZ-u, Cretzianu, oświadczył w rozmowie w Foreign Office, że „z uwagi na ewentualną reakcję niemiecką — Rumunia w żadnym wypadku nie weźmie udziału w systemie zbiorowego bezpieczeństwa, w którym uczestniczyć by miała Rosja Sowiecka” — w związku z czym prosił tylko o jednostronną deklarację brytyjsko-francuską.

W dzień po jej ogłoszeniu (13 kwietnia) poseł niemiecki w Bukareszcie raportował pod datą 14 kwietnia (telegram szyfrowy Nr 183):

„Niezwyczajnie silny nacisk wywierany był w ciągu ostatnich kilku dni na Ministra Spraw Zagranicznych Gafencu, tak z zewnątrz jak i spośród pew-

nych kół krajowych — na rzecz zawarcia dwustronnej umowy. Król i rząd jednak stoją niewzruszenie przy decyzji, by nie wchodzić w żadne porozumienia, które w nawet najmniejszym stopniu mogłyby być wymierzone przeciw Niemcom...”.

Tegoż samego dnia, Ambasador Kennard w Warszawie odwiózł min. Becka. Miał do omówienia dwie sprawy. Pierwsza z nich odnosiła się do wzajemnych zobowiązań na wypadek konfliktu: Lord Halifax, w instrukcji szyfrowej z dnia 12 kwietnia prosił o wyjaśnienie z polskim Ministrem Spraw Zagranicznych „jakie byłoby stanowisko Polski w wypadku gdyby W. Brytania — w obronie mniejszych państw w Europie Zachodniej — znalazła się w stanie wojny z Niemcami”.

Ambasador Kennard, depeszą z dnia 14 kwietnia donosił:

„Odnosnie mniejszych państw zachodnich, Minister Spraw Zagranicznych powiedział mi dziś, że po zasięgnięciu opinii swego rządu upoważniony jest do zapewnienia mi o wzajemnej pomocy Rządu polskiego w wypadku gdyby Rząd Jego Królewskiej Mości, występując w obronie tych państw, znalazł się w wojnie z Niemcami. Prosił mi, by przekazać tę informację w ścisłej tajemnicy. Sugerował nawiązanie rozmów sztabowych celem omówienia związanych z tym spraw i prosił by nie nadawano temu rozgłosu”.

Druga sprawa będąca przedmiotem kolejnego raportu szyfrowego z tej samej daty (Nr 108 z 14 kwietnia) zajmuje się kwestią pomocy na rzecz Rumunii — w wypadku konfliktu.

Jak zaznaczył min. Beck:

„Ambasador rumuński, którego jeszcze nie widział, przywiózł wczoraj z Bukaresztu propozycje, których Rząd polski nie mógłby przyjąć”.

Min. Beck dodać miał również, że w grę wchodzi nie sama konieczność pomożenia Rumunii, ile stworzenie niezbędnych ram dla tej pomocy. Rozmowa zeszła na Węgry. Beck ponownie wypowiadał nadzieję, że uda się zapobiec niebezpieczeństwu konfliktu węgiersko-rumuńskiego i wspólnej akcji Węgier i Niemiec przeciw Rumunii.

Duży wpływ na stanowisko Węgier — argumentował Kennard — mogłaby mieć świadomość, że (na wypadek konfliktu z Rumunią) musiałyby się one liczyć z faktem wrogo nastawionej Polski na swej granicy północnej.

„Pułkownik Beck powiedział, że na wypadek wojny byłoby dla Polski rzeczą zasadniczą móc skoncentrować całą uwagę na granicy zachodniej, a nie południowej — obiecał mi jednak, że będzie kontynuował rozmowy z Rządem rumuńskim i nie omieszką informować mi o wynikach”.

„Być może (komentował w końcowych uwagach swego raportu Kennard) — że pułkownik Beck sądzi, że armia polska byłaby tak poważnie zaangażowana na granicy zachodniej, że nie byłaby w możności okazać Rumunii efektywnej pomocy, na swej południowej granicy”.

Późno w nocy z dnia 14 na 15 kwietnia, Minister Fabricius (szyfrem Nr 185) uzupełniał dane zawarte w telegramie Nr 183 sprzed kilku godzin.

„Ze źródła zasługującego na zaufanie dowiaduję się, że po odmowie ze strony Rumunii uczestniczenia w pakcie czterech: Anglia-Francja-Polska-Rumunia, jako systemie okrażenia wymierzonego przeciw Niemcom, Anglia próbowała skłonić Rumunię do rozszerzenia sojuszu rumuńsko-polskiego wymierzonego przeciw Rosji Sowieckiej — na *contra omnes* — co Rumunia odrzuciła.

Fabricius”.

15 kwietnia (sobota) Ambasador Kennard donosił do Foreign Office (telegram Nr 113), że Ambasador Francuski Noël, zakomunikował mu, iż widział się z Ambasadorem Franasovici. Ten potwierdził fakt zastrzeżeń min. Becka i oświadczył, że komunikuje się w tej sprawie z Bukaresztem. Beck spotka się z Gafencu w podróży tegoż przez Polskę.

Późnym wieczorem 15 kwietnia, Ambasador Kennard, telegramem Nr 114 uzupełnił przesłane poprzednio informacje:

„Dowiaduję się, że propozycja rumuńska polega na tym, by *Polska*, z uwagi na to że Traktat sojuszniczy między Polską i Rumunią nie definiuje napastnika, a jedynie tylko Rosja wymieniona jest w Konwencji Wojсковej — *wzięła na siebie zobowiązania okazania pomocy Rumunii, gdyby ta została zaatakowana przez Niemcy*. Formuła ta nie podoba się Beckowi ponieważ zdaniem jego, gdy traktat był zawierany, nie miano na myśli Niemiec, jako agresora. Zostało ustalone, że spotka się on (Beck) z rumuńskim Ministrem Spraw Zagranicznych w podróży jego przez Polskę, z zamiarem osiągnięcia jakiego porozumienia”.

Beck wrócił do Warszawy z Katowic 17 kwietnia o godz. 18.33. Następnego dnia, 18 kwietnia, we wtorek, o godz. 17.30 przyjął Ambasadora Kennarda.

Oto treść jego szyfrowego sprawozdania (tel. Nr 118):

„1. — Minister Spraw Zagranicznych informuje mię, że przeprowadził zadawalającą rozmowę z rumuńskim Ministrem Spraw Zagranicznych w dniu 17 kwietnia. Ustalono, co następuje: jakkolwiek traktat sojuszniczy oraz jego konwencja wojskowa przewidywały jedynie Rosję jako agresora, nie mniej — w wypadku, gdyby powstały jakiekolwiek objawy zamiarów agresywnych ze strony niemieckiej, lub innej — zainicjowane nastąpią niezwłocznie rozmowy, celem ustalenia wspólnej akcji, którą oba kraje winny przedsięwziąć.

2. — Sprawa ta będzie przedmiotem dalszych rozmów po powrocie pana Gafencu z Berlina, gdy będzie on bardziej zorientowany co do zamiarów niemieckich. Wydaje się, że tymczasowo nie jest konieczne powzięcie natychmiastowej decyzji.

3. — Minister Spraw Zagranicznych odnosi wrażenie, że, chwilowo, stanowisko Węgier jest mniej agresywne, jakkolwiek pan Gafencu zdaje się być mniej optymistyczny, niż p. Beck.

4. — Obaj są tego samego zdania, że jest niewskazane, by nadawać rozgłos ich obecnemu stanowisku w odniesieniu do Niemiec — w związku z czym wolą by cała sprawa pozostała póki co otwarta”.

Ocena Becka, że na odcinku stosunków węgiersko-rumuńskich nastąpiła istotnie pewna poprawa, była słuszną.

Jak donosił Poseł Niemiecki w Budapeszcie depeszą, późnym wieczorem, 15 kwietnia (szyfr Nr 118), Węgierski Minister Spraw Zagranicznych Csaky poinformował go o zdecydowanym odprężeniu w stosunkach między Rumunią i Węgrami.

Powodem było wręczenie tegoż dnia następującej noty przez Ministra Gafencu Posłowi Węgierskiemu w Bukareszcie:

Mam zaszczyt poinformować Pana, że w następstwie oświadczenia, złożonego przez węgierskiego Ministra Spraw Zagranicznych Hr. Csaky przed Komisją Spraw Zagranicznych Parlamentu Węgierskiego, w którym wyraził on intencję Rządu Węgierskiego respektowania granic Rumunii, Królewski Rząd Rumuński postanowił zwolnić starsze roczniki, które zostały niedawno zmobilizowane. Gafencu dodał, że do czasu zaznajomienia się z poglądami Króla na ten temat nie jest w możności wypowiedzieć się na temat propozycji Csaky w sprawie zawarcia umowy mniejszościowej”.

Takie jest tło spotkania Beck-Gafencu w Krakowie. Starzeński zanotował szereg ciekawych szczegółów.

W drodze (do Krakowa) — pisze on — Beck zawołał mnie do siebie i w ciągu dwóch godzin wiele rzeczy głośno przede mną przemyślał. Z nieprzyjemną decyzją jadę do Gafenki. Rumuni proponują nam rozszerzenie aliansu również przeciw Niemcom. Nie możemy na to iść. Po pierwsze nie mamy nic do szukania na południe od linii Karpat, a po drugie, i co dużo jest ważniejsze, na wypadek ataku niemieckiego na wschód będziemy musieli się bronić od Prus Wschodnich poprzez Gdynię aż gdzieś do przełęczы Jabłonkowskiej. My im wtedy nie będziemy mogli pomóc. Przykra misja, lubię tego Gafencu, ale jakoś będę musiał mu to wytłumaczyć”.

„W rozmowie ze mną — pisze *nieco dalej* Starzeński — Beck nie poruszył wtedy elementu węgierskiego, ale na pewno tkwił w jego pamięci”.

O podróży do Warszawy Starzeński pisze tylko kilka słów:

„W drodze powrotnej z Katowic minister głównie odpoczywał. Przy jego krótkiej rozmowie z Franasowici nie byłem obecny — rzecz taka nigdy nie była praktykowana, chyba wyjątkowo z Biddlem w Augustowie. Mnie minister powiedział: 'Jakoś to załatwiłem, z Gafencu, chyba to zrozumiał' i poszedł spać do swego przedziału...”.

Starzeński kończy swój list reminiscencjami podkreślając, że:

„spotkanie z Gafencu miało miejsce w równo dwa tygodnie po naszym pobycie w Londynie i podpisaniu układu z Anglią... Minister chwilowo był odprężony, prawie że bez nerwów i bardzo złagodniał. Osobiście nigdy przed-

tem nie miałem tylu tak ciekawych i tak gładkich rozmów z nim, jak od chwili gdy w Wielki Piątek wyruszyliśmy w drogę powrotną z Londynu do Warszawy”.

A przedtem:

„Zupełnie wykluczam, by Beck zlecił Gafencu delikatną misję w Berlinie”.



O wszystkich sprawach stanowiących istotny cel spotkania, autor „Ostatnich Dni Europy” nie napisał nic.

Czy obaj ministrowie rozmawiali na temat spraw związanych z deklaracją polsko-angielską z 6 kwietnia?

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tak.

Protokół rozmowy Gafenki z Ribbentropem, cytowany już przedtem, zawiera wersję tego, co według Rumuńskiego Ministra Spraw Zagranicznych powiedział mu jego polski kolega.

Wersja ta jest spokojna, rzeczowa i jak najbardziej wiarygodna; sporządzona w trzeciej osobie mówi ona że:

„Beck powiedział mu (Gafence), że Polska nie uczestniczyła w żadnym sensie w okrażaniu Niemiec. Beck oświadczył, że w następstwie porozumienia z W. Brytanią, Polska kontynuowała jedynie ten odcinek swej polityki zagranicznej, który przedtem znalazł wyraz w sojuszu polsko-francuskim, w stosunku do którego Niemcy nie zgłosiły zastrzeżeń podpisując swą Deklarację z Polską. Beck zresztą zawsze nalegał, że nie należy włączać Rosji — a przy obecnej okazji — znów poczynił kroki, by zapewnić załatwienie sprawy bez Rosji.

Mniej więcej to samo Gafencu powiedział w trakcie wizyty w Londynie. Nie przypominało to w niczym „literackiej” (?) sensacyjnej wersji paszkwilu, napisanego w kilka lat potem w Genewie. *Cui bono?*



Warto może zakończyć kilku słowami w obronie min. Gafencu. Ani on, ani nikt inny nie przypuszczał, że kilkaset ton zespołów archiwalnych, stanowiących poufną korespondencję Niemieckiego Urzędu dla Spraw Zagranicznych — wpadnie w ręce przeciwników III Rzeszy w 2-ej wojnie światowej. Że w kilka lat potem zaczną się ukazywać kolejne tomy wybranych dokumentów dyplomatycznych, a reszta otwarta zostanie dla badaczy. Że to, co było jego, Gafenki, osobistym małym udziałem w największym dramacie historycznym — stanie się, jeszcze pod koniec jego życia — własnością publiczną, poza tym, człowiek o którym pisał, nie żył już i nie mógł się bronić.

Na usprawiedliwienie powiedzieć można poza tym, że rola Ministra Spraw Zagranicznych Rumunii, w okresie o którym mowa, na pewno nie była łatwa.

Jeden ze znanych, współczesnych angielskich komentatorów politycznych, który wrócił niedawno z Rumunii, przywiózł dwa powiedzenia, których mądrość mogłaby być służyć za motto wtedy, gdy min. Gafencu rozwijał działalność polityczną:

„W Rumunii trzeba być jak kłos zboża i giąć się z wiatrem, to na wschód, to na zachód”.

Pan Gafencu mógłby dodać: „i na północny zachód”.

I drugie powiedzenie: „Prawda jest prawdą i musi w końcu wyjść na jaw, ale można to opóźnić”.

O 22 lata w wypadku konkretnym.

Jan WEINSTEIN

Auswärtiges Amt

Pol. IV 2703

eing. 24. APR. 1939

Anl. (-sch)-Dep. d. Eing.

A u f s a t z e n u n g

In Rzeszow stieg der rumänische Botschafter in Warschau Franascoi zu uns in den Solonwagen des rumänischen Außenministers. Er brachte die Nachricht mit, daß Außenminister Beck in Krakau zu uns stoßen würde. Tatsächlich wurde in Krakau ein 2. Solonwagen an den Zug gehängt, in dem sich Herr Beck mit einem Herrn vom polnischen Außenministerium befand. Herr Beck machte Herrn Gafencu einen kurzen Besuch im rumänischen Wagen und es wurde eine Gelegenheit geboten, Herrn Beck zu begrüßen. Nach einigen Minuten zogen sich die beiden Außenminister in den polnischen Wagen zurück. In Kattowitz wurde der polnische Wagen wieder abgehängt, und Beck mit Franascoi fuhren nach Warschau zurück.

Herr Gafencu kam sofort zu mir, um mir, was er mir vorher schon gesagt hatte, nochmals zu versichern, daß der Besuch Becks nur auf Becks Initiative zurückzuführen sei. Er habe tatsächlich vor dem Erscheinen Franascois nichts davon gewußt, daß Herr Beck ihn bei der Durchfahrt begrüßen würde. Über seine Unterhaltung mit Beck sagte er mir nur, daß er das Gefühl gehabt habe, als sei es Beck nicht mehr sehr angenehm, was er in London getan habe. Beck sei aber für die weitere friedliche Entwicklung sehr optimistisch und hoffe bald wieder in Besprechungen mit Berlin zu kommen.

1. für Aufzeichnung des ges. Fabricius 17.4.1939.
2. für Fabricius über das Zusammenreffen
des rum. Außenministers Gafencu während
seiner Reise nach Berlin durch Polen mit dem
poln. Außenminister Beck
2. Rsm, St. K. H. Pol. IV haben Kammeris.
3. Jdd. Pol. IV Rumänien.

406281

He. 2544 Pol. 3 Pol. - Innen

WYPADKI KRAKOWSKIE W OCENIE SĄDU

Wiedeń, 10 marca 1965.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z opisem krakowskich wypadków listopadowych z r. 1923, umieszczonym w Zeszyście piątym „Zeszytów Historycznych” z r. 1964 na stronach 65 do 82 pod tytułem: „Wypadki listopadowe 1923 r. w Sądzie Wojskowym” — „Sprawa gen. dyw. J. Czikiela i innych oficerów” pióra ówczesnego oskarżyciela, pułkownika korpusu sądowego Libkind-Lubodzieckiego przesyłam — pomny zasady, że historia winna zawsze głosić *czystą prawdę*, WYROK Wojskowego Sądu Okręgowego w Krakowie Nr 2093/23 dnia 30 kwietnia 1925 r., uważam bowiem, że historia tych wypadków winna opierać się *wyłącznie na prawdziwym ich przebiegu, ustalonym szczegółowo w powyższym wyroku.*

Przypuszczenia Libkind-Lubodzieckiego, wyrażone na stronie 78-iej wyżej wymienionego Zeszytu, że „żyłem, podobno dostatnio, posiadając intratne przedsiębiorstwo wyrobów wędlin” nie są prawdziwe, bo po pierwsze żyję jeszcze i *nigdy nie posiadałem i nie posiadam wymienionego przedsiębiorstwa.*

Łączę wyrazy wysokiego poważania,

Józef CZIKEL

WOJSKOWY SĄD OKRĘGOWY W KRAKOWIE
Ko. 2093/23.

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ!

Wojskowy Sąd Okręgowy Nr. V. w Krakowie po rozprawie głównej, przeprowadzonej w dniach 20, 21, 22, 23, 24, 25, 27, 28,

Tekst powyższego wyroku podajemy *in extenso*, zachowując nie tylko pisownię ale także wszystkie błędy gramatyczne i stylistyczne.

29 i 30 kwietnia 1925 r. w sprawie karnej przeciw:

- 1) Gen. Dyw. Józefowi Cziklowi
- 2) mjr. Wacławowi Biernackiemu
- 3) kpt. Mieczysławowi Obiedzińskiemu
- 4) por. Tadeuszowi Skarskiemu i
- 5) por. Wacławowi Nowakowskiemu

oskarżonym o występki ad 1) z § 141 ust. 1 i 2 kkw., ad 2 z § 141 kkw. i § 5. austr. uk., ad 3) z §§ 92, 93, 141 i 87. kkw., ad 4) i 5) z § 141 i 87 kkw., pod przewodnictwem delegowanego w myśl art. 44 R.R.M. z dnia 10. V. 1920 r. (: Dz.U.P. Nr. 59/20. poz. 368 :) Sędziego Najwyższego Sądu Wojsk. Pułkownika K. S. Józefa Dąbrowskiego, przy udziale asesorów: gen. dyw. Lamezana — Salihsa Roberta, pozostającego w rozporządzeniu M. S. Wojsk. gen. Dyw. Berbeckiego Leona, D-cy O.K. Nr. III., gen. Dyw. Pogorzelskiego Eugenjusza Bronisława, członka O.T.O. i gen. Dyw. Thullje Jana D-cy. 5. Dyw. piechoty, w obecności protokolanta por. Wojciecha Lubowieckiego, oskarżyciela płk. K. S. Libkind-Lubodzieckiego, wymienionych oskarżonych, pozostających na wolnej stopie i obrońców tychże adw. Dra. Stanisława Klimeckiego, adw. Dra. Józefa Woźniakowskiego, adw. Dra. Bernarda Heskigo i adw. Dra. Zdzisława Kwiecińskiego, na podstawie aktu oskarżenia z dnia 12/11. 1925 r., oraz na wniosek oskarżyciela, wydał następujący

W y r o k :

Oskarżonego Józefa Czikla, urodzonego 7/ XI. 1873 w Stanisławowie, przynależnego do Przemysła, wyznania rzym. kat., żonatego, 2 dzieci, syna śp. Teofila i Franciszki z Dreszerów, zawodowego oficera z ukończoną szkołą kadecką w Łobzowie, szkołą sztabu generalnego w Wiedniu, i dodatkowymi egzaminami wojskowymi, bez majątku, służącego w W.P. od r. 1919, 1 lipca 1924 r., przeniesionego w stan spoczynkowy, obecnie Generała Dyw. zamieszkałego w Krakowie ul. Wolska 24., odznaczonego Krzyżem Virtuti Militari V. kl., Krzyżem Walecznych, Krzyżem Oficerskim Legji Francuskiej, Wielką Wstęgą Korony Rumuńskiej i poprzednio szeregiem odznaczeń austr., niekaranego

u z n a j e s i ę w i n n y m

a) występkę z § 141 cz. 1 i 2 kkw., popełnioną przez to, że w Krakowie dnia 6 listopada 1923 r., w trakcie akcji, przeprowadzonej przez powierzone mu, jako Dcy. Okr. Korpusu oddziały i przez oddziały którymi rozporządzanie bezpośrednie zastrzegł sobie specjalnym rozkazem, już po użyciu broni przez podległe oddziały w czasie, w którym z ręki tłumu padło dwóch oficerów i 14 szeregowych, a 11 oficerów, a przeszło 100 szeregowych zo-

stało rannych, 61 koni zabitych, a 70 ciężko rannych, w których w rękach tłumu znajdowało się blisko 500 karabinów, odebranych oddziałom wojskowym, 1 karabin maszynowy, 1 samochód pancerny z 3-ma kulomiotami, niezliczona ilość uprząży, szabel, lanc, w którym tłum więził kilkudziesięciu żołnierzy i całe oddziały Policji, — zamiast doprowadzić do rozpędzenia tłumu, przywrócenia porządku publicznego, odebrania broni i uwolnienia więzionych tj. osiągnięcia właściwego celu interwencji wojska, poddał się w zupełności, wbrew przepisowi art. 25 (: Instr. dla asystencji wojskowej ogłoszonej w Dz. Rozkazów wojskowych Nr. 49/19 poz. 1568 — dyspozycją władz administracyjnych i wstrzymał interwencję wojska, utrwalając przez to władze i społeczeństwo w przekonaniu o prawdziwości rozszerzanej wersji o zupełnej kapitulacji i niesubordynacji oddziałów wojskowych. Skutkiem tego było, że od dnia 6/XI. 1923 r. o godzinie 13-stej aż do południa w dniu 7/XI. 1923 r. niektóre dzielnice miasta wyjęte były z pod władzy i ochrony prawa, zaś poszczególne osoby wojskowe, jakoteż całe oddziały narażone były na napaści ze strony uzbrojonych osób cywilnych, a cały zrabowany oddziałom wojskowym materiał, zdany był na łaskę i niełaskę tłumu i częściowo przepadł, ze szkodą dla Skarbu Państwa, oficerów i szeregowych.

b) wyst. z § 147 kkw. popełnionego przez to, że w tym czasie i miejscu udzielając władzom politycznym na ich żądanie siły zbrojnej, dostatecznej zupełnie do wykonania powierzonego im zadania, tudzież dającej rękojmę, że honor oręża na szwank narażony nie będzie, zaniedbał z własnej winy nadzoru nad swymi podwładnymi, co do wykonania, wydanych przez siebie rozkazów i zarządzeń, do którego to nadzoru, jako kierujący naczelnie akcją asystencyjną na całym terytorjum DOK. Nr. V. w tym czasie był w myśl art. 3, 4, 7. zasad ogólnych R.R.M. o sposobie użycia wojska dla zabezpieczenia porządku publicznego (Dz. pr. Nr. 35/19), tudzież jako Dca, który ponosi odpowiedzialność i za wypełnienie swych rozkazów, był zobowiązany.

Za powyższe czyny oskarż. gen. Dyw. Józefa Czikla skazuje się w myśl przepisów z § 141 cz. 2. kkw. przy zastosowaniu przepisów art. 19. R.R.M. z dnia 10. V. 1920 r. (Dz. U.R.P. Nr. 59 poz. 369) na karę zamknięcia w twierdzy przez miesiące trzy.

Natomiast w myśl przepisów z § 306. pkt. 4. wpk. oskarż. gen. Dyw. Józefa Czikla uwalnia się od oskarżenia o wyst. z § 141 kkw. popełnionego przez to:

a) że dnia 5/XI. 1923 r. wbrew przepisowi rozdziału 7 cyt. instrukcji (Rozkaz D.O.K. Kraków L.O.W. 5057) nakazującemu przeznaczać na Dców oddziałów asystencyjnych „oficerów starszych, dzielnych i doświadczonych, którzy mogli godnie sprostać swemu ciężkiemu zadaniu — bez porozumienia się z Komendantem KOW. i dcą. 1 grupy na kilka godzin przez użycie bataljonu dla celów asystencyjnych, usunął kpt. Jedrychowskiego Dcę. 2/16. p.p.

posiadającego jak najlepsze kwalifikacje jako dca. baonu i oficer linjowy, na tej jedynie podstawie, że wymieniony jako były oficer linjowy, wydał się oskarż. niepewny i rozkazał oddać dztwo. 2/16 baonu najstarszemu z rzędu oficerowi, wbrew przedstawieniom dcy 1 grupy pułk. Frendla i meldunkowi kpt. Jedrychowskiego, że najstarszy z rzędu oficer tj. kpt. Obidziński nie jest zdolny do sprawowania dztwa. bataljonu.

b) że w dniu 6/XI. 1923 r. wbrew przepisów art. 26, cyt. instr. wiedząc na podstawie meldunków telefonicznych, że na ulicy Dunajewskiego II/16 pp. został rozbrojony, że wysłany celem rozproszenia tłumu II szwadron 8 p. ułanów został rozbity, że broń i amunicja przeszły w ręce tłumu, które stoją w walce z oddziałami Policji i Wojska, wysłał przeciw uzbrojonym tłumom jeszcze dalsze 3 szwadrony 8 pułku ułanów, jakkolwiek posiadał do dyspozycji kilka Baonów piechoty i samochody pancerne, które mogły skuteczniej przywrócić porządek, ze względu na teren zupełnie nieodpowiedni dla działania jazdy.

II) Oskarżonych :

a) Mieczysława OBIDZIŃSKIEGO, ur. 2/IX. 1879, w Podówcze pow. Liński na Rusi, wyznania rzym. kat. żonatego, 1 dziecko syna Bolesława i Emilji z Mysłowskich, zawodowego oficera z ukończonym gimnazjum i Akademią Rolniczą w Dublach, bez majątku. W.W.P. od roku 1928, kpt. 16. p.p. niekaranego;

b) Tadeusza SKARSKIEGO, urodzonego w Nowym Sączu, 11/VI. 1897. przynależnego do Nowego Sącza, wyznania rzym. kat. żonatego, syna Tomasza i Tekli zawodowego oficera, porucznika 17. pp. w Rzeszowie, niekaranego;

c) Wacława NOWAKOWSKIEGO, urodzonego w Warszawie, 4/IX. 1899. przynależnego do Warszawy, wyznania rzym. kat., wolnego, syna śp. Hipolita i Jadwigi z Kramzów, zawodowego oficera, z ukończoną szkołą kupiecką w Warszawie, w W.P. od roku 1918. por. 66. pp. odznaczonego Krzyżem Walecznych, niekaranego.

Uznaje się winnymi

wyst. z §. 141. cz. 1. kkw. popełnionego przez to:

a) że dnia 5/XI. 1923 r. w Krakowie oskarżeni kpt. OBIDZIŃSKI, jako D-ca. 1/16. p.p. a porucznicy SKARSKI i NOWAKOWSKI, jako dcy. 4 i 6 kompanji 1/2. baonu 16. pp. będąc wyznaczni do służby asystencyjnej wbrew przepisom punktu f) ust. 2, wstępu do instrukcji dla asystencji wojskowej z 21/3. 1922 r. i rozdziału 8 ust. 1, tejsze instrukcji zupełnie niepouczyli swoich podwładnych szeregowych o właściwych przepisach asystencyjnych;

b) że w dniu 6/XI. 1923 r. w Krakowie oskrż. kpt. OBIDZIŃSKI, jako Dca. pół Baonu 16. pp., zaś por. SKARSKI i NOWAKOWSKI, jako Dcy. 4 i 6 kompanji występujących w czasie między godziną 7-mą. 30. - 9-tą. w charakterze oddziałów asystencyjnych na ul. Dunajewskiego, postąpili wbrew przepisów rozdziału c) i d) (wstępu), oraz art. 18, 19, 20, 22, 23/2 instr. asyst., albowiem dopuściwszy do otoczenia siebie i oddziałów przez tłum, zachowali zupełnie biernie, wobec usiłowań tłumu, zmierzających jawnie do skłonienia szeregowych do niesubordynacji (art. 18.) tudzież do przerwania kordonu policyjnego i uniemożliwienia działalności władz policyjnych, nie wydali żadnych zarządzeń, celem przywrócenia porządku publicznego (art. 20), a widząc, że tłum po przzerwaniu kordonu zamierza powziąć walkę z policją, że padały okrzyki „odebrać wojsku broń”, — nie wydali jako przedstawiciele siły zbrojnej Państwa żadnych rozkazów, celem odpowiedniego uformowania i zabezpieczenia oddziałów, zapewnienia sobie swobodę i skuteczność działania, lecz pozwolili na zdjęcie bagnetów, z czego skorzystał tłum i w takiej sytuacji rzucił się do rozbrojenia oficerów obu kompanji.

III). kpt. OBIDZIŃSKI nadto:

że w powyższym czasie i miejscu z obawy przed osobistym niebezpieczeństwem nie przeciwdziałał wzajemnym próbom komunikowania się tłumowi z oddziałami, lecz sam zabiegał o sympatje tłumowi, zapewniając, że strzelać nie będzie. Przez powyższe naruszenie obowiązków służbowych wyrządzoną została znaczna szkoda, gdyż tłum użył zdobytych na oskarżonych oficerach i szeregowych 2/16. p.p. do walki przeciwko 8 pułkowi ułanów, samochodom pancernym i Policji i spowodował śmierć oficerów i szeregowych i olbrzymie straty w materiale wojsk.

Natomiast oskarżonych kpt. OBIDZIŃSKIEGO, por. SKARSKIEGO Tadeusza i NOWAKOWSKIEGO Wacława, w myśl przepisów § 306 pkt. 4 wpk.

uwalnia się od oskarżenia o wyst. z §. 141. cz. 1 i 2. kkw. popełniony przez to, że wiedząc reprezentant władzy politycznej „pod żadnym warunkiem nie posiada prawa dysponowania oddziałami wojskowymi” nie zażądali, ani od przedstawicieli władz administracyjnych, ani od Komendy Obozu Warownego ustalenia celu i zadania swoich oddziałów, lecz oddali się w zupełności do dyspozycji urzędników policyjnych i przyjęli zadanie pełnienia służby policyjnej przez udzielenie oddziałów asystencyjnych do wzmocnienia kordonu policyjnego (wstęp i art. 19).

b) słysząc obelgi i pogróżki miotane przez tłum pod adresem policji i swoich oddziałów i widząc, że niektóre jednostki tłumowi wygrażają rewolwerami i kijami, nawet zaczynają obrzucać wojsko i policję kamieniami i innymi przedmiotami, — nie wydali

żadnych rozkazów, któreby dodały zarządzeniom władz powagi i zmusiły tłum do ustąpienia się (wstęp c).

Za powyższe czyny skazuje się oskarż. kpt. Mieczysława OBIDZIŃSKIEGO w myśl przepisów z § 141. cz. 2. kkw. na karę zamknięcia w więzieniu przez dwa (2) miesiące, z zaliczeniem na poczet czasokresu kary w myśl przepisów art. 10. zd. 2. R.R.M. z dnia 10. V. 1920 r. aresztu śledczego od dnia 7 listopada do dnia 13 grudnia 1923 r. nadto orzeka się w myśl przepisów § 34. cz. 2. pkt. 2. kkw. i § 40. cz. 2. pkt. 1. kkw. zwolnienie oskarżonego ze służby;

oskarżonych: por. Tadeusza SKARSKIEGO i por. Wacława NOWAKOWSKIEGO w myśl przepisów § 141. cz. 1. kkw. i § 23. kkw. na karę zamknięcia w areszcie każdego przez cztery (4) tygodnie z zaliczeniem na poczet czasokresu kary, w myśl przepisów art. 10 ust. R.R.M. z dnia 10. V. 1920 r. aresztu śledczego od 19 listopada do 13 grudnia 1923 r. a to co do obydwóch.

Natomiast oskarż. kpt. Mieczysława OBIDZIŃSKIEGO w myśl przepisów § 306 pkt. 4 wpk. uwalnia się od oskarżenia o występki z §§ 151 i 89 ust. 2. kkw. popełnionych przez to, że:

a) dnia 4/XI. 1923 r. w Bochni wyznaczony do służby, jako dca. kompanii mającej odejść z transportem kolejowym z rozkazu DOK. V. z Bochni do Krakowa, wskutek upicia się stał się niezdolnym do pełnienia swych obowiązków służbowych;

b) w powyższym czasie i miejscu zgłosiwszy się w urzędzie ruchu u dcy. baonu kpt. JEDRYCHOWSKIEGO w stanie podpitym, zażądał „rozkazów a na rozkaz udania się do wagonu, ponowił swe żądanie, poczem oświadczył że w wozie towarowym razem z żołnierzami nie pojedzie, mówiąc: „ja z tem byłem nie pojadę”, a wezwany w końcu do milczenia i wykonania rozkazu pod rygorem natychmiastowej represji, oświadczył: „zobaczmy”, przez to w służbie naruszył cześć należną przełożonemu w sposób przedstawiający się jako groźba.

IV) Oskarżonego Wacława BIERNACKIEGO, ur. 28/IX. 1885 w Lublinie pow. Lublin, tam przynależnego, rel. rzym. kat. żonatego, syna Tomasza i Marji z Niwińskich, zawodowego oficera, wykształcenie szkolne: matura gimnazjalna i 8 semestrów wydz. filozoficznego, w Legionach od roku 1914 i w W.P. od r. 1918, mjr. 4. p. strzelców podhalańskich, przydzielonego do PKU. Tarnów, odznaczonego podwójnym Krzyżem Walecznych, niekaranego;

w myśl przepisów § 306. pkt. 4. wpk. uwalnia się od oskarżenia o wyst. z §. 141. cz. 1 i 2 kkw. i § 5. austr.u.k. popełniony przez to, że w dniu 6/XI. 1923 r. w Krakowie przez doradzenie oskarżonym kpt. OBIDZIŃSKIEMU, por. Tadeuszowi SKARSKIEMU i por. Wacławowi NOWAKOWSKIEMU, by „najlepiej odmaszerowali z plant” by nie występowali przeciw tłumom, gdyż

te oburzone są jedynie na policję, a wojsku nic nie robią, — przyczynił się do tego, że oskarżeni ci w tem większą popadli bezradność i zachowali się wbrew przepisom, wydanym odnośnie do służby asyst., a zatem do tem pewniejszego popełnienia przez nich występkę naruszenia obowiązków służbowych się przyczynił, skutkiem czego powstała znaczna szkoda dla skarbu, osób prywatnych, porządków i bezpieczeństwa publicznego, gdyż tłum korzystając z bezradności oficerów rozbił 2 kompanje i użył zdobytej w ten sposób broni do walki przeciw policji i wojsku.

P O W O D Y

Akt oskarżenia wszystkich bez wyjątku oskarżonym zarzuca przestępstwa wojskowe z § 141 kkw., spowodowane postępowaniem w trakcie specjalnej służby, jakiej wymagał stan rzeczy w dniu 6/XI. 1923 r. wbrew danym sobie przepisom. — Przepisami tymi były przepisy asystencyjne przedewszystkiem zaś „Instrukcja dla asystencji wojskowej” ogłoszona w dzienniku rozkazów wojskowych, Nr. 49/19. poz. 1568. Skutkiem takiego postępowania oskarżonych, zdaniem aktu oskarżenia, wynikła znaczna szkoda dla honoru oręża, bezpieczeństwa i porządku publicznego oraz dla skarbu Państwa.

Obrona oskarżonych przedewszystkiem kwestjonowała zasadniczo możność zastosowania do oskarżonych oficerów różnych stopni, wśród których był dca. Okręgu Korp. kwalifikacji z § 141. kkw. Następnie zaś podawała wątpliwość prawniczą, czy „Instrukcja dla asystencji wojskowej” może uważać za przewidziane w § 141 kkw. przepisy. Dlatego też Trybunał orzekający w niniejszej sprawie, zajął się przedewszystkiem rozpatrzeniem tych dwu zasadniczych kwestyi teoretycznych.

§ 141. kkw. zamieszczony jest w rozdziale X. kkw. zawierającym przepisy karne, obejmujące represje za „naruszenie obowiązków służbowych przy spełnianiu szczególnych czynności służbowych. Ten ogólny tytuł wyklucza wszelkie ograniczenia stosowania przepisów zawartych w X. rozdziale §§-fów, czy to pod względem podmiotowym, czy przedmiotowym. Podmiotem przestępstwa więc z § 141. kkw. może być żołnierz bez względu na stanowisko i stopień wojskowy, byle pełnił służbę szyldwachą, posterunku, lub też d-cy. warty, komendy, czy oddziału. Ten zaś „oddział”, lub „komenda” dla zaistnienia wymogów z § 141. kkw. muszą otrzymać pewne szczególne, wykraczające poza zakres zwykłych zajęć służbowych, zadanie samodzielne i w tym celu winne być wyodrębnione z większej grupy wojskowej lub wogóle z całej armji Rzeczypospolitej.

Jednakowo więc można kwalifikować przy zaistnieniu powyższych wymogów jako przestępstwo z § 141. kkw. czyn, wzgl. zaniedbanie karygodne D-cy. armji korpusu, dywizji, komendanta zakładu, czy też D-cy. najmniejszego choćby oddziału. Na tem stanowisku stoją komendatorowie niemieccy. (: Gronow, Romaen-

Risson :) i polscy (: Prof. Makowski :) tegoż poglądu trzyma się i judykatura Najwyższego Sądu Wojskowego (: zasadnicze orzeczenie Najwyższego Sądu Wojskowego w sprawie ppułk. Bielańskiego z 6/II. 1925 r. R.L.R. 1412/24 :).

Wobec powyższych danych — zdaniem Trybunału — wszyscy oskarżeni przy zaistnieniu innych, określonych tam wymogów podmiotem czynów, przewidzianych w §-fie 141 kkw. być mogli.

Przechodząc do rozpatrzenia istoty i charakteru przepisów o asystencji wojskowej, zwłaszcza zaś cytowanej wyżej „Instrukcji”, której nieznanomością tłumaczyli się w poszczególnych momentach sprawy niektórzy oskarżeni, Trybunał zaznacza:

Przepisy asystencyjne są integralną częścią regulaminu służbowego. Były one drukowane w dzienniku rozkazów wojskowych, którego czytanie obowiązuje każdego oficera i zamieszczone są w regulaminach służby. Należą więc one do przepisów, które znać obowiązany jest bezwzględnie każdy oficer i nieznanomością których tłumaczyć się niewolno. W dzisiejszej zaś sprawie wobec tła, na jakim przewinienia oskarżonych dokonane zostały (strajk, zaburzenia, wezwanie wojska do pomocy przez władze polityczne). Zdaniem Trybunału przepisy asystencyjne były właśnie temi przepisami, o których mówi § 141 kkw. „jako danych oskarżonemu”, co do popełnionej przez tegoż w czasie dokonania inkryminowanego mu czynu służby. Obrona więc oskarżonych kpt. OBIDZIŃSKIEGO, por. SKARSKIEGO i por. NOWAKOWSKIEGO, którzy przedewszystkiem powoływali się na swoją nieznanomość przepisów asystencyjnych, a przedewszystkiem zaś cytowanej w akcie oskarżenia „Instrukcji” dla asystencji wojskowej, — Trybunał uznał w całości za nieuzasadnioną.

Po rozstrzygnięciu zasadniczej kwestii, podniesionych przez obronę. Trybunał przystąpił do rozpatrzenia poszczególnych punktów oskarżenia dotyczących każdego z oskarżonych.

Oskrż. gen. Dyw. CZIKIEL, oskarżony jest o to, że dnia 5 i 6/XI. 1923 r. wezwany jako D-ca. O.K.V. przez władze polityczne do udzielenia pomocy na podstawie art. 3. R.R.M. z 18/4. 1919. Dz. Pr. Nr. 35/19 pkt. 276. postąpił wbrew przepisów cytowanej powyżej instrukcji i przez to spowodował znaczną szkodę dla honoru oręża, podległych mu oddziałów, tudzież szkodę dla porządku i bezpieczeństwa publicznego, oraz dla skarbu Państwa w czterech wypadkach.

Oskrż. dnia 5/XI. 1923 r. wbrew przepisowi rozdz. 7 cytowanej Instruk. (: Rozkaz D.O.G. Kraków L.O.W. 5057 :) nakazując mu przeznaczać na d-ców. oddziałów asystencyjnych „oficerów starszych, dzielnych, doświadczonych, którzy by mogli godnie sprostać swemu ciężkiemu zadaniu” — bez porozumienia się z Komendantem K.O.W. i D-cą grupy I. na kilka godzin przed użyciem bataljonu dla celów asystencyjnych, usunął kpt. Jedrychowskiego, d-cę 2/16. pp. posiadającego jaknajlepsze kwalifikacje, jako d-ca. baonu i oficer linjowy na tej jedynie podstawie, że wymieniony, jako były oficer legjonowy, wydał się oskarżone-

mu niepewny, i rozkazał oddać dztwo. 2 baonu „najstarszemu z rzędu oficerowi”, wbrew przedstawieniu d-cy. I grupy pułk. Frendla i meldunkowi kpt. Jedrychowskiego, że najstarszy z rzędu oficer tj. kpt. Obidziński nie jest zdolny do sprawowania dowództwem bataljonu.

Po skontrolowaniu drogą postępowania dowodowego powyższego zarzutu Trybunał zaznacza:

Przedewszystkiem zasadniczo oskarżony, jako D-ca Okr. Korp. odpowiedzialny za całość akcji asystencyjnej zdaniem Trybunału miał, nietylko prawo, ale obowiązek, usunąć kpt. Jedrychowskiego od Dztwa. oddziału, przeznaczonego do służby tak odpowiedzialnej, jak asystencja z chwilą, gdy tylko Szef II Oddz. i jego Sztabu złożył drogą służbową meldunek o niepewności politycznej tego oficera. Powołanie się aktu oskarżenia na rozdział 7 cyt. Instrukcji, w szczególności zaś zacytowane w akcie słowa, przemawiają właśnie na korzyść oskarżonego, który miał prawo nabrać poważnych wątpliwości, czy kpt. Jedrychowski będzie mógł godnie sprostać swemu ciężkiemu zadaniu i natychmiast odpowiednio zareagować. Ze swego postępowania oskarż. tłumaczyć się nie potrzebował i miał najzupełniejsze prawo żadnych przedstawień nie uwzględniać.

Jak widać z zapodań oskarżonego, oraz zeznań pułk. Przedzymirskiego, kpt. Igielskiego, kpt. Kallera i kpt. Piotrowskiego meldunek taki kpt. Igielski ówczesny szef II Oddz. Szt. D.O.K., a więc osobistość formalnie najzupełniej odpowiedzialna, złożył drogą służbową. Okoliczności zaś podniesione przez akt oskarżenia, że za powód tej niepewności oskarż. uważał poprzednią służbę kpt. Jedrychowskiego w Legionach, że rozkazał oddać dztwo baonu najstarszemu z rzędu oficerowi wbrew przedstawieniom pułk. Frendla i meldunku kpt. Jedrychowskiego o nieudolność tego najstarszego stopniem, nie są dla sprawy oskarżenia z § 141 kkw. istotne.

W prawdzie Trybunał nie dał wiary tłumaczeniu się oskarżonego, jakoby podstawą jego przekonania o niepewności politycznej kpt. Jedrychowskiego było pochodzenie tego oficera z rodziny robotniczej. Zapodanie to zostało obalone zeznaniami świadków Przedzymirskiego, Kellera i Igielskiego i w końcu cofnięte przez samego oskarżonego, z resztą okazało się zupełnie mylne. To też Trybunał na podstawie zeznań powyższych świadków, a zwłaszcza po ustaleniu wpływu na meldunek kpt. Igielskiego i listu Wojewody Gałęckiego o przygotowywującym się zamachu stanu ze strony oficerów — legionistów, oraz zważywszy zeznania świadków Seredyńskiego, Jedrychowskiego. Wusatowskiego, oraz częściowo zapodania oskarżonego mjr. Biernackiego i wreszcie samego oskarżonego gen. dyw. CZIKLA, przyszedł do przekonania, że przekonanie o tejże pewności było wynikiem właśnie legjonowej przeszłości Jedrychowskiego i uprzedzenia wogóle do oficerów — legionistów, panującego w tym czasie w Sztabie D.O.K., którego to przekonania nie mogły zachwiać zeznania świadka Łu-

dzeckiego. Niemniej ta okoliczność nie może być uznana, jako posiadającą cechy przestępstwa z § 141 kkw. Tak samo nie może być poczytana za istotną cechę tego przestępstwa i ustalony na podstawie zeznań świadków pułk. Przedzymirskiego, Frendla i innych, fakt, że gen. CZIKIEL nie posłuchał przedstawień pułk. Frendla o nieudolności kpt. OBIDZIŃSKIEGO, zwłaszcza, że jak widać z nieodpartych niczem zapodań samego oskarżonego, tudzież zeznań świadków kpt. Böema, kpt. Kallera i Piotrowskiego, oraz pułk. Przedzymirskiego, oskarżony gen. dyw. CZIKIEL po otrzymaniu wiadomości o kwalifikacjach kpt. OBIDZIŃSKIEGO natychmiast zarządził zamianę tegoż przez kpt. Böema. Że zaś nadto notorycznem jest że D-ca Okr. Korp. nie jest obowiązany znać d-cę kompanii osobiście, że lista kwalifikacyjna kpt. OBIDZIŃSKIEGO, jak zeznań świadka por. BUTRYMA, nadeszła do DOK. znacznie później, że wreszcie zdaniem Trybunału wszelkie dochodzenia dla sprawdzenia ciężących ew. na kpt. Jedrychowskim zarzutów leżały na dowódcach niższych, a nadto zważywszy, że ujemna opinia rzeczoznawców w tej kwestji jest wobec powyżej ustalonych faktów i przekonania Sądu bezprzedmiotową, Trybunał w czynie oskarżonego zawartym w akcie oskarżenia sub. I (a), nie znalazł winy, oraz cech występku z § 141 kkw. i w myśl przepisów z § 306 pkt. 4 wpk. od tej części oskarżenia gen. dyw. CZIKLA uwolnił.

Dalej zarzuca akt oskarżenia (I) b) gen. Dyw. Józefowi CZIKLOWI wyst. z § 141 cz. 1 i 2 kkw., popełnionych przez nieudzielenie wbrew art. 16. cyt. Instrukcji władzom politycznym pomocy wojskowej, tak silnej by dała rękojmnię, że zadanie zostanie wypełnione i honor oręża nie będzie narażony na szwank. Przyczem akt oskarżenia uzasadnia to powołaniem się na szereg faktów, które równocześnie służą uzasadnieniem i następnego zarzutu sub. I c) aktu oskarżenia sformułowanego.

Powyższy zarzut o ile chodzi o kwalifikacje postępowania oskarżonego, jako przestępstwa z § 141 kkw. Trybunał po rozpatrzeniu okoliczności tej części sprawy uznał za nieuzasadnione. Wprawdzie Trybunał nie uznał obrony oskarżonego, że wogóle za czynności, objęte tymi punktami aktu oskarżenia, jako d-ca. w porozumieniu z § 141 kkw. nie może być odpowiedzialnym za wszystko bowiem co się działo w mieście winien być odpowiedzialny komendant Obozu Warownego. Zdaniem Trybunału popartem ustalonymi przez całokształt materiału dowodowego faktami, odczytami na rozprawie Rozkazami i wreszcie istotą art. cyt. Instrukcji, oskarż. gen. dyw. Czikiel był naczelnym kierownikiem akcji asystencyjnej i zwierzchnim D-cą. wszystkich działających oddziałów. Ponadto to Trybunał ustalił, że D-ca. O. K. otrzymał wyraźne zlecenie utrzymania porządku w mieście i dla tego celu DOK. otrzymało prawo, jeśli zajdzie potrzeba skoncentrowania większych sił przez odpowiednie powiększenie załogi krakowskiej, czyli, że cała powiększona załoga krakowska wśród której oddziały odwodu były bezpośrednio w rozporządzeniu

DOK. i przezeń kierowane miała zadanie stłumienia rozruchów i przywrócenia porządku. W pewnej zaś chwili oskarżony, jak tłumaczy, spowodowany beczynnością dcy. Obozu Warownego, bezpośrednio ujął akcje w swoje ręce, obejmując równocześnie zadania D-cy oddziału asystencyjnego i mając do swej dyspozycji całą zwiększoną załogę Krakowa i posiłki, które były już w drodze i o których DOK. było powiadomione. To też Trybunał zważywszy to wszystko przyszedł do przekonania, że oskarż. w momencie inkryminowanych mu czynów (I/b i I/c — I d) aktu oskarżenia był D-cą oddziału mającego powierzenie sobie specjalne zadanie służbowe, a przeto podmiotem oskarżenia z § 141 kkw.

Natomiast Trybunał zgodnie z opinią rzeczoznawców i zważywszy nieodparte niczem zapodanie samego oskarż., potwierdzone zeznania świadków: gen. br. Szeptyckiego, gen. bryg. Tinza, pułk. Przedzymirskiego, tudzież odczytanymi na rozprawie dokumentami, a zwłaszcza rozkazem K.O. War. 1880 z 5. XI. 1923 r. o ugrupowaniu wojsk., w dniu 5/XI. 1923 r. siły zgromadzone w Krakowie uznał za dostateczne do stłumienia rozruchów i wypełnienia zadania danego wojsku przez władze polityczne. Trybunał jednak, zważywszy wyjaśnienia oskarżonego o beczynności Kom. Obozu Warownego o późnem przezeń wykonaniu rozkazu o wadliwym, nieprawidłowem wykonaniu rozkazu, wydane go przez siebie ze strony ppułk. Bzowskiego, zważywszy nadto oświadczenie oddanych w akcie oskarż. dla uzasadnienia zarzutów, zawartych w punktach I d), c) zeznaniach świadków kpt. Haupta, por. Bełabana, gen. Tinza, ppułk. Bzowskiego, mjr. Bigo, kpt. Kellera, zważywszy na ujawnienie szczegółów doręczenia rozkazów pułkownikowi Bzowskiemu i brak dostatecznej kontroli nad działalnością. Komendanta Obozu Warownego znalazł, że stan faktyczny i postępowanie oskarżonego nie wykluczają jego winy. Osk. bowiem jako Dca. Okr. Korp. w myśl ducha przepisów art. 3, 4, 7 i 12 cyt. Instrukcji był naczelnym kierownikiem akcji asystencyjnej, ponadto zaś jak w wielu razach (akcja jazdy odwozu i samochodów) bezpośrednim rozkazodawcom i poniekąd naczelnym dowódcą. Jako zaś taki w myśl zasad i ducha regulaminu nie mógł ograniczać się w wydawaniu rozkazów, lecz był odpowiedzialny i za wykonanie tychże, którego to wykonania powinien był dopilnować. Pod tym względem oskarż. miał obowiązek nadzoru nad swymi podwładnymi. Z obowiązku tego nadzoru zdaniem Trybunału wynikało niezbieżnie, że po ustaleniu beczynności Komendanta Obozu Warownego, oskarż. winien był natychmiast usunąć go i wyznaczyć zastępcę, wykonania zaś danego przez siebie zadania dopilnować. Tak samo zdaniem Trybunału po ustaleniu niepowodzenia szwadronu ułanów dając rozkaz w tym wypadku osobiście ruszenia na pomoc reszty 8 p. uł., dopilnować dokładnego wykonania przez tegoż rozkazu i wykonanie to przygotować przez zaznajomienie ppułk. Bzowskiego sytuacją na placu. Tego jak widać z zeznań świadków: gen. Tinza, mjr. Bigo, ppułk. Bzowskiego, którym Trybunał dał wiarę, oskarż. nie wy-

pełnił. Wobec tego, aczkolwiek wbrew twierdzeniu aktu oskarżenia oskarż. gen. CZIKIEL dał, zgodnie z art. 16. Instrukcji władzom politycznym siły dostateczne, a przeto nie może być uznany, jako przekraczający przepisy art. 16. cyt. Instrukcji a więc winnym § 141 kkw. nie mniej nie pozostaje bez winy. Okoliczności bowiem przytoczone w uzasadnieniu zarzutu aktu oskarżenia i stwierdzone częściowo zapodaniami oskarżonego, oraz zeznaniami przytoczonych powyżej świadków, a nadto świadków mjr. Gیزی i ppłk. Rozwadowskiego, zawierają w sobie cechy zawinionego braku nadzoru względem podwładnych, przewidzianego w § 147 kkw. Wobec powyższych danych, nadto zważywszy na dodatkowe oświadczenie Prokuratora Wojskowego, że czyny oskarżonego noszą również częściowo cechy przestępstw z § 147. kkw. zważywszy przy tem że wobec łagodniejszej kwalifikacji z § 147 kkw. niżeli z § 141 kkw. nie zachodzą wymogi z § 295 i 302 z 2. wkp. Trybunał uznał osk. winnym występkę z § 147 kkw. popełnionego w sposób przytoczony powyżej. Taka kwalifikacja czynu osk. uczyniła bezprzedmiotowemi zeznaniami całego szeregu świadków ustalających przebieg akcji ułanów i pancerek. Zeznania też te, jako w danej sprawie obojętne, na razie Trybunał pozostawił do rozpatrzenia.

Zeznania te są również obojętne, o ile chodzi o rozpatrzenie dalszego zarzutu aktu oskarżenia, a mianowicie zarzutu (I c) wysłania wbrew przepisom art. 26 cyt. Instr. po rozbiciu szwadronu ułanów dalszych 3 szwadronów 8. p. uł. przeciw uzbrojonemu tłumowi, mimo, że jak twierdzi akt oskarżenia, gen. dyw. CZIKIEL posiadał do dyspozycji jeszcze kilka baonów piechoty, oraz samochody pancerne. Po rozpatrzeniu sprawy w granicach powyższego zarzutu Trybunał zaznacza:

Art. 29. cyt. Instr., regulujący użycie jazdy w czasie rozruchów ulicznych głosi, że kawalerji „używa się do usunięcia tłumów z placów i ulicy nawet bez konieczności użycia broni”. Z brzmienia tego, zwłaszcza w zestawieniu z tem, że art. 29. zamieszczony jest w tytule IV: „użycie broni podczas rozruchów” widocznem jest, że nie wyklucza art. 29 i użycie broni przy wysłaniu jazdy. Że zaś użycie broni przeciwko tłumowi uwarunkowane jest zbrojnym tego tłumu oporem, przedewszystkiem Trybunał przyszedł do przekonania, że użycie jazdy przeciw uzbrojonym tłumom, nie jest bynajmniej, wbrew twierdzeniu aktu oskarżenia, zakazane. Fakt więc, że osk. wysłał dalsze szwadrony jazdy w warunkach przedstawionych w tej części oskarżenia, nie zawiera w sobie cech przestępstwa z § 141 kkw. Wobec zaś orzeczenia znawców w tej kwestji, oraz wobec udowodnienia zarzutów faktycznych oskarżenia zeznaniami świadków: ppłk. Bzowskiego, rotm. Niesiołowskiego, Trenkwalda, Mokrzyckiego, Ungehuera, Szawłowskiego i całego szeregu innych, Trybunał zaznacza, że postępowanie osk. można uznać za błędne pod względem taktycznym za wadliwe co do rozkazodawstwa, (niejasność rozkazu, doręczania rozkazów naprzemian D-cy odwodu i D-cy pułku,

który szedł do akcji) za nieprawidłowe co do rozporządzania się różnymi rodzajami broni, (samochody pancerne np. jechały za jazdą, szwadrony posuwały się zwykłym marszem z okrytymi K.M., jak na paradę, według określenia świadka Turzeniewskiego i td.) natomiast nie można znaleźć cech przekroczenia instrukcji asystencyjnej, a tem samem cech przestępstwa z § 141 kkw., tembardziej, że znaczna część szkody — zdaniem Trybunału — wynikała wskutek nieudolnego wykonania danych rozkazów. Wobec powyższych danych Wojskowy Sąd Okręgowy w myśl przepisów, § 306 pkt. 4. wpk. oskarżonego gen. dyw. CZIKLA od zarzutu, zawartego w tej części oskarżenia uwolnił.

Natomiast za zupełnie uzasadniony uznał Trybunał czwarty zarzut występkę z § 141 kkw. cz. 1 i 2 kkw. popełnionego przez oskarżonego w ten sposób, że już po użyciu broni przez podległe mu oddziały w czasie, w którym z ręki tłumu padło 2-ch oficerów i 14-stu szeregowych, a 11-stu oficerów i przeszło 100 szeregowych zostało rannych, 61 koni zabitych a 70 ciężko rannych, w którym w rękach tłumu znajdowało się blisko 500 karabinów, odebranych oddziałom wojskowym, 1 karabin maszynowy, 1 samochód pancerny z 3-ma kulomiotami, niezliczoną ilość uprzęży, szabel, lanc, w którym tłum więził kilkudziesięciu żołnierzy i całe oddziały konnicy, osk. zamiast doprowadzić do rozpędzenia tłumu przywrócenia porządku publicznego, odebrania broni i uwolnienia więzionych tj. osiągnięcia właściwego celu interwencji wojska, poddał się w zupełności, wbrew przepisowi art. 25 cyt. Instrukcji decyzyjną władz administracyjnych, utrwalając przeto władze i społeczeństwo prawdziwości rozszerzanej wersji i o zupełnej kapitulacji i niesubordynacji oddziałów wojskowych. Skutkiem tego jak powiada akt oskarżenia, było, że od dnia 6. XI. 23 r. o godzinie 13-stej, aż do południa w dniu 7. XI. 23 r. niektóre dzielnice miasta wyjęte były z pod władzy i ochrony prawa, poszczególne osoby wojskowe, jakoteż całe oddziały, narażone były na napaści ze strony uzbrojonych osób cywilnych, a cały zrabowany oddziałom wojskowym materiał zdany był na łaskę i niełaskę tłumu i częściowo przepadł ze szkodą dla skarbu Państwa, oficerów i szeregowych.

Stan faktyczny, podany w akcie oskarż. został udowodniony zeznaniami świadków, oraz dokumentami odczytanymi na rozprawie, z resztą na ogół nie został przez oskarż. zaprzeczony. Natomiast oskarżony broni się z jednej strony wytłumaczeniem pobudek które go skłoniły do przerywania akcji, oraz istotną interpretacją swoich uprawnień w czasie krytycznym i przepisem konstytucji. Podaje mianowicie oskarż., że w chwili, gdy po ustaleniu niepowodzenia akcji ułanów i rozbrojenia 2/16pp. czynił przygotowania do dalszej akcji i chciał wysłać resztę rezerwy z Wawelu, by zrobić porządek, otrzymał zlecenie wojewody, które ten otrzymał od Ministra Kiernika a które opiewało: Policja i wojsko przestaje strzelać, pozostaje na swoich stanowiskach, gdyż Minister Spraw Wewnętrznych znalazł inny sposób załatwienia

konfliktu. Za jakiś kwadrans otrzymał drugie podobne zlecenie od wojewody, które zostało natychmiast rozpowszechnione. Podobne zlecenie otrzymał od zajętego w Województwie obecnego dyrektora Policji Dr. Stycznia Komendant Obozu Warownego. Oskarż. dodaje, że z Ministrem Spraw Wewn. Dr. Kiernikiem nie rozmawiał, ani telefonicznie, ani w innych sposobach. Natomiast w kilka sekund po otrzymaniu zlecenia wojewody, zakomunikował je ówczesnemu Ministrowi Spraw Wojskowych Gen. br. Szeptyckiemu, który odpowiedział, że to go nic nie obchodzi. Przyznał również oskarżony, że wiedział o prowadzonych przez rząd od 3. XI. 23 r. z posłami P.P.S. pertraktacjach o zlikwidowanie strajku, przypuszczał, więc że rozkaz Ministra Kiernika, za rozkaz bowiem taki uważał zlecenie wojewody, pozostaje w związku z tymi pertraktacjami. Oskarż. czuł się w obowiązku być posłusznym rozkazowi Ministra Spraw Wewn., jako konstytucyjnie odpowiedzialnego za porządek w Państwie i uważał, że gdyby tego rozkazu nie wypełnił byłby postawiony przed Sąd i rozstrzelany za niewykonanie rozkazu władzy cywilnej, która ma prawo w każdej chwili odwołać asystencję, tak samo, jak jej zażądała. Przyznaje również oskarżony, że po otrzymaniu rozkazu natychmiast zarządził powszechne wstrzymanie akcji wojskowej, między innymi wstrzymał Baon mjr. Gizy, ciągnący w marszu ubezpieczonym na ul. Dunajewskiego. Oskarż. podnosi z naciskiem, że rozejmu nie było żadnego i jeśli takie słowo padło była to plotka. Poseł Bobrowski zgłosił się do niego w sprawie narad nad rozbrojeniem bojówek i tłumy. Oskarżony na to zezwolił i nikt w tym dniu kapitulował, ani wojsko, ani władze cywilne. Natomiast upokorzyła się PPS. i z resztą czynności jego zostały aprobowane zarówno przez Rząd w Warszawie, jak i przybyłych ze specjalnymi pełnomocnictwami Wice Ministra Olpińskiego i Gen. Żeligowskiego. Powyższe tłumaczenie oskarżonych popiera powołaniem się na art. 38, 90 133 ust. konstytucyjnej Rzeczypospolitej na Dekret o używaniu wojska w wypadkach wyjątkowych z 2/I. 1919., na przepisy ustawy o organizacji województw z 3/XII. 1920 roku i na podstawie interpretacji powyższych przepisów wywodzi, że on jako Dca. OK. wezwany przez wojewodę do asystencji, bez żadnej wątpliwości musiał się zastosować do wezwania tegoż wojewody, przemawiającego w imieniu Ministra Spraw Wewn., aby akcje wstrzymać w przeciwnym bowiem razie byłby postawił tak siebie, jak i wojsko w sprzeczności z obowiązującymi przepisami prowadząc do dyktatury wojskowej, li-tylko z chęci zemsty za przelaną krew ułanów i haniebne zachowanie się 2/16 pp. Jako zaś argument teoretyczny w słuszności swego poglądu, o ile chodzi o interpretacje przepisów asystencyjnych, oskarż. powołał się na orzeczenie prof. Jaworskiego i Kumanieckiego, które wręczył Trybunałowi.

Po rozpatrzeniu powyższych argumentów Trybunał uznał je za nieuzasadnione. Powołane przepisy ustawy, tudzież interpretacja stosunku władz wojskowych do cywilnych są zasadniczo

i teoretycznie słuszne, lecz nie wykazują, ani sprzeczności cyt. Instr. asyst. z ustawą konstytucyjną Rzeczypospolitej, ani też zdaniem Trybunału nie znajdują się w związku bezpośrednim z faktycznym stanem rzeczy. Instrukcja asyst. o którą chodzi w niniejszej sprawie bardzo ściśle określa moment i sposób użycia wojska na żądanie władz politycznych. Art. 1. Instrukcji zaznacza wyraźnie że wojsko do pomocy władzom cywilnym może być wezwane tylko w ostateczności. Teza ta w połączeniu z przepisem rozdziału wstępnego c): „asystencja jako taka reprezentuje siłę zbrojną Państwa”, oraz z przepisami artk. 16. 17. 25 p) teje Instrukcji daje asystencji wojskowej charakter ostatecznego ultimatum Rządu w chwili krytycznej dla Rzeczypospolitej.

Trybunał oczywiście nie wchodził w rozpatrzenie obojętnej dla tej sprawy kwestji, czy powołanie pomocy wojskowej przez wojewodę i udzielenie jej przez DOK. odpowiadało wymogom ducha Instrukcji; czy nastąpiła powołana w Instrukcji „ostateczność”. Natomiast — zdaniem Trybunału — stan faktyczny przedstawiony w zapodaniach oskarżonego nie znalazł potwierdzenia w postępowaniu dowodowym. Świadek b) Minister Kiernik wyraźnie zaprzeczył wydaniu przez siebie rozkazu, oświadczając kategorycznie, że wobec zdenerwowania wojewody Gałęckiego, który nie mógł mu dać dokładnego obrazu wydarzeń i wobec nagabywań posła Marka, domysławiając się niepowodzenia władz policyjnych i wojskowych w Krakowie, oraz, że sytuacja jest przykra, radził zwrócić się do posłów, by uspokoiili tłum, radząc również, by policja i wojsko zaprzestały nacierania, ugrupowały się i zajęły stanowiska, zastrzegając natomiast wyraźnie, że wojsko i policja nie mają się wycofać. Zeznanie to potwierdził pośrednio i zawezwany przez oskarż. świadek b. wojew. Gałęcki. Stwierdził on mianowicie, że b. Minister Kiernik na jego pytanie, co robić, odpowiedział, iż zgadza się na danie możliwości posłom socjalistycznym uspokojenie tłumy, że w tym celu zgadza się na chwilowe zaprzestanie walki i wstrzymanie działań policji i wojska, zaznaczył jednak, że wojsko bezwarunkowo cofnąć się nie może. Polecenie to świadek zakomunikował natychmiast oskarżonemu. Pośrednio również taki stan rzeczy potwierdził świadek Stańkowski. O rozkazie więc M.S. Wewn. według zeznań tych bezpośrednich świadków, którym Trybunał dał wiarę, nie może być mowy. Nie przekonały Trybunału o jego istnieniu i odmienne nieco zeznania świadka posła Marka i Bobrowskiego, zwłaszcza, że świadek Gen. Bryg. Szepetycki kategorycznie możliwości legalnego takiego rozkazu zaprzeczył. Gdyby jednak, jak to zresztą stwierdzili inni świadkowie (przedewszystkiem Remer, Rozwadowski i inni) przyjąć, że oskarżony miał wrażenie otrzymania rozkazu od M.S.Wewn., to i ta okoliczność nie usprawiedliwia oskarżonego. Z zapodań bowiem oskarż. Trybunał przedkonał się, że spowodowany beczynnością Kdta. Obozu Warownego oskarżony przyjął na siebie inicjatywę działania w sytuacji, którą uważał za krytyczną i która, jak temu nie zaprze-

czył, odpowiadała całkowicie wymogom art. 25 cyt. Instr. Na podstawie wymienionych powyżej świadków wojskowych, a również zaprzysiężonych zeznania wachm. Kijowskiego, mjr. Gizy, kpt. Studzińskiego, por. Ziemińskiego, por. Szawłowskiego, por. Giedgowda, Trybunał ustalił, że akcja w chwili wydania rozkazu zaprzestania jej była w pełnym biegu. Mjr. Giza w szyku bojowym maszerował z baonem na ul. Dunajewskiego dla opanowania sytuacji, świadek Szawłowski ucierał się z tłumem w ulicach dzielnicy Piaski, w Rynku trwała walka por. Ziemińskiego i pancerek kpt. Studzińskiego i Giedgowda. Z tych oddziałów jedynie Baon majora Gizy, nie był w defenzywie przeciwko nacierającym z bronią w ręku tłum. Inne zaś oddziały po otrzymaniu rozkazu zaprzestania walki, musiały się z akcji wycofać stopniowo. Ścisłe wykonanie przepisów art. 25. cyt. Instrukcji, zdaniem Trybunału, było tem konieczniejsze, że jak widać z zeznań świadków, oraz odczytanych na rozprawie wykazów strat w ludziach, koniach, broni, amunicji i materiale wojskowym, przytoczone w akcie oskarżenia straty miały miejsce, część żołnierzy rozbrojonych była internowana w Domu robotniczym. Zaprzestanie akcji przez wojsko — jak to stwierdzili świadkowie poseł Marek i por. Pieńkowski wywarło na tłumach wrażenie zwycięstwa nad wojskiem, broń była w rękach ludzi nieznanych, jak to stwierdzili świadkowie Bobrowski i Marek, kierownikom strajku PPS. i wśród tłumu szykowano się do dalszej walki. Wobec powyższych danych Trybunał znalazł oskarżenie gen. dyw. CZIKŁA o wstąpienie wbrew przepisom art. 25. cyt. Instrukcji uzasadnione. Interpretacja przepisów asystencyjnych przez oskarżonego nie wytrzymuje krytyki. Jak widać z całokształtu materiału dowodowego w krytycznym czasie likwidacja naprężonej sytuacji przeszła już w ręce wojska. W takiej zaś sytuacji w myśl wyraźnego brzmienia cyt. Instr. (wstęp: a ust. 1. c, ust. 1, 3, 5, d — art. 4, 5, 6, 7, art. 16 i inn.) wojsko obowiązane jest występować samodzielnie i wszelka interwencja władz politycznych, które odpowiedzialne są za wezwanie wojska jest zakazana. Że tak wówczas rozumiano treść przepisów asystencyjnych, Trybunał wbrew zapodania oskrż. przekonał się z zeznań świadków zarówno urzędników Policji (Dyr. Pol. Rekiwicz, Kimzhuber, Klaput, Kłeczek, Pawełek, Leszko, Dr. Styczeń) i kierowników władz politycznych, jak świadkowie ówczesny Minister Spraw Wewn. Kiernik, ówczesny wojewoda Gałęcki, tak i z zeznań oficerów, np. świadek Seredyński. Trudno więc Trybunałowi przypuszczać, aby oskarżony b. wice Minister Spraw. Wojsk. i D-ca Okr. Korp., jeden jedyny nie rozumiał Instrukcji asyst., zgodnie z jej wyrażeniem brzmieniem. Również nie zostało potwierdzone tłumaczeniem się oskrż., że czuł się poniekąd upoważniony do wstrzymania akcji po oświadczeniu ówczesnego Ministra Spraw Wojskowych gen. br. Szeptyckiego, który jego zapytanie, co robić — przyjął oświadczenie, to mnie nic nie obchodzi. Przedewszystkiem świadek Gen. Br. Szeptycki powtarzając dokładnie całość roz-

mowy, zaznaczył, że oskarż. na jego pytanie o sytuacji i zamierzenia powiadomił go o przerwaniu akcji, jako fakcie dokonanym na rozkaz Ministra Kiernika. Rzucone też w gniewie słowa „mnie to nic nie obchodzi”, odnosiły się do rozkazu Ministra Kiernika, który nie miał najmniejszego prawa wydawać jakichkolwiek rozkazów wojskowych i do którego świadek natychmiast pospieszył, aby zażądać wyjaśnień. Że takie wrażenie mogły te słowa sprawić, Trybunał przekonał się zresztą z zeznania św. kpt. Remera, który w czasie rozmowy oskarżonego z Gen. Br. Szeptyckim trzymał przy uchu drugą słuchawkę.

Zresztą nawet i mylne zrozumienie słów Ministra Spraw Wojskowych nie może tłumaczyć oskarżonego o ile chodzi o punkt widzenia wojskowy.

Oskarżony jako doświadczony Generał, musiał się orientować, że nastąpi przewidziany w art. 25. Instr. moment walki, którą tylko rozkaz wojskowy mógł wstrzymać. Dokładna bowiem analiza przepisów art. 23, 22. cyt. Inst. zdaniem Trybunału musi doprowadzić do przekonania, że wraz z zaistnieniem wymogów art. 25. akcja asystencyjna musi być traktowana według wymagań stosowanych do bitwy. Po nieoczekiwanym więc i niedopuszczalnym z punktu widzenia wojskowego zleceniu wojewody, uważanym przez siebie za rozkaz Ministra Spraw Wewn. oskarżony winien był przedstawić Ministrowi Spraw Wojsk. jasno sytuację, postawić wniosek, że ze względu na stan akcji, na honor oręża i na przepisy obowiązującej Instr. walka wstrzymana być nie może i akcji nie wstrzymywać aż do otrzymania rozkazu od MSWojsk., aby ją przerwać natychmiast. Wobec powyższych danych Trybunał uznał oskarżenie Gen. dyw. CZIKLA z § 141. w tym punkcie aktu oskarżenia za uzasadnione.

Szkoda wyrządzona przez czyn oskarżonego, o której mówi akt oskarżenia została stwierdzona — o ile chodzi o szkodę materialną odczytanymi na rozprawie wykazami strat broni, amunicji i ekwipunku wojskowym, oraz ustaleniem z tychże dokumentów, że znaczna część zwróconej broni i efektów była zniszczoną. Co się zaś tyczy szkody moralnej, to przede wszystkim było nią poczucie zwycięstwa nad prawowitym porządkiem, władzami Rzeczypospolitej i wojskiem wśród tłumu, nad którym, jak to zeznali świadkowie Bobrowski i Marek przywódcy opozycji antyrządowej już nie panowali. Przerwanie akcji na rozkaz oskarżonego wywołało tak silną dezorientację wśród społeczeństwa, że jak zeznał świadek Kiernik, poważni senatorowie: Adelman i Godlewski zakomunikowali mu wiadomość o zawieszeniu broni i przejściu odpowiedzialności za spokój w Krakowie w ręce piosł Bobrowskiego, władze administracyjne były tak dezorientowane, że jak zeznał świadek mjr. Giza Policja aż w dwóch Komisarijatach bała się przyjąć do aresztu osoby aresztowane przez patrole wojskowe z bronią w ręku, w nocy. Część miasta była w rękach nieobliczalnego żywiołu, w rękach którego znajdowała się broń. Świadkowie Ziemencki, Filipowski byli

ostrzeliwani już po południu. Świadek Marek o 5-tej spotykał grupy uzbrojonych, nieznanych nikomu ludzi, a jeszcze 7/XI. 23 r. stwierdził brak uspokojenia, a oddziały świadka Ziemenckiego na Rynku wraz z pancerkami i szwadron K.M. por. Szawłowskiego w innej dzielnicy przez dłuższy czas po zaprzestaniu akcji były ostrzeliwane przez tłum, staczając formalną walkę. Miasto, jako to zeznali świadkowie: Bobrowski, Przedzymirski, Rozwadowski i inni, było faktycznie podzielone i część jego faktycznie znajdowała się we władzy uzbrojonych ludzi nieznanych nikomu, jak stwierdzili świadkowie Bobrowski i Marek, czy zbrojnych bojówek, wzgl. zorganizowanych franctirreurów, jak mniemał sam oskarżony. Jak widać z odczytanych na rozprawie dokumentów dokonano rewizji, rozbierania (: świadek Matusiak :) były próby przeniknięcia na Wawel i td. Szkodę wojskową widzi Trybunał przede wszystkim w ogromnym obniżeniu autorytetu Armii, które wynikło z czynu oskarżonego. Jak stwierdził świadek Rozwadowski, oraz szereg innych wojsko miało wrażenie poniesionej klęski i czuło się upokorzone. Autorytet Dowódców został podważony, nie wyłączając samego oskarżonego, reprezentującego wówczas najwyższą władzę wojskową na miejscu. W prawdzie świadkowie obrony Gen. Ledóchowski, Gen. Stiller, Gen. Górecki, Gen. Kostecki, Gen. Latinik, pułk. Adrysyczak, ppułk. Rozwadowski, Piotrowski, Skoryna, pułk. Przedzymirski, kpt. Keller, Remer i cały szereg innych nawet świadków oskarżenia twierdzili że względem oskarżonego gen. Dyw. CZIKLA uczucia oficerów były po katastrofie bardzo życzliwe, Trybunał jednak uważał je za niemiarodajne w niniejszej sprawie. Z jednej bowiem strony notoryczny „dobry zwierzchnik” Gen. Dyw. CZIKIEL życzliwy dla podwładnych, pracujący nad ich dobrem, musiał pozyskać sobie wogóle uznanie i nawet miłość, a uczucia te mogły przeważyć w chwili, gdy go spotkały represje, za czyn którego winę przypisywano innym, z drugiej zaś strony Trybunał dał wiarę świadkom, oficerom, biorącym czynny udział w akcji: Seredyńskiemu, Ziemenckiemu, Gedgowdowi, którzy stwierdzili, że winę swej klęski i upokorzenia wojsko przypisywało oskarżonemu. Nie rozpytując ze względu dyscypliny wojskowej innych świadków, Trybunał wyczuwał natomiast z całości i zeznań pośrednio potwierdzenie zapodania wspomnianych trzech oficerów różnej broni. Nie uznał również Trybunał za uzasadnione wyjaśnienia oskarżonego co się tyczy „układów”. Charakter ich wyjaśniony został częściowo zapodaniami samego oskarżonego częściowo zaś zeznaniami świadków: Bobrowskiego i Rozwadowskiego. Ustaleniem mianowicie zostało, że po otrzymaniu „zlecenia” wojewody Gałęckiego o zaprzestaniu walki, oskarżony nawiązał przerwana poprzednio rozmowę z posłem Bobrowskim, że urgował go o przybycie, chciał postać po niego samochód i zgadzał się na wszelkie propozycje posła Bobrowskiego, nie wyłączając, jak to stwierdza świadek b. wojewoda Gałęcki, niedopuszczalnego z punktu widzenia powagi władz Rzeczypospolitej warunku, usu-

nięcia od układu wojew. Gałęckiego. W końcu Trybunał nie mógł uwzględnić obrony oskarż. że w gruncie rzeczy Rząd centralny, tudzież przysłani z Warszawy wice Minister Olpiński i Gen. Żeligowski aprobowali faktycznie i moralnie jego postąpienie i poszli w jego ślady. Z zeznań bowiem świadka Gen. Szeptyckiego i pośła Marka, Trybunał nabrał przekonania, że Rząd centralny uczuł się zaskoczony i skrzepowany fait accompli, dokonaniem przez oskarżonego w Krakowie, że mimo to wysłał wspomnianych delegatów dając im kompetencje, które nie wykluczyły walki. Że jednak wice Minister Olpiński i Gen. Żeligowski znowu musieli się liczyć z sytuacją wytworzoną przez oskarżonego, co było zrozumiałem dla Trybunału, wobec ustalonego w postępowaniu dowodowym wykorzystania czasu dla uzbrojenia się, zorganizowania bardziej wojska, przygotowań do zbrojnego oporu i wreszcie zaagitowania internowanych w Domu robotniczym żołnierzy, którą to agitację i przygotowania stwierdził świadek Pinkowski. Wobec wymienionych okoliczności czyn oskarżonego Gen. Dyw. CZIKLA Trybunał skwalifikował z § 141 cz. 1 i 2 kkw.

Przy orzeczeniu kary Trybunał zastosował wobec zbiegu przestępstw przepis art. 19. R.R.M. z dnia 10. V. 1920 r. i jako okoliczności obciążające przyjął długoletnie służbowe i polityczne doświadczenie oskarżonego przodującego stanowisko w armji, jakie w chwili krytycznej zajmował, oraz liczenie się w swem postępowaniu z ewentualnościami natury politycznej. Jako zaś łagodzące nieudolność i zupełnie nieodpowiednie do wymogów w chwili postępowania władz politycznych, nieskazitelną dotychczasową służbę, dobrą wiarę oskarżonego, tudzież polityczne napięcie opinii publicznej w krytycznym czasie. Karę też trzymiesięcznego zamknięcia w twierdzy orzeczono w myśl przepisów §-fu 141 cz. 2. kkw. oraz art. 19. R.R.M. z dnia 10. 5. 1920 r. Trybunał uznał za odpowiednią przewinieniu oskarżonego.

Kpt. Mieczysław OBIDZIŃSKI został oskarżony o:

a) wyst. pko. porządkowi wojsk. z § 151 kkw., b) wyst. pko. subord. wojsk. z § 89 ust. 2. kkw., c) zbr. pko. obowiązkom subord. wojsk. z §§ 92, 93 ust. 1. kkw., d) wyst. naruszenia obow. służb. przy spełnianiu szczególnych czynności służb. z § 141 kkw. ust. 1 i 2 i wyst. tchórzostwa z § 87 kkw.

Po rozpatrzeniu sprawy w granicach oskarżenia o wyst. z §§ 151 kkw. popełnionego rzekomo przez to, że 4. XI. 23 r. w Bochni wyznaczony do służby jako Dca. kompanji, mającej odejść z transportem kolej. z rozkazu DOK. V. z Bochni do Krakowa, wskutek upicia się stał się niezdolnym do pełnienia swych obowiązków służb. Trybunał zważywszy, że nie zostało ustalone, jakoby oskarżony upił się po otrzymaniu rozkazu, natomiast zeznaniem por. Łużckiego i zapodaniem samego oskarżonego ustalonym zostało, że upicie to nastąpiło na dłuższy czas przed wyruszeniem w drogę, zważywszy nadto, że oskarżony stawiał się w oznaczonym czasie na dworcu kolej., nie znalazł w tym czynie oskarż. cech istotnych przestępstwa z § 151 kkw, wobec czego

w myśl przepisu z § 306 pkt. 4. wpk. oskarżonego od winy i kary wnioskowanej w akcie oskarżenia, co do tego punktu uwolnił.

Nie znalazł Trybunał również udowodnienia oskarżenia kpt. OBIDZIŃSKIEGO § 89 kkw. Mimo bowiem ustalenia zeznaniami świadków kpt. Jedrychowskiego i Klaczewskiego, tudzież przyznaniem się oskarżonego, że oskarżony rzeczywiście zjawił się na dworcu kolej. w stanie podpitym, że żądał „rozkazów”, że wzdrygał się wsiąść do wozu towarowego, oświadczając, że „razem z byłem nie pojedzie”, nie mniej Trybunał zważywszy, że oskarżony przywołany do porządku przez kpt. Jedrychowskiego, rozkaz natychmiast wykonał, że z kpt. Jedrychowskim będąc od niego wiekiem starszy i równy stopniem, znajdował się w bliższych stosunkach, że wreszcie Trybunał nie mógł się dopatrzyć w przemówieniu oskarżonego pierwiastka groźby, nie znalazł cech istotnych przestępstwa z § 89 kkw. i w myśl przepisów z § 306 4. kpt. Obidzińskiego od oskarżenia w tym punkcie uwolnił.

Dalej kpt. Mieczysław Obidziński, oraz porucznicy Tadeusz Skarski i Wacław Nowakowski oskarżeni zostali o zbr. z § 92 i 93 kkw. które to oskarżenie Prokurator zmienił na oskarżenie z § 141 cz. 1 i 2 kkw. motywując to oskarżenie tem, że dnia 5. XI. 23 r. oskarżeni będąc wyznaczeni do służby asyst. wbrew przepisom pktu. f) ust. 2. wstępu do Instr. dla asystencji wojsk. z 21. 3. 1922 r. i rozdziału VIII. ust. 1. tejże Instr. zupełnie nie pouczyli swoich podwładnych szeregowych o właściwych przepisach asyst., co zdaniem aktu oskarżenia pociągnęło za sobą wielką szkodę, gdyż szeregowi powierzonym im kompanji znalazłszy się w dniu 6. XI. 23 r. w sytuacji asystenc. nie wiedzieli co począć wobec agresywności tłumu i narazili się na zupełne rozbicie przez tłum.

Po rozpatrzeniu tego zarzutu trybunał znalazł go uzasadnionym, wobec przyznania się oskarżonych, nie uwzględniając też tłumaczenia się oskarżonych że sami przepisów asystencyjnych nie znali, co nie może być usprawiedliwieniem dla oficera. Przepisy bowiem asystencyjne są częścią regulaminu służby wewnętrznej i drukowane były w Dz. Rozk., którego czytanie obowiązuje każdego oficera. Trybunał uznał oskarżonych winnymi przekroczenia wymienionych przepisów cyt. Instr. obowiązującej ich podczas pełnionej w czasie krytycznym służby, a wobec tego i winnymi występku z § 141 kkw.

Przechodząc do dalszego oskarżenia kpt. OBIDZIŃSKIEGO, por. SKARSKIEGO i por. NOWAKOWSKIEGO o wyst. z § 141 kkw. cz. 1 i 2. popełnionych przez to, że w dniu 6. XI. 23 r. w Krakowie kpt. Obidziński, jako D-ca. pół baonu 16. p.p., zaś por. Skarski i por. Nowakowski, jako Dcy. 4 i 6 komp. występujący w czasie między godziną 7.30, a 9-tą w charakterze oddziałów asystencyjnych na ul. Dunajewskiego z obawy przed osobistym niebezpieczeństwem postąpili wbrew przepisom rozdziału c) i d) wstępu, oraz art. 19, 19, 20, 22, 23/2, cyt. Instr. Trybunał po rozpatrzeniu sprawy w granicach oskarżenia zaznacza:

Przedewszystkiem nie zostało udowodnione oskarżenie wszystkich 3-ch o przekroczenie przepisów wstępu i art. 19. popełnionego przez oddanie się w zupełności do dyspozycji władz policyjnych i przyjęcie zadania pełnienia służby policyjnej drogą udzielania oddziałów asystencyjnych do wzmocnienia kordonu policyjnego. Z niczem bowiem nieodpartego zapodania oskarż. Obidzińskiego Trybunał ustalił, że oskarż. Obidziński po otrzymaniu zlecenia od przesłanych do koszar urzędników policyjnych, początkowo żądaniu tychże odmówił, odniósł się telefonicznie do KOW. i ustąpił dopiero na wyraźny rozkaz pułk. Beckera, poczem wydał odpowiednie rozkazy subalternom swoim, oskarż. por. Skarskiemu i por. Nowakowskiemu. Wobec powyższych danych i w myśl przepisów § 306. 4 wpk. Trybunał oskarż. Obidzińskiego, Skarskiego i Nowakowskiego od oskarżenia w tej części aktu oskarżenia dla braku dowodów uwolnił.

Nie zostało również udowodnione postępowaniem dowodowem oskarżenia kpt. Obidzińskiego i por. Skarskiego i por. Nowakowskiego z § 141 cz. 1 i 2. kkw. spowodowane rzekomo tem, że oskarżeni przekroczyli przepisy cyt. Instr. wstęp c), albowiem nie dali żadnych rozporządzeń i rozkazów, któremu dodały zarządzeniom władz powagi i zmusiły tłum do ustąpienia w czasie tego, gdy tłum ten miotał obelgi i pogrożki pod adresem policji i wojska, mimo to, że widzieli, iż niektóre jednostki z tłumy wygrażały rewolwerami i kijami, a nawet zaczynają wojsko i policję obrzucać kamieniami i innemi przedmiotami. Z zapodań bowiem oskarżonych, popartych przez zeznania nieomal wszystkich świadków naocznych zejść na ul. Dunajewskiego. Trybunał ustalił, że zachowanie się tłumy wobec wojska było nie tylko pozbawione cech wrogości, ale nawet aż do krytycznej chwili rozbrojenia żołnierzy przyjazne. Wobec tego zarzuty postawione w tej części oskarżenia Trybunał uznał za bezpodstawne i oskarżonych w myśl przepisów z § 306. 4 wpk. uwolnił.

Natomiast za uzasadnione zupełnie Trybunał uznał oskarżenie kpt. Obidzińskiego i por. Skarskiego i Nowakowskiego z § 141 kkw. spowodowane postępowaniem wszystkich oskarż. wbrew przepisom artk. 18: a) 20, 22 i 23/2. cyt. Instr. w trakcie rozbrojenia przez tłum powierzonych im żołnierzy, tudzież przzerwania kordonu policyjnego i wojskowego, poprzedzającego rozbrojenia. Zapodaniami oskarż. popartymi zeznaniami świadków: Dra. Rekiwicza, pośła Marka, Dra. Stycznia, Kłeczka, Pawełka, Kłaputa, Leszko, por. Seredynskiego, por. Bałabana, pułk. Frendla, pośła Lizaka, Koczwały i b. szeregowych 2/16. p.p. Cebuli, Adamczyka, Adamusa, Kuny, Wionczka, Zielono, por. Ziomka i wachm. żand. Bartika, Trybunał ustalił następujący stan faktyczny:

W dniu 6. XI. 1923 r. kompanja 4 i 6 2/16. p.p. oddane do rozporządzenia władz administracyjnych dla wzmocnienia kordonu, a więc nieprawidłowo przydzielonych do służby policyjnej, złożone z 50 do 60% z rezerwistów, stanęły przed Domem robotniczym przy ul. Dunajewskiego. Na mocy rozporządzenia woje-

wody, miano nie dopuścić do odbycia zapowiedzianego w tym czasie w Domu robotniczym wiecu. Również na mocy rozporządzenia policyjnego przepuszczono na przestrzeń, zamkniętą kordonami policji osoby zaopatrzone w legitymacje kasy chorych, lub związków zarobkowych. Wskutek tego kordony policyjne stały się iluzorycznymi. Po obu bowiem stronach kordonu stały tłumy, wynoszące ogółem, według obliczeń świadków 3 do 4 tysięcy ludzi, różnego wieku i różnej płci, przyczem tłumy ludzi niedopuszczonych za kordon napierały na kordony policyjne. Komisarze policji zażądali wzmocnienia kordonu przez żołnierzy i kpt. Obidziński stopniowo kazał obu kompanjom ustawić się w kordony, tuż za kordonami policyjnymi. Tłum naogół wydając wrogie okrzyki przeciw policji, równocześnie wiwatował na cześć armji, Piłsudskiego, obecnych oficerów i nawet mimo oporu podniósł kpt. Obidziński dwukrotnie w górę. W pewnej chwili za pomocą wepchnięcia wozu z kapustą, przerwano kordon polic. i napierający dotąd na kordony policji tłum zmieszał się z policjantami i żołnierzami, oraz osobami przepuszczonymi przedtem przez kordon za legitymacjami. Oskarż. oficerowie czynili usiłowania wycofania żołnierzy i ustawienia ich w takim szyku, policja zaś wycofała się pod mury klasztoru Reformatów i inne sąsiednie miejsca i stamtąd rozpoczęła beładną strzelaninę w stronę tłumu przeważnie z resztą ponad głowami zebranych. Od strzałów padło kilka osób cywilnych i zostało ranionych 2-ch żołnierzy 2/16. p.p. Żołnierze ulegli chwilowej panice wraz z tłumem. Padali na ziemię chroniąc się przed kulami, przyczem wobec tego, że nasadzone bagnety mogły pokaleczyć stojących, lub padających ludzi, kpt. Obidziński kazał je zdjąć. W pewnej chwili wśród krzyku i ogólnego hałasu, przyczem rozlegały się i niewiadomo przez kogo wydawane słowa komendy „padnij. Na wezwanie” odebrać broń wojsku „wśród krzyku” na policję” tłum rzucił się na rozprószonych pojedynczo, lub małymi gromadkami żołnierzy, kilku, lub kilkunastu na jednego i wśród szamotania odebrały karabiny. Oficerowie usiłowali przywrócić jaki taki porządek w ogólnem jednak zamieszaniu spowodowanym trwającą beładną strzelaniną policji, na którą zaczęto odpowiadać z tłumu, oraz krzykami dokonać tego nie mogli. Żołnierze się rozprószyli. Największa ich część wraz z por. Nowakowskim, który usiłował ich zatrzymać, biegła w kierunku województwa, gdzie tłum został zatrzymany przez por. Ziomka i wachm. żand. Bartika, którzy doprowadzili ich do województwa. Por. Skarskiego rozbrojono, odbierając mu siłą rewolwer w trakcie, gdy usiłował za pomocą strzału i komendy skupić koło siebie rozprószonych żołnierzy, poczem został zatrzymany przez świadka kom. pol. Leszko i gospodarza mieszkania, z którego nadał telefoniczny meldunek do K.O.W. o wypadku, udaremniiony z powodu braku połączenia telefonicznego. Kpt. zaś Obidziński stracił związek z podkomendnymi, udał się z meldunkiem do KOW., gdzie został aresztowany. Wypadków dobrowolnego oddania broni, Trybunał po zestawie-

niu zeznań świadków nie stwierdził, również nie stwierdził wypadków nie usłuchania komendy. Przytoczone przez świadka pośła Lizaka, rzekome nie usłuchanie komendy por. Skarskiego przez żołnierzy w jego kompanji Trybunał po rozpatrzeniu okoliczności sprawy uznał za niewykonanie komendy wskutek zagłuszenia jej hałasami i krzykami tłumu.

Akt oskarżenia zarzuca oskarżonym biernie, wbrew przepisom art. 18, cyt. Instr. zachowanie się wobec usiłowań tłumu zmierzających jawnie do skłonienia szeregowych do niesubordynacji. Trybunał po rozpatrzeniu tej części oskarżenia i zestawieniu zeznań wyż. wymienionych świadków zarzut powyższy uznał za nieuzasadniony. Aczkolwiek bowiem postępowanie dowodowe nie ustaliło zupełnie biernego zachowania się oficerów wobec obdarzania żołnierzy papierosami, jabłkami, nawoływań agitacyjnej treści, niemniej ustalone zapodaniami samych oskarż. wzgl. zeznaniami świadków Pawełka, Leszka, Lizaka i innych reagowania kpt. Obidzińskiego por. Skarskiego i Nowakowskiego nosiło charakter zbyt słaby, ażeby uznać się za dostateczny i odpowiednio wymaganiom chwili. Natomiast postępowanie dowodowe nie ustaliło zupełnie u oskarżonych obawy przed osobistym niebezpieczeństwem, oraz innych cech wyst. z § 87 kkw. Również Trybunał uznał za uzasadniony zarzut bierności wbrew art. 20 cyt. Instr. wszystkich trzech oskarżonych w chwili i bezpośrednio po przerwaniu kordonu policyjnego przez tłum. Z okoliczności bowiem ustalonych zapodaniami poszczególnych świadków i samych oskarżonych nie widać aby w tej krytycznej chwili wydali oni odpowiednie zarządzenie, oraz rozkazy zmierzające do przywrócenia porządku publicznego jakich wymagały okoliczności. Również w samej chwili rozbrajania, które zresztą trwało bardzo krótko i dokonaniem zostało gwałtownie, prawdopodobnie w chwili padania na ziemię i powstawania żołnierzy chroniących się przed kulami policyjnymi, jak widać z zeznań świadków, żaden z oskarż. nie wydał w sposób energiczny i dający prawo przypuszczać, że rozkaz będzie skutecznym, żadnych rozkazów, celem odpowiedniego uformowania i zabezpieczenia oddziału, zapewnienia swobody i skuteczności działania. Kpt. zaś Obidziński specjalnie przyczynił się do umożliwienia rozbrojenia przez zezwolenie na zdjęcie nałożonych na karabiny bagnetów. Trybunał jednak w tem postępowaniu oskarż. nie widzi bezpośrednio przyczynowego związku z dokonaniem następnie rozbrojeniem, które zostało umożliwione przede wszystkim nieudolnymi rozporządzeniami policji, która uczyniła kordony iluzorycznymi, wskutek puszczenia przez nie masę ludzi, zaopatrzonych w legitymacje, a nadto blisko dopuściła tłum do kordonu, a nadto nie zamknęła kordonami ulic, wiodących z Placu Szczepańskiego wypełnionego jak zwykle w dzień targowy furami. Fury te jak widzieliśmy użyte zostały przede wszystkim do, przerwania kordonu. Wobec powyższych danych Trybunał postępowanie oskarż.

Skarskiego Nowakowskiego skwalifikował, jako występek z § 141 cz. 1 kkw.

Natomiast postępowanie kpt. Obidzińskiego, postępowanie dowodowe ustaliło poważny zarzut zabiegania w czasie bezpośrednio poprzedzającemu rozbrojenie żołnierzy o sympatję tłum, oraz nie zachowanie przepisu art. 18/7 i 22 cyt. Instr. przez zezwalanie na komunikowanie się tłum z żołnierzami, powierzonego sobie oddziału, a przynajmniej niereagowanie na to, do tego zaś jako D-ca był obowiązany. Również ustalone zostało zeznaniami świadków wyż. wymienionych, iż kpt. Obidziński w tym czasie pragnął skłonić tłum do oddalenia się i łagodniejszego zachowania zapewniał, że strzelać nie da rozkazu. Do tego rodzaju zaniedbanie elementarnych obowiązków D-cy oddziału znajdującego się w poważnej sytuacji bez wątpienia ośmieliło tłum do stopniowego otoczenia żołnierzy, przerwania kordonu i wreszcie rozbrojenia żołnierzy. Rozbrojenie zaś i obniżenie powagi oddziału wojskowego przez postępowanie jego komendanta niewątpliwie ośmieliło w dalszym ciągu poszczególne jednostki i grupy do używania zdobytych na oskarżonych oficerach i szeregowych 2/16. pp. karabinów i rewolwerów do dalszej walki sprzeczko 8 p. ułanów, samochodom pancernym i policji, co znowu spowodowało zgodnie z twierdzeniem aktu oskarżenia śmierć oficerów, szeregowych i olbrzymie straty w materiale wojskowym. Z tego też względu Trybunał postępowanie oskarżonego Obidzińskiego kwalifikował jako występek z § 141 cz. 1 i 2 kkw.

Przechodząc do orzeczenia o karze Trybunał jako okoliczności obciążające winę oskarżonego Obidzińskiego przyjął długoletnie jego doświadczenie wojskowe, które winno go było ochronić od popełnionych karygodnych błędów i wykroczeniom przeciwko ustawie asyst., jako łagodzące zaś, w najwyższym stopniu nieudolne postępowanie policji, niespodziewane postawienie go na stanowisku i powierzenie mu zadania do którego absolutnie nie był, ani zdolny, ani przygotowany i wreszcie niekazitelną przeszłość. Co do oskarżonych Skarskiego i Nowakowskiego okoliczności obciążających nie przyjęto żadnych, jako zaś łagodzące nieskazitelną przeszłość, waleczność Nowakowskiego na polu walki w czasie wojny polsko-rosyjskiej, zasługi zaś Skarskiego, jako oświatowego referenta dla obu zaś fakt, że dowodzili nieznanym sobie żołnierzem i przed kilku zaledwie dniami objęli stanowiska w Baonie. Karę też 2-miesięcznego więzienia z zaliczeniem na poczet czasokresu tejże całkowitego aresztu śledczego w myśl § 141 cz. 2. kk 2. dla oskarżonego Obidzińskiego zamknięcie zaś w areszcie, przewidzianym w § 23 cz. 2. kkw. również z zaliczeniem w myśl przepisów art. 10 rozp. R.M. z dnia 10. V. 1920 r. na poczet kary całkowitego aresztu śledczego dla oskarżonych Skarskiego i Nowakowskiego uznano za odpowiadające przewinieniu. Czasokres zamknięcia w areszcie Trybunał określił na 4 tygodnie. Względem oskarżonego Obidzińskiego zważywszy na to, że d-ca oddziału, który pozwolił się rozbroić nie powinien pozostawać

nadal w służbie czynnej ze względu na samą powagę oficerskiego munduru, Trybunał zastosował przepis z § 34 cz. 2. pkt. 2. i z § 40 cz. 2. pkt. 1 kkw. orzekającego zwolnienie tegoż ze służby.

Oskarżonemu mjr. Wacławowi Biernackiemu akt oskarżenia zarzuca, że dnia 6. XI. 23 r. w Krakowie przez doradzenie oskarżonym Obidzińskiemu, Skarskiemu i Nowakowskiemu, by najlepiej odmaszerowali z plant, by nie występowali przeciwko tłumowi, gdyż te oburzone są jedynie na policję, a wojsku nic nie zrobią, przyczynił się do tego, że wymienieni oskarżeni w tem większą popadli bezradność i zachowali się wbrew przepisom obowiązujących ich w służbie asystenc., a zatem, że przyczynił się do popełnienia przez Obidzińskiego, Skarskiego i Nowakowskiego występkę naruszenia obowiązków służbowych, skutkiem czego powstała znaczna szkoda dla skarbu, osób prywatnych porządku i bezpieczeństwa publicznego, gdyż tłum korzystając z bezradności oficerów rozbroił 2 kompanie i użył zdobytej w ten sposób broni do walki przeciwko policji i wojsku. Czyn ten kwalifikuje oskarżenie, jako występki z § 5, austr. uk. i 141 ust. 1 i 2 kkw. po rozpatrzeniu sprawy Trybunał z zapodań samego oskarżonego tudzież współoskarżonych Obidzińskiego i Skarskiego, ustalił, że oskarżony mjr. Biernacki przechodząc przypadkowo koło stojących przed Domem robotniczym 4 i 6 komp. 2/16. p.p. zawiązał rozmowę ze znajomym sobie z Tarnowa por. Skarskim, a następnie z kpt. Obidzińskim z którym się przy tej sposobności poznał. Widząc zaś bezradność i zdenerwowanie oskarżonego Obidzińskiego, uspokajał go, przytaczając powyżej podane argumenta, poczem poszedł dalej i w dalszych wypadkach, związanych z rozbrojeniem udziału już nie brał. Natomiast Trybunał nie mógł ustalić żadnego przyczynowego związku pomiędzy rozmową, oskarżonych Obidzińskiego i Skarskiego z oskarżonym Biernackim, oraz z rozbrojeniem, jakie później nastąpiło, a nawet i zachowaniem się tychże oficerów. Zważywszy nadto, że oskarżeni Obidziński i Skarski pierwotne swoje zeznania obciążające oskarż. Biernackiego na rozprawie odwołali, Trybunał uznał, że wprowadzie mjr. Biernacki postąpił niewłaściwie, gdyż widząc młodszego od siebie oficera bezradnym i zdenerwowanym w krytycznej chwili zamiast ingerować, dopomóc mu w ciężkiej sytuacji, ograniczył się na rozmowie bardzo z resztą wątpliwej treści, nie mniej rozmowa ta nie ma najmniejszego związku z dalszem zachowaniem się oskarżonych.

Wobec zaś konieczności ustalenia ścisłego przyczynowego związku przy kwalifikacji czynu, jako występkę z § 5 austr. uk. i jak w danym razie § 141 kk 2. Trybunał nie mogąc tego związku ustalić w myśl przepisu § 306. pkt. 4. wpk. oskarżonego mjr. BIERNACKIEGO od oskarżenia uwolnił.

Protokolant:
(—) Lubowiecki m.p.
porucznik

Przewodniczący rozprawy:
(—) Dr. Dąbrowski m.p.
Pułkownik K.S.

PRZEDRUKI

O MARSZ. PIŁSUDSKIM W... 1941 R.

Poniższe artykuły ukazały się w jednodniówce wydanej w maju 1941 r. przez grono uchodźców, mieszkających w schronisku Polskiego Czerwonego Krzyża w Grand Hôtel w Grenobli, bezpośrednio po katastrofie francuskiej. Jednodniówka była wydana dla uczczenia pamięci Marszałka Piłsudskiego, ukazała się w 139 egzemplarzach, odbitych na powielaczu (192 str.) pod redakcją Wł. Pobóg-Malinowskiego, Jerzego Paczkowskiego i Czesława Chowańca.

P. Henryk Jabłoński jest obecnie Ministrem Oświaty i Szkolnictwa Wyższego i członkiem KC PZPR, Cz. Bobrowski był ostatnio wiceprezesem Rady Ekonomicznej przy Radzie Ministrów PRL.

W związku z uroczystościami związanymi ze stuletnią rocznicą urodzin Marszałka Piłsudskiego przedruk tych artykułów wydał się nam interesujący.

REDAKCJA

Cz. BOBROWSKI-KOROLKO

NAKAZ WIELKOŚCI

Odległość od kraju i skala przeżyć ostatniego okresu zastępuje ten dystans, który zazwyczaj daje nam dopiero upływ czasu, dystans, który zacierając cechy drugorzędne, tym bardziej uwypukla najgłębszą istotę jednostki historycznej.

W niezwykle bogatej sylwetce Józefa Piłsudskiego, sylwetce, w którą legenda włożyła tyle nieraz sprzecznych ze sobą dążeń i marzeń, możemy próbować wykryć to, co nie jest już dowolnym wkładem naszych własnych pragnień, co nie jest poszukiwaniem wysokiej aprobaty wielkiego człowieka dla zajmowanej

przez nas samych postawy, lecz jest wartością stałą o walorze powszechnym. Nie sięgajmy w tym krótkim artykule, — ba — mniej niż artykule, w tych słowach, mających być raczej miarą petyzmu, niż rezultatem wysiłku intelektualnego, po szerokie uzasadnienie, po głęboką i szczegółową analizę. Uciekając się do prostego chwytu myślowego, zadając sobie pytanie, czym dziś jest dla nas Józef Piłsudski, nie jako wspomnienie, lecz jako prawda historyczna nadal żywa, nadal obowiązująca, — znajdujemy łatwą i prostą odpowiedź, która z dnia na dzień znajdować będzie dalsze i mocniejsze potwierdzenie.

Nie wiemy, co czeka Europę, nie wiemy, co czeka świat cały, nie wiemy, jakie etapy jeszcze przed zwycięskim zakończeniem przeżyć musi jeszcze obecna wojna. Ufamy — a rozum dla tej ufności z dnia na dzień widzi coraz więcej argumentów — ufamy w koniec zwycięski, ale nie wiemy, w jaką formę przyoblecze się zwycięstwo, jakie siły i okoliczności kształtować będą przyszły teren, przyszłe siły Rzeczypospolitej. Nie wiemy, jaką będzie postawa Kraju, jego myśl i wola polityczna po zakończeniu wojny. A jednak ta niewiedza nie tylko nie odbiera nam otuchy, ale — co więcej — nie odbiera nam ambicji, nie odbiera nam świadomości myślenia, nie zmniejsza rozmachu koncepcji polityczno-państwowych, niesprecyzowanych ciągle, często rozbieżnych ze sobą, lecz zawsze nacechowanych przekonaniem, że przypadnie naszemu krajowi rola pierwszorzędna, rola na miarę naszej dynamiki, której tak nieoczekiwane dla nas samych dowody dał nam ostatnim — gdyby nie to — tragicznym okresie. To nie tylko cecha naszego myślenia. To także cecha naszego działania. Jeśli tej cechy nie odnajdziemy w tym czy innym politycznym posunięciu doby ostatniej, — to tkwi ona z pewnością w tym, co ma dla doby ostatniej znaczenie decydujące, — w zajęciu i konsekwentnym realizowaniu, choćby kosztem największej ofiary krwi — postawy walki zawsze, wszędzie i do końca.

Różne są remedia, których chwytają się narody po klęsce. Trzeźwy, zrównoważony, realistyczny naród francuski szuka dziś źródeł nowej siły w uznaniu swojej klęski, w wyparciu się złudzeń, w mierzeniu sił na zamiary, w wycofaniu się pozornym z wielkiej gry, w wykorzystaniu przerwy dla przebudowy wewnętrznej. Inna jest droga narodu polskiego. Dwie ją znamionują cechy, dwie rzeczy, w których szukamy źródeł dla siebie: jedna — to odrzucenie wszelkiego kompromisu, bezwzględna postawa i bezwzględna wiara, chociażby trzeba było *contra spem sperare*; dla drugiej nie widzę lepszego określenia, niż termin, wzięty z języka naszych gospodarzy: *voir grand*. Tym przecież żyjemy, to przecież sprawia, że uchodźstwo polskie nie przechodzi i nie prze-

dzie politycznego załamania; to decyduje o tym, że nie zjawił się polski Hacha i nie zniknął ani na chwilę polski sztandar bojowy. Jesteśmy tu wierni wielkiej linii, prowadzącej poprzez szczyty całej naszej historii, historii narodu, zamieszkałego w kraju niebogatym wyposażonym przez naturę, nie faworyzowanym przez klimat, nie chronionym przez granice naturalne, narodu, który tylko w samym sobie mógł i musiał szukać siły. To prawda, aleć przecie na przestrzeni nie tylko ostatniego stukilkudziesięciolecia, ale na przestrzeni całych naszych dziejów, gdzie szukać wyraźniejszego wykładnika, wiary wbrew wszystkiemu, niż w Tym, co postulat (nie hasło, lecz postulat) niepodległej Polski wysuwał wtedy, kiedy polityczne konsyderacje najwyższej o autonomii marzyć pozwalały. Gdzie szukać uporu w walce bardziej bezwzględnej, bardziej „litewskiej”, niż w Tym, co zanim mundur polskiego żołnierza włożył, przybierał dla walki strój legionisty lub bojowca tak, jak dzisiejszy żołnierz polski, zanim do polskiego munduru wróci, poprzez pół francuski i pół angielski przejść musi, chwytając każdą formę i każdy teren walki. Gdzie szukać wreszcie większego rozmachu myśli politycznej, większej skali ambicji, niż w Tym, który lat kilkanaście temu przekreślił wiele złudnych problemów społeczno-politycznych, które dla nas zjadaczy chleba przekreśla dopiero dzisiejsza katastrofa, niż w Tym, co ważył się własnymi siłami próbować rozwiązać nierozumiany wówczas jeszcze przez nikogo problem Europy środkowej, zanim jeszcze nastąpiło zrośnięcie trzech zaborów, zanim jeszcze Polska zyskała dynamikę, pozwalającą jej objąć rolę przodowniczą wśród otaczających narodów. *Voir grand* i trwać uparcie w śmiałej wizji — oto najtrwalsze i najcenniejsze cechy, wykute w psychice polskiej przez Wielkiego Wychowawcę, tym większego, że choć na pewno nie zdołał ich zaszcześcić wszystkim swym zwolennikom, lecz zdołał za to wykształcić je u wielu swoich wczorajszych przeciwników.

Voir grand i trwać uparcie w śmiałej wizji, nie tracąc równocześnie ani jednej chwili, aby potencjalną siłę, jaką jest żywy i wielki naród, przekształcać na siłę działającą, jaką jest organizacja tego narodu. I jeśli przystoi obok wielkich rzeczy mówić o małych, ale bliskich i codziennych, to przecież z tej samej szkoły Józefa Piłsudskiego wywodzi się ta postawa, która nas różni od wszystkich dotychczasowych polskich i niepolskich emigracji politycznych. Zaledwie pocujemy twardszy grunt pod nogami, zaledwie zniknie z horyzontu troska o materialne jutro — wszędzie wyrasta chęć i wysiłek pracy dla tego wielkiego Jutra, które nas oczekuje. Dwakroć rozbita armia zbiera się po raz trzeci, dwakroć rozproszeni skupiamy się po raz trzeci, by tworzyć, by

podejmować wysiłek, by poza formami normalnego państwa szukać rozwiązań organizacyjnych dla potrzeb wielkiego narodu, by chronić przed zmarnowaniem jego siły intelektualne, jego młodość. To my, ci, których fala wypadków wyrzuciła daleko. Ale z tych ułamków wieści, które docierają do nas z Kraju, widzimy przecież, że ta nasza postawa jest echem, o ileż trudniejszej, o ileż ważniejszej postawy Kraju, który wysiłkiem powszechnym realizując to, co lat trzydzieści temu z małą tylko garstką realizował Józef Piłsudski.

Cz. BOBROWSKI-KOROLKO

PIŁSUDSKI JAKO HISTORYK

Nic nie upraszcza tak pracy historycznej, jak dystans, dzielący historyka od omawianego zjawiska dziejowego. W danym wypadku sytuacja jest o tyle trudniejsza, że jak widać choćby z niniejszej książki, postać Piłsudskiego nie jest jeszcze zwykłą „pozycją historyczną”. Z drugiej jednak strony moja długa przynależność polityczna do ugrupowania, pozostającego w zdecydowanej opozycji do Piłsudskiego lat ostatnich i jego obozu, pozwala na spokój i krytycyzm, tym potrzebniejszy, że omówić pragniemy rolę Piłsudskiego nie jako wodza czy polityka, lecz jako pracownika naukowego.

Tych kilka słów wstępu uważałem za konieczne, aby mocniej zaakcentować swój obiektywizm i wytłumaczyć „nierocznicowy” charakter artykułu. Gdy grono wielbicieli Marszałka przedstawić pragnie swój pełen miłości stosunek do niego, może nie będzie rzeczą zbyteczną spojrzeć nań z innego punktu widzenia, aby tym lepiej i wszechstronniej poznać człowieka, którego życie jest gęsto zapisaną kartą historii naszego narodu.

Gdy myślimy o Piłsudskim jako historyku, za punkt wyjściowy rozważań wziąć musimy nie noszące charakter wspomnień „Moje pierwsze boje” i „Bibułę” lub pracę o roku 1920, lecz bogaty jego dorobek, dotyczący powstania styczniowego. Przekorny los zdarzył, że jedyna praca Marszałka, omawiająca całokształt powstania, nie skończona wprawdzie i stanowiąca tylko drobiazgową dyspozycję obszernego studium, pozostała w rękopisie. Druk jej przerwał wybuch wojny w roku 1939. Wystarczy jednak znanych szerokiemu ogółowi studiów o 22 stycznia, Rządzie Narodowym i Historii Militarnej Powstania, aby postawić Piłsudskiego w rzędzie czołowych historyków polskich i całko-

wicie umotywować, przejściowy zresztą u Marszałka, plan objęcia, po usunięciu się do Sulejówka katedry na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

Piłsudski pełen podziwu i pietyzmu dla powstania, patrzył jednak na nie, mimo serdecznej przyjaźni z Bronisławem Szwarcem, krytycznie, nie szczędząc słów gorzkich i cierpkich jego przywódcom. Mimo naukowej metody pracy nie sama pasja badawcza tkwiła u podłoża zainteresowań się Piłsudskiego insurekcją styczniową. Walczący o niepodległość kraju konspirator, marzący o stworzeniu polskiej siły zbrojnej, badał przeszłość celem lepszego zrozumienia teraźniejszości. Ten utylitarny punkt widzenia dyktował mu tematy zainteresowań, ogniskujące się wokół trzech zagadnień: problemu władzy narodowej, materiału ludzkiego i charakteru walki zbrojnej. Nic dziwnego! Po rząd dusz polskich sięgający Piłsudski szukał wzorów i porównań, odkryć pragnął, w czym tkwiła siła tajemniczej pieczętki Rządu Narodowego, skontrolować chciał, czy wybrana przezeń baza społeczna potrafi zdać egzamin w decydującej chwili, szukał wreszcie przyczyn kłesk i sukcesów powstańczych sił zbrojnych.

W powstaniu szukał Piłsudski genezy teraźniejszości, widział w nim zamknięcie starej i powstanie nowej epoki w życiu naszego narodu. „Na progu nowoczesnego życia społecznego stoją wydarzenia 1863 roku. Wyrasta mur olbrzymi, dzieląc pokolenia od pokoleń, czyniąc nowe życie, zamykając stare — mur, na którym tryskają ogniem pisane cyfry: 1, 8, 6, 3. Płonęły te cyfry świadomie dla myślących, bezwiednie dla wszystkich, tworząc i kształtując duszę nowego, popowstaniowego Polaka — nowe zjawiają się załomy duszy, inne nerwy, całkiem odmienny sposób odczuwania i reagowania”.

Pociągnięty i rozentuzjasmowany powstaniem, rzuca sformułowania nowe, choć nieco stylizowane: „Gdy badam tę epokę i porównywan ją z innemi, to śmiało powiedzieć mogę: ludzie byli wówczas wulkanami, biło w nim to, co w nich żyło — pogarda, niechęć, nienawiść, zbliżona prawie do wojny domowej. I gdy życie mego narodu w różnych epokach porównywan, to znam tylko dwie epoki podobne do tej Treuga Dei. Jedna — gdy palec Boży dotknął naszej ziemi i wulkany trysnęły, żeby z nas Herkulanum i Pompeję na wieki zrobić, gorącym popiołem wulkanu, jak w mogile, zasypać — tam znajdujemy tę samą nienawiść, tam znajdujemy tę samą walkę, tam toczyła się wojna domowa. A druga — to epoka, gdy wśród wulkanów świata ziemia nasza na nowo, nad potoki lawy gorącej się dźwigała, gdy te Herkulanum i Pompeja, w mogile zasypane, spod popiołów żywemi się stawały — to epoka nasza!”

Ten sam Piłsudski, co o narodzie naszym rzucał słowa ostre, o ludziach epoki 1863 r. mówi z entuzjazmem: „Gdym karty historii Rządu Narodowego przerzucał, pytałem siebie, gdzie przy tej cudownej Treuga Dei był spór, gdzie podziały się te namiętności, które przy wybuchu powstania tak, żywo grały? Czy Czerwoni i Biali, jedni i drudzy, przebrali się w kolor różowy i różaną wodą zlewali siebie ku uspokojeniu własnemu? Nie! Ludzie zostali ludźmi, a z nimi namiętności i ich siła. Umieli się przewyciężyć, a przy tym zwycięstwie nawet ludzie mali stanęli do pracy, jako ludzie godni swojej epoki”.

„Wielkości, gdzie twoje imię?”

„Rok 1863 dał wielkość nieznaną, wielkość, co do której i teraz świat wątpi, gdy mówi o nas, wielkość, zaprzeczającą wszystkiemu temu, co my o sobie mówimy: wielkość cudu pracy, ogromu siły zbiorowej, siły zbiorowej i wysiłków woli, siły moralnej, nie Treuga Dei szui zbiorowej, nie Treuga Dei tchórzów, lecz Treuga Dei ludzi, którzy w wielkiej godzinie, gdy palec Boży ziemi dotknął, rosną w olbrzymy olbrzymiej pracy moralnej”.

W usymbolizowaniu w posłuchu dla wybladłej pieczętki Rządu Narodowego wielkości epoki 1863 r. zamyka się ogólny pogląd Piłsudskiego na powstanie. Pogląd w historiografii naszej nowy, obcy krakowskiej szkole krytyków niedowarzonych odruchów patriotycznych, nigdy nie sformułowany przez entuzjastów romantycznych wysiłków zbrojnych. „Szaleństwo”, mówili jedni, „bohaterstwo” — drudzy. Piłsudski rzekł: „Cud pracy, ogrom wysiłku zbiorowego”. I nic to, że dla takiej stylizacji przemilcza właściwie Piłsudski — bo mówi o tym tylko we wstępie do książkowego wydania odczytu — całokształt wewnętrznych walk w powstaniu, ciągłych zamachów stanu i zmagani się o rządy — ogólny obraz jest prawdziwy, choć nieco może przejawskawiony.

Do sformułowania tego doszedł Piłsudski na podstawie ograniczonego materiału źródłowego. Dostęp do archiwów rosyjskich był dla niego zamknięty, za punkt wyjściowy brać musiał dostępne druki i opracowania poprzedników. Brak wyrozumiałości dla błędów ludzkich wyostrzał jego umysł krytyczny przy analizie Awejdy czy Majewskiego, nieufnie patrzył na Przyborowskiego, który w szeregu swych dzieł udowodnić pragnął, że „co nam obca przemoc wzięła, mocą nie odbierzemy”, największą może sympatią darzył Rosjanina Berga. W tych warunkach to, co zdumiewa najbardziej, to fantastyczna wprost intuicja, olbrzymia śmiałość sądów, błyskotliwość sformułowań.

Nie utrzymuje Piłsudski dystansu między sobą i ludźmi pow-

stania. Podziw i zazdrość czuć, gdy mówi o autorytecie Rządu Narodowego, pobłażliwość, smutek, a zarazem podświadoma radość tkwi w ocenie materiału ludzkiego w styczniowej insurekcji. Najsilniej wiążąca się z momentem ogólnej oceny powstania zagadnienie jego bazy społecznej przeanalizował poważnie, choć mimochodem tylko, ale pierwszy — Piłsudski. Zżyma się, że marny to pod względem wojskowym element ci rzemieślnicy, kupczyki, łyczki przeróżne, studenci, młodzież w warsztatach wybladła, ale widzi, że ci sztuki rycerskiej nieświadomi byli kołem rozruchowym rewolucji. Czy to nie argument o słuszności wybranej drogi?

A w ślad za tym głęboka i przenikliwa krytyka wodzów powstania. I znów nie waha się Piłsudski scienionanego przez historyków i nieco pobłażliwie traktowanego Jarosława Dąbrowskiego wysunąć na czoło. On jeden bowiem rozumiał znaczenie „centrów akcji”, on jeden system walki chciał związać z pozostającym do dyspozycji materiałem ludzkim i środkami technicznymi. Ma się wrażenie, że to nie historyk, lecz kierownik Wydziału Bojowego z roku 1905 zastanawia się, dlaczego Warszawa i Łódź w roku 1863 nie ściągały, lecz rozsyłały wojska rosyjskie. Czemu to właśnie miejski powstaniec i żołnierz zaborczy z tego samego szli centrum, by spotkać się zbrojnie wśród polskich lasów? Pytanie Piłsudskiego podchwycili młodszy zawodowi historycy, często nie tylko z samym Piłsudskim, ale nawet z istniejącym Państwem Polskim skłóceni, jak autor monografii o Dąbrowskim Przebyszewski i inni. I pozwólmy sobie strawestować przytoczone wyżej zdanie: odważniejsi świadomie, inni bezwiednie brali w swych pracach pobudkę z myśli i tez Piłsudskiego. W tych warunkach na plan dalszy usuwa się kwestia, że był on pierwszym, który historię militarną starał się usystematyzować, że z jego wreszcie polecenia i pod jego kierunkiem rozpoczął Gąsiorowski przygotowania do naukowej organizacji studiów nad powstaniem przez opracowanie bogatej bibliografii przedmiotu.

Henryk JABŁOŃSKI

RECENZJE I POLEMIKI

ERKA

NA MARGINESIE „BITWY O TAJEMNICE”

*wywiad to jest mądra rzecz —
ale nie dla głupich ludzi.*

W s t ę p

W pierwszej połowie 1967 roku na półkach księgarskich w Warszawie ukazała się *Bitwa o Tajemnice**, książka którą rozchwymano w ciągu kilku dni. Temat, po dziś dzień uznany za „tabu”, daje książce posmaczek sensacji, lecz przy uważnym czytaniu sensacji nie znajdujemy. Treść zawiera informacje o wywiadzie polskim i niemieckim, podaje cytaty ze znanych lub mniej znanych publikacji fachowych oraz różne wnioski autora. Zdarzają się mylnie opisane wydarzenia i osoby ale może w drugim wydaniu, już przygotowywanym do druku w Warszawie, autor usterki te usunie.

Opis pracy Oddziału II Sztabu Głównego, potocznie zwanego „dwójką” był opisywany przez autorów polskich przeważnie dorywczo — jako tło romantycznych historii szpiegowskich. W okresie przedwojennym książek o szpiegostwie w Polsce czy też o wyczynach asów wywiadu polskiego zagranicą — prawie że nie było. W „prasie czerwonej” drukowano opisy rozpraw sądowych o szpiegostwo lecz jedynie podając fakty nieistotne w „walce mózgów”. Przypominam sobie opis rozprawy przeciwko majorowi D. oskarżonemu o szpiegostwo na rzecz Rosji i opis rozprawy przeciwko działaczom Volksbundu na Górnym Śląsku w latach 1928/30 — lecz to wszystko. Przebieg rozpraw szpiegowskich, nawet często zakończonych wyrokiem śmierci, był znany publiczności jedynie z jałowej treści wyroku sądowego. Ta zwięzłość i brak komentarzy, były ściśle przestrzegane tak przez wła-

* Władysław Kozaczuk, *Bitwa o Tajemnice*, Warszawa 1967, 313 str., 2 mapki.

dze, które wykryły aferę, jak i władze które aferę prowadziły i nie chciały się przyznać do porażki oraz do zasądzonych pracowników.

Mieliśmy za to dokładne opisy takich afer jak płk. szt. gen. armii austriackiej Alfreda Redla, kpt. A. Dreyfusa, tancerki Mata-Hari czy też kapitana marynarki Franz von Papena.

W roku 1954 w Londynie ukazała się książka, napisana przez znanego autora, Bernarda Newmana, pt. „The Sosnowski Affair” opisująca przebieg tej afery. Do dziś nie rozwiązano zagadki czy Sosnowski był szpiegiem niemieckim. Na skutek groźby kroków sądowych o zniesławienie, wydawcy wycofali książkę ze sprzedaży lecz opis tej afery w tłumaczeniu był drukowany w odcinkach *Dziennika Polskiego* w Londynie.

Newman, od lat znany przyjaciel sprawy polskiej czemu dał dowód w swoich publikacjach (*They saved London*), otrzymał od osób które brały czynny udział w aferze, względnie prowadziły dochodzenia w tej sprawie, szereg informacji powtórzonych w książce, którą określił *inquest on a spy*. Książka w oryginale angielskim zawiera szereg nieścisłych tłumaczeń z terminologii wywiadu polskiego, niemniej jednak, zwłaszcza czytelnik polski, po raz pierwszy dowiedział się z niej o nazwiskach oficerów wywiadu polskiego, jak major Studencki, ppłk. Rosner, kapitan Stanak, ppłk. Tataara, którzy brali udział w aferze. Nie jest zbieganiem okoliczności ale ostrożnością ze strony autora że z nazwiska wymienia osoby nieżyjące. Natomiast o żyjących, albo podaje ich funkcje, lub jedynie inicjały nazwisk. Książka Newmana została wycofana z obiegu i dziś można ją znaleźć tylko w niektórych prywatnych bibliotekach i w krajach gdzie nie sięga sądownictwo brytyjskie.

Zatrzymałem się dłużej nad tą publikacją gdyż dała ona późniejszym autorom wspomnień, „dokumentalne” dane o aferze, powtarzane często bez podawania źródła co tylko zaciemnia obraz. Na temat Sosnowskiego ukazało się setki reportaży dziennikarskich; nas interesują one jedynie o tyle — o ile wnoszą coś nowego do sprawy. Newman który, po wojnie, w Warszawie szukał śladów Sosnowskiego, podaje że polski dziennikarz Aleksander Junosza-Gzowski w roku 1946 wydał w Polsce książkę, podobno na podstawie informacji od samego Sosnowskiego. Niestety nie udało mi się tej książki odszukać.

W roku 1959 w kilkunastu numerach *Tygodnika Ilustrowanego* ukazały się artykuły z cyklu „Ze wspomnień oficera wywiadu”. Autorem jest major Tadeusz Nowiński, oficer kawalerii z pięknymi odznaczeniami bojowymi z wojny 1918/20. Podaje on, jak w roku 1933 przydzielony do Oddziału II. Sztabu Głównego pracował przez 3 lata w wydziale kontrwywiadu; w latach 1936/39 kierował placówką wywiadowczą w Leningradzie. Po powrocie do Centrali, w sierpniu 1939, wyjechał jako oficer łącznikowy do wywiadu francuskiego w Paryżu. We wrześniu 1939, szef wywiadu, na skutek przymusowego pobytu w Rumunii, zlecił mu kie-

rownictwo placówek wywiadowczych na Zachodzie, co jednak nie trwało długo.

W swoich „Wspomnieniach” opisuje wiele wydarzeń, tarcia personalne, aferę Sosnowskiego, z którą się zapoznał z racji pracy w wydziale KW, daje szereg zakulisowych informacji o Oddziale II, lecz istotnych zasad pracy wywiadu polskiego nie omawia.

W sierpniu 1960 roku w czterech kolejnych numerach tygodnika *Świat* (21, 28. 8. i 4, 11. 9.) ppłk. dypl. Tadeusz Szumowski omawia sytuację wojskową Polski w okresie przedwrześniowym, kładąc specjalny nacisk na opis struktury i wartość polskiego wywiadu. Podkreśla anomalię — podległość polskich placówek wywiadowczych w Czechach i Słowacji, gdzie od 15 marca 1939 były już oddziały Wehrmachtu, referatowi Wschód, którego oficerowie wywiadowczy nie byli szkoleni w identyfikacji odznak i oddziałów niemieckich.

Autor, przez kilka lat pracował w Oddziale II Sztabu Głównego i 1. 4. 1939 objął kierownictwo referatu Zachód O. II., który prowadził głęboki wywiad na Niemcy. Zna on zagadnienie a opierając się głównie na swoich notatkach, podaje rzeczowe uwagi bez napaści osobistych.

W rok później *Polityka* w numerach 39/40 ogłosiła opracowanie J. Orlicza i Z. Zwita „Wywiad polski w III Rzeszy”. Opracowanie to jest w zupełnie innym stylu niż cytowane powyżej. Napisane prawdopodobnie przez „pracowników naukowych” a może nawet przez oficerów Oddziału II., opiera się głównie na dokumentach i raportach, znajdujących się w Wojskowym Instytucie Historycznym i w Archiwum Zakładu Historycznego Partii. Nie ma w nim tylu ujemnych, przeważnie osobistych uwag, jak w poprzednich „Wspomnieniach”.

Autorzy przedstawiają organizację referatu Zachód, którym do 15 sierpnia 1939 kierował major dypl. T. Szumowski. Z chwili wybuchu wojny ta najważniejsza komórka wywiadowcza w Sztabie Głównym była bez kierownika. Powtarzają oni omawiane poprzednio fakty podległości placówek wyw. w Czechach i Słowacji — referatowi Wschód. Podkreślają wydajność pracy i trafną ocenę sytuacji w okresie przedwrześniowym kierowników placówek w Lipsku, Wrocławiu i Budapeszcie.

Autor czy autorzy?

Po tym, może zadługim wstępie, zajmijmy się teraz książką *Bitwa o Tajemnice*.

Sądząc po stylu, różnym w prawie każdym rozdziale, prawdopodobnie jest to praca zbiorowa, napisana przez „pracowników naukowych” Oddziału II. Podane nazwisko autora, Władysław Kozaczuk, jest pseudonimem. Autor podaje że zna temat „ze ślęczenia nad pożółkłymi już archiwaliami z lat dwu-

dziestych i z początku lat trzydziestych, których uważna lektura ewokowała w wyobraźni dawne dramaty i zmagania”.

W omówieniu podstawowych źródeł i opracowań podano:

„Warstwa faktograficzna pracy opiera się w ogromnej większości na ocalałych materiałach archiwalnych, znajdujących się w Centralnym Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (CAMSW), Zespoły akt Oddziału II. Sztabu Głównego (zwłaszcza zespoły: referatu Zachód, wydziału wywiadowczego, samodzielnego referatu sytuacyjnego „Niemcy”, ekspozytur nr 3 i 4, attaché wojskowego w Berlinie) oraz komunikatach Oddziału II dotyczące niemieckich sił zbrojnych i sytuacji wewnętrznej Rzeszy, znajdujących się w bibliotece naukowej CAMSW.

Do sformułowania stwierdzeń dotyczących organizacji, struktury, obsady kadrowej zadań poszczególnych ogniw — wykorzystane zostały niektóre dane zawarte w sprawozdaniu o działalności Oddziału II, zestawionym wiosną 1940 r. we Francji na zlecenie gen. Sikorskiego w ramach zapoczątkowanych badań nad przyczynami klęski wrześniowej w różnych dziedzinach. Materiał ten (około 140 stron maszynopisu), częściowo zdekompletowany, stanowi *résumé* kilkudziesięciu sprawozdań pisemnych i relacji ustnych byłych oficerów Oddziału II, którzy po klęsce wrześniowej znaleźli się we Francji (opracowane przez b. oficera Oddziału II majora Lucjana Sadowskiego). Dokument zawiera dane o pracy Oddziału według stanu na rok 1939 i tylko fragmentarycznie porusza kwestię rozwoju i działalności wojskowej służby informacyjnej w dwudziestolecie. Referent opracowania stwierdza m.in. na wstępie, iż nie otrzymał „sprawozdań oficerów którzy piastowali kierownicze stanowiska w Oddziale II i którzy sprawozdań — niektórzy mimo kilkakrotnych przynagłeń — nie przedstawili”. Również jeśli chodzi o wiarygodność i obiektywizm omawianego dokumentu, zachodziła potrzeba starannego konfrontowania zawartych w nim stwierdzeń i faktów z materiałami archiwalnymi, przy czym wyszło na jaw szereg istotnych luk i zniekształceń (np. w kwestii berlińskiej placówki rtm. J. Sosnowskiego, sztabowej współpracy polsko-czeskiej oraz wielu innych). Tym niemniej sprawozdanie L. Sadowskiego ułatwiło autorowi samodzielne poszukiwania i selekcję materiału archiwalnego.

Wykorzystane zostały w pracy niektóre archiwalia Centralnego Archiwum Wojskowego (CAW) i Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zwłaszcza dla lepszego rozeznania roli i pozycji Oddziału II w układzie wojska i cywilnych organów państwowych.

Z materiałów znajdujących się w Deutsches Zentralarchiv (DZA) Potsdam, zaczerpnięto niektóre wiadomości, obrazujące stan i rozwój niemieckich służb informacyjnych i pokrewnych w dobie przedhitlerowskiej oraz po styczniu 1933 r. (w znacznie mniejszym zakresie wobec nader szczerzej liczby tego rodzaju materiałów w zasobach archiwum).

Wszystkie cytaty zawarte w książce, jeśli nie zaznaczono inaczej zaczerpnięte są z oryginalnych dokumentów Oddziału II Sztabu Głównego, głównie z opracowań syntetycznych (sprawozdań, protokołów odpraw, dokumentów wewnętrznych itp.). Szczegółowe dokumentowanie ich w odsyłaczach zostało pominięte z uwagi na dotychczasowy stan opracowania tych archiwaliów a także świadome zrezygnowanie z erudycyjnego formowania tworzywa książki. Przy obecnym znikomym stanie wiedzy o przedmiocie pracy oraz wobec braku jakichkolwiek systematycznych opracowań byłoby to przedsięwzięciem praktycznie niewykonalnym”.

Przytoczona lista publikacji zawiera 60 tytułów znanych wydawnictw z dziedziny wywiadu i polityki.

Oprócz autorów jak J. Beck — *Ostatni raport*, J. Laroche — *La Pologne de Piłsudski*, P. Leverkühn — *German Military Intelligence* (dlaczego nie oryginał niemiecki?) W. Nicolai — *Geheime Mächte*, O. Reile — *Geheime Ost Front*, i Max Ronge — *Kriegs & Industrie Spionage*, na uwagę zasługuje wykorzystanie źródeł polskich: ppłk. dypl. K. Banach — *Zasady i metoda pracy O. II. Sztabu*, Warszawa 1938; W. Stpicznyński — *Polska która idzie*, Warszawa 1929; ppłk. dypl. M. Ścieżyński — *Radiotelegrafista jako źródło wiadomości*, Przemysł 1928; oraz referat płk. dypl. T. Schaetzla — *Oddział II a armia*, wygłoszony 25 stycznia 1929, zachowany w rękopisie.

Archiwum na Forcie Legionów Dąbrowskiego

Pułk. niemieckiej Abwehr, Oskar Reile, opisując w swojej książce *Geheime Ostfront* pracę w wywiadzie niemieckim na granicy polskiej, w tym 11 lat jako kierownik placówki wywiadowczej w Gdańsku, tak przedstawia znalezienie dokumentów Oddziału II Sztabu:

Kierownictwo Abwehry w planach na wypadek wojny przewidywało organizację grup wywiadowczych (*Abwehrtrupps*) w sile 12 do 15 ludzi które pod dowództwem specjalnie wyszkolonych oficerów wywiadowczych miały się posuwać z czołowymi formacjami bojowymi, by na zajęтым terenie nieprzyjacielskim w biurach obcego wywiadu szukać dowodów tożsamości agentów pracujących wywiadowczo w Niemczech.

Pierwsze praktyczne użycie takich grup miało zastosowanie w marcu 1939 przy zajęciu Czech i Moraw. Kierownik Abwehrtrupp major Schnellschlager, prowadzący kontrwywiad na agentów brytyjskich i czeskich w Pradze, znał dokładnie ich adresy i rysopisy. Po zajęciu Pragi, mimo przekazania niemieckiej Fieldpolizei adresów poszukiwanych agentów — nikogo nie aresztowano gdyż wszyscy zdążyli na czas opuścić Pragę samolotem do Londynu. Nikt nie przewidział natychmiastowego wprowadzenia kontroli ruchu pasażerów opuszczających Pragę.

Nauczona tym doświadczeniem, Abwehra zarządziła, aby w Polsce Abwehrtrupps posuwały się jak najbliżej pierwszej linii bojowej i by zaraz po wejściu do miejscowości gdzie były biura polskiego wywiadu szukały personalii agentów pracujących w Niemczech.

Po zajęciu Warszawy Hauptman Bulang ze swoją Abwehrtrupp od razu skierował się do budynku Sztabu Głównego przy placu Piłsudskiego.

Oddajemy głos płk Reile:

„Tu mieściła się centrala wywiadu polskiego. Stąd przez ponad 20 lat prowadzono wywiad i wojnę psychologiczną przeciwko Rzeszy Niemieckiej. Lecz obecnie biura te były puste a pracownicy Oddziału II Sztabu rozlecieli się po świecie. Ale uwaga! Oto stoją żelazne szafy na akta; 100 szaf w

całości. Może zawierają one tajne akta? Specjaliści otwierali jedną szafę po drugiej, lecz prawie wszystkie były puste. W trzech szafach znaleziono zbiór przepisów służbowych i regulaminów Wehrmachtu, książki adresowe wszystkich większych miast niemieckich, książki telefoniczne dyrekcji pocztowych i obszerną kartotekę emigrantów w całym świecie. Przypuszczalnie były to materiały pomocnicze kolegów z wywiadu polskiego. Ale w biurach Oddziału II nie znaleziono żadnych dokumentów tajnych ani też aktów personalnych agentów wywiadowczych wzgl. dywersyjnych pracujących przeciwko Niemcom.

Po długich bezowocnych poszukiwaniach w mieście, Abwehrtrupp doszła do wniosku że w Warszawie ważnego materiału wywiadowczego nie znajdują. Prawdopodobnie przeciwnik zniszczył bez śladu wszystkie cenne akta.

Po kilku dniach, Hauptman Bulang odbył dłuższy spacer, w czasie którego doszedł aż do Fortu Legionów. Fort ten, zbudowany jeszcze za czasów carskich, był obecnie bezwartościowym obiektem wojskowym.

Jedne z drzwi fortu były niezamknięte; Bulang pchnął je, wszedł do środka i oczom swoim nie wierzył: w dużej sali, na pułkach leżały wielkie paczki z napisami Attaché wojskowy Tokio, Attaché wojskowy Rzym i Paryż, Ekspozytura Bydgoszcz i wiele innych.

To były prawdziwe tajne akta w wielkiej ilości. W samych paczkach z napisami Ekspozytura Bydgoszcz musiały się znajdować opisy ciekawych afer, gdyż Ekspozytura ta, od szeregu lat kierowana przez majora Żychonia, prowadziła na wielką skalę wywiad na Niemcy i na Gdańsk.

Do przewiezienia tych aktów z fortu Legionów do odpowiednich biur Abwehry trzeba było sprowadzić aż sześć ciężarówek. Wykorzystanie tych materiałów doprowadziło do ujęcia około 100 osób, które pracowały dla wywiadu polskiego”.

Opis ten jest za piękny, aby weń uwierzyć bez ALE. Odnośnie znalezienia archiwum na Fortcie Legionów znam inną wersję.

Trudno sobie wyobrazić, aby po zajęciu Warszawy Hauptman Bulang znalazł czas na długi spacer, który doprowadził go aż do Fortu Legionów oddalonego o 6 km. od centrum miasta. Bulang po prostu pojechał tam na pewniaka, mając informacje, że w forcie znajduje się jakieś archiwum.

W forcie Legionów urządzono archiwum aktów wojskowych w tym również O. II. Sztabu. Z chwilą „zagrożenia”, na kilka tygodni przed wybuchem wojny, zwieziono tam akta, niestety zawierające również opisy starych afer i *dossiers* agentów, aby uchronić je przed ewentualnym zniszczeniem w czasie bombardowania stolicy. O poddaniu Warszawy nikt wtedy nie myślał. Przed laty czytałem w prasie krajowej, że z chwilą ewakuacji Warszawy w pierwszych dniach września 1939, ochrona archiwum wyjechała, zlecając nadzór nad fortem miejscowemu posterunkowi policji. Z chwilą wejścia Niemców do Warszawy „ktoś” (podobno wywiad A.K. ustalił tożsamość) doniósł o tajnym archiwum w forcie i w ten sposób Hauptman Bulang wybrał się na spacer, po którym stał się bohaterem dnia.

Jestem pewny że są osoby które lepiej znają ten epizod i zechcą moje informacje uzupełnić.

Archiwum z Fortu Legionów przewieziono do rejonu Gdańska, gdzie po bardzo sumiennym badaniu, wykorzystano wszystkie

możliwe dane o informatorach z terenu Niemiec i Gdańska. Dochodzenia szły tak daleko, że aresztowano osoby których nazwiska figurowały jako właścicieli książek telefonicznych znalezionych w Warszawie. Niestety, według bardziej autorytatywnych źródeł niż płk. Reile, można podać, że przed Reichskriegsgerichts stanęło pod zarzutem szpiegostwa nie 100 lecz 1000 osób. I większość była zasądzona.

Po klęsce Niemiec archiwum wraz z innymi aktami znalazło się w posiadaniu wywiadu sowieckiego, który z kolei wykorzystał je dla swoich celów, zatrzymał wszystkie potrzebne mu akta a resztę materiałów jaką uznał za stosowne, oddał do Archiwów w Polsce, gdzie obecnie są cenione jako dokumenty, które nie uległy „zniszczeniu” w czasie wojny.

Raport majora dypl. L. Sadowskiego

Jedną z pierwszych czynności nowopowstałego rządu gen. Sikorskiego w Paryżu, było powołanie do życia Komisji, która by ustaliła przyczyny klęski wrześniowej i napiętnowała winnych. Na posiedzeniu 10 października 1939 roku Rada Ministrów uchwaliła projekt dekretu Prezydenta R.P. powołania do życia komisji rządowej, której zadaniem miało być rejestrowanie faktów i zbieranie dokumentów oraz danych dotyczących przebiegu wypadków z okresu ostatnich miesięcy przedwojennych w Polsce. W skład komisji, działającej pod przewodnictwem gen. broni Józefa Hallera a podległej bezpośrednio premierowi, weszli ministrowie Stroński i Ładosz. Wiadomość o obu uchwałach przynosił *Monitor* z 12 października (nr 221-228).

Następnie zespół współpracowników generała Sikorskiego zdecydował, że komisja będzie dawała pełną gwarancję właściwego, to znaczy surowego, rozprawienia się z przeszłością, gdy skład jej uzupełni się delegatem ministra spraw wojskowych w osobie płk. dypl. dr. Izydora Modelskiego. Dnia 15 listopada opublikowano obwieszczenie w sprawie komisji rejestracyjnej (*Monitor Polski* z 16 grudnia 1939, nr 152-155). Zawierało ono pełny jej skład, to znaczy oprócz nazwisk gen. Hallera, min. Strońskiego i Ładosia również Modelskiego. *Monitor* wyjaśniał, że komisja ma za zadanie zebranie wszechstronnych informacji, materiałów i dokumentów, odnoszących się do przebiegu ostatnich wydarzeń w Polsce, oraz ustalenia ich przyczyn. Organ rządu zawierał ponadto wezwanie do nadsyłania wszelkich z tą sprawą związanych wiadomości i dokumentów do Konsulatu generalnego R.P. w Paryżu na rue Jean-Goujon.

30 maja 1940 roku rząd wydał w Angers dekret powołujący do życia komisję której zadaniem było „zebranie i zabezpieczenie przy zastosowaniu zwykłego postępowania sądowego materiału dowodowego, dotyczącego odpowiedzialności za wynik kampanii wojennej 1939 roku, we wszystkich dziedzinach administracji pań-

stwowej i obrony narodowej i zapewnienia tym sposobem należytego wymiaru sprawiedliwości w przyszłości*”.

Przewodniczącym komisji został dr Bohdan Winiarski, profesor prawa międzynarodowego Uniwersytetu Poznańskiego. Komisja składała się z sześciu członków i podlegała bezpośrednio prezesowi Rady Ministrów. Dochodzenia miała prowadzić przez osoby posiadające kwalifikacje sędziowskie. Akta dochodzeń po zakończeniu wojny miały być przekazane ministrowi Spraw Wojskowych i ministrowi Sprawiedliwości.

W komisji rejestracyjnej referentem opracowującym zagadnienie Oddziału II Sztabu Głównego został wyznaczony przez wiceministra Modelskiego — major dypl. L. Sadowski, który w latach przedwojennych służył w Oddziale II naprzód w Centrali, a następnie w latach 1928-1933 jako szef ekspozytury nr 4. Należy przypuszczać, że po zakończeniu swych czynności, major Sadowski złożył swój raport Modelskiemu. Jakim cudem kopia tego raportu znalazła się po latach w Warszawie i została wykorzystana przy opracowaniu *Bitwy o Tajemnice* — nie wiadomo. Jedno jest pewne, że ppłk. L. Sadowski, zmarły 14 czerwca 1964 w Londynie, raportu swojego do Warszawy nie wysłał.

Autor *Bitwy*, z premedytacją nie podając źródeł przy omawianych aferach i sprawach, nie tylko że utrudnia stwierdzenia prawdziwości informacji i źródeł, lecz, jak np. w wypadku mjr. d. Sadowskiego, swoimi niedomówieniami stwarza sytuację, z której można przypuścić, że to właśnie on złożył swój raport w Warszawie.

Generał Izydor Modelski, po Jałcie, powrócił do Kraju i doszedł do porozumienia z reżymem, gdyż w roku 1949 został wysłany jako attaché wojskowy do Waszyngtonu; lecz już w roku 1951 „wybrał wolność”.

Profesor Bohdan Winiarski w roku 1946 został wyznaczony do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze jako reprezentant P.R.L. i w roku 1967 powrócił do kraju.

Do roku 1961, tj. do czasu kiedy J. Orlicz i Z. Zwit wydali swoją pracę *Wywiad polski w III Rzeszy*, nie wiedzieli oni o istnieniu tego raportu, gdyż w przeciwnym razie na pewno by go wykorzystali.



Oceniając tematy poruszone w poszczególnych rozdziałach *Bitwy* na uwagę zasługują: „Wywiad Rzeszy Niemieckiej” i „Po polskiej stronie”, które dają obraz stopniowej organizacji i wzrostu wywiadu niemieckiego, działającego pod skromną nazwą Abwehr Amt. Początki wywiadu polskiego są przedstawione od

* Na skutek zarzutów, że w kampanii francuskiej nie wszystko było najlepiej, już po przyjeździe do Londynu Rada Ministrów na posiedzeniu 29 lipca 1940 uchwaliła projekt dekretu Prezydenta R.P. o zmianie dekretu z 30 listopada 1939 o odpowiedzialności oficerów za działalność w czasie kampanii wrześniowej. Rząd rozszerzył ten dekret na ostatnią kampanię wojenną.

czasów Rady Regencyjnej (dekret z 25. 10. 1918). Rozdziały te mają najwięcej wkładek politycznych i nieprzychylnych uwag odnośnie osób które organizowały wywiad polski, m.in. Marian Zyndram-Kościałkowski, major Tadeusz Schaetzel i kpt. Józef Beck.

Rozdziały opisujące samą technikę pracy wywiadowczej i poszczególne afery, opracowane są rzeczowo, na podstawie istniejących dokumentów.

Końcowe rozdziały: „Obserwacja zbrojeń” i „Wojenna koncentracja” są napisane przez dobrego historyka i taktyka, który zresztą powołuje się na wydane w Londynie *Polskie Siły Zbrojne*. W tych też rozdziałach nie ma błędów.

Najwięcej ich jest w pierwszych dwu rozdziałach, gdzie m.in. podano: Stefan Jędrzejewicz zamiast WACŁAW, Józef Chodacki zamiast MARIAN, Bociański bez imienia, a jest dwóch braci: Ludwik płk. Sztabu Głównego i Jan urzędnik M.S.Zagr. (str. 14). Szefem wydziału kontrwywiadowczego był major dypl. JULIAN Grudziński a nie Wacław (str. 77). Kierownikiem Referatu Zachód był kapitan Władysław STANAK a nie Panak (str. 99). Szef wydziału wywiadowczego, ppłk. dypl. Jan Tatała, nie zginął „w tajemniczej katastrofie samochodowej” (str. 100), lecz w wypadku samochodowym, kiedy to wóz prowadzony przez por. St. Zaćwilichowskiego, po mokrej asfaltowej szosie z Poznania do Warszawy, na zakręcie zarzucił i obaj wymienieni zginęli na miejscu.

Płk. dypl. Stefan Mayer nie był oficerem austriackim (str. 100) lecz legionistą z II Brygady Legionów.

Afera Sosnowskiego jest przedstawiona według poprzednich znanych wersji i opis jej nie daje nic nowego. Znowu czyta się, nie wiem dlaczego podkreślany fakt, że Sosnowskiego eskortował na salę sądową chorąży uzbrojony w pistolet! (str. 106).

Moje przypuszczenie, że poszczególne rozdziały książki pisali różni ludzie ma potwierdzenie, gdyż na stronie 156 podano poprawnie ppłk. WACŁAW Jędrzejewicz a nie jak poprzednio na str. 14 — Stefan. A mowa o tej samej osobie.

Na stronie 176 śmierć majora Jana Żychonia, długoletniego szefa ekspozytury nr 3, opisana jest prawdziwie. Major Żychoń, zastępca dcy 13. baonu strzelców, zginął 17 maja 1944 w czasie walk o zdobycie St. Angelo, pod Monte Cassino. Dnia tego zginęli na tym odcinku: dowódca 5 Wileńskiej brygady ppłk. Kuczek, dowódca 13 batalionu strzelców ppłk. Kamiński, zastępca dcy 17 lwowskiego baonu piechoty kpt. Kwiatkowski, zaś dowódcy 15. i 18. baonu byli ciężko ranni.

Nie rozumiem dlaczego wymieniając szefów ekspozytury nr 4 pominięto nazwiska: kpt. dypl. Ludwika Sadowskiego i kpt. dypl. K. Szpadrowskiego (str. 190). Moim zdaniem największą gaffą jest podanie na stronie 311 że raport dla Komisji Rejestracyjnej był opracowany przez kpt. d. Lucjana Sadowskiego — a nie Ludwika.

O czym książka nie wspomina — to o cenie którą często trzeba było płacić, aby uzyskać wiadomości o nieprzyjacielu. Cena płacona nie w dolarach czy w złotych, lecz — życiem ludzkim.

Nie wspominam o setkach tych, którzy zginęli z rąk Gestapo w czasie ostatniej wojny; chcę wymienić tylko następujących oficerów wyw. Referatu „Z”:

— por. dr Mieczysław RAJ, pomocnik kierownika placówki w Lipsku, aresztowany w czasie robienia zdjęć w rejonie Lipska, skazany na śmierć za zdradę stanu i powieszony.

— major Gustaw FIRLA, kier. placówki LIPSK, w roku 1943 rozpoznany przez Gestapo, rozstrzelany we Francji.

— major Emil SZULER, kierownik placówki w Królewcu, aresztowany z chwilą wybuchu wojny, chcąc uniknąć zdekonspirowania swych współpracowników, odebrał sobie życie w więzieniu, oraz

— major Alfons Jerzy JAKUBIANIEC, aresztowany w lipcu 1941 w Berlinie, stracony 2 sierpnia 1944 w Sachsenhausen. Cześć Ich Pamięci.

ERKA

— — — — —
Tadeusz NOWACKI

20 LAT LUDOWEGO WOJSKA POLSKIEGO

Podtytuł: II sesja naukowa poświęcona wojnie wyzwolenczej narodu polskiego 1939-1945*. Grube tomisko, 1.246 stron, podaje w całości teksty przemówień, referatów, komunikatów i głosów w dyskusji wygłoszonych w toku obrad plenarnych i sekcyjnych. Obrady miały miejsce w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki w dniach: 23-26. 10. 1963. W pierwszym dniu odbywały się na plenum, w dniach następnych w czterech sekcjach.

Obrady plenarne odbyły się pod przewodnictwem prof. dr. Stefana Żółkiewskiego. Po otwarciu Sesji przez prof. dr. Henryka Jabłońskiego (Sekretarz Naukowy Polskiej Akademii Nauk), przemówienie wstępne wygłosił marszałek Polski Marian Spychalski, minister Obrony Narodowej. Podkreślił szkodliwą dzia-

* Polska Akademia Nauk (Wydział Nauk Społecznych) i Wojskowy Instytut Historyczny. Kolegium redakcyjne: przewodniczący: Henryk Jabłoński, członkowie: Stanisław Arnold, Bronisław Bednarz, Ignacy Blum, Leon Herzog, Czesław Madajczyk, Antoni Przygoński, Jan Zamojski i Stefan Żółkiewski.

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1967 roku.

łałość historyków „obcych postępowi”. ... „wielkim zadaniem marksistowskiej nauki historycznej”, mówił Spychalski, „jest oczyszczenie tych dziejów... by wolna od tych zniekształceń nauka jak najskuteczniej służyła aktualnym potrzebom życia społecznego i jego rozwojowi”¹.

Następne z kolei przemówienie powitalne wygłosił przedstawiciel ZSSR, a mianowicie gen. prof. E. A. Bołtin (szef Oddziału Historii Wielkiej Wojny Narodowej Związku Radzieckiego w Instytucie Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZR). W jego przemówieniu, może najistotniejszym, był następujący ustęp: Studiując historię powstania i rozwoju sił zbrojnych Polski Ludowej, wykrywamy określone prawidłowości zwycięstwa rewolucji socjalistycznej, prawidłowość powstawania nawet państwowości narodów, które zrzuciły jarzmo faszystowskiej niewoli i wkroczyły na drogę socjalistycznego rozwoju. Te prawidłowości są właściwe zarówno Polsce, jak i innym krajom. Wykrycie ich i poznanie ma nie tylko akademickie, naukowo-historyczne, lecz także aktualne znaczenie polityczne. Zrozumienie tych prawidłowości sprzyja umocnieniu jedności wielkiego obozu socjalistycznego”...

W obradach Sesji uczestniczyły czynnie delegacje historyków szeregu państw komunistycznych. Związek Sowiecki reprezentowali (poza gen. Bołtinem) gen. lejtn. S. Płatonow i gen. mjr. N. Pawlenko. Czechosłowację, Węgry, Rumunię i Niemcy Wschodnie reprezentowały delegacje z szefami instytutów, względnie oddziałów, wojskowo-historycznych na czele.

Polskę reprezentowali wśród zebranych przedstawiciele władz rządowych tak cywilnych, jak wojskowych, oraz przedstawiciele nauki. Reprezentowane ośrodki naukowe: Zakład Historii Partii przy KC PZPR, Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk, Zakład Historii Ruchu Ludowego NKW ZSL, referaty historyczne Komitetów Wojewódzkich PZPR, Instytut Zachodni, Instytut Śląski i liczne uniwersytety.

Na całość obrad złożyły się „referaty”, „komunikaty” i dyskusja, do której w każdej sekcji zapisywało się po kilkanaście osób.

Trudno jest omawiać poszczególne referaty (nie mówiąc o komunikatach i opiniach wyrażonych w dyskusji) bo było ich w sumie kilkadziesiąt. Muszę się ograniczyć do wymienienia referatów wygłoszonych na plenum, tytułów sekcji i najbardziej ogólnego omówienia całości obrad.

Na plenum wygłoszono cztery referaty:

— prof. Tadeusz Daniszewski²: *Polska Partia Robotnicza inspi-*

1. Umyślnie podaję pełne tytuły naukowe, stopnie wojskowe etc. dla zorientowania czytelnika w strukturze krajowych instytucji naukowo-historycznych.

Dla pewności dodaję, że profesor H. Jabłoński jest również ministrem Oświaty i Szkolnictwa Wyższego.

2. Dyrektor Zakładu Historii Partii.

ratorem i kierowniczą siłą walki narodowowyzwoleńczej;

— prof. Stanisław Arnold (przy współpracy płk. dr. Eugeniusza Kozłowskiego i WIH i dr. Aleksandra Skarżyńskiego z WSNS): *Stan badań nad dziejami wojny wyzwolenczej narodu polskiego w drugiej wojnie światowej;*

— płk. mgr. Jan Zamojski: *Zwycięstwo rewolucyjnej strategii wojny wyzwolenczej;*

— gen. lejtn. S. P. Płatonow: *Przegląd operacji strategicznych armii radzieckiej na terytorium Polski (1944-1945).*

W drugim dniu obrad przystąpiono do prac poszczególnych sekcji, które tematycznie rozpadły się na cztery grupy. Wszystkie obradowały w dniach: 24-25. X. 1963.

Tematami obrad były:

— dla sekcji pierwszej: *Walka o ludowy kierunek rozwoju wojny wyzwolenczej narodu polskiego na tle walki innych krajów Europy Środkowej w latach 1939-1945;*

— dla sekcji drugiej: *Wysięk wojenny Ludowego Państwa Polskiego 1944-1945;*

— dla sekcji trzeciej: *Sztuka wojenna regularnych i konspiracyjnych sił zbrojnych w wojnie z Niemcami hitlerowskimi w Europie;*

— dla sekcji czwartej: *Wojsko polskie w walce o utrwalenie władzy ludowej.*

Dzień 26. X. 1963 r. poświęcono ponownym obradom na plenum. Pp. G. Z. Lekomcew, Helmut Schnitter i Vaclav Hyndrak referowali stan badań nad dziejami wojny wyzwolenczej narodu polskiego w ZSRR, NRD i CSRS.

Następnie, pp. Eugeniusz Kuszko, Stanisław Arnold, Mieczysław Bień i Czesław Madajczyk dokonali podsumowania obrad poszczególnych czterech sekcji.

Przemówienie prof. Henryka Jabłońskiego zamknęło obrady. Profesor podkreślił, że wyniki Sesji pozwalają ... „już obecnie każdemu, kto z dziejami wojny zapoznać się zechce, uzmysłwić sobie drogę, która wiodła do zwycięstwa. A była nią tylko jedna — ta, którą na mapie Europy wytyczała krwią własną ludowe Wojsko Polskie”.

Tyle przebieg obrad.

Zastanawia program Sesji. Różni się, moim zdaniem niekorzystnie, od programu Sesji I-ej upamiętniającej 15 rocznicę powstania ludowego Wojska Polskiego (4-6. X. 1958, w Warszawie, w pałacu Staszica). Tamta, chociaż zakreślona w o wiele skromniejszych ramach, miała bogatszy i logiczniejszy program; obejmował całość „wojny wyzwolenczej narodu polskiego”. W przeciwieństwie, Sesja II-ga poruszała zagadnienia jedynie związane z ludowym Wojskiem Polskim i podziemnymi organizacjami lewicowymi (GL, LI, PAL, BCh etc.). Na tym tle dziwnie zbędnie wygląda jeden referat i jeden komunikat o Wojsku Polskim na Zachodzie. Tym więcej zbędnie, że (z konieczności) oparte są

na materiałach wtórnych i, jak wykazał brak dyskusji, nie wywołały oddźwięku słuchaczy.

Brak uwzględnienia Armii Krajowej nie da się usprawiedliwić nawet z komunistycznego punktu widzenia. Jest faktem, że ta ćwierćmilionowa organizacja istniała, biła się i miała poparcie olbrzymiej części narodu. Jakikolwiek jest do niej stosunek dzisiejszych „czynników” bez uwzględnienia A.K. i organizacji afiliowanych historia walk wyzwoleniczych jest niekompletna. Tymczasem, o Armii Krajowej mówi się jedynie i to w sposób zamaskowany, w sekcji czwartej omawiającej zwalczanie powojenne „reakcyjnego podziemia”.

Trudno zgodzić się z opinią wyrażoną w „zapiskach bibliograficznych” *Wojskowego Przeglądu Historycznego* (2/1967) odnośnie omawianej książki: ... „Chociaż opublikowane materiały odzwierciedlają stan wiedzy o danym przedmiocie z 1963 r., niemniej jednak, liczący ponad tysiąc stron, bardzo starannie wydany tom stanowi swego rodzaju kompendium wiedzy o wojnie wyzwoleniczej narodu polskiego w latach 1939-1945”. Tom zawiera tylko część materiału.

Pierwsza część zacytowanego zdania nasuwa inny wniosek. Mianowicie, podobne wydawnictwa zbyt późno publikowane, tracą na swojej użytkowej wartości. Potwierdza ono moje osobiste wrażenie wyniesione z treści szeregu referatów: wąskość poruszanych zagadnień. W rzeczywistości, moje wrażenie było wywołane znajomością opracowań wydanych już po zakończeniu Sesji.

Oficjalnie ... „Wydawnictwo 20 lat ludowego Wojska Polskiego... zawiera pełne teksty referatów, komunikatów oraz głosów w dyskusji, wygłoszonych w toku obrad plenarnych i sekcyjnych”. Przypadkowo miałem możliwość stwierdzenia nieścisłości takiego oświadczenia. W numerze 1/1964 *Wojskowego Przeglądu Historycznego* podano obszernie sprawozdanie z przebiegu Sesji. Wśród zabierających głos w dyskusji sekcji III-ej jest tam wymieniony gen. bryg. Franciszek Skibiński szef Biura Studiów Sztabu Generalnego WP. (obecnie w stanie spoczynku). W książce brak tej pozycji. Czy mamy podejrzewać jakieś „odchylenie” mówcy? — wątpliwe. Raczej inna przyczyna, w naszych warunkach nie do odcyfrowania.

Zwyczajem, często stosowanym w poważniejszych wydawnictwach krajowych, na końcu książki znajdują się streszczenia w języku rosyjskim i angielskim.

Oceniając ogólną wartość książki, bez uwzględnienia jej kierunku ideologicznego, jestem zdania, że zawiera ona wiele materiału, ale o wiele mniej i mniej aktualnego niż studiujący te zagadnienia mogłyby się spodziewać.

Zakrojonej na wielką skalę Sesji zabrakło szerszego oddechu wolnej nauki.

Tadeusz NOWACKI

JESZCZE O KAMPANII WRZEŚNIOWEJ

Jeszcze jedno opracowanie wrześniowej kampanii. Co więcej, jak autor wyjaśnia w przedmowie, praca oparta w większości na wtórnych źródłach. Zabierałem się do czytania z brakiem entuzjazmu. Takie podejście okazało się niesłuszne.

Wiele i różnie napisano o Wrześniu. Jedni, jak generałowie Kirchmayer i Machalski, napastliwą formą zniechęcili do swoich wielu jakże słusznych opinii. Czytając Pobóg-Malinowskiego ma się wrażenie, jakby Śmigły-Rydz jeździł na białym koniu w pierwszej linii swoich żołnierzy i powtarzał za Dąbrowskim: Dalej chłopcy, dalej żywo...! Mamy fantazje starcze generała Berbeckiego. Mamy nieudolną broszurę DOM'a (gen. I. Modelski?). Rzetelną broszurkę H. Piątkowskiego. Oparte na źródłach *Polskie Siły Zbrojne*, wydawnictwo oficjalne, trzyma się ściśle faktów, ale (zwłaszcza część I-sza) jest umiejętnie przypudrowane na różowo. Minusem tej pracy, zakrojonej na monumetalną skalę, jest brak skorowidzów i termin zakończenia przewidziany w nieskończoności.

Szereg innych, znanych mi prac pomijam.

Za pionierską pracę należy uznać książkę generała Mieczysława Norwid-Neugebauera. Pisana już w pierwszych miesiącach 1940 roku, zaskakuje głębokością analizy i słuszością wniosków. Pozornie zapomniana, wydaje się być podstawą dla wielu późniejszych opracowań. Cechuje książkę głęboka wiedza fachowa i bezstronność oceny. Stanowczo, generał Kirchmayer nie docenił swego przełożonego w pamiętnikach.

Podobne do książki Norwid-Neugebauera wartości cechują opracowanie W. Iwanowskiego*. Wincentego Iwanowskiego znam od szeregu lat z jego artykułów ogłaszanych w warszawskim *Wojskowym Przeglądzie Historycznym*. Podpisuje je: mjr. dypl. w st.sp. Nasze opinie nie zawsze się pokrywają; często są przeciwnie. Nie przeszkadza mi to w uznaniu jego wielu zalet. Są nimi: gruntowna znajomość omawianego zagadnienia, rzeczowość i jasność stylu, oceny pozbawione cech ataków osobistych. Wszystkie te zalety spotykamy w omawianej pracy.

Z pozornie przewalkowanego tematu, potrafił W. Iwanowski wydobyć szereg nowych i cennych wartości. Przy zaletach, posiada książka wady, które po krótko omówię.

Tego typu opracowania wymagają skorowidzów. W tym wypadku, gdzie autor wyraźnie unika posługiwania się nazwiskami,

* Wincenty Iwanowski: *Wysilek Zbrojny Narodu Polskiego w Czasie II Wojny Światowej*. Tom Pierwszy, Kampania Wrześniowa 1939. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1961.

w pierwszym rządzie potrzebny jest skorowidz geograficzny. Ale i osobowy byłby bardzo przydatny. Bez skorowidzów książka traci połowę swojej użytkowej wartości. Trudno wymagać od czytelnika wertowania całej książki dla znalezienia jakiegoś, potrzebnego, szczegółu. Ciekawą byłaby statystyka porównawcza cytat z książek ze skorowidzami i bez nich.

Ograniczone materiały jakimi dysponował autor sprawiają nierównomierność rozplanowania pracy. Na przykład, wydaje się, że lotnictwu poświęcono stanowczo zbyt mało miejsca. Opis jego rozwoju i „stanu posiadania” w momencie wybuchu wojny jest podany w skrócie telegraficznymi i jest zbyt prymitywny. W porównaniu, marynarka wojenna jest potraktowana bardzo szeroko (domyślam się że powodem był większy zasób materiałów). A przecież, w bezpośredniej obronie 1939 r. marynarka nie odegrała większej roli, gdy lotnictwo, lub jego brak, odbiły się na losach kampanii decydująco. Dla tego powody szczupłości naszego lotnictwa i warunki jego pracy w czasie kampanii wymagają dokładniejszej analizy niż podana.

Do zalet książki należy ściśle rozgraniczenie pojęć strategii, operacji i taktyki. Dano temu wyraz w rozplanowaniu pracy. Uwypukla to wymknięcie się kierownictwa wojną z rąk Naczelnego Wodza już w pierwszych dniach kampanii. Podkreślono starannie fatalny stan łączności. Upływały całe dni, w ciągu których Naczelne Dowództwo utrzymywało łączność zaledwie z jedną z armii.

Do najciekawszych należą rozważania autora o możliwościach rozwojowych wojska. Czytelnik nie powinien pominąć rozdziału: *Potencjał wojenny Polski*, traktując go jako mniej ciekawy. W tym rozdziale leży kwintesencja naszego niepowodzenia. Dowiadujemy się z niego (rzecz nie nowa) jak daleko w tyle stałszy za Europą, a Niemcami w szczególności, pod względem przemysłowym. Autor dochodzi do wniosku, że stan naszej gospodarki państwowej nie pozwalał na siły zbrojne większe niż 270.000 ludzi (z lotnictwem i marynarką łącznie). „Liczbę tę potwierdzają badania przeprowadzone przed wojną przez Instytut Badań Materiałów Uzbrojenia, który w oparciu o wysokość produkcji stali doszedł do wniosku, że możemy uzbroić armię liczącą 250.000 ludzi”.

Ciekawe, czy w przedwojennych kalkulacjach sztabowych brano powyższe pod uwagę? Jeśli tak — dlaczego nie wyciągnięto wniosków. Zdaniem autora, na szkolenie dwóch i pół miliona rezerwistów, których nie było w co uzbroić, straciliśmy w budżecie vegetacyjnym za dwudziestolecie — 14 miliardów złotych. (Przypominam: na dozbrojenie według planu z 1937 r. planowano sumę poniżej 5 miliardów zł.). Cała organizacja armii w tym świetle była „na wyrost”, nie celowa i nie oparta na naukowych podstawach.

Autor wyciąga słuszny wniosek: „Nie ulega wątpliwości, że nawet najwłaściwszy rozwój potencjału wojennego Polski nie mógł

doprowadzić do rozwiązania zagadnienia obrony tylko siłami własnymi, wobec wielokrotnej przewagi niemieckiego potencjału wojennego. Natomiast mógł się przyczynić niepoślednio do wzmocnienia naszej pozycji politycznej w pewnym układzie sił, stwarzając tym samym lepszą sytuację militarną”.

Mniejsze stany osobowe wojska pokojowego i zredukowana liczba przeszkolonych rezerw dawały możliwość lepszych proporcji poszczególnych broni i służb, lepszego i nowocześniejszego uzbrojenia i sprzętu. Również istniała możliwość stworzenia większych rezerw materiałowych. W istniejącej sytuacji nie widzi autor możliwości by polskie siły zbrojne były zdolne do prowadzenia działań dłużej niż przez 4-6 tygodni ze względu na brak zaopatrzenia.

Odnośnie planowania autor korzysta z danych zawartych w pracy: „Polskie Siły Zbrojne”. Zaznacza wyraźnie, że od roku 1926 systematyczne planowanie ustało i planu na wypadek wojny z Niemcami nie było. Przypisuje ten stan rzeczy wadliwej strukturze naczelnych władz wojskowych stworzonej przez Marszałka Piłsudskiego. Luki w pracach nad planowaniem strategicznym, trwającej po 1935 rok, nie dało się nadrobić. W wyniku weszliśmy do wojny z planem powstałym na prędcę, przygotowanym fragmentarycznie, omawiającym tylko wstępne ugrupowanie.

Ten plan ocenia W. Iwanowski dobitnie i surowo, wytykając w nim szereg zasadniczych błędów.

Nie widzi konsekwencji w pozostawieniu luki między dwoma armiami na kierunku spodziewanego głównego wysiłku niemieckiego — Śląsk-Warszawa.

Nie pojmuje powodu wysunięcia dwóch armii (Pomorze i Poznań) daleko na północny zachód, w wyniku czego te trzynaście dywizji piechoty nie mogło wziąć udziału w bitwie głównej na południu.

Słabe skrzydła, szczególnie południowy „zawias”, przekreślające w pierwszych już dniach koncepcje Nacz. Wodza; nie docenianie warszawskiego obszaru operacyjnego.

„Koncepcyjnie słaby i niedorozwinięty plan umocnień”.

Za największą wadę planu uważa autor „oparcie jego kalkulacji na przestarzałych normach operacyjnych”. Sztab Główny nie potrafił przewidzieć nowych norm szybkości operacyjnej wojsk pancerno-motorowych i nie docenił znaczenia lotnictwa. „Dlatego przede wszystkim polski plan operacyjny stał się już nieaktualny, zanim jeszcze wojna się rozpoczęła, a ujawnienie się nie przewidzianego tempa działań było zaskoczeniem, które zalać miało podstawowe kalkulacje planu”.

Całość polskiego planu ocenia autor jak następuje:

„Ogólnie biorąc, wstępny plan działań cechuje ubóstwo myśli operacyjnej. Ugrupowanie wojsk było kordonowe i nastawione tylko na obronę bierną. Nie znamionowało ono jakichś śmielszych koncepcji operacyjnych”.

W uwagach ogólnych o przebiegu działań bojowych stwierdza autor dzielność i wytrwałość oddziałów i dowódców walczących w trudnych warunkach. Wymienia również negatywne fakty, „które powstały na tle złego dowodzenia lub załamania bądź braków charakteru poszczególnych dowódców”.

Pomijam w omówieniu opis przebiegu działań oparty w dużej mierze na pracy: „Polskie Siły Zbrojne”. Również nie poruszam bardzo ciekawych ocen autora odnośnie strony niemieckiej.

Analizując stan Wojska Polskiego dochodzi W. Iwanowski do szeregu surowych ocen. Podaję je w wyciągach:

„Polski Sztab Główny (czy przedtem Sztab Generalny) nie potrafił sobie wyrobić odpowiedniego stanowiska i autorytetu, tak aby jego wnioski, dotyczące kluczowych zagadnień związanych z obroną państwa, mogły zaważyć na decyzjach najwyższych czynników państwowych.

Znane są w historii wypadki, że indywidualność szefa sztabu generalnego czy innego przywódcy wojskowego o dużym autorytecie (np. zwycięskiego wodza) powodowała degenerację sztabu generalnego jako organu koncepcyjnego — „mózgu” armii — i uznanego autorytetu w dziedzinie obrony państwa w ogóle. (Np. Wellington, za którego zacofane poglądy płaciła Anglia jeszcze w wojnie krymskiej 1854-56 r. — przyp. T.N.).

Pod wpływem narzuconych mu poglądów, a nawet po prostu „na rozkaz” sztab stawał się organem wykonawczym opracowującym gotowe dyrektywy, a nie elementy decyzji będące wynikiem gruntownych, wszechstronnych i naukowych studiów. Podobna sytuacja powstała w polskim Sztabie Głównym po objęciu rządów przez marszałka Piłsudskiego. W rezultacie pomniejszenia roli Sztabu Głównego nastąpił upadek jego autorytetu, a ograniczenie kompetencji doprowadziło do zawężenia zakresu studiów, sprzyjając skostnieniu poglądów”...

Ocena składu osobowego Armii (cytuję tylko opinie o generałach):

Dowódcy armii: „stanowili element bardzo różnorodny pod względem poziomu umysłowego, poglądów wojskowych i wykształcenia”.

Dowódcy dywizji i brygad kawalerii: „element bardziej jednolity, lecz i wśród nich znajdowało się wielu oficerów nie nadających się na te stanowiska”.

„Ogólnie biorąc, korpus generalski nie był ożywiony duchem nowatorstwa i wszystko wskazuje na to, że nie przewidywał rewolucyjnych przemian w dziedzinie operacyjnej i taktycznej”.

Autor podkreśla trudności w pracy wyższych sztabów (Nacz. Dow. i armii) w warunkach ich kompletnej improwizacji. Uważa, że sztaby W.J., istniejące w czasie pokoju, pracowały stosunkowo lepiej.

W opisie działań poznajemy trudności napotymane przez sztab Nacz. Wodza, w szczególności z chwilą wyjazdu do Brześcia nad Bugiem i rozczłonkowania sztabu.

Czego brak mi w pracy W. Iwanowskiego, to szerszego omówienia najszerszej pojętych zagadnień kwatermistrzowskich. Tak jak i w „Polskich Siłach Zbrojnych”, te zagadnienia zawierają się w krótkich wzmiankach. Nie szukam winy autora. Zagadnienia kwatermistrzowskie, mówiąc najogólniej zagadnienia tyłów, były traktowane po macoszemu, lekceważone, w dużym stopniu pozostawione improwizacji. Podam dwa przykłady: Naczelnym kwatermistrzem (naczelnego dowództwa) był pułkownik dypl. J. Wiatr. Nie występuję tutaj przeciwko osobie ówczesnego pułkownika Wiatra, ale mówię o jego stopniu wojskowym. Przecież normalnie, we wszystkich armiach świata, podobne stanowisko zajmuje jeden z najstarszych generałów, w zrozumieniu ważności stanowiska.

Światło na traktowanie „tyłów” rzucają pamiątniki generała A. J. Narbut-Łuczyńskiego: „Własnego przydziału mobilizacyjnego nie znałem do połowy sierpnia 1939 roku. W zakamarkach marzeń pieściłem nadzieję przydziału liniowego...” „Dopiero w ostatnich dwóch tygodniach przed wybuchem wojny otrzymałem przydział na stanowisko dowódcy etapów armii gen. Szylinga...”. Oficerowi w generalskim stopniu (przyp. T.N.) nie tylko na dwa tygodnie przed wojną nie jest wiadome stanowisko które ma objąć i do którego winien się przygotować, ale nawet ogólny charakter tego stanowiska.

Dalej: „Dowódca armii, gen. Szylling, zapytany czy i jakie uprawnienia w stosunku do obszaru etapowego armii zechce mi przekazać (zgodnie z przewidywaniami instrukcji kwatermistrzowskiej) odpowiedział, że nie zamierza rezygnować z żadnych uprawnień, które będzie wykorzystywał przez cywilnego Komisarza Rządu przy dowództwie armii”. Czy trzeba dalszych przykładów?

Dodam parę słów o taborach. Według popularnego po Wrześniu powiedzonka: wojnę przegrały: lotnictwo i tabor; pierwsze bo było go za mało, drugie bo ich było za dużo. O potrzebie motoryzacji choćby części taborów szkoda mówić. Ale i w zakresie taborów konnych zrobiono nic, albo bardzo mało. W planach, olbrzymia większość taborów składała się z wozów „gospodarskich” czyli cywilnych z rekwizycji. Ustalono pojemność (nośność) wozu i określono ilość wozów w kolumnie (72?). Praktyka mobilizacji wykazała nierealność obliczeń. Olbrzymia ilość dostarczonych wozów miała nośność wiele niższą od przepisanej. Dla utrzymania ogólnej nośności kolumny musiano rekwirować dodatkowe wozy. W wyniku, ciągnące się w nieskończoność kolumny jeszcze się wydłużyły. Ciekaw jestem czy zadał sobie ktoś odpowiedzialny za te sprawy trud podzielenia naszej ubogiej drożni przez kilometraż sumaryczny taborów?

W omawianej pracy, na większe podkreślenie zasługuje dziwoląg w postaci „tajemnicy wojskowej” posuniętej aż do zabronienia dowódcom armii posiadania informacji o zadaniach i działaniach sąsiadów.

Autor pominął milczeniem anomalie organizacyjne wyższych dowództw. A więc: zbyteczne rozróżnienie pojęć: armia — samodzielna grupa operacyjna. (Armia „Modlin — dwie dywizje piechoty i dwie brygady kawalerii i SGO Narew — dwie dywizje piechoty i dwie brygady kawalerii).

Brak stałych jednostek taktycznych wyższego rzędu — korpusów. Na ich miejsce tworzone „grupy operacyjne” bez środków dowodzenia, ze sztabami formowanymi kosztem dowództw podległych dywizji.

Jakie wnioski nasuwa lektura opracowań kampanii wrześniowej, a w szczególności pracy Iwanowskiego?

Pierwszy i zasadniczy wniosek: nasze państwo (ze względu na stan gospodarki, słabotki przemysł), ani, w szczególności, nasze siły zbrojne — nie były zdolne do prowadzenia wojny. Nie tylko wojny z przewagą niemiecką, żadnej wojny. Gdyby nawet Niemcy uderzyli początkowo na Francję? Jak za „PSZ” powtarza Iwanowski, mieliśmy zapasów wojennych na 4-6 tygodni. Nie mieliśmy żadnych poważnych szans na uzupełnienie sprzętu, broni i amunicji dostawami z zachodu. Ani w odpowiednim czasie, ani z powodu ograniczenia dróg dowozowych. Jedyny dostępny nam arsenał i skład materiału — Czechosłowację — oddaliśmy bez mrugnienia powieką.

Czy nasi zachodni alianci mogli nam przyjść z pomocą na polu bitwy? Nie jest to wojskową tajemnicą i mówi o tym W. Iwanowski — gdyby Gamelin zabrał się najbardziej gorliwie i od pierwszych dni do ofensywy — rezultat działań na zachodzie odbiłby się na polskim teatrze wojny nie prędzej jak po 6-8 tygodniach.

Jaka była wartość Wojska Polskiego jako narzędzia wojny? Masa przeszkolonych ludzi sięgająca 2,4 miliona, częściowo zorganizowana w W.J., bez dostatecznego wyposażenia i broni. Powyżej dywizji i brygad mgliste przewidywania i w decydującej chwili — improwizacja.

Wiedza wojskowa nie przekraczająca szczybla taktyki. Przyszły Wódz Naczelny spędzający godziny z jednym ze swoich potencjalnych dowódców armii na rozważaniach po której stronie rzeczki ma stanąć podjazd w sile szwadronu (relacja płk. Prąglowskiego podana przez ppłk. Romeykę). Przyszły dowódca armii sprawdzający stan umocnień drogą „przywarcia” do jakiegoś ckm na cały czas inspekcji (Kirchmayer). Inspektor armii pojmujący wykonanie „studium terenowego” przez marsz pieszy wzdłuż granicy i znaczący miejsca schronów piechoty (Berbecki). A pamiętnikarze zaczynający górną od wielkich planów strategicznych i przeskakujący możliwie szybko na jakieś rozważania o bunkrach, gniazdach oporu, zasadzkach, walkach leśnych i podnoszący takie rozważania do szczybla operacyjnego. Czytając, czuje się jak autor z westchnieniem ulgi złazi z wysokości na znane sobie niziny taktyczne.

A taktyka? Opierając się na zdradliwych doświadczeniach

1920 roku, kazano dowódcy plutonu odróżniać natarcie od boju spotkaniowego; obronę stałą od ruchowej. Podobne rozgraniczenie pojęć (jak wykazała wojna) nie następuje niżej niż na granicy operacji i taktyki — na szczuble dywizji. Poniżej są tylko dwa rozkazy do wykonania: Nacierać!, Bronić się!. Ale, paradoksalnie, przy braku myśli operacyjnej, próbowano taktykę nasycić operacyjnym elementem. Nawet taktykę niskiego szczubla.

I trzeba raz powiedzieć prawdę. Za stan naszej obronności marszałek Edward Śmigły-Rydz ponosi tylko część odpowiedzialności. Od 1935 roku starał się zrobić i zrobić dużo. Może mógł zrobić trochę więcej. Ale na gruntowną poprawę naszej obronności zabrakło czasu. Zresztą, on sam był produktem systemu marszałka Piłsudskiego.

Nie widzę powodu do zachwycania się marszałkiem Śmigłym jako Generalnym Inspektorem i Naczelnym Wodzem. Nie wykazał talentów operacyjnych (jak inni przechodził przy każdej okazji na taktykę), nie miał, przypuszczalnie, dostatecznej siły charakteru. Ale był człowiekiem uczciwym, wypchniętym na zbyt wysokie dla niego stanowisko. Robił co mógł i jak mógł. Uważam za wielką niesprawiedliwość traktowanie przedmiotu naszej obronności tak, jakby początek datował się od 1935 roku. Jakby — zwykły śmiertelnik — Rydz winien dźwigać cały ciężar odpowiedzialności za siebie i swego poprzednika.

Od 1831 roku, przez blisko 90 lat, nie mieliśmy własnej armii. W tym czasie rozwój sił zbrojnych i wiedza wojskowa poczyniły wielkie postępy. Wojny wielkie i małe (których, chwała Ci Boże, nie brakowało) dostarczyły doświadczeń pozwalających na ustalenie pewnych zasad organizacyjnych. Z pokolenia na pokolenie ustalały się, docierały i szlifowały ramy organizacyjne najwyższych władz państwowych. Powstały sztaby generalne francuski i niemiecki zdolne do kierowania milionowymi armiami w czteroletnich zmaganiach. Czy my, dyletanci wkraczający po blisko stuleciu w nową dziedzinę, nie powinniśmy byli zawierzyć doświadczeniu innych i przyjąć ich gotowe wzory? Czy nie należało wstrzymać się z poprawkami Moltke'ów i Schliffenów aż sami nabierzemy jakiegoś takiego doświadczenia w trudnej i skomplikowanej pracy sztabowej? Czy nasze postępowanie nie było lekkomyślnym ryzykanctwem za które płacimy boleśnie? Piękne teorie okazały się w praktyce bez wartości. Jak pisze W. Iwanowski: ... „Należy więc uznać, że od 1926 r. nastąpił okres zastoju w pracy Sztabu Głównego, który doprowadził do daleko idących zaniedbań. Szereg zagadnień należących normalnie do kompetencji sztabu generalnego marszałek Piłsudski przekazał do GISZ-u, którego organizacja, nie przystosowana do zajmowania się tego rodzaju studiami, nie pozwoliła na ich właściwe opracowanie.

Podczas gdy Sztab Główny posiadał szereg wyspecjalizowanych oddziałów, GISZ poza biurem inspekcji miał tylko parosobo-

we sztaby inspektorów armii — zawiązki przyszłych sztabów armii, które nie mogły wykonać tego rodzaju prac.

Ujemne skutki wywołało również rozdzielenie zagadnień pokojowych od wojennych, co pociągnęło oderwanie się zagadnienia szkolenia w czasie pokoju od rzeczywistych możliwości mobilizacyjnych i materiałowych”.

W innej dziedzinie, te 90 lat przerwy stanowi wygodną wy-mówkę. Mówi się: nasi dowódcy mieli braki w fachowym wy-kształceniu, brak im było doświadczenia. Ale cóż, tylko dwa-dziesiąt lat istnienia wojska, gdzie było szukać lepszych? Czy rzeczywiście tych lepszych nie było? Podam dwa przykłady ofi-cerów którzy utrzymali się w służbie aż po rok 1939. Generało-wie: Franciszek Kleeberg i Władysław Anders. W rozmowach oficerów stale powtarzała się opinia: to nasi najlepsi fachowcy wojskowi. Dokładnie, w nieprawidłowym skrócie myślowym: to nasi najlepsi taktycy. Jednego trzymano na brygadzie kawalerii. Wysoką opinię o sobie najlepiej potwierdził w kampanii włoskiej.

A generał Kleeberg? Mimo powszechnie znanych zdolności odesłano go na stanowisko dowódcy korpusu, stanowisko admi-nistracyjne, bez nadziei na przyszłość. „Gaciowy generał — jak mówi Romeyko. Przychodzi wojna. Armie rozlatują się jedna za drugą. Z niczego, z zapasówek, rozbitków tworzy gen. Kleeberg SGO „Polesie”. Ze szczupłą artylerią, bez broni przeciwpancernej i przeciwlotniczej, bije „niezwyciężonych” Niemców. I idzie pod prąd, na ZACHÓD. Kapitułuje ostatni z generałów po wyczerpa-niu amunicji. W przeciągu paru tygodni potrafił wykazać się jako organizator i dowódca. I nie tylko dowódca — jako przywódca. Los zdarzył, że bezpośrednio po kampanii zetknąłem się z wielo-ma oficerami SGO „Polesie”. Byli wśród nich młodzi zapaleńcy. Byli także rezerwiści, ludzie na dobrych cywilnych stanowiskach, często sceptycy, dalecy od entuzjazmu dla wojska i jego do-wódców. Trzeba było widzieć jak rozpalały się im oczy kiedy mówili o „naszym” generale. Po tamtych paru tygodniach nie było takiego jego rozkazu, którego by nie wykonali bez chwili namysłu.

Czy nie przegapiliśmy naszego Mannerheima?

Po fakcie okrywamy się wygodnym płaszczykiem olbrzymiej przewagi niemieckiej. Prawda. Ale przeciwko tej przewadze sta-nęła nasza bezdenna słabość. Słabość na jaką ani nasze państwo, ani naród nie zasługiwały.

Na moim odludziu nowozelandzkim (sic!) nie orientuję się jak omawianą książkę ocenili inni. Jestem zdany na własną opi-nię. Oceniam ją jako pożyteczną dla czytelnika tak w kraju jak i na emigracji. Mówi prawdę.

Tadeusz NOWACKI

SZCZEGÓŁY ŁĄCZNOŚCI RADIOWEJ MIĘDZY LONDYNEM I WARSZAWĄ

Nareszcie znalazł się autor, który zdecydował się przedstawić łączność radiową „między Londynem i Warszawą” (Józef Garliński — „Między Londynem i Warszawą”, wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1966).

Temat powyższy zawarty jest w pierwszym rozdziale książki i niewątpliwie naświetla jedno z naszych technicznych osiągnięć ostatniej wojny, które jak dotychczas „otoczone jest mgłą tajemnicy i nieudomówień”.

Przestudiowanie dostępnych materiałów, dokumentów i relacji w tej dziedzinie, w której autor nie jest specjalistą, musiało zająć dużo czasu i wysiłku. Wyobrażam sobie na jakie musiał natrafić trudności w celu ustalenia ścisłej prawdy historycznej. Z tego powodu chciałbym sprostować pewne fakty, naświetlenia lub wnioski autora.

Łączność w samej Armii Krajowej przedstawiona jest barwnie i ciekawie, natomiast z opisów strony „parysko-londyńskiej” można odnieść wrażenie, że łączność ta była mniej interesująca, o mniejszej pomysłowości i inwencji oraz prostsza i łatwiejsza w wykonaniu. Sam sposób, inicjatywa i kolejność nawiązywania łączności wymaga sprostowań co, przypuszczam, dla prawdy historycznej jest raczej konieczne.

Jeśli chodzi o okres francuski, to myśl nawiązania kontaktu radiowego z Polską powstała z inicjatywy Oddziału Informacyjno-Wywiadowczego Szt. N. W. już w końcu 1939 r. W tym celu zamierzano oprzeć się na istniejącej, przed wojną sieci Min. Spraw Zagr. jako też samego Oddz. Inf. Wyw. Zrozumiałe jest więc nawiązanie pierwszych łączności z placówkami w Bukareszcie i Budapeszcie a dopiero przez nie usiłowania do nawiązania łączności ze Lwowem i Warszawą. Pierwsza radiostacja „Regina” obsadzona była przez przedwojenny personel Oddz. Inf. Wyw. (Mjr. Mikiewicz, u.c. Kuraś, Pilarski i Prandl).

Dopiero druga radiostacja „Angers”, wydzielona z pierwszej i tak samo obsadzona byłym personelem Oddz. Inf. Wyw., pracowała wyłącznie dla sztabu gen. Sosnkowskiego.

Od tej pory będą rozwijały się dwie niezależne sieci: jedna w dyspozycji Oddz. Inf. Wyw., druga — dla łączności z krajem, początkowo w dyspozycji sztabu gen. Sosnkowskiego a później, w Londynie, w dyspozycji Oddziału Specjalnego.

Myśl nawiązania łączności z krajem (pośrednio poprzez Bukareszt i Budapeszt) zaistniała i była realizowana z Francji. Mjr. Mikiewicz otrzymał zadanie zorganizowania łączności z:

- polskimi placówkami w krajach z Polską sąsiadujących
- z placówkami w kraju

a ponadto organizował radio-wywiad. Od 19 lutego 1940 r. „Regina” rozpoczęła regularną łączność z Bukaresztem a od 8 marca 1940 r. z Budapesztem.

W związku z powierzonym gen. Sosnkowskiemu zadaniem zorganizowania Armii Krajowej, nastąpiła reorganizacja istniejącej komórki łączności. Od 18 kwietnia 1940 r. radiostacja „Angers” (kierownik plut. Brękiewicz) miała prowadzić korespondencję z tajnymi radiostacjami w Polsce, w Rumunii i na Węgrzech oraz nadawać prasę dla odbioru w kraju. Próby nawiązania bezpośredniej łączności radiowej z krajem okazały się w tym czasie bezskuteczne. Dopiero kurierzy wysłani z Francji przewieźli elementy ruchu do Warszawy. Fakt ten stwierdza ppłk. inż. Józef Srebrzyński (szef łączności technicznej A.K.) w swoim opracowaniu „Zagadnienia Łączności Krajowej i Zagranicznej w okresie konspiracji 1940-1944”, na str. 18, 19 i 20:

„Powiadomiłem Grota o konieczności przystąpienia do zorganizowania łączności radio przede wszystkim z zagranicą”. „W początkach stycznia 1940 r. ... przystąpiłem do organizowania środkami technicznymi łączności w kraju i kraju z zagranicą. Pewnej nocy na przełomie styczeń/luty 1940 r. zostałem skontaktowany z kurierem, który przybył z Francji. Spędziliśmy na rozmowie szereg godzin ustalając elementy ruchu dla korespondencji radiowej... Ponieważ trasa kuriera prowadziła przez Węgry... przeto ustaliliśmy szereg wariantów...”.

„Po miesiącu od terminu rozmowy, zarządzono nasłuch w marcu 1940 r. W początku tego miesiąca zaczęliśmy odbierać sygnały wywoławcze, na które odpowiadaliśmy”. A na str. 37 następne stwierdzenie, że... „W czerwcu 1940 r. nawiązano łączność z bazą Bolek w Bukareszcie...”.

A więc kurier czy też kurierzy wysłani z Francji przewieźli elementy ruchu do Warszawy, Budapesztu i Bukaresztu a nie jak twierdzi Garliński na str. 12: „Doceniono (konspiracyjne władze wojskowe w Warszawie — dopisek własny) wagę meldunku i zaraz wysłano do Budapesztu kuriera po elementy ruchu. Poszedł przez góry w trzaskający mróz w styczniu 1940 r.”. Nawiązanie łączności radiowej (z Francji) z placówkami w Rumunii i na Węgrzech nie przedstawiało specjalnych trudności, gdyż posiadały one radiostacje odpowiednie do pracy na duże odległości. Natomiast Lwów i Warszawa mogły korzystać początkowo tylko z zaimprovizowanych małych radiostacji agencyjnych, pracujących w trudnych warunkach konspiracyjnych. Zarówno nadajnik stacji „Angers”, zbudowany przez u.c. Kasię, jak i starego typu odbiornik nie były technicznie wystarczające do takiej pracy. W tym czasie obliczanie odpowiednich częstotliwości nie było możliwe, gdyż dokładne wyniki badań jonosfery na skalę państwową prowadzone w W. Brytanii i U.S.A. były dla nas dostępne dopiero w 1943 r.

Z powyższych faktów nasuwają się następujące wnioski:

1. Inicjatorem nawiązania łączności radiowej Zachodu z Krajem i polskimi placówkami w Europie był Oddział Inf. Wyw. Szt. N.W. w Paryżu.
2. Elementy ruchu dla łączności radiowej z Warszawą i Warszawą z Budapesztem przewiózł kurier wysłany z Francji.
3. Wydzielenie radiostacji „Angers” tylko dla łączności z krajem nastąpiło już po nawiązaniu łączności przez radiostację „Regina” z placówkami w Bukareszcie i po usiłowaniach nawiązania łączności ze Lwowem i Warszawą.
4. Początkowe niepowodzenia nawiązania bezpośredniej łączności z krajem należy przypisać niedostatecznym stanem sprzętu technicznego i umiejętności doboru częstotliwości do pracy w warunkach konspiracyjnych.

Pierwsze trzy wnioski przeczą twierdzeniu autora (str. 15), że... „kto wie, czy w ogóle powstałaby we Francji radiostacja i czy wystarczająco wcześnie zaczęłaby działać”.

Ewakuacja obu radiostacji z personelem odbywała się dwoma drogami:

- Sekcja radiowywiadowcza z „Reginą” dotarła do portu i została zaokrętowana wraz z personelem Oddz. Inf. Wyw. Sekcja ta przewiozła do W. Brytanii nadajnik Collins i parę odbiorników.
- Radiostację „Angers” zaopiekował się jej kierownik, plut. Brękiewicz, a u.c. Piłarski i Prandl pozostali we Francji. Natomiast u.c. Kasia wyruszył do Anglii oddzielnie. Wobec trudności zaokrętowania, plut. Brękiewicz zabrał tylko ze sobą kwarce, odbiornik H.R.O., maszynę do pisania, elementy ruchu i szyfry. Nie wiem, kto był jego towarzyszem, wymienionym na str. 19, który rzekomo dźwigał nadajnik i w jaki sposób plut. Brękiewicz, obciążony odbiornikiem i maszyną do pisania, mógł jeszcze pomagać w przenoszeniu nadajnika?

Już w pierwszym okresie po przybyciu Wojsk Polskich do W. Brytanii, palącą koniecznością dla Sztabu N.W. było ponowne zorganizowanie przerwanej łączności radiowej i kontynuowanie prac radiowywiadowczych. Początkowo, użyto istniejącą radiostację M.S.Z. w Londynie, ale już w sierpniu 1940 r. po przybyciu plut. Brękiewicza, u.c. Kasi i szer. Kurasia, uruchomiona została radiostacja „Marta” na 3-cim piętrze hotelu Clifton. („Marta” nigdy nie pracowała w hotelu Rubens jak twierdzi autor na str. 23). Radiostacja ta wyposażona była w nadajnik Collins, przywieziony przez sekcję radiowywiadowczą i odbiornik H.R.O. przywieziony przez plut. Brękiewicza. Historia z konstruowaniem nadajnika w tym okresie, opisana na str. 23 i 24, to fantazja autora. „Marta” mając teraz nadajnik 800 Wattów (Collins) nawiązała łączność nie tylko z Bukaresztem, Budapesztem, Ankarą, ale również z Warszawą. Ponadto „Marta” utrzymywała łączność z I Korpusem W.P. w Szkocji i prowadziła podsłuch stacji sowieckich.

W tym okresie cała praca „Marty” odbywała się bez wiedzy i pozwolenia władz brytyjskich. Po wykryciu tej „bezprawnej” łączności okazało się, że odebrane wiadomości i dalsze możliwości rozwoju łączności radiowej z krajami okupowanymi przez Niemcy przedstawiały dla Anglików tak dużą wartość, że pogodzili się z istniejącym stanem rzeczy, tym bardziej, że na terenie Francji tworzenie własnych komórek przedstawiało dla nich poważne trudności. Trzeba tu dodać, że żadne inne sprzymierzone państwo zezwolenia na niezależną komórkę radiokorespondencyjną nie uzyskało. Ale do pomocy w sprzeczcie i materiale, o której autor wspomina na str. 25, to jeszcze bardzo daleko. Początkowo, w bardzo szczupłym zakresie, pomogli w zaopatrzeniu sekcji radiowywiadowczej w odbiorniki dla podsłuchu radiostacji sowieckich i niemieckich. Następnie umożliwili dostawę drobnego materiału do produkcji radiostacji agencyjnych, które zakupili na własny użytek. Jeśli władze brytyjskie uznały samodzielność placówki Radio (przydzieliły oficera łącznikowego — capt. A. Heath) i pozwoliły na jej rozrost to, wydaje mi się, nie ze względu na łączność z Armią Krajową, jakby wynikało z opinii wyrażonej na str. 39, ale ze względu na wiadomości otrzymywane drogą radiową z terenu Francji, Afryki Płn., ZSSR i Niemiec.

Radiostacja „Marta” po przeniesieniu do Stanmore prowadziła korespondencję z Warszawą, Sztokholmem, Budapesztem i Bukaresztem dla Oddziału VI Szt. N.W., a z radiostacjami we Francji, Afryce, Włoszech i Turcji dla Oddz. II Szt. N.W. W miarę jak ilość abonentów, dla obu oddziałów, zwiększała się, następował rozrost placówki Radio i przeorganizowanie jej w Ośrodek Radiowy (od 9. 9. 1941 r.), który dzielił się już na sekcję korespondencyjną, sekcję radiowywiadowczą i warsztat radiowy. W sekcji korespondencyjnej poza „Martą” powstały nowe stacje: „Loda”, „Hela”, która 5 grudnia 1941 r. nawiązała łączność z polską stacją w Moskwie i „Zofia”.

Przewidywany dalszy wzrost ruchu korespondencyjnego i to nie tylko dla Oddz. Specjalnego ale również i dla Oddz. Inf. Wyw., M.O.N.’u i Szefa Łączności Szt. N.W., wymagał zwiększenia ilości radiostacji w Londynie. Dlatego też, już od początku powstania Ośrodka Radio (1941 r.) zaczęto projektować scentralizowanie odbioru i nadawania. Wówczas to zdecydowano wybudować centralę nadawczą w Chipperfield i centralę odbiorczą w Kings Langley. Ukończenie budowy tych central przewidywano na listopad/grudzień 1942 r. Pomysł więc wybudowania centrali w Londynie nie powstał w kraju, jakby wynikało z ciekawego opisu na str. 31 do 43, gdzie autor wyraźnie stwierdza, że: „Londyn... musi podjąć się zbudowania takiej centrali” pomysłu krajowego. W rzeczywistości bowiem w czasie gdy w kraju rozważano (druga połowa 1942 r.) problem wewnętrznej łączności radiowej przez pośredniczenie centralne, to centrala w Londynie już była budowana. Takiego rozwiązania wymagała ilość radiostacji agencyjnych rozrzuconych po całej Europie, Afryce Płn. i Środkowym

Wschodzie. Żądanie z kraju uruchomienia sieci pośredniczenia otrzymano w Londynie w 1943 r. a spełnienie go wymagało tylko zwiększenia ilości radiostacji w istniejącej centrali o trzy, tj. „Warta”, „Odra” i „Jacek” i przeorganizowania systemu pracy. Warto nadmienić, że w tym samym czasie Oddz. Inf. Wyw. zażądał również dwu dodatkowych radiostacji centrali do pracy ze stacjami we Francji. Żądanie uruchomienia takiej sieci pośredniczenia, umotywowane trudnościami w uzyskaniu łączności wewnętrznej na sieciach krajowych, nie wydaje mi się, by było możliwe najlepsze, ale to już jest inne, techniczne zagadnienie. Ponadto, nie koncepcja budowy wielkiej centrali radiowej była nowa, jak twierdzi autor na str. 41, lecz koncepcja łączności radiowej tak pod względem operacyjnego jej użycia, jak i przygotowania nowych typów sprzętu. Łączność ta nie mogła być wzorowana na żadnym z dotychczasowych systemów organizacji, bo nikt nigdzie nie przewidział systemu łączności centralnych władz państwowych będących na terenie sojusznika z siecią tak rozbudowanej armii podziemnej. Natomiast centrale radiokomunikacyjne były już znane, czy to dla użytku poczty, prasy, czy też dla komunikacji baz morskich i lotniczych z ich jednostkami na morzu lub w powietrzu. Ale urządzenia techniczne naszych central musiały być inne, przystosowane do łączności na dużych odległościach z abonentami pracującymi w warunkach konspiracyjnych, gdzie sprzęt był raczej słaby, gdyż był wynikiem kompromisu między bezpieczeństwem operatora i minimalnymi warunkami technicznymi pozwalającymi na utrzymanie łączności. Po stronie centrali zastosowane były nadajniki o dużej mocy, ograniczonej przez władze brytyjskie do 1 KW, anteny o największej sprawności i prawidłowej kierunkowości poziomej i pionowej w żądanym paśmie częstotliwości oraz odbiorniki najlepszej jakości, by bardzo słaby sygnał ze stacji agencyjnej mógł być czytelny. Dla takiej łączności pierwszym czynnikiem był dobór odpowiednich częstotliwości. Obliczania tych częstotliwości wykonywane były w kompanii radiotelegraficznej dla każdego abonenta centrali a nie jak niesłusznie twierdzi autor na str. 42, że „... tych złożonych obliczeń nie przeprowadzano na miejscu. Otrzymywano je od instytucji angielskich i amerykańskich”. Z instytucji brytyjskiej, I.S.Y.B., i amerykańskiej I.R.P.L. otrzymywano tylko wykresy pomiarów i przewidywanych stanów jonosfery dla całej kuli ziemskiej.

Na podstawie tych właśnie, w kompanii radiotelegraficznej, dokonanych obliczeń, poinformowano Oddział Specj., że dotychczasowy zakres częstotliwości (do 8 Mc/s) sprzętu agencyjnego w kraju będzie za niski. W rezultacie, pośpiesznie zwiększono ten zakres w nowym sprzęcie do 16 Mc/s. Również ostrzeżono, że na miesiąc sierpień 1944 r. przewidywane są bardzo duże zaburzenia jonosferyczne, które mogą całkowicie uniemożliwić radiokomunikację z krajem. Dlatego też przygotowano specjalne anteny rombów a radiotelegrafiści musieli zwiększyć swój wysiłek, by

„jakoś” te złe warunki jonosferyczne pokonać. Ostatecznie w tym okresie przekazano wszystkie telegramy z i do „Wand” — radiostacji krajowych — nazywanych tak nie tylko na Zachodzie, jak twierdzi autor na str. 44, ale i w kraju.

Odebrane telegramy przekazywane były z centrali do biura szyfrów Szt. N.W. nowoczesnym i szybkim środkiem łączności — dalekopisem — a nie gońcami jak podaje autor na str. 44.

Trudno zgodzić się z twierdzeniem J. Garlińskiego, że wkrótce po powstaniu warszawskim „Wandy” zamilkły, a po rozwiązaniu Armii Krajowej (19 stycznia 1945 r.) odzywały się już tylko sporadycznie. W rzeczywistości, chociaż nasilenie pracy zmniejszyło się, ale przecież w końcu 1944 r. i początku 1945 r. centrale Londynu miały jeszcze do obsłużenia 40 stacji krajowych i 26 innych. Likwidowano łączność z jednymi a nawiązywano z nowymi stacjami, które powstawały w ramach nowych organizacji, jak np. „NIE” lub „WIN”. W tym właśnie czasie nawiązano łączność z nowymi „Wandami”: 189, 47, 55a, 88, 06, 11, 12, 78 i 81. 28 lutego 1945 r. uruchomiono trzy nowe stacje centrali: „Kasia”, „Urszula” i „Emilia”. Te zmiany organizacyjne były dla łączności nową próbą sprawności i osiągnięć technicznych. Łączność radiowa w tym właśnie czasie była bardzo szybka i pewna, a słyszalność w obie strony znakomita. W tym okresie przeprowadzono cały szereg prób i doświadczeń — na zaniedbanym odcinku sprzętu agencyjnego — nad ulepszeniem anten tak pod względem bezpieczeństwa przed namiarem nieprzyjaciela jak i charakterystyk promieniowania. Autor nazywa anteną kierunkową (str. 21) drut umieszczony w kominie willi na Żoliborzu a przecież antena ta promieniowała wokół tej willi falą przyziemną, ułatwiając nieprzyjacielowi namierzanie, a bardzo znikoma część energii osiągała jonosferę, by po odbiciu mogła być odebrana w Londynie.

Ten nowy system anteny kierunkowej nie był już wykorzystywany w kraju, ale użyto go po tej — zachodniej stronie — dla łączności z krajem, po cofnięciu uznania rządowi polskiemu w Londynie przez Anglosasów i zakazie jakiegokolwiek radiokomunikacji przez nasze centrale. Od tego czasu łączność utrzymywana była przez stacje zakonspirowane po obu stronach, przy zastosowaniu małych radiostacji agencyjnych. Jednak anteny po „tej” stronie posiadały urządzenia uniemożliwiające namiar nawet z bardzo bliskich odległości (kilkudziesięciu metrów) a równocześnie dającymi promieniowanie w żądanym kierunku. Niestety — i ten wysiłek nie pomógł do sprawiedliwego rozwiązania naszej sprawy, ale dał jedynie satysfakcję dobrze spełnionego obowiązku.

S. POPKIEWICZ

SMUTNE POST-FACTUM

Bardzo mi jest niemiło pisać niniejsze, jako odpowiedź na artykuł pułkownika dypl. Józefa Jaklicza, b. zastępcy szefa sztabu Naczelnego Wodza marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego w czasie naszej kampanii wrześniowej, pt. „17 września 1939 r. w Sztabie Naczelnego Wodza”, który ukazał się w Nrze 12 *Zeszytów Historycznych*.

Pułkownik Jaklicz był moim wykładowcą taktyki ogólnej w WSWoJ. w Warszawie w latach 1924-25 i od tego czasu ceniłem go bardzo wysoko, jako wybitnego znawcę taktyki i operacji wojskowych, oraz jako oficera o wielkim wyrobieniu w stosunku do młodszych rangą. Pułkownik Jaklicz zawsze podchodził do wszystkich swoich podkomendnych, jako starszy kolega, co podniósł w swoich wspomnieniach i generał S. Kopański.

Jednakże zmuszony jestem wystąpić w imię prawdy historycznej, albowiem w rzeczonym artykule płk. Jaklicz przedstawia fakty, które wydawały mu się wtedy istotnymi, a okazały się oparte na przesłankach nierealnych.

Na str. 158 Nr 12 *Zeszytów Historycznych* płk. Jaklicz umieszcza następujące zdania:

„W lipcu 1939 r. opracowywałem studium dalszego działania na wypadek zaskoczenia na pierwszej przygotowanej linii obronnej, w dalszym zaś rozwoju na wypadek niepomysłnej sytuacji na Wiśle... Studium to miało objąć trzy warianty ewentualnego odwrotu:

- na pld. wsch., z oparciem komunikacji na Rumunii,
- na wschód, w oparciu o Rosję Sowiecką,
- na północ, w oparciu o państwa bałtyckie”.

Generał Wacław Stachiewicz, b. szef Sztabu Głównego, zadecydował, że: „jedynie oparcie się o Rumunię może stanowić podstawę studium. Tę decyzję gen. Stachiewicza rozumiałem, jako wynik łącznych rozważań Naczelnego Wodza z Szefem Sztabu”.

I następnie: „Tak więc, już w planie przedwojennym, ogólna myśl operacyjna, jakkolwiek nie napisana, szła w kierunku strategicznego opóźniania na pld. wsch., na Rumunię”.

Rozpatrzmy to na podstawie znanych nam już dzisiaj faktów. Jeśli płk. Jaklicz twierdzi, że marszałek Śmigły zdawał sobie sprawę, że siły zbrojne polskie w żaden sposób nie wytrzymają uderzenia znacznie przeważających i potężnie uzbrojonych sił niemieckich, to dlaczego nie zdecydował się z miejsca na opóźnianie w kierunku na pld. wsch. — na Rumunię?

Studium płk. Jaklicza o wariantach wycofania się stanowiło pracę zgoła zbyteczną. Wiadomo było, że na Litwę, Łotwę i Estonię nie ma po co się cofać — chyba do... Morza Bałtyckiego, albowiem w tych małych kraikach nie byłoby miejsca nawet na umieszczenie w nich armii polskiej. Zresztą w jakim celu?

Wycofanie się w kierunku wschodnim byłoby najbardziej naturalnym odwrotowym manewrem dla całej armii polskiej; stosunki istniejące w tym czasie nasze z Rosją Sowiecką uniemożliwiały ten manewr.

Dlatego więc 6 września 1939 roku, — zgodnie, jak podaje płk. Jaklicz — z planem przedwojennym, nie nakazał marszałek Śmigły natychmiastowego odwrotu-opóźniania na przedmoście rumuńskie, przynajmniej tym siłom, które jeszcze można było użyć? A zamiast tego od 6 do 11 września 1939 roku Sztab Naczelnego Wodza tkwi bez żadnej korzyści w twierdzy brzeskiej, w dodatku w fatalnych warunkach zakwaterowania?

Coś nie zgadza się we wspomnieniach płk. Jaklicza, bo o tych faktach nie wspomniał.

Rozumując logicznie, Sztab Naczelnego Wodza — Oddział III — powinien był wystąpić z wnioskiem o ubezpieczenie załogą — przynajmniej jedna lub dwie dywizje piechoty — i przygotowaniem umocnień na przyczółku rumuńskim, zgodnie z planem przedwojennym, już w lipcu 1939 roku.

Było bowiem jeszcze dość czasu, aby od lipca do końca sierpnia jako tako przygotować to przedmoście.

We wspomnieniach płk. Jaklicza o tym... głucho.

Dlatego też, wydaje mi się, że uwagi o „przedmościu rumuńskim” powzięte przed wojną są przysłowiową „musztardą po obiedzie”. Sądzę, a nawet jestem przekonany, że myśl wycofania się na ten przyczółek powstała u marszałka Śmigłego pod wpływem zupełnej klęski i pod wrażeniem nacisków i rozmów z generałem Sosnkowskim i francuskim generałem Louis Fauray w dniu 7 września 1939 roku w Brześciu nad Bugiem.

Wskazują na tę okoliczność i zdania płk. Jaklicza, który pisze na str. 160: „Lecz w okresie między 8 a 11 września (1939), my, oficerowie sztabu N.W. zdawaliśmy sobie sprawę z naszej zachwianej sytuacji wojennej. Cyrkiel, a głównie działania nieprzyjaciela wykazywały trudności, jakie napotka — pod względem czasu — przesunięcie wojsk w tak odległy obszar”.

Zdaniem tym płk. Jaklicz powiedział wiele. Uważa on, podobnie, jak i gen. Kopański, że wycofanie się na przyczółek rumuński — decyzja powzięta w dniu 11 września 1939 roku — jest manewrem spóźnionym i że Naczelnny Wódz przyjął tę decyzję, jako ostateczny i rozpaczliwy ratunek.

Płk. Jaklicz zaś nie wspomina słowem w swoich pamiętnikach o warunkach, w jakich nastąpiła ta decyzja Naczelnego Wodza. Ale zobaczymy po częściowe uszykowanie armij polskich we wrześniu 1939 roku.

Przecież, jeżeli istotnie istniała jakaś myśl wycofania się na rumuński przyczółek, jak podaje płk. Jaklicz, w razie niepowodzeń na pierwszej linii, lub nawet na Wiśle, to dlaczego pozostawiono uszykowanie naszych armii według planu ustanowionego jeszcze w lipcu 1936? i w dodatku jeszcze bardziej zmienionego na gorsze?

Prawda, była myśl, wprawdzie ukryta, w zadaniu dla armii „Kraków” (pierwotnie: „Śląsk”) — dowódca tej armii otrzymał zadanie w pierwszych miesiącach 1936 roku od marszałka Śmigłego: „bronić terenu na linii umocnień śląskich”. Armia „Kraków” miała zatem stanowić „pivot” — stałą, upartą obronę — na skrajnym południowym skrzydle polskim, a reszta armii miała spływać — opóźniając — na południowy wschód — być może aż do „przyczółka rumuńskiego”.

Co prawda nigdy nie obilo mi się to o uszy w czasie pełnienia służby w GISZ.

Rozwiązanie to było logiczne dopóki istniała... Czechosłowacja. Jeśli, jak podaje płk. Jaklicz, istniał plan wycofania armii aż na Dniestr-Stryj-Karpaty, to dlaczego w lipcu 1939 roku, a nawet w marcu 1939 roku nie zmieniono ugrupowania naszych wojsk w planie koncentracyjnym?

Płk. Jaklicz o tym zupełnie nie wspomina

W rzeczywistości armie nasze były ustawione z punktem ciężkości na północnym skrzydle — trzy armie + jedna grupa operacyjna + armia odwodowa — zamiast na południowym skrzydle, co byłoby zgodne z przedwojennym planem odwrótu na Rumunię.

Na południowym skrzydle — najważniejszym dla wykonania manewru odwrótu na pód. wschód — była tylko jedna armia, w dodatku najzupełniej nieubezpieczona od strony Słowacji.

Działo się tak, pomimo nadchodzących od maja 1939 roku zupełnie pew-

nych wiadomości o koncentracji niemieckich sił w Słowacji i w Prusach Wschodnich.

Naturalnie płk. Jaklicz, jako zastępca szefa sztabu N.W. do spraw operacyjnych, nie może ponosić pełnej odpowiedzialności za pozostawienie koncentracji sił zbrojnych według planu z 1936 roku, absolutnie nie odpowiadającego położeniu, zwłaszcza przeciwnika, tym niemniej nie przytacza on w swoim artykule żadnych dokumentów, ani dowodów, że protestował przeciwko podobnemu stanowi rzeczy. (Nie widać również żadnych sprzeciwów pod tym względem ze strony szefa oddziału III N.D. ówczesnego płk. S. Kopańskiego).

Ostatecznie już w dniu 6 września 1939 roku front polski został gruntownie poszarpany przez Niemców. Ale jeszcze była możliwość uratowania chociażby niewielkich sił dla obsadzenia prowizorycznie przyczółka rumuńskiego.

Nie zostało to dokonane. Jeśli płk. Jaklicz był w posiadaniu, jak o tym pisze, pierwotnej decyzji odwrotu na Rumunię, to obowiązkiem jego było zameldowanie marszałkowi Śmigłemu o powyższym, właśnie dnia 6 września 1939 roku.

Pisanie zaś obecnie — w 1967 roku — w pamiętnikach stanowi najwyższe spóźnione rozumowanie wstecz, myślę o „przyczółku rumuńskim”. Wątpię, aby płk. Jaklicz pisał to dla „wybielenia” od winy Naczelnego Dowództwa.



15 września 1939 roku w Kołomyi płk. Jaklicz przystępuje do montowania „ubezpieczenia przedmościa rumuńskiego”. Lecz... nie ma czym nawet „ubezpieczyć” tego przedmościa. Zupełny chaos panuje na całym tym obszarze (południowa część Małopolski Wschodniej), jak wiem o tym według otrzymanych relacji. Np. dla jednego odcinka „przedmościa” wysłano ze Stanisławowa zbiorowy pułk kawalerii, złożony z samych rezerwistów, bez żadnej broni maszynowej.

16 września 1939 roku płk. Jaklicz podaje: „do późnej nocy pracowałem nad zestawieniem sił, które mogą (L.M.) spłynąć na przedmoście”.

Muszę tu zauważyć, że Sztab Naczelnego Wodza najzupełniej nie orientował się w położeniu własnych armii.

Wszystkie obliczenia płk. Jaklicza oparte są na nieścisłych danych, jak podał on je w swoim artykule. Być może, że optymizm zapanował w Sztabie Naczelnego Wodza po przybyciu już do... Kołomyi? 16 września 1939 roku dwie armie, które mogłyby spłynąć na rumuńskie przedmoście, były w zasadzie otoczone przez Niemców, i poddawały się przyjmując kapitulację. Były to resztki armii generała Szyllinga („Kraków”) i może generała Piskora („Lublin”) oraz generała Sosnkowskiego. Siły te jednak znajdowały się w dużej odległości od „przedmościa rumuńskiego”.

Obliczenia płk. Jaklicza, że uda mu się ściągnąć z tych armii około osmiu dywizji piechoty, należy zaliczyć bezwzględnie do *wishfull thinking*.

To samo odnosi się do końcowego wniosku płk. Jaklicza, że mimo wszystko uda się marszałkowi Śmigłemu opanować położenie i wytrwać do czasu rozpoczęcia się i skutków ofensywy generała Gamelin'a...

Oczywiście płk. Jaklicz zapisywał swoje notatki na „kartach dziennika wojennego” jest jasne... bez najmniejszych poprawek i zmian!

Lecz w prawie trzydzieści lat po kampanii wrześniowej, kiedy napisano o niej grube tomy, wspomnienia te nasuwają dużo zastrzeżeń.

Zastanawiającą sprawą jest zupełna nieznajomość położenia własnych armii — generałów Sosnkowskiego, Piskora i Szyllinga przez zastępcę szefa

sztabu N.W. do spraw operacyjnych. Płk. Jaklicz liczy na te siły, podczas gdy położenie ich było rozpaczliwe i nie mogło być mowy o tym, by wydo-
stały się z kleszczy niemieckich i domaszerowały do obszaru przedmościa
rumuńskiego.

A w tym czasie dwie armie — generałów Kutrzeby i Bortnowskiego
— nie zniszczone w zasadzie, złożone z żołnierza pierwszorzędnego, mało
ruszane od początku kampanii, odbywają marsze i kontr-marsze, raz na
lewo, raz na prawo, rozpoczynają pomyślną dla nich bitwę, a następnie
przerywają ją, a w końcu prą ku... Warszawie.

Płk. Jaklicz w swoich zapiskach widzi „myśl” Naczelnego Wodza o przy-
ciągnięciu tych armii do przyczółka rumuńskiego przez wydanie gen. Kutrze-
bie rozkazu: na Radom!!!

Oto są zgubne skutki naszej wstępnej koncentracji armii.

Gdyby Sztab Główny — ściśle: Oddział III — rozważył gruntownie
i logicznie sytuację naszą — zapominając o ofensywie francuskiej (płk.
Jaklicz brał osobiście udział w jej układaniu!), która miała nastąpić do-
piero 17 dnia po mobilizacji francuskiej, to z całą pewnością nie umieściłby
aż trzech armii = 13 dywizyj piechoty + 5 brygad kawalerii na północy,
na prawym skrzydle polskim, nie licząc już 7 dywizyj piechoty + jedna
brygada kawalerii w armii odwodowej gen. Dąb-Biernackiego.

Umieszczeniem całego punktu ciężkości armii polskich bardziej na połud-
nie, ścieśniając front, zamykając przełęcze górskie, prowadzące od Słowacji
i w dalszym ciągu uważając, że armia „Kraków” ma stanowić „pivot” dla
całego frontu polskiego — zawiasy wokoło których ma nastąpić wycofanie
armii — można byłoby uniknąć klęskowej porażki, i może wtedy „przy-
czółek rumuński” odegrałby zamierzoną rolę: „nie dać się pobić doszczętnie
Niemcom!”.

Lecz, niestety, wielką i poważną rolę grały pod tym względem bałamu-
tne prognozy pułkownika Becka, który dopiero w końcu lutego 1939 roku
przejrzał i przyznał się, że nie widział możliwości uderzenia Niemców na
Polskę.

Generał Stachiewicz oraz marszałek Śmigły — ten ostatni może w mniej-
szym stopniu — zawierzili bez zastrzeżeń słowom Becka i dlatego do marca
1939 roku opracowywali plan... wschodni.

Naprawdę czasu było mało na rozpracowanie detaliczne planu zachod-
niego, ale jednakowoż od marca do końca sierpnia 1939 roku było dosyć
czasu, aby zmienić plan koncentracyjny naszych sił zbrojnych z 1936 roku.

Pozostawanie w przyjętym przez nas według planu z 1936 roku uszko-
waniu — prawdę mówiąc — przedstawiało wojsko polskie z miejsca pod ude-
rzenia dwustronne niemieckie: potworne Kanny.

Niezrozumiała dla mnie jest decyzja przejścia Naczelnego Dowództwa do
Brześcia nad Bugiem. Jaki? Nie mając żadnych związków z Rosją Sowiec-
ką, zwłaszcza po zawarciu układu Mołotow-Ribbentrop, polskie Naczelne Do-
wództwo szuka bezpieczeństwa, spokojnych warunków pracy, posuwając się
ku granicy sowieckiej?

Należało w dniu 6 września 1939 roku — jeśli, jak pisze płk. Jaklicz
w swoim artykule, istniała koncepcja „przyczółka rumuńskiego” iść od razu
do Kołomyi i przenieść tam kwaterę Naczelnego wodza, tam kierując, co się
da uszczknąć od wojsk, a co najmniej rozpocząć prace nad umocnieniami.

Pułkownik Jaklicz wzmiankuje bardzo silnie o „nożu w plecy”, wymie-
rzonym w Polskę przez Rosję Sowiecką.

Ostatecznie „noż w plecy” ze strony Rosji Sowieckiej — jakkolwiek był
niewątpliwie zgubny i zaważył decydująco na losie kampanii wrześniowej,
bynajmniej nie wpłynąłby znacznie na zajęcie przez wojska polskie „przy-
czółka rumuńskiego”.

Realnie biorąc, siłami, którymi dysponował Naczelny Wódz w dniu 15 września 1939 roku, były, według zapisków płk. Jaklicza, dosłownie: „Bezpośrednio uchwytą siłą, którą mogło rozporządzać Naczelne Dowództwo dla zabezpieczenia (L.M.) przedmościa, była grupa generała Stefana Dembińskiego w składzie 6 batalionów (zapasowych — L.M.) bez artylerii w rejonie Stryja”. Siły te były grubo niewystarczające nawet dla zwykłego ubezpieczenia pozycji — nieprzygotowanych — rumuńskiego przedmościa.

Działo się to w dniu 15 września 1939 roku...

Przecież nawet gdyby te kilka dywizji, o których wspomina płk. Jaklicz, przybyły na miejsce, co mogłoby nastąpić nie wcześniej jak po tygodniu — około 22 września 1939 roku — i nie byłoby „noża w plecy” od Rosji Sowieckiej, to na karkach zdziesiątkowanych naszych dywizji, albo uprzedzając je, pojawiłyby się pancerne siły niemieckie.

Wynik spotkania naszych oddziałów z niemieckim pancerzem — wtedy nie wymaga komentarzy.

Pułkownik Jaklicz — po długim namyśle — wydał swoje wspomnienia z końcowych dni epopei kampanii wrześniowej. Cel, jaki mu przyświecał wydaje się być jasny:

1. pokazać wszystkim, że istniał przedwojenny plan wycofania naszej armii na przyczółek rumuński,

2. że Rosja Sowiecka, wbijając nam nóż w plecy, uniemożliwiła prowadzenie dalszej kampanii.

A propos: Francuzi, nasi sojusznicy, nie ruszyli się z miejsca zupełnie, i doczekali się uderzenia Niemiec w maju 1940 roku.



Pułkownik Jaklicz oddaje natomiast należną cześć śp. marszałkowi Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi, prostuje słowa tych, którzy już w 1939 roku ogłosili Go za zwykłego zdrajcę, za tchórzliwego uciekiniera, za Naczelnego Wodza, który pozostawił swoje wojska na pastwę losu... Niemców + Rosjan i zwał po prostu za granicę, do Rumunii.

Pułkownik Jaklicz przedstawia istotne okoliczności pod tym względem.

Podpisuję się obiema rękoma pod wszystkim tym, co miał pułkownik Jaklicz do napisania o osobie marszałka E. Śmigłego-Rydza.

Marszałek Śmigły był nieszczęśliwym człowiekiem w chwili wielkiej tragedii Polski, o którym słusznie pisze płk. Jaklicz: „przed męką nie uciekł, wypił swój kielich goryczy do ostatniej kropli”. Tragiczny Wódz Naczelny Kampanii Wrześniowej...

I na tym właśnie polega wielka wartość pracy pułkownika Jaklicza.

Leon MITKIEWICZ

WOBEC „MOJEJ TUŁACZKI” WINCENTEGO WITOSA

Ostatnio ukazał się w kraju dalszy ciąg wspomnień Wincentego Witos pt.: „Moja tułaczka 1933-1939”. Wyszły one nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej będącej przedsiębiorstwem tzw. Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego (ZSL). U wszystkich jako tako zorientowanych w historii 20-lecia Polski, ten czwarty tom wspomnień czołowego przywódcy ruchu ludowego wywołuje szereg zapytań. Pierwsze z nich wiąże się z kwestią dlaczego Witos przekazując w 1945 r. profesorowi Stanisławowi Kotowi gotowe do druku trzy tomy „Moich wspomnień” nie dołączył do nich obecnie wydanego czwartego tomu. Jak daje temu świadectwo Witos, prof. Kot odegrał decydującą rolę w jego decyzji zabrania się do napisania pamiętników. W chwili gdy Kot wywoził z kraju rękopis, Witos był jeszcze w pełni sił i na pewno miał poważne powody po temu, że przeznaczał do druku tylko taki rękopis jaki w 20 lat później wydany został na emigracji staraniem Instytutu Literackiego.

Jeżeli chodzi o ogłoszoną ostatnio „Moją tułaczkę” to z wyjaśnień zawartych w przedmowie od wydawców dowiadujemy się, że „wydanie oparte jest o rękopisy i maszynopisy pamiętnika, dziennika i pism Wincentego Witos, przechowywanych w Archiwum Zakładu Historii Ruchu Ludowego przy NK ZSL w Warszawie”. „Po wielu burzliwych kolejach losu — czytamy dalej w tym wyjaśnieniu — przekazał je Archiwum we wrześniu 1965 roku Antoni Dębski, działacz ludowy, pod którego opieką znajdowały się one w ciągu ostatnich kilkunastu lat”.

Mimo, zdawałoby się, dość konkretnego wyjaśnienia sprawa dlaczego Witos nie przekazał Kotowi w roku 1945 tego czwartego tomu swych wspomnień, bynajmniej nie wygląda jasno. Skąd tom ten znalazł się w posiadaniu Antoniego Dębskiego, a nie w posiadaniu rodziny Witos, tj. jego córki, p. Masiowej, która zajmowała się wydaniem pamiętników?

Nieznała też jest zupełnie osoba owego działacza ludowego, Antoniego Dębskiego. Nie wiedzą o nim nic ani przedwojenni wybitni działacze ruchu ludowego ani związani z najbardziej dramatycznym okresem jego walk i prac po wojnie w latach 1945-47. Domniemanie, iż może to być ktoś blisko związany z osobą byłego pośła PSL, w okresie sprawowania przez Witosą czynności premiera przewodniczącego klubu sejmowego, Jana Dębskiego, okazuje się również, po bliższym zbadaniu, bezpodstawne. Jeżeli chodzi zresztą o samego Jana Dębskiego to należy stwierdzić, iż był on w ruchu ludowym bliżej związany raczej z Maciejem Ratajem niż z Witosem, a przyjmując w 1938 r. z rąk Mościckiego nominację na członka elitarnego senatu — na pewno nie bez cichej zgody Rataja — właściwie z ruchem ludowym wówczas zerwał. Jest więc wykluczone by w jakikolwiek sposób rękopis Witosą mógł trafić do jego rąk lub kogoś z jego rodziny.

Wątpliwości co do tego, iż „Moja tułaczka” jest pracą w całości wykonaną przez Wincentego Witosą i przez tegoż zakwalifikowaną do druku zwiększają się w miarę czytania książki. Lektura jej jest niewątpliwie pasjonująca. Autor notuje skrzętnie, skrupulatnie, na gorąco wszystko to, co słyszy od licznie odwiedzających go zarówno przyjaciół jak i wielu osobistości z jego stronnictwem nie związanych oraz to, co mu przynosi obfita korespondencja. Porównując teksty poszczególnych omówień „Mojej tułaczki” z trzecim tomem „Moich wspomnień” dochodzi się do wniosku, że autor nie

zdążył notatkom swoim nadać takiej formy, jaka jego zdaniem kwalifikowałaby je do ogłoszenia.

W tych warunkach rodzi się zupełnie naturalne pytanie w czym interesie leżało, ażeby ten surowy, przez autora nieskontrolowany materiał został opublikowany w 22 lata po jego śmierci? Czy wobec naprawdę wyjątkowego powodzenia z jakim spotkały się „Moje wspomnienia”, wydane na emigracji, wśród ogółu Polaków, nie chodziło o podważenie tego osiągnięcia przez pokazanie autora rzekomo „we własnym lustrze”? Nasuwa się przypuszczenie, że notatki podane dziś jako czwarty tom „Wspomnień” Witos traktował jako materiał, który prawdopodobnie zaczął opracowywać później, może podczas okupacji niemieckiej i nie ma żadnej pewności czy sam go wykończył. A dalej, że zabierając się do uporządkowania tego materiału w innych warunkach, bardzo niesprzyjających spokojnej pracy autorskiej, autor mimo woli pomieszał różne fakty, połączył kilka rozmów w jedną itp. Mogę to z całą odpowiedzialnością stwierdzić odnośnie mojej osoby. Jak istnieją na to rozliczne dowody w książce, odwiedzałem w omawianym okresie wielokrotnie Witosę w Czechosłowacji. Otóż mimo, iż co do większości zanotowanych notatek z moich relacji nie mogę mieć większych zastrzeżeń, stwierdzić muszę kategorycznie, iż w jednym miejscu, na stronie 399 książki, Witos pomieszał zarówno w czasie jak i w treści dwie różne rozmowy. Chodzi o incydent, nad którym z takim zadowoleniem natrzęsa się w pewnym tygodniku londyńskim niejaki Andrzej Boryna, pod którym to z Reymonta zacerpniętym pseudonimem, jak wieść niesie, ukrywa się zawodowy oszczerca Witos, prawdziwy — z uwagi na rekordową ilość i jakość przemian politycznych — „rycerz pióra”, który na trzy miesiące przed wybuchem wojny, kiedy to Sławoj Składkowski nosił się z zamiarem zaarrestowania Witos, przygotował do tego grunt w prasie Ozonowej, robiąc z Witosę ni mniej ni więcej tylko... agenta Gestapo...

W istocie rzeczy podano w książce jako jedną rozmowę dwie różniące się w czasie o z górą półtora roku. Pierwsza miała miejsce 18 marca 1937 r., kiedy to Korfanty proponował mi wszczęcie rokowań o połączenie Chrześcijańskiej Demokracji z Narodową Partią Robotniczą. Druga, zawierająca propozycję objęcia stanowiska korespondenta „Polonii” w Warszawie, miała miejsce w październiku 1938, kiedy to po zlikwidowaniu przez Sławoj Składkowskiego drugiego w ciągu pół roku dziennika Stronnictwa Pracy w Warszawie, bez najmniejszych szans wznowienia go pod nowym tytułem — Korfanty istotnie taką propozycję mi zrobił. Jest rzeczą wykluczoną ażeby Korfanty mógł wysuwać podobną propozycję w chwili kiedy miały być podjęte dopiero rozmowy o połączeniu naszych stronnictw. W rokowaniach tych występowałbym w niezwyklej roli: z jednej strony głównego partnera Korfantego o połączenie naszych stronnictw, a z drugiej zależnego od niego finansowo współpracownika jego wydawnictwa...

Przytaczam powyższe okoliczności z uwagi na wyjątkowej wagi powody, dla których zdecydowałem się po przeczytaniu „Mojej tułaczki” zabrać w tej sprawie głos. Nie chodzi mi zupełnie o sposób w jaki przedstawione zostały w książce moje rozmowy z Witosem. Idzie o rzecz znacznie bardziej poważniejszą, w której jako bezpośrednio nie zainteresowany, a jednakże świadek omawianych tam faktów, mam obowiązek dać świadectwo prawdzie i w ten przynajmniej sposób przyczynić się do naprawienia krzywdy, jakiej ofiarą mimowoli stał się wybitny działacz polityczny ostatniego 50-lecia Polski, zmarły niedawno prezes Rady Naczelnej PPS, śp. Zygmunt Zaremba.

W „Mojej tułaczce” poświęcono Zarembie wiele miejsca. Zostały tam umieszczone różne plotki, jakie na jego temat kursowały w ostatnich latach przed wybuchem wojny w kołach politycznych i dziennikarskich ze szczególnym natężeniem od chwili gdy zaczął on wydawać „Dziennik Ludowy”.

Witos notuje w kilku miejscach kursujące wówczas o roli Zaremby pogłoski i opinie. Co więcej, przytoczone są one przez niego na podstawie relacji takich wybitnych kolegów partyjnych Zaremby, jakimi byli posłowie PPS: Herman Lieberman i Stanisław Dubois, oraz późniejszy, w czasie wojny przedstawiciel PPS w rządzie Mikołajczyka, Ludwik Grosfeld, a także związany w owym czasie z PPS J. H. Retinger. Zarzuty są tego rodzaju, że gdyby choć w drobnym procencie odpowiadały rzeczywistości, jest nie do pomyślenia, by Zygmunt Zaremba mógł być zasiadać nieprzerwanie we władzach naczelnych partii, a w czasie wojny dojść do czołowego w jej kierownictwie stanowiska jako przewodniczący Centralnego Komitetu Wykonawczego, a w końcu, na emigracji, do ostatnich dni swego życia powszechnie przez członków PPS uznawany ich czołowy przywódca.

Zygmunta Zarembe poznałem w drugim sejmie Rzeczypospolitej w latach 1922-1927. Poznałem go, jak sądzę, dość blisko, gdyż w sejmie tym przewodniczyłem komisji regulaminowej i nietykalności poselskiej, której członkami z ramienia PPS byli Lieberman i Zaremba. Była to jedna z ważniejszych komisji sejmowych ze względu na zakres swoich uprawnień i przygotowanych do decyzji plenum wniosków. W trakcie spraw tak drażliwych jak żądanie władz prokuratorских zawieszenia nietykalności poselskiej posłów przeważnie ze skrajnej lewicy i mniejszości narodowych — m.in. słynna sprawa uwięzienia posłów białoruskiej „Hromady” — można było wnikliwiej ocenić sylwetkę duchową i polityczną człowieka niż np. na podstawie rzadkich wystąpień na plenum, a Zaremba był bardzo aktywnym i czujnym członkiem komisji. Poznałem go więc jak sądzę dobrze i dlatego iż mimo to, że i o moje uszy obijały się te wszystkie plotki i to z ust tak miarodajnych znawców wewnątrzno-partyjnej kuchni PPS, jak Norbert Barlicki i Stanisław Dubois, nigdy tych informacji podczas bytności u Witosy w Czechosłowacji nie powtarzałem.

Dopiero w kilka lat później, w czasie wojny, w Londynie zostałem wciągnięty w dyskusję na ten drażliwy temat, nie zdając sobie wówczas sprawy z tego, że może to mieć w przyszłości jakieś konsekwencje. Było to latem 1941 r., bezpośrednio po wybuchu wojny hitlerowsko-sowieckiej, w związku z czym w polskim Londynie doszło do znanego konfliktu na temat znaczenia tego faktu dla polityki naszego rządu. Współdziałałem wówczas jak najciszej, jako kierownik reprezentacji politycznej Stronnictwa Pracy, z Hermanem Liebermanem i Stanisławem Mikołajczykiem spełniającymi analogiczne obowiązki w ich własnych stronnictwach.

Stanowiliśmy wówczas we trójkę pewnego rodzaju stały organ oparcia dla gen. Sikorskiego w jego dramatycznych zmaganiach o kierunek polityki rządu R.P. z prezydentem Raczkiewiczem i gen. Sosnkowskim. W trakcie prawie codziennych spotkań pewnego dnia Mikołajczyk zakomunikował nam otrzymaną z kraju od swego stronnictwa wiadomość, że w kierownictwie PPS decydującą rolę odgrywa znany ze swych powiązań z sanacją Zaremba. Wówczas to Lieberman, bardzo z tej uwagi niezadowolony, oświadczył, że tę sprawę wyjaśni każdemu z nas na osobności a w danej chwili chodzi o przedyskutowanie problemu zasadniczego, gdyż ma umówioną rozmowę z Sikorskim, który oczekuje naszej wspólnej decyzji.

W jakiś czas później w związku z zamierzoną rekonstrukcją rządu Sikorskiego i wejścia nas trzech do rządu, miałem z Liebermanem dłuższą rozmowę poświęconą całkowicie wyjaśnieniu sprawy kursujących na temat Zaremby przed wojną pogłosek i jego, Liebermana, roli w ich rozgłaszaniu.

Z wyczerpujących wyjaśnień Liebermana okazało się, iż źródłem z którego kolportowane były szeroko uwłaczające czei Zaremby pogłoski na temat jego roli w PPS, podejrzanych stosunków z ówczesnym wiceministrem Spraw Wewnętrznych Kaweckim itp., była Komunistyczna Partia Polski. Jej to

przedstawiciele zgłosili się do Liebermana niedługo po ustaleniu się jego w Paryżu w 1934 r. i apelując do jego nieskazitelnej przeszłości politycznej i wrażliwości moralnej prosili o „załatwienie sprawy Zaremby” ofiarując gotowość dostarczenia nie budzących wątpliwości obciążających go dowodów. Lieberman bardzo się tą sprawą przejął. Oskarżyciele Zaremby ustalili z nim okoliczności i miejsce złożenia przez siebie posiadanych dowodów i dokumentów. Miało się to odbyć bądź w Paryżu bądź w Wiedniu. Ustalono szereg terminów, których niedotrzymanie tłumaczone było początkowo ze strony oskarżycieli różnymi trudnościami i przeszkodami. Trwało to dosłownie kilka lat, ciągle bez skutku aż wreszcie Lieberman uznał, iż nadużyto jego dobrej woli stosując w tym wypadku metodę pozbycia się wyjątkowo groźnego przeciwnika w myśl obowiązującego wówczas stanowiska, że wróg jest na lewicy, a Zarembe klasyfikowali komuniści jako socjal-faszystę.

Z uwagi na wątpliwości jakie miałem od samego początku w sprawie oskarżeń Zaremby, przyjąłem spokojnie to wyjaśnienie Liebermana, nie starając się dowiedzieć czy zrobił on cokolwiek w kierunku sprostowania krzywdzących Zarembe opinii. Nie orientowałem się zresztą iż odpowiedzialność Liebermana w tej sprawie, jak to wynika z notatek Witos, była tak poważna. Mam jednakże podstawę do przypuszczenia że Lieberman to uczynił. Nie wiem czy zdążył poinformować Witos. Po Monachium było to prawie niemożliwe, zwłaszcza, że Witos nie przyjął propozycji Liebermana schronienia się do Francji i zdecydował się na powrót do kraju, który nastąpił w kwietniu 1939 r. Jestem natomiast w stanie stwierdzić, że Grosfelda, najbliższego sobie człowieka zaufania w Polsce, Lieberman zdążył całkowicie poinformować o tym jak w gruncie rzeczy wyglądają komunistyczne oskarżenia Zaremby i ten całkowicie opinię swoją co do Zaremby zmienił.

W okresie kiedy Grosfeld był sekretarzem Komitetu Zagranicznego PPS i członkiem rządu Mikołajczyka, reprezentując w nim razem z Kwapińskim i Stańczykiem PPS, miałem z nim kilka rozmów w których poruszaliśmy wewnętrzne stosunki partyjne a w szczególności obawy jakie żywił Mikołajczyk i jego stronnictwo, iż w PPS w kraju istnieją do tego stopnia silne powiązania pro-sanacyjne, że nie można liczyć na jego współpracę w ustaleniu wspólnej linii politycznej wobec gruntownie zmieniającej się na skutek rozwoju wypadków wojennych sytuacji politycznej. Grosfeld stanowczo opowiadał przeciwko takiemu pogładowi twierdząc, że kierownictwo PPS w kraju znajduje się w rękach polityków na tyle doświadczonych i wytrawnych, iż można być pewnym że potrafią oni znaleźć wspólny język z innymi stronnictwami. Szczególną wagę przywiązywał w tym względzie do objęcia przewodnictwa w Centralnym Komitecie Wykonawczym Partii przez Zarembe. Dla jego inteligencji, zdolności przewidywania i charakteru nie miał wprost słów uznania.

Wtedy to zrodziła się w naszych rozmowach idea ściągnięcia z kraju do Londynu czołowych przywódców stronnictw celem wspólnego przeprowadzenia dyskusji i ustalenia zasadniczych tez taktyki politycznej. Grosfeld kładł nacisk na to, ażeby PPS w takiej ew. ekipie reprezentował Zaremba, a w pewnej chwili mi nawet oświadczył, że według otrzymanych z kraju informacji Zaremba z taką rolą się liczy i w tym celu od pewnego czasu uczy się angielskiego. Jak się później okazało, podobna myśl zrodziła się także i w kierownictwie Podziemia i bezpośrednio po katastrofie powstania zapadła tam decyzja wysłania do Londynu delegacji złożonej z przedstawicieli czterech stronnictw. Znacznie później dopiero dowiedziałem się, że delegacja taka i to w składzie: Witos, Zaremba oraz Hoppe (SP) i Jaworski (SN), istotnie była gotowa do podróży i przez szereg tygodni oczekiwała na zabranie jej przez przerzut lotniczy. Z nieznanых, a może raczej dziś, łatwych do odgadnięcia powodów, mnożyły się ciągle różne przeszkody, to

atmosferyczne to techniczne, i ostatecznie do wyjazdu delegacji do Londynu nie doszło.

Kiedy obecnie okazuje się, że w marcu 1937 — informacje o rzekomych powiązaniach Zaremby z sanacją przekazał Liebermanowi Grosfeld, a które Witos notuje na 400 stronie „Mojej tułaczki”, różnica opinii Grosfelda wówczas, a w roku 1944 jest tak zasadnicza i radykalna, iż musi prowadzić do jednego logicznego wniosku, a mianowicie, iż Lieberman zdążył przed wybuchem wojny poinformować Grosfelda dokładnie o bezpodstawności rozpowszechnianych przez komunistów przeciwko Zarembie zarzutów, w których rozpowszechnianiu wobec najbardziej zaufanych sobie osób wziął sam czynny udział.

Wydaje mi się, że przytoczenie powyższej informacji stanowi wystarczający dowód do jakiego stopnia zależało komunistom na politycznym unicestwieniu Zygmunta Zaremby z uwagi na jego antykomunistyczne stanowisko w okresie zabiegów o tzw. jednolity front lewicy. Wyjaśnia to w sposób nie budzący najmniejszych zastrzeżeń prawość charakteru i czystość ideowo-polityczną tego wybitnego i zasłużonego działacza politycznego. Mogę wyrazić tylko głęboki żal, iż po przeczytaniu „Mojej tułaczki”, zająwszy się zbieraniem dodatkowych informacji do posiadanego przeze mnie w tej sprawie materiału, nie zdążyłem jeszcze za życia śp. Zygmunta Zaremby dać temu publicznie wyrazu. Czyniąc to obecnie mam przekonanie, że spełniam w ten sposób elementarny obowiązek obywatelski.

Karol POPIEL

Rzym, 11 listopada 1967.

LISTY DO REDAKCJI

Los Angeles, 20 września 1967.

Szanowny Panie Dyrektorze:

Bardzo dziękuję za umieszczenie mojego listu w *Kulturze*. Ponieważ bohaterska obrona Poczty Polskiej w Gdańsku na Placu Heweliusza jest mało znana chcę podać kilka historycznych szczegółów.

W czerwcu 1939 roku, Rząd Polski ze względu na zagrożenie niemieckie w Gdańsku, postanowił przygotować obronę Poczty przed nagłym hitlerowskim zagarnięciem w formie putschu. Pocztowe Przysposobienie Wojskowe (PPW) pod kierownictwem urzędników poczty, śp. ppr. rez. WP Konrada Guderskiego i śp. ppr. rez. WP Leona Fuza, na rozkaz Rządu Polskiego przygotowało Poczczę do obrony. Również miano bezpośrednie połączenie z kwaterą główną Rydza-Śmigłego, żeby donieść natychmiast o hitlerowskiej akcji zbrojnej w Gdańsku. Czuwano na zmianę dniem i nocą przez trzy miesiące, żeby nagle nie być zagarniętym przez bojówki hitlerowskie. Położenie Poczty było o tyle trudne, że była w centrum miasta i graniczyła z gmachem policji gdańskiej, która była pod kierownictwem hitlerowców. Z tego względu Poczta była pod stałą obserwacją hitlerowców.

Atak na pocztę nastąpił przed napaścią Hitlera na Polskę tj. w czasie pokoju. Wysoki Komisarz Ligi Narodów w Gdańsku, któremu od 11 w nocy 31 sierpnia odcięto telefon, był dopiero zawiadomiony o akcji w Gdańsku po 3 i pół godzinach walki, kiedy Forster zażądał jego natychmiastowego wyjazdu.

Atakiem na pocztę kierował Kurt Eimann, oficer policji niemieckiej wysłany w czerwcu 1939 r. do Gdańska w celu organizowania ataku i organizacji bojówki hitlerowskiej — Sturmbann E. W ataku brali udział policjanci gdańscy, gdańskie SA i Sturmbann E — wszyscy należący do tak zwanego Eberhard Gruppe albo Freikorps Eberhard. Około 65 obrońców poczty bronili się przeciwko prawie batalionowi hitlerowców, którzy używali broni maszynowej, artylerii, samochodów pancernych i wreszcie po 13 godzinach walki zmusili obrońców do kapitulacji podpaleniem budynku przez straż pożarną używającą benzyny. Przez cały czas ataku na pocztę robiono film, który we wrześniu 1939 r. był wyświetlany w całych Niemczech na tak zwanym *Wochenschau*. Gazeta „Danziger Verposten” od 1 września pieniała się na „polskich dywersantów, którzy ośmielili się bronić w centrum hitlerowskiego Gdańska”. W czasie pobytu Hitlera i Himmlera w Gdańsku w po-

łowie września 1939 r., bojówka Eimanna-Sturmbann E, miała zaszczyt ochraniać kwatery Führera w Sopocie. Wtedy to na pewno postanowiono zlikwidować wziętych do niewoli obrońców. Ośmielono się to uczynić dopiero po kapitulacji Helu, kiedy zorganizowano farsę „sądu wojskowego Grupy Eberharda” w Sopocie. (Sędzia Dr jur. Ludwig Bode, Prokurator Dr jur. Kurt Giesecke). „Sąd” skazał pocztowców na karę śmierci za „nie-regularną działalność wojskową”. Obrońcy Poczty Gdańskiej zostali zamordowani w pobliżu dawnego lotniska i grób ich został zrównany z ziemią żeby nie pozostawił śladu.

Z głębokim poważaniem,

George C. FUZ



Baltimore, 23 września 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W zeszyście dwunastym *Zeszytów Historycznych* na stronie 124, pan Mieczysław Młotek w historii Samodzielnej Brygady Karpackiej pisze o działaniach trzeciego baonu piechoty w Tobruku, który, cytując: „na złowrogim Medauerze po krótkich walkach zatknął flagę polską”.

W historii Tobruku Medauer dominował swoim położeniem i był symbolem ciężkich zmagañ i trudów wojennych. Dlatego proszę Pana Redaktora o zamieszczenie poniższego sprostowania do tej części opisu pana M. Młotka.

W nocy z 9 na 10 grudnia najbardziej wysunięte stanowiska na Medaurze były obsadzone przez Szwadron Trzeci Karpackiego Pułku Ułanów pod dowództwem rotmistrza Kaweckiego. Jedną z osobliwości tych stanowisk była armata sprowadzona pod osłoną ciemności i zwyczajowo conocnego zawieszania ognia (kiedy obie strony uzupełniały zaopatrzenia). Stanowiska były bardzo blisko siebie, przedzielone tylko zasiekami i minami i zarówno dla nieprzyjaciela, jak i dla nas było niemożliwe dokonywać zaopatrzenia w ciągu dnia. Z armaty tej rotmistrz Kaweckie prażył ogniem bezpośrednim stanowiska nieprzyjacielskie — o 50-60 metrów od nas odległe — przy czym pociski nieraz szorując po ziemi i wybuchając wyłobżyły dość szeroką ścieżkę poprzez concertyny i zasieki. Była z tej armaty prawdziwa uciecha dla wszystkich ułanów naszego szwadronu.

Noc z 9 na 10 grudnia była ciemna, bezksiężycowa, rozświecona jedynie ogniem gęsto wybuchających pocisków armatnich. Noc ta miała uwolnić Tobruk. Żołnierze pełni napięcia oczekiwali w pogotowiu do akcji. Było dobrze po północy. Artyleria nasza cały czas obstrzeliwała bunkry na Medaurze, gdy przejechał do nas dowódca pułku, pułkownik Bobiński, i wydał rozkaz wysłania patrolu oficerskiego z zadaniem rozpoznania wzgórz Medauer, jego bunkrów i przedpola.

Rozkaz był następujący: patrol po osiągnięciu bunkrów Medauera ma wystrzelić z jego szczytu trzy rakietę: zieloną pionową i dwie białe po obu jej stronach. Będzie to sygnałem, że wzgórze zostało opuszczone przez nieprzyjaciela i znakiem dla pułku do rozpoczęcia pościgu za nim w kierunku na Arconę. Po wykonaniu pierwszej części zadania, rozpoznać przedpole w promieniu kilku kilometrów i powrócić na Medauer.

Zostałem wyznaczony na dowódcę patrolu. Po dobraniu 12 ochotników z 62-letnim kapralem Wiatrem na czele, wyruszyliśmy ścieżką przygotowaną uprzednio przez wspomnianą wyżej armatę rotmistrza Kaweckiego. Po stwierdzeniu, że przedpole Medauera jest głucho, nie odpowiadając ogniem, patrol

posuwał się szybko dzięki brawurze sapera (niestety, nie pamiętam jego nazwiska) który przed dowódcą patrolu bez żadnego wykrywacza, jedynie rękoma, macała, dopadał i rozbijał miny jedną po drugiej. Bunkry Medauera już widoczne w blasku wybuchów naszej artylerii zdawały się być także opuszczone. Niemniej rozkaz był wyraźny: sygnał rakiet nadać ze szczytu bunkra po absolutnym stwierdzeniu, że jest opuszczony. To był najtrudniejszy moment ponieważ dobrze wyszkolona artyleria polska waliła całą siłą ognia i to celnie.

Szybkość decydowała o tym, aby nie było strat. Wpadliśmy do bunkrów Medauera, były puste. Wybiegłem na szczyt Medauera, wystrzeliłem trzy rakietę. Zdjąłem z furazjki proporczyk Karpackiego Pułku Ułanów i przypięłem na szczycie bunkra na desce przypominającej kształtem drogowskaz na którym było napisane: Medauer, ażeby zabezpieczyć moment zajęcia tej zmory Tobruku przez wojska polskie dla Pułku Ułanów Karpaczkich. Po czym patrol wyruszył na dalsze rozpoznanie przedpola pozostawiając w bunkrze jednego rannego, ułana Jurasza, który postrzelił się przypadkiem w udo przy wskakiwaniu do bunkra.

Po powrocie z rozpoznania przedpola na Medauer, o świcie, znalazłem grupę żołnierzy z baonu piechoty zatykającego dużą flagę polską na szczycie bunkru. Był to przepiękny obraz: świeże białoczerwone kolory na tle szarości pobojuwiska. Musiałem zwrócić delikatnie uwagę triumfującemu oddziałowi piechoty, że nie byli pierwsi na Medaurze. Po żądaniu dowodu, wskazałem na mój proporczyk, który wisiał przyczepiony na tym samym miejscu i jako oczywisty dowód potwierdzał moje słowa, a także obecność rannego ułana Jurasza, którego zostawiłem w bunkrze. Następnie powróciłem z patrelem do stanowisk naszego szwadronu na śniadanie wzbogacone puszkami konserw niemieckich i włoskich i butelkami świeżej wody butelkowanej podobnie, jak wina reńskie, której w Tobruku byliśmy pozbawieni przez długi, długi czas.

Z poważaniem,

Stanisław Edward BASK-MOSTWIN
w okresie Tobruku podporucznik S. Niedbał



Londyn, 11 stycznia 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem Z. S. Siemaszki „Retinger w Polsce w 1944 r.” (dwunasty „Zeszyt Historyczny” 1967) uprzejmie proszę o umieszczenie w najbliższym „Zeszycie Historycznym” następujących uwag:

W pracach historycznych ukazujących się na uchodźstwie pierwsze miejsce, zdaniem moim, należy się zagadnieniom związanym z naszą walką o wolność w latach drugiej wojny światowej, a to tym bardziej, że dokonano już i ciągle się dokonuje zniekształceń i przeinaczeń w wielu artykułach i książkach publikowanych pod czujnym okiem reżymowej cenzury.

Jako szef sztabu Armii Krajowej brałem udział w decyzjach, które zapadały w dowództwie A.K. i uczestniczyłem w wielu wydarzeniach w życiu Polskiej Podziemnej. Z tego też zapewne względu przed dwoma laty p. Siemaszko zwrócił się do mnie o informacje na temat pobytu J. H. Ringera w Polsce w roku 1944. Po paru krótkich rozmowach doszedłem do przekonania, że p. Siemaszkę interesuje przede wszystkim sensacyjność tego tematu,

toteż wyraźnie powiedziałem mu, że nie może liczyć na mój współudział w tej pracy.

Odmówiłem też odpowiedzi na kwestionariusz, który p. Siemaszko przesłał 23 lipca 1966 do gen. Bora-Komorowskiego, do płk. Iranka-Osmeckiego i do mnie. Zareagowaliśmy jednakowo na ten kwestionariusz, który był pomyślany niepoważnie, zawierał nonsensowne sugestie i utrzymany był w agresywnym tonie. Nie chcąc przykładać ręki do pracy, której charakter zarysowywał się wyraźnie w kwestionariuszu, odpowiedziałem p. Siemaszce listem z 2 sierpnia 1966 następującej treści:

„Zapoznałem się z listami na temat dr. Retingera drukowanymi w „Kulturze”, a przede wszystkim z listem Pana w tej sprawie w numerze majowym. List ten, jak Pan sam pisze, był „pisany na chybcika”. Istotnie list ten jest nierzeczowy, nierozważny i musi wywoływać niesmak i oburzenie. Dalsze rozwijanie przez Pana tego tematu, który Pan tak niepoważnie potraktował w swym liście do „Kultury”, uważam za szkodliwe — toteż powiadamiam Pana w odpowiedzi na list z 23 b.m., że nie może Pan liczyć na udzielenie Panu przeze mnie moich osobistych informacji i naświetleń. Resztę odkładam do osobistej rozmowy we czwartek, 4 sierpnia”.

Gdy p. Siemaszko chciał uzyskać ode mnie zgodę na wydrukowanie fragmentu mego listu, również nie zgodziłem się. Przyczyną tej odmowy nie był wzgląd na „poufność listu”, bo w liście tym niczego poufnego nie ma. Odmówiłem bo, jak to już wyżej powiedziałem, nie chciałem uczestniczyć w pracy, której metoda zupełnie mi nie odpowiadała.

Artykuł p. Siemaszki nie dociera do sedna sprawy, nie ustala z czyjego ramienia w istocie rzeczy i z jaką misją przybył do Polski Retinger w roku 1944, w czasie gdy przed Rządem Polskim w Londynie i przed Polską Podziemną w kraju stawały zagadnienia największej wagi. Autor powierzchownie traktuje te sprawy, pochłonięty jest bowiem szukaniem sensacji i gromadzeniem niepoważnych sugestii w stosunku do dowództwa Armii Krajowej.

Załączam wyrazy poważania,

T. PEŁCZYŃSKI

Zamieszczając list gen. T. Pełczyńskiego chcielibyśmy stwierdzić, że p. Siemaszko próbował zebrać materiały dotyczące misji dr. Retingera na prośbę redaktora „Zeszytów Historycznych”. Kwestionariusz, który rozesłał do b. przywódców A.K., został opublikowany w nrze 12-ym Zeszytów i czytelnicy będą mogli sami ocenić trafność opinii gen. Pełczyńskiego.

Najnowsza Historia Polski zawiera niezmiernie dużo ciemnych zakamarków — by przykładowo wymienić sprawy — od kulis Powstania Warszawskiego, tajemniczych śmierci płk. Hańczy czy Lidii Żółkiewskiej — do sprawy Bergu czy org. rtm. Klimkowskiego. To są wszystkie tematy „tabu” i interesowanie się nimi jest „poszukiwaniem niezdrowych sensacji”. Na skutek tego mamy nie historię, z której można by wyciągać wnioski na przyszłość ale bajeczki pod lipą dla grzecznych dzieci. To samo się robi, z innych pozycji, w PRL. Zadaniem „Zeszytów Historycznych” jest usiłowanie rzucenia trochę światła na te sprawy i uniemożliwienie wariantów „orwellowskich”. Tak samo jak fundusze publiczne tak i najnowsza historia nie jest niczym „prywatną własnością” czy monopolem i wymaga kontroli opinii.

REDAKTOR

Londyn, 7 sierpnia 1967 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Ponieważ w Nrze 12 *Zeszytów Historycznych*, pan T. Nowacki zakończył swój artykuł, pt. „Stefan Mossor” przypuszczeniem, że „zestawienie szeregu wypowiedzi”, na temat Mossora „może nas zbliżyć do poznania prawdy”, pozwalam sobie dorzucić coś nie coś.

Pierwszy raz zetknąłem się z osobą Mossora, gdy w 1919 r. jako podporucznik przybył do hallerowskiego szwadronu zapasowego kawalerii, stacjonującego w dawnym, karnym garnizonie kawalerii austriackiej, w lasach, obok wsi Hruszów, powiatu Lubaczowskiego, w Małopolsce Wschodniej.

Mossor, wówczas młody, przystojny, jednak poważnie myślący człowiek, poza służbą nudził się bardzo i, gdy tylko nadarzyła się okazja, szybko skorzystał z możliwości uzyskania urlopu akademickiego i w lutym 1920 r. ubył na studia, na lwowskiej politechnice.

Podczas odwrotu naszych wojsk, w lipcu 1920 r. został odwołany i już na początku sierpnia 1920 r. ubył na front, jako dowódca szwadronu, w sformowanym, specjalnie dla Brygady Syberyjskiej, dywizjonie kawalerii. W międzyczasie został zweryfikowany w stopniu porucznika. Jednak, gdy do tego dywizjonu przybył prawdziwy Sybirak, porucznik Kwiatkowski, Mossor chętnie mu zdał szwadron. Mimo bardzo dobrego pełnienia służby, nie przejawiał dużej gorliwości, tak w służbie, jak i w sporcie konnym.

Gdy tylko został zawarty w połowie października 1920 r. rozejm z bolszewikami, Mossor już na początku listopada powrócił do szwadronu zapasowego i otrzymał bezterminowy urlop akademicki.

Gdy, po wojnie regulowane były sprawy personalne korpusu oficerskiego całej armii naszej, Mossor został zweryfikowany do stopnia rotmistrza rezerwy.

W jesieni 1923 r., niespodziewanie przybył do naszego pułku w Żółtkwi w charakterze powołanego z rezerwy, z jednoczesnym odkomenderowaniem na doskonałający kurs kawalerii w Grudziądzu. Będąc tym zdziwiony, zapytałem się go, czy opłaca się mu porzucić studia na politechnice, na co odpowiedział mi, że wojna odzwyczaiła go od „uczenia się”, a że został w rezerwie zweryfikowany do stopnia rotmistrza, więc ma szansę do zrobienia kariery w wojsku. Rzeczywiście, w tamtych czasach i w jego wieku, posiadanie stopnia rotmistrza już stanowiło poważny sukces w karierze: zwłaszcza że miał poza sobą służbę w Legionach.

Kurs przeszkolenia w Grudziądzu Mossor przeszedł bardzo dobrze, nawet mając możliwość narysowania, w wolnych chwilach, całego albumu doskonałych karykatur z życia Alma Mater Kawalerii.

Po kursie, w 1924 r., został przeniesiony do 3 pułku Szwoleżerów, z którego w 1927 r. zdał egzamin do Wyższej Szkoły Wojennej. I gdy w jesieni tegoż roku, do Zegrza przybył pierwszy rocznik Wyższej Szkoły Wojennej, celem oglądnięcia specjalnie zorganizowanych ćwiczeń wojsk łączności, ja zaś w tym czasie byłem na kursie łączności dla oficerów poszczególnych broni, mieliśmy okazję do spotkania się. Wówczas Mossor gorąco mnie namawiał do zdawania egzaminu do Wyższej Szkoły Wojennej, zapewniając że na pewno łatwo zdam, i powtarzając kilkakrotnie że: „to żaden interes słuzić w wojsku bez wyższej szkoły wojennej”.

Podobnie, jak w Centrum Wyszkożenia Kawalerii, tak i w Wyższej Szkole Wojennej, Mossor robił duże postępy i już w 1928 roku został delegowany do Francji, celem kontynuowania studiów w École Supérieure. Rów-

niez łatwo przeszedł kurs francuskiej Wyższej Szkoły Wojennej, i po powrocie do Kraju, już miał przydział, w charakterze wykładowcy, do naszej Wyższej Szkoły Wojennej.

Przy okazji spotkania, dowiedziałem się od majora Mossora że bardzo dużo skorzystał w École Supérieure, lecz niestety nie ma szans wykorzystania zdobytej wiedzy w naszych skromnych warunkach uzbrojenia i naszych drogach komunikacji.

Na stronie 180, 9 wiersz od góry, pan Nowacki napisał że dowiedział się (w obozie jeńców): „o karnym usunięciu” Mossora „ze stanowiska szefa sztabu armii Poznań, o nieobliczalnej stracie jaką ponieśliśmy we wrześniowej kampanii z tego tytułu”. Nie posiadam zupełnie pewnych danych do obalenia tego, lecz ja wiedziałem o tym, że Mossor sam nie zgodził się na przydział w charakterze szefa sztabu armii Poznań li-tylko dlatego, że zdając sobie sprawę z potęgi armii niemieckiej nie chciał brać na siebie tak poważnej odpowiedzialności, jaką nakładało stanowisko szefa sztabu, właśnie armii Poznań. Rzekomo wołał występować podczas wojny na skromniejszym stanowisku. Zresztą zwróćmy uwagę, jak praktycznie dla Mossora sprawa przydziału wojennego układała się.

W związku z planami mobilizacyjnymi, już w listopadzie 1938 roku dowódca 6 pułku Strzelców Konnych, płk. dypl. W. Gierulewicz został powołany na Kurs Kwaternistrzów armij w Wyższej Szkole Wojennej, gdzie ppłk. dypl. Mossor jest wykładowcą, i już w lutym 1939 r. wychodzi rozkaz M. S. Wojsk. przenoszący płk. dypl. Gierulewicza do Inspektoratu Generalnego P.S.Z., zaś ppłk. dypl. Mossora na stanowisko dowódcy 6 p. Strz. Konnych. Co prawda, w związku z potrzebą wzięcia udziału w jakichś ważnych pracach G.I.S.Z. ppłk. dypl. Mossor pozostał parę miesięcy w Warszawie i dopiero w dniu 16 maja objął dowództwo pułku. Odpada więc sprawa karnego usunięcia z sztabu armii Poznań, bo w tym sztabie nie pełnił służby. Znając praktyczność i wyrachowanie Mossora, skłonny jestem wierzyć w to, że nie chciał brać na siebie zbyt poważnej odpowiedzialności.

Jedenaście dni działań wojennych tragicznie przeżywał i, jedyną satysfakcją dla niego, było otrzymanie wyrazów uznania i podziwu determinacji, od trzech z kolei dowódców niemieckich, kończąc na dowódcy korpusu, w chwili trafienia do niewoli.

Z opisu pana Nowackiego widać, jak żądny był czynu Mossor, i nawet za wszelką cenę. Jednak kalkulacje zawodziły, a zwłaszcza ta ostatnia, która od razu dała stopień generała, poważne stanowisko, dalszy awans generalski, lecz po paru latach, ciężkich pięć lat więzienia, po których już nie chciał żadnych stanowisk i tylko marzył o napisaniu pamiętników, co również nie udało się z powodu nagłej śmierci.

Na stronie 186, wiersz 17 od góry, pan Nowacki, po krótko omawiając powojenne losy Mossora, napisał o dowodzeniu „ekspedycji karnej zwalczającej ukraińskich partyzantów”, co dla mnie jest rewelacją. Przecież reżymowy generał Świerczewski zginął przy pacyfikacji ukraińskiego podziemia. A w tym samym czasie Mossor, na stanowisku zastępcy szefa sztabu generalnego był zmuszony przeżyć ciężką tragedię utraty jedynego syna, który jako były członek Armii Krajowej błagał go o litość nad Akowcami, których tępił na Białostocczyźnie bezlitośnie gen. Paskiewicz, i ten syn, nie mogąc przeżyć obojętności ojca popełnił samobójstwo.

P. Nowacki wspomina podporucznika Bąkowskiego. On również trafił do więzienia Bezpieki i w 1951 roku, podczas procesu sądowego miękko zeznawał, w charakterze świadka, o miejscu zakopania memoriału Mossora w obozie jenieckim.

P. Nowacki podkreśla duży patriotyzm Mossora. Ja jestem przekonany że Mossor, na podstawie swych kalkulacji, święcie wierzył w możliwość przy-

służenia się Ojczyźnie, przy współpracy z ZSSR, i dlatego nie wyszedł z Murnau na Zachód. Zawiódł się tak, jak w czerwcu 1940 roku na czczonym przez niego, wojennym „niezwyciężonym geniuszu francuskim”.

Na tym kończąc załączam wyrazy szacunku i poważania,

Tadeusz TCHÓRZEWSKI

P.S. Proszę nie zrozumieć mnie źle, jako usiłującego bawić się w adwokata. Daleki jestem od tego.



Londyn, 9. września 1967 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Ciekawiły mnie „Wspomnienia oficera drugiej grupy”, pióra płk. audytora S. Lubodzieckiego, zamieszczone w NrNr 11 i 12 *Zeszytów Historycznych*, jako że i ja musiałem zaznać tej samej goryczy, na tym samym Śr. Wschodzie, i w tym samym mieście Tel-Aviv.

Ponieważ te wspomnienia zostały zakończone życzeniem „specjalnej monografii, która byłaby poważnym wkładem do historii”, uważam za swój obowiązek zwrócić uwagę na, zaistniałą poważną nieścisłość. Mam na uwadze omówienie na stronach 201 i 202 sprawy Kursu Administracyjnego, zwanego pospolicie „Kursiem Wojewodów”.

Mianowicie na stronie 202, wiersz 10 od góry, jest zdanie: „Na dobór słuchaczy miał decydujący wpływ, przybyły w tym celu z Londynu ppłk. dypl. Przedziecki”, zaś w wierszu 22 od góry, jest zdanie: „Początkowo główne kryterium przy doborze słuchaczy miało charakter polityczny — kwestia stosunku do gen. Sikorskiego i stosunku do sanacji, potem to upadło, bo w toku organizowania kursu nastąpiła tragiczna śmierć gen. Sikorskiego”.

Rzeczywiście, w latach 1942 i 1943 zwłaszcza, na terenie Palestyny okazała się ogromna ilość oficerów służby stałej i rezerwy, przebywających, bądź w stanie nieczynnym, tzw. „II Grupa”, bądź na skromnych zapomogach Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Ale właśnie, dopiero po tragicznej śmierci śp. gen. Sikorskiego, przybyła z Londynu specjalna Komisja, pod przewodnictwem płk. dypl. Warthy, który w towarzystwie ppłk. dypl. Przedzieckiego i jeszcze jednego pułkownika, którego nazwiska nie zapamiętałem, zajął się sprawą tak zaliczenia przebywających na zapomogach M.P. i O.S. do liczby tzw. Oficerów II Grupy, jak i powołaniem do służby czynnej innych. W związku z tym i ja musiałem stanąć przed Komisją Kwalifikacyjną Nr 2 Ministerstwa Obrony Narodowej w Tel-Awivie na początku listopada 1943 r. i zostałem powołany do służby czynnej. Zaświadczenie jeszcze posiadam.

Wynikiem pracy Komisji Kwalifikacyjnej był zorganizowany z dniem 10 stycznia 1944 r. w obozie Gedera, Kurs Przedszkoleniowo-Informacyjny, z większością oficerów służby stałej, a dopiero później uruchomiono Kurs Administracyjny, którego szczegółów już nie jestem w stanie podać gdyż 4 marca 1944 r. wyjechałem na teren Egiptu.

Czas robi swoje, a w nim starzejemy się, i czasami pamięć zawodzi.

Raczy Pan Redaktor przyjąć wyrazy szacunku i poważania,

Tadeusz TCHÓRZEWSKI

SPIS TREŚCI

Tadeusz Katelbach: <i>Zet</i>	3
Wiktor Tomir Drymmer: <i>Zagadnienie żydowskie w Polsce 1935-1939</i>	55

WSPOMNIENIA

Stanisław Kot: <i>Wspomnienia (III)</i>	78
Edward Puacz (opr.): <i>Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia</i>	92
Witold Babiński: <i>Ze wspomnień o Józefie Lipskim</i>	112

DOKUMENTY

Tadeusz Romer: <i>U kolebki pewnego sojuszu</i>	119
Jan Weinstein: <i>Scenariusz ministra Gafencu</i>	140
<i>Wypadki krakowskie w ocenie sądu</i>	162

PRZEDRUKI

O Marsz. Piłsudskim w... 1941 r.

Cz. Bobrowski-Korolko: <i>Nakaz wielkości</i>	187
Henryk Jabłoński: <i>Piłsudski jako historyk</i>	190

RECENZJE I POLEMIKI

ERKA: <i>Na marginesie „Bitwy o tajemnice”</i>	194
Tadeusz Nowacki: <i>20 lat Ludowego Wojska Polskiego</i> ..	203
Tadeusz Nowacki: <i>Jeszcze o kampanii wrześniowej</i>	207
S. Popkiewicz: <i>Szczegóły łączności radiowej między Londynem a Warszawą</i>	215
Leon Mitkiewicz: <i>Smutne post-factum</i>	221
Karol Popiel: <i>Wobec „Mojej tułaczki” Wincentego Witosa</i>	226

LISTY DO REDAKCJI

George C. Fuz:	231
Stanisław Edward Bask-Mostwin	232
Tadeusz Pełczyński	233
Tadeusz Tchórzewski	234
Tadeusz Tchórzewski	237

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 26 JANVIER 1968
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1968

Dar Księży Marianów
Londyn

**KSIAZKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

- Józef Mackiewicz: Kontra (7 F)**
- Tadeusz Katelbach: Rok złych wróżb (8 F)**
- Stanisław Kot: Jerzy Niemirycz (7 F)**
- Paweł Zaremba: Historia Polski, Tom I (20 F)**
- Józef Czapski: Na nieludzkiej ziemi (Wydanie drugie)
(15 F)**
- Bernard Singer: Od Witosa do Sławka (18 F)**
- Milovan Đilas: Rozmowy ze Stalinem (9 F)**
- Jerzy Mond: 6 lat temu... (Kulisy polskiego
Października) (10 F)**
- Maria Czapska: Polacy w ZSSR (1939-1942)
Antologia (16,50 F)**
- Witold Jedlicki: Klub Krzywego Koła (10 F)**
- Stanisław Mackiewicz: Polityka Becka (12 F)**
- Wincenty Witos: Moje Wspomnienia, Tomy I/II/III
(87 F)**
- Wiktor Sukiennicki: Biała księga (12, 75 F)**
- Gustaw Herling-Grudziński: Inny świat (13,50 F)**
- Borys Lewickij: Terror i rewolucja (15 F)**
- January Grzędziński: Maj 1926 (9 F)**
- Wacław Lednicki: Rosyjsko-polska entente cordiale
1903-1905 (9 F)**